

Prawdziwe historie,
których nigdy nie udało się wyjaśnić



NIEWYJAŚNIONE

RICHARD MACLEAN SMITH

AUTOR NAJSTRASZNIJSZEGO
PODCASTU SWIATA

Richard MacLean Smith

NIEWYJAŚNIONE

**Prawdziwe historie, których nigdy
nie udało się wyjaśnić**

tłumaczenie
Aleksandra Żak

znak *litera
nova*

Kraków 2019

Spis treści

Karta tytułowa

Wstęp

Rozdział pierwszy. Zmartwychwstałe sny

Rozdział drugi. Skrzynka

Rozdział trzeci. Z lasu w ciemność

Rozdział czwarty. Jaźń w źrenicach

Rozdział piąty. Ślad imienia

Rozdział szósty. Wszystko, co widzimy

Rozdział siódmy. Gdyby ściany mogły krzyczeć

Rozdział ósmy. Złe ziemie

Rozdział dziewiąty. Groza noosfery

Rozdział dziesiąty. Każda historia to historia o duchach

Podziękowania

Źródła cytatów

Źródła zdjęć

Karta redakcyjna

DLA DONNY, BOO I SCOUTA

Wstęp

Zostaw nieznanemu otwarte drzwi, drzwi do ciemności. Stamtąd przychodzi to, co najważniejsze, stamtąd przyszedłeś ty sam i tam odejdziesz.

Rebecca Solnit, *A Field Guide to Getting Lost*

Jest 4 grudnia 1944 roku, wieczór. Nad granicą Holandii i Niemiec, mniej więcej na wysokości dziewięciu tysięcy kilometrów, samoloty Mosquito dywizjonu RAF przeprowadzają nalot na przemysłowe miasto Karlsruhe. Niedaleko za nimi, gdzieś między chmurami, leci ponad pięćset brytyjskich bombowców zmierzających w tym samym kierunku. Maszyny Mosquito stanowią część jednostki naprowadzającej, znanej jako Pathfinders. Ich zadaniem jest latanie na przodzie formacji i oznaczanie celów, żeby można było sprawniej przeprowadzić akcję.

Aby to osiągnąć, zrzucają różne wielokolorowe flary – małe paczuszki światła spadające na wyznaczony cel. Można sobie tylko wyobrazić, jak to wygląda z ziemi – miękko opadające kolorowe fajerwerki wynurzają się z ciemności, jakby pojawiły się znikąd. To dziwnie piękna zapowiedź potworności mających nastąpić za chwilę.

Tej nocy w kokpicie mosquito „O Oboe” kapitan Johnny Liddell utrzymuje maszynę w stabilnym położeniu i patrzy prosto przed siebie, w nocne niebo. Tymczasem jego nawigator Albert Smith starannie wyznacza płynną trajektorię w słabym zielonym blasku tablicy rozdzielczej.

Wielu z nas nie potrafi sobie wyobrazić silnego lęku, jaki na pewno ogarniał Johnny’ego i Alberta, gdy zbliżali się do celu – a obaj dobrze znali to uczucie, zwłaszcza Albert, dla którego była to dziewięćdziesiąta misja wojenna. Ale możemy się domyślać, że nawet tak zaprawieni w boju żołnierze nie potrafili do niego przywyknąć.

– Zmień kurs na sto sześćdziesiąt cztery stopnie – mówi Albert przez swoją maskę tlenową.

– Okej – pada nosowa odpowiedź.

Nagle samolotem coś wstrząsa.

Albert odwraca się gwałtownie w lewo. Wygląda przez szybę i widzi w ciemności coś, czego nie powinno tam być: czarne podwozie innego mosquito. Pozostaje mu tylko patrzeć w przerażeniu, jak drugi samolot przerywa się przez ich ogon. Przez chwilę panuje dziwny spokój – huk silników nie ustaje i wydaje się, że maszyna utrzyma pozycję – ale potem następuje przyprawiające o mdłości szarpnięcie, gdy samolot zaczyna się obracać.

Teraz bezradnie spadają prosto na ziemię.

Albert krzyczy, nagle rzucony do przodu, potem w powietrze, a po chwili na podłogę samolotu. Wyciąga rękę w kierunku mocowań pod siedzeniem Johnny'ego, mając nad głową wygięte nogi, a wokół – unoszący się chaotycznie mocz. Usiłując podnieść głowę wbrew sile grawitacji, ledwie widzi, jak Johnny walczy z dźwignią. Ale bez ogona jest to zupełnie bezcelowe, samolot zaczyna gwałtownie wymykać się spod kontroli.

Johnny wyciąga rękę do klamki luku ewakuacyjnego i mocno za nią szarpie. W jednej chwili ogarniające kokpit ciepło ustępuje uderzeniu przenikliwie zimnego powietrza. Mając już na plecach spadochron, Johnny chwytą dźwignię i odpina pas. Natychmiast zostaje wessany w otwór powyżej. Usiłując pozostać w samolocie, rozpaczliwie stara się wyciągnąć rękę do Alberta. Przez chwilę wygląda tak, jakby wisiał w powietrzu niczym trzymany przez dziecko balon, aż w końcu obaj odpuszczają. Mężczyzna znika w otaczającej maszynę ciemności.

Samotny teraz Albert z nogami wciąż wykręconymi nad głową widzi swój spadochron przypięty z boku w tylnej części kokpitu. Ale jeśli spróbuje po niego sięgnąć, od razu zostanie wyssany z samolotu. Gdy tak tkwi w bezładnie wirującym samolocie, dociera do niego, że umrze. Maszyna spada dalej, a on przyciąga głowę do podłogi i zamyka oczy.

Myśli, że tak będzie szybciej, a wyobrażenie, że zostanie wessany w ciemność na zewnątrz, przeraża go jeszcze bardziej.

Wtedy pod jego powiekami coś zaczyna się mienić. Unosi je i widzi łagodny,

pomarańczowy blask ogarniający cały kokpit.

To silnik zaczyna płonąć.

Proszę, Boże, niech to się skończy, zanim się spalę – błaga. Ale wtedy, równie nagle jak się to wszystko zaczęło, jego nogi opadają na podłogę. Albert uświadamia to sobie dopiero po chwili, lecz kiedy unosi głowę, widzi, że samolot już nie wiruje. W dodatku jego ciałem zarzuciło tak, że znalazł się tuż przy spadochronie. W ciągu kilku sekund przyciąga go do siebie i pomimo drżenia palców przypina do swojej uprzęży, po czym jakoś udaje mu się wstać.

Nad sobą widzi tylko ciemność, jeszcze przed chwilą najgorszy koszmar, a teraz jego jedyną nadzieję. Stara się jej dosięgnąć, ale coś wciąga go z powrotem do samolotu. To się nie dzieje naprawdę! Wtedy uświadamia sobie, że to hełm – wciąż jest połączony z kablem interkomu. Albert zdziera go i wynurza się, wypychając głowę nad kokpit. Smagany po twarzy mroźnym wiatrem próbuje odepchnąć się nogami, lecz stopy nie chcą oderwać się od podłoża. W końcu z ostatnim rozpaczliwym pchnięciem zostaje wyrzucony w powietrze. Teraz spada, spada samotnie przez czarne jak atrament niebo.

Na ziemi pilot Johnny Liddell, któremu udało się uciec z samolotu, patrzy, jak płonąca maszyna się rozbija.

Na niebie nad nim nie widać nawigatora Alberta.

Dwa dni później w domu rodziców Alberta – Alberta seniora i Alice Smithów – rozległo się przerażające pukanie do drzwi. To listonosz – przyniósł wieści, których nie chce słyszeć żaden rodzic. Gdy Albert senior głośno czytał telegram, Alice z trudem powstrzymywała emocje. Chociaż nie było jeszcze pewności, co się stało, takie telegramy rzadko wróżą coś dobrego. Rodzice lotnika starali się nie tracić nadziei, ale trudno jest uciec od przeczucia, że już nigdy nie zobaczą swojego dziecka. Dlatego byli nieco zaskoczeni, kiedy zaledwie kilka dni później otrzymali kolejny telegram. Tym razem nie z biura wojennego, ale od ich syna: pisał, że żyje i odzyskuje siły w szpitalu. Parę tygodni później w końcu wrócił do domu.

Chociaż opowieść ta z pewnością nie jest wyjątkową historią z czasów wojny, niewątpliwie jest niesamowita i znam ją naprawdę dobrze, bo Albert był moim dziadkiem. Jak się pewnie domyślacie, historię tę opowiadano w mojej rodzinie wiele razy. Mój dziadek nawet przedstawił swoją relację z tego zdarzenia w książce^[1].

Mówię, że znam tę historię dobrze. Ale tak naprawdę dopiero niedawno odkryłem jej brakujący fragment – brakowało go w książce i w każdej opowieści, jaką słyszałem od dzieciństwa. Parę lat temu, kiedy mój tata znów ją przytaczał, dodał coś nowego. Na krótko przed tym, jak samolot przestał wirować, Albert przez moment ujrzał obok siebie w kokpicie staruszkę, której nie rozpoznał. Kiedy spytałem, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie słyszałem, tata wyjaśnił, że Albert zlekceważył wizję, uznając ją za wytwór swojej wyobraźni. Przy każdym kolejnym powtórzeniu historii ten szczególny moment stopniowo wymazywano, bo gdyby go pozostawić, stałby się źródłem niechcianych przesądów. Szczerze mówiąc, jestem tego samego zdania. Taka wzmianka na pewno dodaje nieco kolorytu – choć cała historia wcale nie potrzebuje upiększenia – ale podobnie jak mój dziadek lekceważyłem ją, uważając, że to tylko kaprys umysłu.

Potem dowiedziałem się o czymś jeszcze. Kiedy matka Alberta otrzymała wiadomość, że jej syn prawdopodobnie zginął podczas akcji, była zrozpaczona. Jednak jako katoliczka wierzyła, że być może trafił do szczęśliwszego miejsca. Szukając pocieszenia, złożyła wizytę kobiecie będącej medium. Być może naprawdę chciała skontaktować się z Albertem w zaświatach, a może po prostu szukała sposobu na pożegnanie z synem.

Kiedy Alice weszła do sali, tamta kobieta od razu wiedziała, jaki jest cel jej wizyty. Oczywiście niewiele wysiłku trzeba było, by domyślić się, dlaczego w samym środku drugiej wojny światowej przybita kobieta w średnim wieku przychodzi do medium. Można by się spodziewać, że medium okaże współczucie zrozpaczonej Alice i zaproponuje, że skontaktuje się z niedawno zmarłym synem. Jednak kobieta tego nie zrobiła. Powiedziała za to: „Nie musi się pani martwić, pani syn żyje, a opiekuje się nim starsza krewna...”.

Chociaż historia o moim dziadku jest dość niewinna, w wielu osobach takie opowieści o dziwnych i niewyjaśnionych zdarzeniach kojarzonych ze zjawiskami paranormalnymi lub nadprzyrodzonymi zawsze będą budzić szczególną, często mroczną fascynację. Lubimy nie tylko rozkoszować się tajemnicami; intrygujące są także pytania, do zadawania których stale pobudzają nas takie historie – pytania o naszą naturę i naturę wszechświata, a może nawet wszechświatów wokół nas. Pisząc tę książkę, zacząłem rozmyślać o tym, kiedy zaczęła się moja fascynacja takimi opowieściami. Niestety jako dziecko nie byłem mołem książkowym. Może wynikało to z lenistwa, może z braku wyobraźni, w każdym razie dla mnie drogą ucieczki była telewizja. Książki wydawały mi się nieprzyjemne i chłodne, milcząco stały w niekończących się rzędach, odwrócone do mnie grzbietami. W pewnym sensie czułem, że są nieprzystępne, że wymagają przewodnika albo tłumacza, jakiejś mapy, która wskaże mi drogę (albo odwagi, by po prostu zanurzyć się w ich świat). Z muzyką pod pewnymi względami było podobnie. W końcu znalazłem drogę do jednego i drugiego, telewizja jednak nie wydawała mi się tak wycofana. Nie wymagała ode mnie, bym ożywił to, co chce mi przekazać, albo instynktownie wyczuwał, czego mam szukać – już była ożywiona, czekała na mnie.

Każdy wiedział, że w ciągu dnia telewizja to sukub, śmiertelny pasożyt ocenzonej ramówki i dziwnego, nienaturalnie radosnego zachowania. Obecnie programy telewizyjne nadawane w ciągu dnia charakteryzuje hałas i krzykliwa jaskrawość hiperrealistycznego świata. W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, w czasach mojego dorostania, telewizja w porównaniu z dzisiejszą była pełna zaskakującej normalności – pastelowa, ze „zwykłymi” ludźmi, których kamery zmieniały w dziwnie sztucznych i przywodzących na myśl *Żony ze Stepford*. Gdy teraz o niej myślę, niemal przyprawia mnie o ciarki, ale dla dziecka była po prostu nudna. Można było oczywiście odnaleźć w niej odrobinę magii: sobotnie poranki z Cyrilem Sneerem i niekończącą się sagę *Lochów i smoków* (czy naprawdę widziałem odcinek, w którym bohaterowie w końcu wrócili do domu?). Po szkole były chrupki Skips, seriale *Grange Hill*, *Round the Twist* i *Knightmare*. I oczywiście *Sąsiedzi*, zawsze *Sąsiedzi*.

Ale gdy nadchodziła noc, dla dziecka – przynajmniej dla mnie – telewizja przechodziła metamorfozę. Zmieniała się w dzikie, nieposkromione zwierzę, w miejsce

o niewyobrażalnej topografii, w podziemną, niebezpieczną krainę. Ponieważ byłem rozpieszczonym dzieckiem, w którymś momencie przekonałem rodziców, by ustawili mi telewizor w pokoju – na pewno nałożyli przy tym zakaz przekraczania określonych godzin oglądania, ale ja nie zamierzałem go przestrzegać. Zatem w nocy, kiedy wszyscy w domu mocno spali, włączałem telewizor. Witał mnie dziwny, obcy świat, świat nieograniczonej niczym popkultury i obcych głosów, a jeśli miałem szczęście, program *Moviedrome*. Prowadził go porywający Alex Cox, a później Mark Cousins. W programie w BBC2 co tydzień pokazywano niezwykle kultowe filmy, dzięki którym poznałem coś, co wcześniej było mi zupełnie obce. *Moviedrome* zmienił wszystko.

Od tamtej pory często leżałem bezsennie w ciemności, gdy kształty i odgłosy wynurzały się zza szkła i wkradały do mojego pokoju – były to rzeczy, których nie potrafiłem zrozumieć, a zarazem zdawały mi się dziwnie znajome. Ale nie działało się ze mną to, co z bohaterami *Wideodromu* Cronenberga czy *Infinite Jest* Davida Fostera Wallace'a, nie byłem żywym trupem George'a Romero, niewolniczo przyssanym do ekranu. Byłem czynnym uczestnikiem. Jakby przebudziło się ze snu coś ukrytego w głębi, coś dawnego i pierwotnego, Wielki Przedwieczny. Wkrótce zrodziły się nawyki – bo właśnie w tej urodzajnej przestrzeni między snem a ekranem, gdy przed moimi oczami rozgrywały się moje sny (a może raczej śniłem później o tym, co widziałem?), apetyt na to, co mroczne, dziwne i niesamowite, zaczął we mnie rosnąć. A raczej się budzić.

Moviedrome był pierwszą bramą do świata horroru i science fiction, gatunków, w których się zakochałem. Filmy takie jak *Atak na posterunek 13*, *Solaris*, *Łowca*, *Mucha* i *Towarzystwo* rzuciły mnie na kolana. Te dziwne światy można też było odnaleźć gdzie indziej, ale ja jakoś odkryłem je wszystkie: *Łowca androidów*, *Odgłosy*, *Blue Velvet*, *Wysłannik piekieł*, *Oni żyją*, *Dzika planeta*, *Nie oglądaj się teraz...* Miałem poznać jeszcze wiele innych, największe wrażenie robiły na mnie jednak właśnie te mroczne i surrealistyczne. Zwłaszcza jeden z nich, ten wyświetlony po raz pierwszy w Wielkiej Brytanii o dziewiątej wieczorem 23 października 1990 roku, najgłębiej zapadł mi w pamięć. Dziwna, wykoślawiona opera mydlana, która wkrótce miała się stać serialem kultowym: *Twin Peaks*. Oczywiście z wiekiem i doświadczeniem poszerzyłem zainteresowania, zasmakowałem w niuansach

i subtelnościach. A jednak tak wiele spośród rzeczy, które dziś mnie fascynują, ma swoje źródło w tamtych filmach i programach. Z czasem odkryłem, rzecz jasna, że mają one własne ponadczasowe korzenie.

Jak wyjaśnia teoretyk kultury Mark Fisher, zainteresowanie tym, co dziwne i niesamowite, „wiąże się z fascynacją tym, co na zewnątrz, co znajduje się poza standardowym zakresem postrzegania, poznania i doświadczenia”[2]. Oczywiście może to dotyczyć zarówno tego, co zwyczajne, jak i tego, co fantastyczne, ale chyba najbardziej wyraża się w naszej fascynacji możliwością istnienia sił nadprzyrodzonych i paranormalnych lub bliską nam innością dystopijnego science fiction. Filmy, które oglądałem, były nie tylko genialnymi historiami, lecz także próbą odnalezienia odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Pod względem – z braku lepszych określeń – metafizycznym i duchowym źródła mojego zainteresowania tymi kwestiami to lęk przed śmiercią i kryzys egzystencjalny biorący się z poczucia, jak mało znaczę wobec wszechświata. Pociąga mnie malutki promyk nadziei, że gdzieś w tym wszystkim będzie coś, co przekona mnie, że nie muszę się obawiać wielkiej, nieskończonej otchłani. Z drugiej jednak strony – ponieważ w dzieciństwie wszystko to, co było trochę bardziej skomplikowane, przerastało mnie – często moje zainteresowanie nie wynikało z rozterek metafizycznych czy duchowych, ale raczej z lęku przed chłodną rzeczywistością materialną, czymkolwiek ona miałaby być.

Jako ateista i racjonalista zawsze interesowałem się ludzką wyobraźnią, mocą podświadomości i naturą rzeczywistości. Mam na myśli pewien prosty, namacalny fakt: świat, który widzimy przez wąskie okno naszych ograniczonych zmysłów, subiektywnych uwarunkowań społecznych oraz uprzedzeń, pod wieloma względami nie jest „prawdziwy”, stanowi jedynie naszą własną, niepowtarzalną jego interpretację. Właśnie ta myśl, której przyglądam się poprzez opowiadanie historii o tym, co tajemnicze i niewyjaśnione, najbardziej mnie porusza.

Ludzkie obawy przed rozbieżnością między światami, których doświadczamy, a prawdziwym obliczem świata nie są w żadnym wypadku nowe. Wystarczy spojrzeć na dzieła Parmenidesa czy bardziej znaną alegorię jaskini Platona, by przekonać się o starożytnej fascynacji tym ontologicznym dylematem. Niedawno jednak pojawiło się

mnóstwo książek naukowych i popularnonaukowych zajmujących się tymi kwestiami, począwszy od tytułów takich jak *Rzeczywistość nie jest tym, czym się wydaje* Carla Rovello i *Nasz matematyczny wszechświat. W poszukiwaniu prawdziwej natury rzeczywistości* Maxa Tegmarka, a skończywszy na niezwykle popularnych książkach zajmujących się nieintuicyjnym myśleniem, na przykład *Błysk!* Malcolma Gładwella czy *Freakonomia* Stevena Levitta i Stephena Dubnera. Wszystkie one odkrywają przed nami ukryte światy wykraczające poza to, co – jak nam się wydaje – znamy.

Można powiedzieć, że jesteśmy – na szczęście albo nieszczęście – dziećmi zasady nieoznaczoności Heisenberga i teorii postmodernistycznych, bo odkrywamy świat, w którym rzeczywistość zdaje się czymś skomplikowanym, co ciągle się zmienia, miejscem, gdzie nic nie jest pewne, nawet nieugięte prawa fizyki. Arogancją każdego pokolenia, jak mówi Max Tegmark, jest przekonanie, „że wszystko, o czym wiemy, to wszystko, co istnieje”[3]. A jednak raz za razem jesteśmy zmuszeni przyznać, że się myliliśmy. Zagłębując w coraz dalsze obszary kosmosu, dostrzegamy, że wszechświat stale się powiększa, a miejsce, które w nim dla siebie widzimy, kurczy się. Kiedyś uważaliśmy Ziemię za centrum Układu Słonecznego, planetę, wokół której krąży Słońce, a tak naprawdę wszechświat, w którym żyjemy, może nawet nie jest jedynym. W dodatku jeśli odrzucimy solipsystyczną perspektywę i dopuścimy możliwość, że gdzieś tam są też inne, równie inteligentne gatunki, które być może ewoluowały inaczej niż my i inaczej postrzegają wszechświat, nasuwa się pytanie: Czym tak naprawdę jest to, co postrzegamy? Nie chodzi o odrzucanie prawdy, umniejszanie nauki czy zaprzeczanie temu, co odkryliśmy, ale o zadumanie nad tym, czego jeszcze nie wiemy. Jak naiwny wyda się nasz sposób patrzenia na rzeczywistość komuś, kto będzie mu się przyglądał za pięć tysięcy lat? Albo za pięć miliardów lat? Bo jednego możemy być pewni: na pewno się on zmieni.

Zaledwie w ciągu mojego życia nasze zrozumienie pracy mózgu i mechanizmu działania genów osiągnęło taki poziom, że pojęcie wolnej woli może się okazać zupełnie zbędne; najwybitniejsi naukowcy zadają sobie pytanie, czy tradycyjnie rozumiany czas istnieje w jakiegokolwiek mierzalnej formie; opierając się na osobliwych twierdzeniach mechaniki kwantowej, zaczęliśmy rozważać możliwość istnienia nieskończonej liczby wszechświatów równoległych do naszego, co doprowadziło do

hipotezy, że wszystko, co mogłoby się wydarzyć, nie tylko się wydarzy, ale wręcz już się wydarzyło; zwierzęta, z którymi współdzielimy tę niezwykłą planetę, okazują się o wiele bardziej wyrafinowane i świadome, niż kiedyś przypuszczaliśmy, co nas ogromnie zawstydza. Tymczasem nasze życie stopniowo przenosi się w cyfrowy eter, przez co z czasem istnienie w formie fizycznej może się okazać zbędne (o ile jeszcze się tak nie stało w komputerowej symulacji, w której być może żyjemy!).

Nie dziwi zatem, że historie o tym, co dziwne, nadprzyrodzone lub paranormalne, tak nas pociągają – podają one w wątpliwość granice naszej wiedzy, świadomości i rzeczywistości. Historie rozgrywające się gdzieś pomiędzy tym, co uważamy za realne i nierealne. Takie opowieści zawsze, niezależnie od stopnia prawdziwości, w istotny sposób mówią o tym, co nas intryguje i przeraża, a przede wszystkim o tym, co nieznanne. Niewyjaśniona tajemnica tym się różni od klasycznej struktury hollywoodzkiego scenariusza, że pozostawia nas bez zakończenia, bez odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Właśnie ten element jest najbardziej uwodzicielski – jako gatunek, wbrew temu, co próbuje narzucić nam natura, mamy biologiczną skłonność do poszukiwania znaczenia. W 1994 roku psycholog społeczny Arie Kruglanski ukuł termin „domknięcie poznawcze”, które zdefiniował jako „pragnienie uzyskania przez jednostkę jednoznacznej odpowiedzi na pytanie oraz unikanie dwuznaczności”[4]. Nie przez przypadek w horrorach i thrillerach częstym motywem jest ciemność – symbol nieznanego.

Być może jest to niezręczne nawiązanie, ale mój dziadek, nawet gdy spadał z nieba w płonącym samolocie, przekonany, że umrze, z jakiegoś powodu jeszcze bardziej niż śmierci bał się bycia wessanym w nieznaną przestrzeń poza maszyną. W pewnym sensie słusznie boimy się ciemności, tego, co nieznanne. To podstawowa pierwotna reakcja niezbędna do przetrwania. W 2016 roku badacze z Uniwersytetu Browna w Stanach Zjednoczonych odkryli, że nawet kiedy śpimy, część naszego mózgu pozostaje wyczulona na potencjalne zagrożenia[5]. Ale mamy też ważny powód, by nie bać się ciemności. W swojej analizie archetypowej opowieści Christopher Vogler, opierając się na pracy mitologa Josepha Campbella, pisze o chwili, którą nazywa „wejściem do najgłębszej jaskini”. Być może fani *Gwiezdnych wojen* skojarzą ją ze sceną, w której Yoda mówi Luke’owi, że musi on dosłownie wejść do jaskini, by

stawić czoła swoim lękom. Ale – co ważne – to nie lęk przed „innym” go przeraża, ale raczej to, co jego lęk przed innym może ukazać o nim samym. Dopiero kiedy bohater, czyli ty, pogodzisz się z tym, zdołasz pokonać smoka i wyjść z tego cało.

Być może za wiele lat nadejdzie dzień, kiedy wszystkie niezliczone gwiazdy w naszym wszechświecie zgasną. Zanim to nastąpi, wszechświat będzie się wciąż rozszerzał i w końcu nawet światło z najbliższych galaktyk nie będzie już widoczne z Ziemi, a blask każdej z gwiazd wokół zacznie kolejno zanikać. Taka ciemność naprawdę mnie przeraża – ciemność, z której nie ma powrotu. Ludzie często mówią, że żyjemy w niepewnych czasach, ale one zawsze były niepewne. Właściwie zawsze zmierzamy ku nieznanemu, nie mając pojęcia, dokąd dojdziemy, co naprawdę wiemy ani nawet w jakim stopniu jesteśmy w stanie cokolwiek poznać. Dlatego tak ważne jest – i zawsze było – byśmy nie cofali się przed ciemnością nieznanego, ale zaakceptowali ją, póki jeszcze mamy światło, do którego możemy wrócić.

Zatem cóż pozwoli nam ją najlepiej poznać, jeśli nie niewyjaśnione tajemnice – historie o dziwnych i nieprawdopodobnych wydarzeniach, które podają w wątpliwość podstawy tego, w co wierzymy, stale wymykające się ludzkiej potrzebie rozumienia i racjonalizacji? Na kolejnych stronach zebrałem kilka swoich ulubionych mrocznych, dziwnych i budzących lęk niewyjaśnionych tajemnic, które pobudzą nasze umysły. A więc nie przedłużając, wyruszmy w nieznanne...

[1] A. Smith, I. Smith, *Mosquito Pathfinder. A Navigator's 90 WWII Bomber Operations*, Manchester 2011.

[2] M. Fisher, *The Weird and the Eerie*, London 2016, s. 8.

[3] M. Tegmark, *The Multiverse & You (& You & You & You)*, transkrypt podcastu, 20 kwietnia 2016, *Waking Up Podcast*, www.samharris.org/blog/item/the-multiverse-you-you-you-you (dostęp: 8.03.2019).

[4] A. Kruglanski, D. Webster, *Motivated Closing of the Mind. "Seizing" and "Freezing"*, „Psychological Review” 1996, R. 103, nr 2, s. 264.

[5] T. Watanabe, M. Tamaki, J. Won Bang, Y. Sasaki, *Night Watch in One Brain Hemisphere during Sleep Associated with the First-Night Effect in Humans*, „Current Biology” 2016, R. 26, nr 9, s. 1190–1194.

Rozdział pierwszy

ZMARTWYCHWSTAŁE SNY

Ona sama jest nawiedzonym domem. Nie należy do siebie, jej przodkowie przychodzą czasem i wyglądają oknami jej oczu, i to jest przerażające.

Angela Carter, *Pani domu miłości*,
tłum. Aleksandra Ambros

Można by przekonywać, że nasza zdolność pojmowania własnej śmierci oraz lęk, jaki ta śmierć w nas budzi, są właśnie tym, dzięki czemu osiągnęliśmy – jak nam się wydaje – świadomość i samoświadomość; że tylko rozumienie życia jako przeciwieństwa śmierci pozwala nam wykształcić tożsamość. Można powiedzieć, że śmierć jest ostateczną ceną za samoświadomość. Chociaż bardzo wielu ludzi wierzy w życie pozagrobowe w takiej czy innej formie^[1], to myśl o śmierci jako ostatecznym końcu nas samych oraz ludzi, których kochamy, pozostaje jednym z największych lęków. Wystarczy zobaczyć, z jaką zaciekłością ludzie instynktownie walczą o przetrwanie, by zrozumieć, jak wielką moc może mieć taki lęk. Ten instynkt wpisany trwale w podwzgórze – część naszego mózgu – sugeruje, przynajmniej z perspektywy biologicznej, że choć możemy mieć nadzieję na coś, co czeka nas po śmierci, nasze ciała nie chcą pozwolić nam się przekonać, co to dokładnie jest.

Jak powiedział Ernest Hemingway, wszystkie historie ostatecznie „kończą się śmiercią”^[2]. Co zatem z historiami, które ciągną się jeszcze dalej?

Zgodnie z pierwszą zasadą termodynamiki suma energii w układzie zamkniętym jest stała; nie da się jej ani zniszczyć, ani wytworzyć, może jedynie zmienić jej formę. Jeśli wszechświat jest układem zamkniętym, w co wierzy wielu naukowców, nie ma wielu kontrowersji odnośnie do tego, co dzieje się z materią ciała po śmierci – jego

elementy stopniowo się rozkładają, zyskują nowe przeznaczenie i stają się częścią czegoś innego, a przy tym wszystkim wartość całkowitej energii we wszechświecie nawet nie drgnie. Może zatem materialista zadowoli się twierdzeniem, że w taki czy inny sposób istniejemy dalej na długo po tym, jak rozkładają się nasze ciała. Jednak odpowiedź na pytanie, dokąd odchodzimy „my” – co oznacza tutaj nieco bardziej abstrakcyjną i niematerialną wersję tożsamości – okazuje się o wiele trudniejsza. To coś nieznanego, każącego wątpić w samą naturę świadomości, coś, czemu przyglądamy się poprzez opowieści powtarzane we wszystkich społecznościach i kulturach, od początku znanej historii.

Gdybyś był starożytnym Grekiem, to – pod warunkiem że zostałbyś pochowany – po śmierci twoja dusza oddzieliłaby się od ciała, a Hades poprowadziłby ją ku wejściu do Podziemia. Stamtąd twoją duszę, która przybrałaby formę twojego „ja” ze „świata żywych”, przewiózłby Charon przez rzekę Acheront, a pod czujnym okiem Cerbera, „trzygłowego psa Hadesa”^[3], sędziowie Podziemia zadecydowałiby o twoim losie. Na szlachetnych, bohaterów i półbogów czekały złote Pola Elizejskie, a nieszczęśnicy, których zasługi uznano za niewystarczające, mieli trafić do ponurej ciemności otchłani Tartaru.

Starożytni Egipcjanie w licznych tradycjach przedstawiali różne wizje życia pozagrobowego. Najbardziej znaną można znaleźć w egipskiej *Księdze umarłych*, która szczegółowo przedstawia przerażającą i skomplikowaną podróż do Duatu, egipskiego świata podziemnego. Jeśli dusza zdołała przetrwać zdraдлиwe wyzwanie ścigana przez straszliwe i groteskowe istoty, docierała do Sali Dwóch Prawd, gdzie miał ją osądzić Ozyrys, bóg śmierci. Jeśli zostałbyś uznany za kogoś, kto wiódł wystarczająco szlachetne życie, twoje serce zabrałby Anubis, bóg mumifikacji. Następnie położono by je na szali, a na drugiej umieszczono by białe strusie pióro prawdy, symbol bogini Maat. Jeśli serce miałoby ten sam ciężar co pióro lub było lżejsze, dusza miała zyskać dostęp do trzcinowych pól Jaru, rajskiej i płodnej krainy, gdzie znowu przybierając formę swojego „żyjącego” ciała, pozostałaby na wieczność. Serce cięższe od pióra prawdy miało być odrzucone i natychmiast pochłonięte przez boginię-pożeraczkę umarłych Ammit – skazywało to duszę na wieczny niepokój^[4].

We współczesnych kulturach, w których silny jest wpływ religii Abrahamowych,

takich jak islam, judaizm i chrześcijaństwo, opowieści o życiu pozagrobowym wyglądają podobnie – przedstawiają jakąś wersję dalszego istnienia spójnego z naszą tożsamością za życia. Podobnie jak u starożytnych Greków i Egipcjan życie okazuje się sprawdzianem moralnym, nasz los zależy od naszych czynów, a czekająca na nas alternatywa to zawsze jakaś forma nieba i piekła.

Wyznawcy takich religii jak hinduizm, sikhizm czy buddyzm, a także wielu innych wierzą, że nasze życie jest tylko jedną chwilą w sansarze – powtarzającym się cyklu narodzin, życia i śmierci, znanym też jako reinkarnacja. Eschatologia religii uznających sansarę przypomina inne wyznania pod tym względem, że w nich także wierzy się w karmiczny proces, w którym życie, jakie wiemy, decyduje o naszym losie po śmierci, a także uznaje się dualistyczne rozdzielenie duszy i ciała. Podstawową różnicą jest całkowite odrzucenie koncepcji jednorodnego ciała. Przeciwnie, zgodnie z sansarą dusza – nasza prawdziwa esencja – to jedyny stały element, zamieszkiwane przez nią ciało może zaś przybierać nieskończenie różne formy, bo nieustannie odradza się w świecie materialnym. Wyzwolić się z tego wiecznego cyklu mogą tylko te dusze, które potrafią osiągnąć tak transcendentne oświecenie, że uwalniają się zupełnie od ograniczeń świadomości i rozplývają w wielkiej jedności wszystkiego, co istnieje.

Buddyjskie nauki o sansarze sugerują, że taki proces mógłby pozwolić na przypomnienie sobie poprzednich wcieleń, ponieważ wszystkie one są uważane za różne doświadczenia tej samej duszy. Niektórzy wierzą, że to doznanie, znane jako jatismara – choć zwykle mówi się o nim w odniesieniu do wielkich świętych buddyjskich – można osiągnąć poprzez regresję do poprzednich wcieleń, czyli wykorzystanie hipnozy do wydobycia takich wspomnień. Choć było ono powszechne w starożytnych Indiach, dopiero pod koniec XIX wieku dzięki naukom Heleny Bławatskiej i powstałego w 1875 roku Towarzystwa Teozoficznego, którego była współzałożycielką, pomysł ten zyskał popularność we współczesnym społeczeństwie europejskim. Dzięki znanym relacjom, na przykład opowieści Virginii Tighe, gospodyni domowej z Wisconsin, która twierdziła, że w XIX wieku była Irlandką i nazywała się Bridey Murphy, kontrowersyjne zjawisko stało się powszechnie znane. Wiele takich relacji uznano później za zwykłe przypadki fałszywych wspomnień – przypomnienie nazwisk lub miejsc, które zostały podświadomie przyswojone. Istnieje

jednak kilka przypadków, których obalenie nie było takie proste i które nie mają nic wspólnego z regresją poprzez hipnozę.

W 2015 roku chłopiec imieniem Ryan z miasta Muskogee w Oklahomie, wówczas dziesięcioletek, trafił na pierwsze strony gazet, ponieważ twierdził, że „pamięta” życie człowieka, który zmarł przed pięćdziesięciu laty. Zaczęło się to od koszmarów, które pojawiły się, gdy chłopczyk miał cztery lata. Ryan budził się, krzycząc, że wybucha mu pierś. Niedługo potem zaczęło mu się śnić życie spędzone w Hollywood, gdzie pracował w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku, odbyta podróż do Paryża, to, że miał siostrę i mieszkał kiedyś przy ulicy, która miała w nazwie słowo „Rock”, a także – co bardzo dziwne – że miał pięć żon. Ryan tak bardzo się upierał, iż jego matka, nie do końca wiedząc, co z tym zrobić, wypożyczyła książki o złotej erze Hollywoodu, przyniosła je do domu i dała synowi. Przeglądając jedną z nich, chłopak zawołał: „To George!” i wskazał na kadr z filmu *Night after Night* z 1932 roku. „A to jestem ja” – dodał, wskazując na innego mężczyznę w tle^[5].

Rodzice, coraz bardziej zaniepokojeni opowieściami Ryana, poprosili o pomoc psychologa dziecięcego, doktora Jima Tuckera z Uniwersytetu Wirginii, którego Wydział Studiów Percepcyjnych (Division of Perceptual Studies) specjalizuje się w badaniu przypadków wyglądających na reinkarnację. Z pomocą doktora Tuckera zidentyfikowano człowieka wskazanego na zdjęciu przez Ryana – był to Marty Martyn, który wystąpił w tym filmie jako statysta. Niezwykle było to, że drugi mężczyzna wskazany przez Ryana rzeczywiście miał na imię George – był nim aktor George Raft. Nazwisko żadnego z nich nie pojawiało się pod zdjęciem w książce. Później odkryto, że Marty Martyn rzeczywiście miał siostrę, był w Paryżu oraz, co niewiarygodne, miał pięć żon. Dowiedziano się też, że mieszkał przy ulicy Roxbury Drive. Ale skąd wrażenie wybuchającego serca, które przerażało czteroletniego Ryana? Niektórzy twierdzili, że miało to związek z atakiem serca, który zabił Martyna, gdy ten miał sześćdziesiąt jeden lat. Przynajmniej Ryan twierdził, że w takim wieku był Martyn w chwili śmierci – jednak na znalezionym przez doktora Tuckera akcie zgonu podano inny wiek zmarłego: pięćdziesiąt dziewięć lat. Dopiero jakiś czas później doktor Tucker znalazł nazwisko Marty’ego Martyna w starym spisie ludności i z zaskoczeniem odkrył, że w akcie zgonu wskazano błędną, o dwa lata późniejszą datę

narodzin Marty'ego. Zatem najprawdopodobniej w chwili śmierci mężczyzna rzeczywiście miał sześćdziesiąt jeden lat.

Wydział Studiów Percepcyjnych Uniwersytetu Wirginii został założony w 1967 roku przez doktora psychiatrii Iana Stevensona. Zanim Stevenson przeszedł na emeryturę w 2002 roku, zarejestrował ponad 2500 przypadków wyglądających na reinkarnację o różnym stopniu wiarygodności.

Jeden z nich dotyczył młodego chłopaka z Middlesbrough w Anglii, którego historię Stevenson poznał, czytając artykuł opublikowany w 1983 roku, w którym szczegółowo opisano niezwykle twierdzenia chłopca. Historia ta okazała się jedną z najbardziej fascynujących, na jakie trafił doktor Stevenson.

Pewnego mroźnego popołudnia 15 stycznia 1942 roku, gdy zaczął zapadać zmrok, kapitan węglowca SS Empire Bay E.S. Parks patrzył z mostka na statku, jak gasną wszystkie światła na Wyspach Brytyjskich. Niebo migotało oleiście, ciepłe plamy różu przelewały się na atramentowy granat, gdy ostatnie promienie słońca chowały się za horyzontem. O godzinie 17.00 silnik zabulgotał i zakaszłał, a potem przebudził się do życia, wypychając statek z portu w Hartlepool i wypluwając w powietrze gęste, czarne smugi dymu. Statek ładunkowy zmierzający w kierunku Londynu wypełniony był 3800 tonami węgla i pracowała na nim trzydziestoosobowa załoga. Takie podróże należały do najbardziej zdradliwych dla marynarki handlowej. Wieziono paliwo do stolicy, by wspomóc Wielką Brytanię w działaniach wojennych. Trzymali się blisko brzegu i płynęli małymi konwojami w nadziei, że niewielka liczebność i osłona nocy uchronią ich przed niebezpieczeństwem z góry.

Zaraz po 17.15 węglowiec Empire zrównał się ze statkiem SS Corsea, a kapitan Parks wydał rozkaz rzucenia kotwicy. Czekali, aż dogoni ich ostatnia jednostka w konwoju. Załoganci otulili się ciasniej marynarskimi kurtkami, wciągając dym z papierosów Woodbine, gdy statek łagodnie kołysał się i skrzypiał, poruszany falami, a oczy wszystkich nerwowo wpatrzyły się w niebo.

Zaraz po 17.30 powtarzające się wycie syreny ostrzegawczej słychać w ciemności gdzieś od strony Hartlepool.

– Na pozycje! – krzyczy Parks.

Żarzące się papierosy znikają za burtą, marynarze pospiesznie naciągają czapki na głowy i ruszają na miejsca. Wzdłuż brzegu unoszą się wydęte balony zaporowe mające utrudniać samolotom obniżenie lotu, a mężczyźni nadal przeczesują wzrokiem niebo, wyciągając szyje i rozpaczliwie, obsesyjnie szukając zbliżających się maszyn. Ochmistrz John Cavanagh siedzi za podwójnym karabinem maszynowym Lewis na mostku od strony bakburty, wpatrując się w kapitana Parksa i czekając na jego sygnał, aż w końcu słyszy przerażający charakterystyczny pomruk zbliżającego się samolotu.

– Tam! – Cavanagh odwraca się gwałtownie, zmrużonymi oczami wpatrując się w odległy mrok i rozpaczliwie usiłując przyzwyczać wzrok do ciemności. Chmury i plamki w polu widzenia kreślą na niebie kształty, które zaraz znikają w nicości, aż w końcu materializuje się coś stałego – jakieś dwadzieścia kilometrów za bakburtą widać rząd małych kropek stopniowo powiększających się w miarę narastania huku silników. Wkrótce kropki stają się dłuższe i cieńsze, wyrastają im skrzydła i ogony. Cavanagh mocno chwyta karabin i ustawia samoloty na celownikach. Wtedy jeden z nich nagle oddziela się od grupy, a huk jego silnika ustępuje przeszywającemu piskowi, gdy zaczyna spadać z chmur. Cavanagh przez chwilę ma nadzieję, że może zniknie w wodzie, ale widzi, jak w ostatniej chwili zmienia kierunek i leci dalej przed siebie, prosto na nich.

– Wstrzymać ogień! – krzyczy Parks.

Palce Cavanagha zawisają nad spustami, kiedy samolot, teraz odległy o niecałe pięć kilometrów, obniża lot.

– Wstrzymać!

Dwa kilometry...

– Wstrzymać!

Jeden kilometr...

– Ognia!

Cavanagh naciska spusty i wystrzela grzmiącą serię, gdy samolot huczy nad jego głową, skręcając gwałtownie w stronę rufy, a potem zawracając i zmierzając w kierunku Corsei. Ochmistrz z przerażeniem patrzy, jak samolot dociera do drugiego

okrętu i skręca w ostatniej chwili, wypuszczając jedną bombę, która litościwie omija statek i wpada prosto do morza. Parę chwil później załoga łapie oddech, gdy samolot unosi się wyżej i odlatuje, zmierzając ku rzece Tees. Ogarnia ich dziwny spokój, gdy zdaje się, że już po wszystkim. Ale potem znów rozlega się ten odgłos.

– Na bakburcie! – woła kapitan Parks.

Cavanagh odwraca broń z powrotem i znowu go widzi: samolot opada z nieba i zmierza prosto na SS Empire Bay. Ochmistrz usiłuje zignorować drżenie palców i po raz kolejny nieruchomieje za celownikami.

– Wstrzymać ogień!

Nadlatuje znowu, jest coraz bliżej i bliżej, aż w końcu zbliża się tak bardzo, że Cavanagh mógłby przysiąc, że widzi oczy pilota.

– Ognia!

Rakieta PAC wystrzela z mostka z głośnym zgrzytem, gdy Cavanagh wypuszcza kolejną serię tłukącą w spód skrzydła. Samolot unosi się i zdaje się przelatywać zaledwie parę centymetrów nad kominem statku. Cavanagh robi zwrot i jeszcze udaje mu się zobaczyć, jak maszyna znów gwałtownie skręca w lewo – tym razem spuszcza spod skrzydeł pięć bomb. Przez chwilę zdają się trwać zawieszony niczym miękkie grudki ziemi, a potem brutalnie przedzierają się przez powietrze. Cavanagh wzdycha z ulgą, gdy widzi, jak cztery z nich znikają w wodzie za bakburką.

Ale było ich pięć.

Potężna eksplozja rozbrzmiewa od strony sterburty, a statek unosi się nad wodą. Płomienie i fontanny równocześnie bryzgają w górę. Cavanagh pada na podłogę, w uszach dzwoni mu od chaosu, gdy łódź znów uderza o powierzchnię wody. Kiedy w końcu odzyskuje orientację, wydaje się, że statek się trzyma, a w przestrzeni nad głową marynarz ledwie dostrzega ocieężały zarys samolotu, który zmierza ku ujściu Tees, zostawiając za sobą smugę gęstego, ciemnego dymu.

Trzydzieści kilometrów w głąb lądu, na peryferiach Billingham odebrano telefon informujący o wrogim samolocie dostrzeżonym na wybrzeżu koło Hartlepool. Starszy szeregowy lotnictwa Walter Myers i jego załoga ruszają na pozycje i zaczynają gorączkowo pompować wodór do balonów obronnych. Gdy kończą, cofają się i patrzą

razem, jak Annie, ostatni z nich, powoli unosi się ku niebu. Jej wiotki ogon trzepocze na wietrze jak gdyby nigdy nic.

– No dalej, musimy go podnieść, bo będzie za późno!

Ręce na kołowrocie obracają się coraz szybciej, odwijając kabel, aż w końcu balon z cichym szcękaniem blokuje się na swoim miejscu. Nagły powiew wiatru porywa ogon i Annie ukazuje się w całym swoim krągłym majestacie. Mężczyźni wracają do baraku i zanim mają czas, by się rozsiaść, dobiega ich coraz bliższy złowrogi pomruk krztuszącego się silnika. Myers zauważa go pierwszy – samolot leci o wiele za nisko, a za nim ciągną się potężne chmury czarnego dymu. Pomruk zmienia się w potworne piskliwe wycie, gdy samolot nagle przechyla się na prawo i zmierza prosto na barak.

– Będzie w nas strzelał z maszynówki!

– Nie, popatrz! Kabel!

Samolot zdaje się dosłownie rozdzierać powietrze, gdy przelatuje z wyciem, a mężczyźni rozbiegają się w poszukiwaniu schronienia. Przerażający trzask, ciężarówka z kołowrotem podskakuje nad ziemią, a potem znowu opada z kłopotem. Kabel przeciął prawe skrzydło, popychając je w przeciwnym kierunku. Odrzucona gwałtownie na bok reszta samolotu odlatuje w stronę portu w Middlesbrough, po czym w kuli ognia zwała się na ziemię na południe od Tees.

Członek straży przeciwlotniczej obserwuje te dramatyczne zdarzenia ze swojego ogródka, śledząc samolot, aż ten znika parę metrów od jego domu i spada na tory kolejowe za stalownią Dorman Long na końcu Clay Lane. Mężczyzna czym prędzej biegnie w tamtą stronę i gdy tylko dociera na miejsce, musi paść na ziemię – amunicja maszyny eksploduje we wszystkich kierunkach. Kiedy strzelanie ustaje, płomienie są już zbyt potężne, by można było podjąć próbę uratowania uwięzionych w nim mężczyzn. Dopiero po półgodzinie strażakom udaje się ugasić piekielny pożar.

Tymczasem trzydzieści kilometrów dalej, na wybrzeżu, uratowani co do jednego załoganci SS Empire Bay patrzą stłoczeni na łodziach ratunkowych, jak dziób statku unosi się ku górze, a potem powoli znika pod falami.

Pierwsze światło nad Teesside odsłoniło monochromatyczny krajobraz zakładów przemysłowych i pustkowi, który niewiele się zmienił po wieczornym dramacie,

pomijając tłącą się stertę metalu, trzydzieści metrów zmiażdżonych torów kolejowych i wielką dziurę w ziemi mającą mniej więcej trzy metry głębokości oraz trzy i pół metra szerokości. W oddali leżały przyprószone śniegiem góry żużlu i węgla, a kominy stalowni Dorman Long wypuszczały w poranne powietrze białe chmury. W miejscu, gdzie rozbił się samolot, ratownicy obserwowani czujnie przez dwóch mężczyzn otulonych grubymi wełnianymi płaszczami wyciągnęli z wraku trzy zwęglone ciała. Zwłoki czwartego lotnika przypuszczalnie obróciły się w pył i uleciały w niebo wraz z dymem. Mężczyzn czuwających nad tą ponurą sceną wysłał brytyjski wywiad, aby uzyskali z niemieckiego bombowca wszelkie możliwe informacje. Ale ponieważ nie było tam nic szczególnie ciekawego, a władze chciały jak najszybciej odbudować tory, funkcjonariusze ustalili, że tego ranka zakończą poszukiwania. W ciągu kilku dni resztki samolotu zostały pogrzebane pod górą ziemi, a tory – naprawione, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Trzy ciała należące – jak wskazały nieśmiertelniki – do sierżanta Joachima Lehnisa, porucznika Rudolfa Materna i sierżanta sztabowego Heinricha Richtera zostały zabrane na niedaleki cmentarz w Thornaby-on-Tees i złożone do grobów.

Na początku XIX wieku Middlesbrough to zaledwie farma leżąca u brzegu rzeki Tees na północnym wschodzie Anglii. Zamieszkuje ją około dwudziestu pięciu osób. Zbliża się jednak fala zmian, która wkrótce sprawi, że ten bukoliczny zakątek stanie się jednym z najważniejszych ośrodków przemysłowych kraju. Gdy duch oświecenia zaczyna przenikać brytyjskie społeczeństwo na wszelkie sposoby i następuje nagła zbieżność wizji ze środkami produkcji[6], uruchomiony zostaje nieodwracalny proces. Wśród buchającej pary, ognia i dymu z wnętrza ziemi wynurza się brytyjska rewolucja przemysłowa – okres niezwykłych zmian fizycznych i filozoficznych budowanych na ambicjach i chciwości, wydzieranych z ziemi i wytapianych w fabrykach przez mężczyzn, kobiety i dzieci, za cenę ich krwi i potu. Wkrótce w całym kraju, wszędzie tam, gdzie jest w bród surowców, wyrastają potężne przemysłowe kotły.

Na początku lat dwudziestych XIX wieku pionier kolejnictwa Joseph Pease zerka na rzekę Tees i patrzy, jak meandruje w stronę Morza Północnego. Nie widzi w jej spokojnych wodach ukojenia, ale raczej bramę na świat. Pease kupi farmę

w Middlesbrough w 1829 roku i zanim przyjdzie rok 1850, sprowadzi do okolicy składy węgla i kolej, przemieniając spokojną osadę w gwarne miasteczko zamieszkiwane przez ponad siedem tysięcy osób. Dwadzieścia lat po odkryciu w niedalekim Eston w Cleveland Hills rudy żelaza Middlesbrough szybko staje się jednym z największych producentów stali na świecie i do końca wieku jego populacja wzrasta do 90 tysięcy. Miasteczko – znane powszechnie jako Ironopolis – wytwarza jedną trzecią żelaza w kraju. Nie mija dużo czasu, a wraz z ekspansją imperium brytyjskiego stal z Eston „niczym silny, niepokonany wąż owija swym ogonem kulę ziemską”[7]. W latach dwudziestych XX wieku Arthur Dorman oraz Albert de Lande Long, właściciele Dorman Long, kupują hutę żelaza w Teesside, a w 1932 roku nadzorują wykonanie swojej najsłynniejszej budowli – Sydney Harbour Bridge.

Ale w ciągu pięćdziesięciu lat wiele może się zmienić. Zmniejszony popyt na stal oraz coraz większa konkurencja na rynku globalnym sprawiły, że główne gałęzie przemysłu w Middlesbrough zaczęły kuleć. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku miasteczko znane kiedyś jako „mały Herkules” z trudem broniło się przed upadkiem. Szczególnie chaotyczny był rok 1972 – nastąpiły w nim strajki i patowe sytuacje pomiędzy konserwatywnym rządem chcącym utrzymać nieznaczący dochód, na który jeszcze była szansa, a związkami robotniczymi, które pragnęły bronić interesów ludności dźwigającej ten dochód na własnych barkach.

W całym Middlesbrough i w wielu innych podupadających miastach przemysłowych w regionie Midlands i na północy Anglii wielu ludzi straciło pracę, gdy firmy próbowały ograniczyć koszty, licząc na to, że uda im się utrzymać nierealistyczne już teraz marże. Nieudolne działania rządu mające na celu walkę z rosnącym bezrobociem w końcu poskutkowały tym, że po raz pierwszy od lat trzydziestych XX wieku ponad milion osób zostało bez pracy.

Właśnie w tym burzliwym okresie, w piątek 28 grudnia 1972 roku, rodzi się Carl Edon.

Od chwili gdy przychodzi na świat, jego matka Val czuje, że chłopiec jest trochę inny. Na początku zauważa różnice fizyczne: brat i siostra Carla mają ciemne włosy i brązowe oczy, Carl zaś ma oczy niebieskie, a włosy jasnorude. Skóra starszego rodzeństwa ma też nieco ciemniejszy odcień i jest podatna na opalanie, natomiast Carl

ma jasną, bladą karnację. Ale jest coś jeszcze – wrażenie, że dziecko nie potrafi się rozluźnić. Pewnej nocy, niedługo po drugich urodzinach Carla, Val budzi krzyk dochodzący z drugiego końca domu. Kobieta biegnie do pokoju syna i widzi, że chłopiec siedzi zapłakany w łóżku. Malec stara się skłecić zdanie, lecz Val rozumie tylko coś o spadaniu z nieba i o tym, że z jego ciała zabrano nogę; w końcu udaje jej się go uspokoić. Opanowany Carl wyjaśnia sen bardziej szczegółowo. Mówi, że leciał przez niebo w jakimś samolocie. Samolot się palił, a on nie mógł się wydostać, a kiedy w końcu się rozbił, czuł się tak, jakby zabrano mu nogę. Val przytula łkającego syna i pociera jego nogę, by mu pokazać, że wcale jej nie stracił, zapewnia, że to był tylko sen i że nie ma się czym martwić.

Pomimo tych zapewnień Val i Jim, ojciec Carla, mimo woli niepokoją się dziwnym koszmarem syna i zastanawiają się, jak to możliwe, że dwulatek był w stanie opowiedzieć go w tak żywych, potwornych szczegółach. Rodzina szybko jednak zapomina o nietypowych wizjach Carla – giną one w gwarze pełnego życia domu rodzinnego, aż parę miesięcy później któregoś ranka Val widzi, jak Carl bawi się sam zabawkowym samolotem.

Chłopiec zauważa matkę i podnosi wzrok, żeby się z nią przywitać.

– Umarłem kiedyś – mówi. – Mój samolot wpadł w okno i się rozbił.

Val wpatruje się w chłopca zaskoczona, nie wiedząc, co powiedzieć, aż w końcu prosi, by zapomniał o śnie.

– Ale to nie był sen – odpowiada dziecko, wracając do zabawy samolotem. – To się naprawdę zdarzyło.

Mijają miesiące, a Val i Jim z zaskoczeniem odkrywają, że chłopiec nie tylko nie zapomniał o dziwnej wizji, ale zaczyna „przypominać” sobie coraz więcej.

– Wysiadł jeden z naszych silników – mówi – a kiedy się rozbiliśmy, otworzyłem luk i próbowałem się wydostać, ale nie miałem nóg i wykrwawiłem się na śmierć.

Chociaż Jim i Val wcale nie mają ochoty pozwalać synowi na to, by ciągnął tę dziwną fantazję, przeżywają kolejny szok, gdy Carl nabiera przekonania, że w czasie wojny był niemieckim pilotem i rozbił się podczas bombardowania nad Anglią. Pewnego wieczoru Val zaczyna inaczej postrzegać znanie Carla tuż pod

pachwiną na prawej nodze. Przypomniawszy sobie, co powiedział jej o utracie nogi we śnie, pyta go znowu, która to była noga. Chłopiec odpowiada, że prawa.

Przez całe wczesne dzieciństwo Carla matka często widywała go skupionego nad łamigłówką polegającą na łączeniu kropek albo bazgrzącego po kolorowankach. Wkrótce zaczął rysować własne kształty i wzory.

Któregoś ranka Val zauważa, że chłopiec od jakiegoś czasu pracuje nad jednym rysunkiem. Gdy pyta, czy może zerknąć, Carl odchyła się z uśmiechem, a matka przysuwa kartkę do siebie. Jest zadziwiona starannością rysunku – nie wygląda to jak bazgroły, których można by się spodziewać po pięciolatku – a jednak nie do końca rozumie, co on przedstawia. Carl spokojnie wyjaśnia, że to jego odznaki wojskowe, po czym wskazuje jej każdą z osobna. Jest odznaka z ptakiem, którego Carl opisuje jako orła z rozłożonymi na boki skrzydłami. Ale zanim wyjaśnia kolejny symbol, do Val nagle dociera, co to takiego. Swastyka.

Chyba jeszcze bardziej niezwykły jest rysunek znaleziony przez Jima w sypialni syna zaraz po jego szóstych urodzinach. Ten też wygląda dziwnie z daleka i dopiero, kiedy ojciec go odwraca, rozumie, co to jest – to kokpit samolotu razem ze wszystkimi wskaźnikami i elementami, nawet dźwigniami. Jim pyta Carla, czy to on narysował. Chłopiec odpowiada, że tak, a potem wskazuje na czerwony pedał, który naszkicował na dole, i mówi, że był używany do zrzucania bomb. Następnie spokojnie wyjaśnia, że obrazek przedstawia bombowiec Messerschmitt 101, taki sam jak ten, którym latał w czasie wojny.

Pomimo coraz bardziej szczegółowych „wspomnień” Carla jego ojciec nie daje się przekonać. Chłopak najwyraźniej w coś się bawi – Jim wie przecież, że messerschmitt był samolotem myśliwskim, a nie bombowcem. Razem z Val postanawiają, że sprawdzą jeszcze syna.

– Jaki mundur nosiłeś? – pytają.

Carl odpowiada bez wahania:

– Szare spodnie włożone w skórzane buty do kolan i czarną kurtkę.

Parę dni później Jim jedzie do okolicznej biblioteki z rysunkami Carla pod pachą. Gdy zostaje skierowany do sekcji historycznej, wypożycza wszystkie książki

o niemieckim lotnictwie z czasów drugiej wojny światowej, jakie udaje mu się znaleźć. Parę chwil później siedzi nad rozłożonymi książkami, w kompletnym szoku.

To wszystko tam jest. Wszystko – od rysunku kokpitu przez odznaki po opis munduru – wszystko wygląda dokładnie tak, jak opisał to Carl, nawet samolot. Jednak istniał bombowiec Messerschmitt. Miał numer 110, ale być może Jim po prostu się przesłyszał.

Parę dni później rodzina ogląda film wojenny, kiedy na ekranie pojawia się postać niemieckiego sierżanta.

– Mundur jest źle – mówi nagle Carl. – Ma odznakę nie z tej strony, co trzeba.

Następnego dnia Jim wraca do biblioteki i oczywiście okazuje się, że syn miał rację.

Gdy Carl dorasta, wydaje się, że coraz bardziej wierzy w swoje poprzednie wcielenie. Oczywiście są też inne elementy jego osobowości, należące tylko do niego, interesuje go wiele rzeczy, które lubią dzieci w jego wieku: piłki do skakania, klub piłkarski Middlesbrough, kreskówki. Ale oprócz tego są dziwactwa, które trochę zaskakują Val. Czasem to drobiazgi, to, że Carl jak na tak małe dziecko szczególną wagę przykładają do swoich ubrań – na przykład chce, by kołnierzyki zawsze były sztywne. Innym razem chodzi o coś zupełnie innego. Kiedy chłopiec ma mniej więcej siedem lat, a na obiad przychodzi jego kolega Michael, Carl zaczyna opowiadać historię o tym, że już raz umarł w czasie drugiej wojny światowej. Val czuje się coraz bardziej niezręcznie, gdy jej syn opisuje, jak wykrwawił się na śmierć, a potem wyraża przypuszczenie, że umrze przed dwudziestym piątym rokiem życia. Na koniec opisuje człowieka o nazwisku Adolf Hitler, po czym wstaje od stołu i zaczyna maszerować po kuchni. Michael bez przerwy się śmieje i w końcu Val cicho przypomina chłopcom, żeby dokończyli obiad.

Ponieważ Carl wciąż jest przekonany o swoim niezwykłym poprzednim życiu, zaczyna ono mieć wpływ na jego naukę w szkole. Podczas wywiadówki nauczycielka pyta Valerie i Jima, czy w domu wszystko w porządku.

– Skąd to pytanie? – odzywa się Val.

Nauczycielka wyjaśnia, że zauważyła rozkojarzenie Carla w trakcie lekcji.

– Carl tak dziwnie patrzy – mówi. – Kiedy cokolwiek do niego mówię, mam wrażenie, że spogląda przeze mnie[8].

Carl ma też dziwny zwyczaj odpowiadania na pytania, choć nie rozumie do końca, skąd przyszła mu do głowy odpowiedź. Kiedy nauczycielka prosi, by wyjaśnił swoje rozumowanie, mówi tylko, że to bez sensu, skoro udzielił poprawnej odpowiedzi. Jim i Val mogą się jedynie uśmiechać i grzecznie kiwać głowami, gdy tego wszystkiego słuchają.

W ciągu kilku kolejnych lat Carl nadal przedstawia wyraziste wizje z życia przeżytego gdzieś indziej w czasie i miejscu, w którym nie da się rozpoznać betonowych ulic i przemysłu Middlesbrough z lat siedemdziesiątych XX wieku. Chłopiec dochodzi do wniosku, że kiedyś miał na imię Robert. Opowiada o cichej wiosce pośród zalesionych wzgórz i wyjaśnia, że jego ojciec Fritz zawsze go rozśmieszał i uczył o kwiatach, drzewach i okolicznych lasach. „Robert” nie mógł sobie jednak przypomnieć imienia matki – pamiętał tylko, że była dość postawną kobietą z ciemnymi włosami spiętymi w ciasny kok i że nosiła okulary.

– Ale to ja jestem twoją matką – mówiła Val nieco łamiącym się głosem za każdym razem, gdy Carla trochę ponosiło.

– Wiem – odpowiadał Carl – ale ona też nią jest.

Carl twierdzi, że w swoim poprzednim życiu jako „Robert” często musiał wykonywać prace w domu, na przykład rąbać drewno i zawozić je na taczce – w przeciwnym razie spotkałby go gniew matki, która wydawała mu rozkazy, patrząc zza okularów zsuniętych na czubek nosa. Jeśli nie kazała mu rąbać drewna, to stała przy kuchence, gotując ciemnoczerwoną zupę, zupełnie inną niż jakiekolwiek danie Val. Robert miał też braci, którzy również walczyli w wojnie – młodszy z nich podobno został zabity niedługo po domniemanej śmierci Roberta.

Kiedy Carl o tym myśli, wydaje mu się to dziwne – obrazy przychodzą do niego, jakby oglądał urywki serialu telewizyjnego, który włącza się na kilka sekund, a potem wyłącza. Na przykład moment, gdy Robert podobno wstąpił do Luftwaffe. W jednej chwili jest siedmiolatkiem bawiącym się zabawkami w swoim pokoju, a w następnej ma dziewiętnaście lat i żyje w jakimś obozie z mnóstwem małych baraków poustawianych w rzędy. Raz jest w jednym z baraków wypełnionych jedynie

piętrowymi łózkami, a po chwili stoi na zewnątrz i patrzy, jak dorośli nabierają wody z pompy. Kiedy indziej zakłada opatrunek innemu dorosłemu, jakby bawił się w pierwszą pomoc, albo stoi w dużej hali otoczony ze wszystkich stron wieloma rzędami umundurowanych mężczyzn. W tej hali jest zdjęcie w ramce. Przedstawia mężczyznę, w którym Carl rozpoznaje Adolfa Hitlera. Razem z innymi dorosłymi tupią nogami i podnoszą ręce, łącząc wszystkie palce i wyciągając dłonie przed siebie. Valerie czuje niepokój, gdy syn pokazuje jej ten gest. Gdy słyszy, jak jej dziecko wymawia to nazwisko, choć w domu nikt dotąd go nie wymawiał, czuje na plecach ciarki.

Któregoś ranka dziwnie osowiały Carl mówi mamie o kolejnym śnie z poprzedniej nocy. Był rok 1942, a on znów był „Robertem”, który według chłopca miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Siedział w miejscu, które wyglądało na kokpit samolotu. Carl nie był w stanie stwierdzić, czy nim steruje, czy nie, ale czuł, że wszystko wokół się trzęsie. Samolot spadł nad jakimiś budynkami, a potem nagle wszystko ogarnęła czerń. Kiedy się znów obudził, samolot wciąż spadał, a budynki na ziemi unosiły się ku niemu.

W tym momencie Carl po prostu wiedział, że zginie. Kiedy samolot w końcu się rozbił, chyba wpadł w jakieś okno, bo wszędzie było szkło. Potem znowu zobaczył, że ma obciętą nogę, i poczuł wielki smutek, taki, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Nie żałował siebie, ale kogoś innego, kogoś, kogo stracił „Robert” – była to dziewiętnastoletnia kobieta, z którą chciał się ożenić, a która została w jego wiosce w Niemczech. Valerie w przerażeniu słucha Carla, który kończy opowieść opisami swoich „ostatnich chwil”, gdy samotnie wykrwawiał się na śmierć w samolocie.

W kolejnym roku wywiad z dziewięcioletnim Carlem przeprowadza magazyn „Woman’s Own”, po tym jak miejscowy dziennikarz trafia na trop jego niezwykłych opowieści i publikuje krótki artykuł w miejscowej gazecie. Parę miesięcy później historia trafia nawet do Niemiec, gdzie zamieszcza ją berlińska gazeta „Morgenpost”. Wraz ze sławą przychodzą oczywiście kpiny w szkole i w ciągu kilku dni od publikacji artykułów koledzy z klasy zaczynają nazywać Carla Hitlerem i nazistą, wyciągając ręce w nazistowskim pozdrowieniu za każdym razem, gdy ich mijają. Zwykle Carl wraca do domu zapłakany z powodu złośliwych żartów. Gdy zainteresowanie staje się coraz

bardziej nieznośne, mały Carl postanawia podjąć jedyne działanie, jakie mu pozostało. Przestaje o tym mówić.

Niestety dla niego nie oznacza to, że fascynacja jego przypadkiem słabnie. Pod koniec 1983 roku artykuł w „Woman’s Own” trafia na biurko profesora Iana Stevenсона w Wirginii w Stanach Zjednoczonych. Mający amerykańsko-kanadyjskie korzenie Stevenson był wówczas profesorem psychiatrii w Szkole Medycznej Uniwersytetu Wirginii. Był fascynującą, choć kontrowersyjną postacią – od dwudziestu pięciu lat poświęcał się badaniu autentyczności tak zwanych przypadków reinkarnacji, nawet ustanowił specjalny wydział na uniwersytecie – Wydział Studiów Percepcyjnych, by móc prowadzić swoje badania lepiej. Pomimo sporej krytyki ze strony kolegów zawzięte dociekania Stevenсона w końcu przyniosły mu niechętny szacunek w środowisku psychiatrycznym, a recenzent w piśmie „Journal of the American Academy of Child & Adolescent Psychiatry” nazwał go wybitnym psychiatrą i naukowcem[9].

Zainteresowanie Stevenсона reinkarnacją wzięło się głównie z jego fascynacji spostrzeżeniem, że niektóre charakterystyczne cechy lub rzadkie choroby często zdają się niekompatybilne z czynnikami środowiskowymi czy genetycznymi, co wskazywałoby na to, że na charakter ma wpływ jakiś trzeci czynnik. Stevenson postulował, że być może jest to skutek pewnego rodzaju przenoszenia pamięci między jednostkami. Cechę powtarzającą się w wielu zbadanych przez Stevenсона przypadkach – a były ich setki – stanowiło występowanie znamion lub wad wrodzonych w miejscach o wielkim znaczeniu dla domniemanego poprzedniego życia. Na przykład w książce *Reincarnation and Biology. A Contribution to the Etiology of Birthmarks and Birth Defects* (Reinkarnacja i biologia. Wkład w etiologię znamion i wad wrodzonych; 1997) Stevenson opowiedział historię chłopca, który nabrał przekonania, że w poprzednim życiu się zastrzelił. Wspomnienia w końcu doprowadziły go do kobiety, której brat rzeczywiście strzelił sobie w gardło. Kiedy Stevenson zbadał chłopca, odkrył znamię na jego szyi w miejscu, które podobno przeszła kula mężczyzny. Stevenson zasugerował, by poszukać rany w miejscu wyjścia kuli, i rzeczywiście – kiedy rozgarnięto włosy na czubku głowy chłopaka, znaleziono tam znamię[10].

Stevensona od razu zafascynował przypadek Carla, a zwłaszcza znamię na jego prawej nodze. Profesor co prawda nie był w stanie sam wyruszyć do Middlesbrough, ale wysłał swojego brytyjskiego współpracownika, doktora Nicholasa McCleana-Rice'a, by przeprowadził wywiad z Carlem i jego rodziną. Po przeanalizowaniu różnych anegdot i historii zebranych przez doktora McCleana-Rice'a Stevenson doszedł do wniosku, że reinkarnacja jest „co najmniej możliwym wyjaśnieniem historii Carla”^[11].

Zanim Carl kończy trzynaście lat, wszelkie ślady „Roberta”, tajemniczego pilota Luftwaffe, którego wspomnienia chłopiec zdawał się odnajdować w głowie, znikają. Carl przerywa naukę w wieku szesnastu lat i podejmuje pracę w Kolei Brytyjskiej, gdzie przygotowuje pociągi dostarczające towary do różnych miejscowości przemysłowych u wybrzeży rzeki Tees. Pięć lat później dwudziestojednoletni już Carl po raz ostatni udziela wywiadu Ianowi Stevensonowi, gdy ten, za wszelką cenę pragnąc przeanalizować samodzielnie jego historię, osobiście udaje się do Middlesbrough na spotkanie z nim. Chociaż dla psychiatry spotkanie to okazuje się rozczarowaniem, bo Carl nie jest w stanie podać kolejnych szczegółów dotyczących domniemanego poprzedniego wcielenia, Stevenson jest zadowolony, widząc, że młody człowiek jest szczęśliwy i zakochany – właśnie zamieszkał ze swoją siedemnastoletnią dziewczyną. Dwanaście miesięcy później para wita na świecie swoją pierwszą córkę. Kiedy w kolejnym roku dziewczyna przyjmuje oświadczyzny Carla, a na świat ma przyjść ich drugie dziecko, jest tak, jakby jego życie naprawdę w końcu należało do niego, a duch tajemniczego niemieckiego pilota nareszcie zaznał spoczynku.

Latem 1995 roku Wielką Brytanię ogarnęła fala upałów, która ciągnęła się przez cały lipiec oraz sporą część sierpnia. W środę 2 sierpnia wieczorem powietrze było ciężkie i nieruchome, gdy funkcjonariusz na służbie z posterunku w South Bank w aglomeracji Middlesbrough usłyszał za oknem pisk opon gwałtownie hamującego samochodu. Policjanci w szoku patrzyli, jak mężczyzna o pokaźnej sylwetce, mający sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, popycha drzwi i wchodzi do poczekalni, w ubraniu poplamionym krwią.

– Wściekł się i ruszył na mnie – oznajmił mężczyzna i przedstawił się jako Gary

Vinter.

Następnie wyjaśnił, że pracował na wieczorną zmianę niecałą milę drogi stąd w nastawni w Grangetown na wybrzeżu rzeki Tees, gdy on i jego kolega zaczęli się kłócić. Nie pamiętał dokładnie, co się wydarzyło, tyle tylko, że kiedy było po wszystkim, kolega nie żył. Gary natychmiast został zabrany na przesłuchanie, gdzie narysował dla policjantów mapę, aby ułatwić im znalezienie ciała. Parę chwil później na miejsce został wysłany radiowóz. Skręciwszy w lewo na Tees Dock Road, samochód zmierzał dalej, w stronę przemysłowych pustkowi. W takich miejscach człowiek czuje się tak, jakby trafił na samą krawędź świata – krajobraz wyłobionej ziemi, hałdy żużlu i cicho dymiące kominy obramowane małymi czerwonymi i zielonymi światłami, które wiszą niczym gwiazdy wzdłuż konturów dźwigów; „dziwne sploty”^[12] miejskiej archeologii i – wszędzie tam, gdzie udaje im się przetrwać – bardziej organicznych elementów świata naturalnego usiłującego odzyskać, co się da.

Z początku nieomal go nie zauważyli – tak niepozorny był przysadzisty budynek o płaskim dachu krytym papą, który przycupnął tuż obok drogi za krótkim fragmentem torów rozwidlających się, niczym poszarpane zakończenia nerwowe, do dziesiątek magazynów i odgałęzień rozciągniętych po całej okolicy. Po jego lewej stronie stała mała chatka dla pracowników zajmujących się przygotowaniem pociągów, o której wspomniał w zeznaniu Vinter – tam doszło do bójki. Po prawej wznosił się wysoko wielki słup energetyczny wskazujący punkt zbiegu energii, która tryskała w najróżniejszych kierunkach, rozciągając się w jedną stronę ku starej, ciągle stojącej w okolicy stalowni Dorman Long oraz gdzie indziej, ku odległym stoczniom. Wielkie ciężarówki przejeżdżały z łoskotem w ciemności, gdy policjanci wysiedli z radiowozu, czując, jak z ciepłym powiewem co i rusz dociera do nich jakiś chemiczny zapach.

W oddali słyhać było brzęczenie; funkcjonariusze przeszli przez tory i ruszyli w stronę małej chatki po lewej stronie. Otwierane drzwi cicho zaskrzypiały. Błyskając latarkami, policjanci szybko dostrzegli ciało mężczyzny leżącego w kałuży krwi na podłodze. Ze zwłok wciąż jeszcze wystawał kawałek noża. Mężczyzną był Carl Edon. Później na jaw miała wyjść cała brutalność tego ataku – Carl został dźgnięty trzydzieści siedem razy dwoma nożami. Vinter chwycił drugi po tym, jak pchnął Carla pierwszym

z taką mocą, że przedmiot złamał się na pół. Autopsja wykazała, że Carl był dźgany na powierzchni całego ciała i że większość narządów wewnętrznych została przebita. To, co odkrył patolog, zdawało się przeczyć pierwotnemu twierdzeniu Vintera, że działał w samoobronie. Podczas procesu ława przysięgłych zgodziła się z ustaleniami lekarza – w kolejnym roku Vinter został skazany za morderstwo.

Kiedy Michael, dawny szkolny kolega Carla, dowiedział się o tragicznej śmierci przyjaciela, oczywiście ogarnął go szok i wzburzenie. Ale już po chwili cofnął się w czasie – znów miał dziesięć lat i chichotał bez opanowania, gdy Carl maszerował po kuchni i po raz setny powtarzał historię o tym, że kiedyś umarł młodo i wykrwawił się na śmierć. Jeśli chodzi o rodzinę Carla – jego narzeczoną i dwie córeczki, rodziców oraz brata i siostrę – śmierć Carla oraz to, w jaki sposób zginął, miały na nich potworny wpływ. Ale miesiące mijały i Edonowie mimo woli zaczęli wspominać pierwsze lata życia Carla i te szczególne wizje, które dręczyły go w dzieciństwie.

Potem, w listopadzie 1997 roku, na jaw wyszło coś niezwykłego.

Rankiem 27 listopada pracownicy Northumbrian Water Board dotarli na plac budowy na końcu Clay Lane, zaraz na wschód od posterunku w South Bank, zaledwie parę kilometrów wzdłuż torów od nastawni w Grangetown. Ekipa mająca budować kanalizację do nowego, planowanego w pobliżu biznesparku niedawno zaczęła pracę, gdy jeden z kopiących trafił w błocie na jakiś przedmiot. Kopanie zostało wstrzymane, kilku pracowników wskoczyło do dołu i zaczęło odgarniać ziemię. Pod spodem znaleźli dziwnie wykoślawioną metalową konstrukcję. Parę chwil później jeden z mężczyzn dostrzegł coś, co wyglądało jak stary plecak – i otworzył go. W środku znalazł zwinięty śnieżnobiały jedwab. Gdy wyciągnął go z plecaka, szybko stało się jasne, że rozwija spadochron. Mężczyźni znów spojrzeli na stertę metalu w ziemi i zrozumieli, że odkryli jakiś samolot.

Zaniepokojeni, że być może trafili nie tylko na jednostkę wojenną, ale także na niewybuch, pracownicy Water Board natychmiast przerwali pracę i powiadomili o swoim odkryciu formację saperską Royal Engineers. Po kilku dniach pojawił się zespół ekspertów od likwidacji niewybuchów z jednostki sił lotniczych w Wittering, którzy we współpracy z Royal Engineers zaczęli wykopywać wrak. Samolot szybko został zidentyfikowany jako niemiecka maszyna z czasów drugiej wojny światowej,

znana jako bombowiec Dornier, który należał do jednostki Luftwaffe mającej wówczas bazę na lotnisku Schiphol w Holandii. Po szybkim sprawdzeniu dokumentacji okazało się, że samolot rozbił się wieczorem 15 stycznia 1942 roku, gdy strzelono do niego na wybrzeżu, i zderzył się z balonem zaporowym na przedmieściach Hartlepool. Gdy inżynierowie dokładniej zbadali maszynę, znaleźli ponad pięć ton szczątków, w tym liczne karabiny maszynowe, drewniane śmigło i kolejne dwa samoloty, aż w końcu trafili na fragment kości.

Na podstawie dokumentacji ustalili, że trzech członkowie załogi, Joachim Lehnis, Rudolf Matern i Heinrich Richter zostali wydobyti z samolotu, a czwarte ciało kaprala Hansa Manekego uznano za zbyt zniszczone, by dało się je wyciągnąć. Kontynuując poszukiwania, ekipa trafiła na fragment kołnierzyka munduru, na którym znajdowało się oznaczenie stopnia kaprala, co zdawało się potwierdzać, że zaginione ciało rzeczywiście należało do Hansa Manekego. Gdy jednak ekipa kopała dalej, odkryła coś, co wyglądało na cały szkielet odziany w resztki innego munduru pogrzebanego w miejscu strzelca pokładowego. Okazało się, że nie brakowało ciała Hansa Manekego, ale właśnie strzelca, czyli Heinricha Richtera. Miejsce, w którym zostały znalezione szczątki Richtera, to duża szklana kula w dolnej części samolotu. Ponieważ samolot spadł na dziób, kula, która w zasadzie stanowiła sferyczne szklane okno, została najmocniej zniszczona podczas rozbicia i rozpadła się na drobinki, pokrywając przebywającego w niej żołnierza tysiącami malutkich odłamków – Carl podobnie opisywał wrażenie rozbijającego się okna ze swojego snu. Co najdziwniejsze, gdy ekipa wydobyła szkielet z wraku, odkryła, że wbrew początkowej ocenie nie jest on kompletny. Brakowało prawej nogi. Została uszkodzona w czasie katastrofy.



Autor książki idzie wzdłuż torów od posterunku w South Bank do nastawni w Grangetown

Wieści o odkryciu samolotu szybko rozeszły się po mieście i w kolejnym roku grób Hansa Manekego na cmentarzu Thornaby został poprawnie opisany, a szczątki Heinricha Richtera – pochowane obok ciał kolegów. W październiku odbyła się poruszająca uroczystość, na którą przybył brytyjski konsul Niemiec, a także garstka potomków załogi, do których dołączyło dwudziestu dwóch byłych żołnierzy brytyjskich i ponad dwieście innych osób. Razem patrzyli, jak siedemdziesięcioośmioletni Heinz Mollenbrok, były pilot Dorniera z tej samej jednostki, który został zestrzelony podczas bitwy o Anglię, kładzie pierwszy wieniec na grobie Richtera. Kolejny umieścił przy pomniku poświęconym brytyjskim lotnikom upamiętniającym 55 tysięcy żołnierzy należących do dywizjonów bombowych brytyjskich sił powietrznych, którzy tak jak Richter i jego koledzy z załogi nigdy nie wrócili do domów. Gdy dwudziestu dwóch byłych żołnierzy opuszczało sztandary

brytyjskich sił powietrznych, a hejnalista policji hrabstwa Cleveland zaczął grać pierwsze nuty melodii *The Last Post*, w ostatnich rzędach tłumu pojawiły się jeszcze dwie twarze: po przeczytaniu w gazecie wiadomości o odkryciu samolotu Valerie i Jim Edonowie przyszli złożyć hołd niemieckiemu lotnikowi z drugiej wojny światowej, który stracił nogę i zmarł po zestrzeleniu nad Anglią.

Wiele lat później, po dalszych dociekaniach Bill Norman, historyk z Middlesbrough, w końcu odnalazł rodzinę Heinricha Richtera i opisał swoje odkrycia w książce^[13]. Okazało się, że Richter urodził się w 1911 roku i w chwili śmierci miał trzydzieści lat. Jak podkreśla Norman, niezależnie od tego, co myślimy o sprawie, za którą walczył lotnik, był on niewątpliwie dzielnym mężczyzną – miał za sobą już sześćdziesiąt misji, otrzymał srebrne odznaczenie Frontflugspange oraz Krzyż Żelazny pierwszej i drugiej klasy, zanim zginął w 1942 roku. Norman odkrył też, że Richter miał dwóch braci, którzy także zginęli podczas wojny: Kurta Richtera zabitego w czasie walk w Rosji w 1941 roku oraz Gerharda, który poniósł śmierć w Rumunii w 1944 roku. Chociaż nie udało mu się ustalić imienia matki Richtera, odkrył, że jego ojciec miał na imię Friedrich – często używanym zdrobnieniem tego imienia jest Fritz. Któregoś ranka Bill otrzymał od innego krewnego Heinricha Richtera list z uderzającym zdjęciem portretowym młodego lotnika zrobionym na krótko przed jego śmiercią. Kiedy Val i Jim po raz pierwszy zobaczyli zdjęcie, mieli wrażenie, jakby patrzyli na ducha. Spoglądał na nich mężczyzna o wyraźnie zarysowanym nosie i podbródku oraz charakterystycznie ukształtowanych brwiach – trudno im było nie rozpoznać w nim ich syna. Na kołnierzyku kurtki widoczne było oznaczenie z orłem – takie, jakie wiele lat temu rysował Carl.

Niezależnie od tego, co myślimy o możliwości reinkarnacji, nie ma zbyt wielu wątpliwości co do tego, że w sensie fizjologicznym za sprawą dziedziczenia genów wszyscy jesteśmy w pewnym sensie reinkarnacją tych, którzy żyli przed nami. Być może nie dziedziczymy dosłownie wspomnień zmarłych, lecz fascynujące nowe odkrycia każą nam się zastanawiać nad tym, w jaki sposób pod względem biologicznym przeżyte doświadczenia mogą ponownie dać o sobie znać na długo po naszej śmierci.

Zanim Charles Darwin opublikował *O powstawaniu gatunków*, inny przyrodnik,

Jean-Baptiste de Lamarck, budził poruszenie inną teorią. Sugerował, że organizm może przekazywać cechy swojemu potomstwu – i dotyczy to nie tylko wewnętrznych mechanizmów genetycznych, ale także zewnętrznych wpływów, jakim jest poddany w ciągu swojego życia. Chociaż teoria ta, zwana lamarkizmem, zyskała wówczas nieco popularności, szybko została przyćmiona przez teorię ewolucji Darwina, a następnie powszechnie zdyskredytowana i zupełnie wyszła z mody. I miała pozostać niemodna.

Evening Gazette

Tuesday, January 15 2002 **Wedding** It's part of the family **Life Final** 29p

The essential guide for your big day FREE inside

Teesside's premier holiday and leisure event FREE guide inside

Mac closes in on £6m striker PLUS: Boro Cup latest – Sport



THE CHILLING CASE OF CARL EDON

EXCLUSIVE By **MIKE BLACKBURN**
Chief Reporter

FOR years before he was brutally murdered Carl Edon tried to convince his family that he was reincarnated. Today his astonished parents believe they have been given extraordinary photographic evidence.

Young Middlesbrough dad Carl had spoken since he was just three years



IT'S got to be him
Carl's mum Val, above with husband Jim

old of vivid flashbacks to a former life as a Luftwaffe pilot when his plane was shot down in 1942.

Now wearing new photos, unearthed after dogged detective work by a local historian, reveal a chilling resemblance between Carl and a German aviator, Heinrich Richter, buried in a Thornaby cemetery.

Richter, a turret gunner, perished when his Dornier bomber crashed onto a South Bank railway during a raid exactly 60 years ago today – January 15, 1942.

The wreckage of the Dornier, damaged by anti-aircraft fire before hitting a housing balloon, was discovered in 1997 buried off Tibbury Road – only a few hundred yards from the spot where Carl was stabbed to death two years earlier.

When the bomber was dug up with Richter's remains inside, Carl's parents, Jim and Val, shook their heads as they recalled their son's eerie tales of reincarnation.

But only now – as the Gazette reveals for the first time what the aviator looked like – are the Couplby Newburn couple looking at their son's claims in a new light.

"It's got to be him," said a stunned Val, when shown a photo of the German in full uniform shortly before the crash over Sileside.

"The resemblance across the eyes and the nose is uncanny.

"Maybe this is the final piece of the puzzle," she said.

The striking picture was obtained after Couplborough historian and author Bill Norrison tracked down Tom to Page Two



FACE TO FACE WITH THE PAST: Carl Edon, above, who claimed he was the reincarnation of a German aviator, and, above left, Luftwaffe gunner Heinrich Richter. Left, a Dornier bomber similar to that in which Richter was killed



Gunner HEINRICH RICHTER'S position.

60 YEARS AGO TODAY – unearthing the story of the South Bank bomber crash: Page 2

When a Middlesbrough boy claimed he had been a World War Two Luftwaffe airman in a former life people shrugged and wondered... Now a startling new photograph adds an eerie twist to an amazing tale... Judge for yourself

*Heinrich Richter i Carl Edon, Teeside, „Evening Gazette”, 15 stycznia 2002 roku
[Nagłówek:] Przerazający przypadek Carla Edona
[Wyróżniony fragment:] Kiedy chłopiec z Middlesbrough twierdził, że
w poprzednim życiu był lotnikiem Luftwaffe walczącym w drugiej wojnie
światowej, ludzie wzruszali ramionami i dziwili się... Dziś szokujące nowe zdjęcie
dodaje tej niezwyklej opowieści aury niesamowitości... Sam oceń*

Jednak kilka niedawnych odkryć w zyskującej popularność dziedzinie epigenetyki doprowadziło niejako do powrotu lamarkizmu. Epigenetyka, mająca pewne cechy wspólne z głównymi założeniami lamarkizmu, jest nauką o tym, w jaki sposób czynniki zewnętrzne i środowiskowe mogą wpływać na ekspresję genów bez zaburzenia podstawowego kodu genetycznego^[14]. W 2013 roku neurobiolog Kerry Ressler oraz partnerujący mu w badaniach Brian Dias opublikowali artykuł w jednym z najważniejszych pism medycznych, „Nature”, na temat badań nad dziedziczeniem epigenetycznym u myszy laboratoryjnych. Ressler i Dias odkryli, że gdy nauczyli grupę myszy kojarzenia danego zapachu z określoną traumą, w tym wypadku z łagodnym porażeniem prądem, lęk wobec zapachu dziedziczyły co najmniej dwa pokolenia młodych^[15]. Biorąc pod uwagę to niezwykle odkrycie, możemy powiedzieć, że pod pewnymi względami nie tylko dziedziczymy cechy fizyczne naszych przodków – niewykluczone, że przejmujemy też instynktowne przeczucia przeżytych przez nich doświadczeń.

Ponieważ śmierć jest niemierzalną przestrzenią ujemną, każde jej pojmowanie ma wpływ na kształt jej przeciwieństwa: życia. Mówiąc bardzo ogólnie, jeśli podobnie jak starożytni Egipcjanie lub wyznawcy religii Abrahamowych wierzysz w życie pozagrobowe będące nagrodą za szlachetność, prawdopodobnie będziesz się w życiu kierował właśnie tymi moralnymi wytycznymi – a przynajmniej swoją ich interpretacją. Jeśli wierzysz w nauki religijne opierające się na koncepcji sansary oraz w to, że materialna tożsamość wciąż się odradza, a w idealnym przypadku nie ma żadnego znaczenia dla esencji twojej tożsamości, celem życia staje się uwolnienie się z tego materialnego więzienia i osiągnięcie spełnienia, w którym ego nie istnieje. Dla tych, którzy nie uznają żadnego z tych wierzeń i uważają, że po śmierci nie ma nic, najważniejszą sprawą jest zwykle to, w jaki sposób ich czyny za życia posłużą im samym oraz ludziom, z którymi mają kontakt, w samym tylko życiu. Gdy spojrzeć na

to w taki schematyczny sposób, wszystko sprowadza się do dwóch pozornie podstawowych i sprzecznych idei: albo nasza tożsamość jest nieodłącznie związana z naszą fizyczną postacią, a zatem także z nią umiera, albo nie. A ponieważ nasze życie coraz ściślej splata się z przestrzenią cyfrową, być może stajemy w obliczu zadziwiającej perspektywy zbieżności tych dwóch skrajnych przeciwieństw. Gdyby taka zbieżność miała rzeczywiście zaistnieć, nawet dla najbardziej zacieklego ateisty czy duchowego sceptyka jej potencjał zdaje się mieć wymiar zdecydowanie teologiczny.

Jeśli uznajemy, że nasza świadomość jest w pełni zależna od naszego fizycznego ciała – gdyż jest ona czymś, co najprawdopodobniej powstaje wskutek skomplikowanych procesów zachodzących w mózgu – możemy też przyjąć możliwość, że wystarczająco wyrafinowana kopia mózgu pozwoliłaby na przechowywanie umysłu poza ciałem, w którym pierwotnie się on pojawił. Co prawda informacja prawdopodobnie musiałaby być gdzieś przechowywana, co z kolei wymagałoby mocy, by utrzymać umysł przy „życiu”, ale jeśli założymy, że taka możliwość istnieje, czy rzeczywiście któregoś dnia będziemy w stanie sami wyprodukować sobie życie pozagrobowe?

W 1965 matematyk-wizjoner Irving John Good spekulował, że potencjał sztucznie wytworzonej inteligencji kiedyś przyćmi funkcjonalność ludzkiego mózgu. Miało do tego dojść w momencie „eksplozji inteligencji”, w którym maszyna, po uświadomieniu sobie zakresu swojej inteligencji, nagle pojęłaby, jak zbudować maszynę o jeszcze większych możliwościach, która z kolei zdołałaby skonstruować następną, jeszcze inteligentniejszą. To uruchomienie nagłego wykładniczego wzrostu sztucznej inteligencji powszechnie nazywa się dziś technologiczną osobliwością i wiele osób w środowisku technologicznym, na przykład jeden z najwybitniejszych informatyków i wizjoner technologiczny Ray Kurzweil, uważa, że nie należy pytać, czy taki moment osobliwości nadejdzie, ale kiedy to się stanie^[16]. Kurzweil zyskuje sławę od czasu studiów w Instytucie Technologicznym Massachusetts (MIT), gdzie stał się pionierem pierwszej technologii text-to-speech, a następnie wynalazł pierwszy syntezytor, w którego pamięci były zapisane sample instrumentów. W 2012 roku Kurzweil został dyrektorem do spraw inżynierii w Google, by rozwijać samouczenie się i rozumienie

języka przez maszyny. Jest jednym z najbardziej cenionych futurystów na świecie i propagatorem idei transhumanizmu – przekonania, że osiągnięcia naukowe i technologiczne są niezbędne do tego, by ludzkość wykonała kolejny ważny krok w ewolucji[17]. Chociaż dla niektórych osób pojęcie osobliwości może być niepokojące, dla Kurzweila jej nieuchronność jest czymś, z czego należy się cieszyć – choćby dlatego, że jego zdaniem stanie się kiedyś kluczem do nieśmiertelności (czy tego chcemy, czy nie). Kurzweil przewiduje, że wraz z pojawieniem się sztucznie wygenerowanej superinteligencji nastąpi biotechnologiczna rewolucja, która umożliwi nam załadowanie naszej świadomości do rzeczywistości wirtualnej lub do niezniszczalnych robotycznych ciał, co pozwoli nam żyć tak długo, jak długo wszechświat pozostanie miejscem stabilnym do zamieszkania (oczywiście zakładając, że ta nowa inteligencja uzna naszą obecność za konieczną): to swego rodzaju „życie po życiu”, jeśli uznamy, że jest nim doświadczanie świadomości po śmierci naszego obecnego ciała.

Taka forma życia wymagałaby rezygnacji z ciała jako podstawowej części naszej tożsamości – możliwość tę zbadali w 2004 roku z fascynującym skutkiem naukowcy z University College London. W ramach eksperymentu badani kładli lewą rękę na stole, z kolei prawa była przed nimi zasłaniana, a w jej miejscu umieszczano sztuczną rękę z gumową dłonią. Co niezwykle, gdy gładzono równocześnie obie „dłonie”, badani zaczęli postrzegać gumową dłoń jako swoją własną. W dodatku gdy poproszono ich o wskazanie prawej dłoni lewą, wszyscy wskazywali sztuczną gumową dłoń. Efekt ten wynika z faktu, że wzrok pełni dominującą funkcję w integracji informacji zmysłowych przez korę przedruchową w celu rozpoznania elementów naszego ciała[18].

Chociaż przed nami jeszcze daleka droga, do głowy przychodzą ciekawe pytania o możliwość stworzenia całych nowych ciał w przestrzeni wirtualnej, cyfrowej albo nawet fizycznej, jak to pokazano w filmie *Avatar* z 2009 roku. W wizjonerskim hicie Jamesa Camerona sparaliżowany żołnierz Jake Sully ma możliwość „sterowania” wyhodowanym ciałem rasy Na’vi zamieszkującej planetę Pandora. Zadaniem Jake’a jest nawiązanie relacji ze społecznością Na’vi oraz ułatwienie w ten sposób ludziom kolonizacji planety – i wywiązuje się z niego tak dobrze, że na końcu całkowicie spaja

się ze swoim nowym ciałem. Gdyby taki pomysł został kiedyś wprowadzony w życie, być może zdołalibyśmy wreszcie rozwiązać paradoks statku Tezeusza. Ten stary dylemat każe nam się zastanowić, czy obiekt, pierwotnie statek króla Tezeusza, można uważać za ten sam, jeżeli wszystkie jego części składowe zostały w pewnym momencie wymienione. Przynajmniej w przypadku Jake'a Sully'ego odpowiedź zasadniczo brzmi: „tak”[19].

W coraz większym stopniu przenosimy elementy życia do świata wirtualnego – są to nasze wspomnienia wizualne, a nawet drobiazgi, których przechowywanie w głowie uznajemy dziś za zbędne – na przykład numery telefonów. Choć dla niektórych brzmi to potwornie, tak naprawdę sytuacja, w której będziemy w stanie stworzyć dwudziestoczęterogodzinny zapis audiowizualny naszych codziennych doświadczeń, jest tylko kwestią czasu. Może nawet zdecydujemy się zapisywać w jakiejś cyfrowej pamięci nasze reakcje emocjonalne na te doświadczenia. Niewykluczone, że w przyszłości będziemy w stanie zrobić kopię zapasową naszego świadomego „ja” i oddać ją na przechowanie firmie, co z kolei pozwoli nam umieścić ją w dowolnym zestawie pociesnych doświadczeń po „śmierci”. Niezwykle poruszający i sugestywny odcinek serialu *Czarne lustro – San Junipero* ze scenariuszem Charliego Brookera – pozwala nam przyrzeć się takiej możliwości. Widzimy w nim wygenerowane komputerowo życie pozagrobowe, w którym nasze umysły mogą żyć w wyidealizowanym świecie neonowych świateł i widokówkowych plaż.

Dlaczego mielibyśmy na tym poprzestać? Czy w myśl koncepcji noosfery Pierre'a Teilharda de Chardina[20] będziemy wtedy w stanie scalić się z doświadczeniami wszystkich innych przechowywanych w świecie cyfrowym jednostek? Nasze „ja” uobecnią się jako seria istniejących w sieci punktów danych w systemie o wielu połączeniach i będą mogły utworzyć jedną potężną świadomość – całkowicie zmechanizowany, jednoczący wszystko system. Być może ta cyfrowa sieć w którymś momencie obejmie cały znany wszechświat połączony poprzez materię. Można by wtedy powiedzieć, że wszechświat stał się samoświadomy. Ale przecież nie wiemy, czy w takiej przestrzeni również nie wystąpiłaby hierarchizacja podobna do tej, jaka istnieje w naszym obecnym materialnym świecie – pewne miejsca byłyby odgródzone i dostępne tylko dla tych mających wystarczającą władzę i wiedzę, kontrolowałyby je

strażnicy, podobnie jak w pięciu krainach Hadesa.

Jest tylko jeden mały problem. Druga zasada termodynamiki. Obecnie wygląda na to, że nawet cyfrowe niebo San Junipero prawdopodobnie musiałyby mieć swój koniec, ponieważ każde takie miejsce wymagałoby mechanizmu do przechowywania informacji, a z czasem uległby on śmierci cieplnej. Zgodnie z drugą zasadą termodynamiki entropia – poziom nieuporządkowania układu – może się tylko zwiększać. Podobnie jak kostka lodu roztapia się w gorącej wodzie, wszechświat wciąż się rozszerza i przewiduje się, że całe zgromadzone w nim ciepło czy też energia w końcu tak równomiernie się rozproszą, że procesy, które działają dzięki przenoszeniu energii, nie będą już możliwe.

Niezależnie od tego, jaka jest prawda o reinkarnacji lub możliwości przypominania sobie życia innych czy funkcjonowania obok siebie w wielkiej wspólnej przestrzeni świadomości, jedno pozostaje pewne: wszyscy mamy znaczenie we wszechświecie. Być może dzisiaj, jako zbiór materii, który nazywamy naszym „ja”, a może jutro, jako gwiazdny pył – dopóki wszechświat istnieje, my będziemy w nim i będziemy stanowić jego część, zmieniając się z jednej rzeczy w kolejną w ciągłym, zrównoważonym cyklu.

[1] Ankieta z 2011 roku przeprowadzona przez Ipsos Social Research Institute z udziałem 18 tysięcy osób z 23 krajów wykazała, że 51 procent ankietowanych wierzy w życie pozagrobowe.

[2] E. Hemingway, *Śmierć po południu*, tłum. B. Zieliński, Warszawa 1971, s. 121.

[3] A.J. Atsma, *Kerberos*, „Theoi” 2017, www.theoi.com/Ther/KuonKerberos.html (dostęp: 8.03.2019).

[4] J.H. Taylor, *Journey Through the Afterlife. Ancient Egyptian Book of the Dead*, Cambridge, MA 2010, s. 215.

[5] Jim Tucker, *Return to Life. Extraordinary Cases of Children Who Remember Past Lives*, New York 2013, s. 89.

[6] H. Jennings, *Pandemonium 1660–1886. The Coming of the Machine as Seen by Contemporary Observers*, London 2012, s. xvii.

[7] H.G. Reid, za: D. Simpson, *Middlesbrough and Surrounds*, „England’s North East” 2015, englandsnortheast.co.uk/Middlesbrough.html.

[8] P. Harrison, M. Harrison, *The Children That Time Forgot*, s. 45–46.

[9] W. Bernet, *Children Who Remember Previous Lives. A Question of Reincarnation. Revised Edition*, „Journal of the American Academy of Child & Adolescent Psychiatry” 2002, R. 41, nr 8, s. 1022–1023.

[10] I. Stevenson, *Reincarnation and Biology. A Contribution to the Etiology of Birthmarks and Birth Defects*, Santa Barbara, CA 1997, s. 728–745.

[11] I. Stevenson, *European Cases of the Reincarnation Type*, Jefferson 2003, s. 74.

[12] R. Macfarlane, *Landmarks*, London 2016, s. 232.

[13] B. Norman, *South Bank Dornier. South Bank, Cleveland, 15 January 1942*, wyd. Bill Norman, 2008.

[14] R.J. St. Leger, *Genomic Imprinting* (plik wideo), 2018, www.coursera.org/learn/genes/lecture/B8ilo/genomic-imprinting (dostęp: 8.03.2019).

[15] B.G. Dias, K.J. Ressler, *Parental Olfactory Experience Influences Behavior and Neural Structure in Subsequent Generations*, „Nature Neuroscience” 2014, t. 17, s. 89–96.

[16] R. Kurzweil, *The Singularity Is Near*, London 2006.

[17] Można też przyjąć, że ponieważ my jesteśmy naturalni, wszystko, co uważamy za „technologię”, będącą przedłużeniem nas samych, także jest naturalne, co oznacza, że teoretycznie postęp technologiczny sam w sobie jest postępem organicznym i naturalnym, a zatem można go uważać za naturalny proces ewolucyjny.

[18] H.H. Ehrsson, C. Spence, R.E. Passingham, *That’s My Hand! Activity in Premotor Cortex Reflects Feeling of Ownership of a Limb*, „Science” 2004, R. 305, nr 5685, s. 875–877.

[19] Można by przekonywać, że proces przemiany Sully’ego powołał do życia całkowicie nową wersję „Jake’a Sully’ego”, ale ponieważ przemieniony Sully zachowuje władzę i dostęp do przeszłych wspomnień, które miał poprzedni Jake Sully, możemy, mówiąc ogólnie, przyjąć, że te różne wersje tak naprawdę stanowią tę samą osobę.

[20] Omawiam to bardziej szczegółowo w rozdziale 9.

Rozdział drugi

SKRZYNKA

Nieorganiczne demony są z natury pasożytami [...] [generują] swoje wpływy dzięki ludzkiemu żywicielowi, którym może być pojedynczy człowiek, grupa etniczna, społeczeństwo lub cała cywilizacja.

Reza Negarestani, *Cyclonopedia.
Complicity with Anonymous Materials*

W marcu 2007 roku słynny scenarzysta i reżyser filmowy Jeffrey Jacob Abrams wygłosił przemówienie na konferencji TED zatytułowane *The Mystery Box* (Pudełko tajemnic). Przedstawił w nim pojęcie nieodkrytej tajemnicy jako jedną ze swoich podstawowych zasad opowiadania historii. Aby zaprezentować, o co mu chodzi, Abrams przyniósł ze sobą prezent, który otrzymał jako czternastolatek: tajemnicze pudełko firmy Tannen's Magic. Chociaż nie miało się pewności, co jest w środku, to brązowe kartonowe pudełko gwarantowało magię wartą pięćdziesiąt dolarów w okazyjnej cenie piętnastu dolarów.

Ale Abrams nigdy go nie otworzył.

Słusznie spostrzegł, że prawdziwa magia nie ma nic wspólnego z tym, co naprawdę jest w pudełku – tkwi raczej w samym zastanawianiu się, co tam może być. W ciągu trzydziestu sześciu lat od czasu, gdy otrzymał pudełko, zaczęło ono dla niego symbolizować coś o wiele bardziej wartościowego niż cokolwiek, co mogłoby być w środku. Dla Abramsa, którego serial *Zagubieni* jest powszechnie uważany za jeden z najlepszych thrillerów wszech czasów[1], pudełko było ważnym przypomnieniem nieskończonego potencjału historii i tego, że tajemnica jest kluczem do wyobraźni[2].

Zanim przejdziemy dalej, zróbmy mały eksperyment:

Na ulicy podchodzi do ciebie obcy człowiek wymachujący walizką. Mówi: „To, co mam w tej walizce, zmieni twoje życie. Chcesz wiedzieć, co to takiego?”.

Chcesz się tego dowiedzieć, prawda? Poprosiłbyś, żeby ją otworzył, czy nie? Zanim odpowiesz...

Najlepsze tajemnice to takie pudełka, których pokrywy pozostają zamknięte najdłużej albo które niczym chińskie szkatułki po otwarciu okazują się zawierać w środku kolejną tajemnicę. Przynajmniej w kontekście opowiadania historii – wskazuje na to ogromny sukces enigmatycznych *Zagubionych* Abramsa[3] – być może lepiej jest wcale nie otwierać pudełka, bo odkrycie tego, co jest w środku, rzadko dorównuje oczekiwaniom. Tym, co najbardziej fascynuje mnie w koncepcji „nieodkrytej tajemnicy” Abramsa, jest nie kuszenie pragnieniem poznania zawartości pudełka, ale fakt, że niewyjawianie prawdy o tym, co wewnątrz – niczym odnawiająca się pętla nieskończona – pozwala nam ciągle na nowo wyobrażać sobie możliwości.

Nieskończone możliwości historii nie ograniczają się do świata fikcji. Niektóre interpretacje teorii mechaniki kwantowej, na przykład superpozycja i kolaps funkcji falowej wprowadzone przez fizyka Wernera Heisenberga, sugerują, że cząstki subatomowe, a w szerszym ujęciu cała materia, istnieją tak naprawdę jako zbiór nieskończonych możliwości i zyskują ustaloną wartość dopiero w momencie ich „zaobserwowania” czy też pomiaru[4]. Tę zasadę często kojarzy się z Erwinem Schrödingerem i jego eksperymentem myślowym z 1935 roku, tak zwanym kotem Schrödingera – to chyba najsłynniejsze ze wszystkich pudełko tajemnic[5].

Eksperyment każe nam wyobrazić sobie pudełko lub, jak podaje Schrödinger, stalową komorę, w której znajduje się fiołka trucizny i młotek połączony z licznikiem Geigera śledzącym potencjalny rozpad substancji radioaktywnej. Kota umieszcza się w pudełku, które następnie zamykane jest tak, aby obserwujący nie był w stanie zobaczyć, co dzieje się w środku. Jeśli licznik zarejestruje rozpad promieniotwórczy, młotek opadnie i uwolni truciznę, zabijając nieszczęsnego futrzaka[6]. Ponieważ jednak nie da się zajrzeć do pudełka, można powiedzieć, że niezależnie od tego, co się stało, kot istnieje w stanie superpozycji, równocześnie żywy i martwy. Dopiero gdy zajrzemy

do pudełka, innymi słowy – gdy empirycznie zmierzmy, co się stało, poznamy faktyczny stan kota.

Ta koncepcja sugeruje coś niezwykłego, może nawet przerażającego: pojęcie świata materialnego jako czegoś niestałego i nieokreślonego, co zatrzymuje się w miejscu dopiero w momencie obserwacji. W końcu czy jesteśmy w ogóle w stanie określić, kto lub co może być obserwatorem? Jeśli pozwolimy sobie dalej ciągnąć tę analogię, to czy nie byłoby naprawdę przerażające, gdybyśmy odkryli po otwarciu pudełka, że to nie *my* obserwowaliśmy kota, ale kot obserwował *nas*?

Wracamy zatem do obcego człowieka na ulicy wymachującego tajemniczą walizką. Postanowiłeś ją otworzyć? Tak? Zauważ: nie powiedziałem, że zmieni twoje życie na lepsze...

„Wszystko, co przedstawię na tej aukcji, jest prawdą i można to potwierdzić... potwierdzają to kopie szpitalnej dokumentacji, zeznania pod przysięgą, które dołączam do sprzedawanego towaru...”^[7]

Ogłoszenie to, opublikowane w czerwcu 2003 roku przez trzydziestoosmioletniego wówczas Kevina Mannisa, sprzedawcę mebli i antyków z Portland w Oregonie, zdecydowanie wyróżniało się na eBayu. Ale sprzedawany przedmiot nie był typowym towarem z eBaya. Było to coś naprawdę szczególnego...

We wrześniu 2001 roku Kevin Mannis był właścicielem Addy's Market, małego sklepu z używanymi odnowionymi meblami, który otworzył parę miesięcy wcześniej. Specjalizował się przede wszystkim w naprawie i odnawianiu mebli, ale bardziej niż cokolwiek innego cieszyło go polowanie na nowe, ciekawe okazy, nad którymi mógłby pracować. W weekendy można było zobaczyć, jak Kevin przemierza przedmieścia Portland, odwiedza podwórkowe wyprzedaże i prywatne aukcje – takie jak ta, na którą właśnie się udawał.

Zaparkował pick-upa przed skromnym jednopiętrowym domkiem z lat sześćdziesiątych i zobaczył jak zwykle grupkę ciekawskich oglądaczy oraz kolekcjonerów amatorów przeczesujących rozstawione na trawniku różności. Pobieżne spojrzenie wystarczyło, by przekonać się, że większość przedmiotów jest przestarzała,

co wypowiedziało Kevinowi, że ich ostatni właściciel niedawno zmarł. Chociaż to nieco mroczne, takie wyprzedaże cieszyły Kevina, ponieważ często właśnie gdy ktoś umiera, dostępne stają się najciekawsze przedmioty – niezwykle rzeczy przechowywane i cenione przez lata, kiedyś pełne osobistego znaczenia, teraz odarte ze wszystkiego poza swoim pierwotnym przeznaczeniem.

Po zakupieniu Zestawu 29, różnorodnego zbioru mebli domowych, dopiero podczas ładowania ich do auta Kevin zauważył po raz pierwszy jeden szczególnie przedmiot: małą szafkę zupełnie inną od całej reszty. Miała jakieś trzydzieści centymetrów szerokości i nieco ponad czterdzieści centymetrów wysokości, była wykonana z nieco zdartego mahoni o głębokiej barwie i ozdobiona z przodu dwiema kiśćmi winogron uformowanymi z miedzi. Kevin rozpoznał w niej szafkę na wino, popularną w żydowskich domostwach, nierzadko używaną podczas ceremonii, ponieważ wino często występuje w żydowskich praktykach rytualnych.

– Widzę, że kupił pan skrzynkę dybuka.

Kevin odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim młoda kobieta.

– Skrzynkę dybuka? – zapytał.

Kobieta wyjaśniła, że był to jeden z zaledwie trzech przedmiotów, które zabrała ze sobą do Ameryki jej babcia Havela, gdy przybyła z Europy po drugiej wojnie światowej – poza tym miała ze sobą przybornik do szycia i kufer. Havela urodziła się w Polsce, gdzie mieszkała przed inwazją wojsk niemieckich w 1939 roku. Później została wysłana do obozu koncentracyjnego i straciła kontakt z całą rodziną. Udało jej się uciec i dotrzeć do Hiszpanii, gdzie prawdopodobnie kupiła tę dziwną skrzynkę. Havela miała już nigdy nie zobaczyć rodziny, ale dzięki azyłowi udzielonemu przez Stany Zjednoczone zdołała stworzyć sobie nowe życie, zyskała nowy dom i nową rodzinę. Gdy zmarła, miała sto trzy lata.

Poruszony historią Żydówki Kevin przestał widzieć w przedmiocie potencjalny towar na sprzedaż – dostrzegł w nim rzecz o wspaniałej historii i wadze. Bez wahania zaproponował, że odda skrzynkę kobiecie. Jej odpowiedź go zaskoczyła:

– Nie, nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Proszę, teraz należy do pana.

Zszokowany zapytał:

– Dlaczego nazywa ją pani skrzynką dybuka?

Kobieta opowiedziała, że odkąd pamięta, babcia trzymała skrzynkę w swojej pracowni krawieckiej, zamkniętą i poza zasięgiem małych, ciekawskich, dziecięcych rączek. Zawsze gdy wnuczka pytała, co jest w środku, babcia trzy razy pluła przez palce i mówiła, że jest tam dybuk. Upierała się, że szafki nigdy pod żadnym pozorem nie wolno otwierać.

Czym dokładnie jest dybuk? Kobieta nie umiała tego wyjaśnić.

– Chce pani ją ze mną otworzyć? – zażartował Kevin.

Kobieta odpowiedziała zdecydowanym „nie”.

Kevin znowu zerknął na ładną skrzyneczkę.

– Na pewno nie chce jej pani zachować? – zapytał.

– Kupił ją pan, my jej nie chcemy – odparła kobieta, po czym odwróciła się i odeszła w stronę domu.

Kevin w oszołomieniu zapakował resztę towaru, a potem pojechał z powrotem do Addy's Market.

Gdy dociera do sklepu, zanoszą nowe nabytki do piwnicy, by po południu je opisać. Ma jeszcze kilka spraw do załatwienia, więc znowu wychodzi ze sklepu, nad którym do jego powrotu pieczę sprawuje asystentka Jane. Ze względu na niewielki tego dnia ruch w sklepie Jane postanawia wykorzystać okazję, by zająć się nowymi przedmiotami. Gdy schodzi w zimną ciemność piwnicy, ogarnia ją głęboki niepokój. Parę chwil później niemal nieświadomie wpatruje się w dziwnie wyglądającą szafkę z dwiema kłami metalowych winogron na drzwiczkach – teraz już czuje wyraźnie, że ten niepokój to wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Dźwięk telefonu wyrywa ją z tego stanu. Jane biegnie na górę, do sklepu, odbiera, ale gdy przykłada słuchawkę do ucha, po drugiej stronie nikt się nie odzywa. W następnej chwili słyszy dochodzący z dołu głośny łomot.

– Halo? – woła, schodząc do piwnicy.

Schodząc po kolejnych stopniach, z odrobiną ulgi znajduje przyczynę hałasu: luminescencyjna żarówka pękła, a jej mleczne szkło rozsypało się po podłodze.

Jane sięga po miotłę i sprzęta bałagan. Kawałki szkła brzęczą i szurają po podłodze,

włosie szczotki sunie po powierzchni, gdy kobieta słyszy kolejny dźwięk. Na chwilę przerywa, wyęzając słuch.

Brzmi to tak, jakby ktoś do niej szeptał.

Na początku dźwięk jest cichy, niczym leciutkie poduchy wiatru smagające jej uszy. Stopniowo staje się coraz głośniejszy, aż w końcu Jane jest niemal w stanie wychwycić całe słowa, z którymi niesie się mroczny, złośliwy ton.

BRZEK! Rozbija się kolejna żarówka. Deszcz szkła rozsypuje się po całej podłodze, a piwnica pogrążyła w ciemności. Jane upuszcza miotłę i biegnie prosto do wyjścia, ale bramka do piwnicy jakimś sposobem się zatrzasnęła i zamknęła na klucz. Kobieta szarpie za pręty, wołając o pomoc.

Kevin jest parę przecznic dalej, kiedy odbiera telefon i słyszy po drugiej stronie rozgorączkowaną Jane. Dziewczyna powtarza: „ktoś tu jest, ktoś próbuje rozwalić sklep”. Kevinowi nie dane jest zrozumieć, o co jej chodzi, bo połączenie zostaje przerwane. Pospiesznie wraca, ale lokal jest pogrążony w zupełnej ciszy, a z dołu nie przebija się żadne światło. Kiedy mężczyzna woła Jane, nikt nie odpowiada.

Chwyciwszy latarkę spod lady, biegnie do piwnicy, ale widzi, że bramka jest zatrzaśnięta. Nerwowo szuka w kieszeni kluczy, potem szybko otwiera bramkę i popycha ją.

Kevin wciska przełącznik światła, piwnica jednak nadal tonie w ciemności. Kiedy zapala latarkę i robi krok do przodu, nagle uderza go ostry smród, chorobliwie słodki niczym zapach kociego moczu; pod stopami zgrzyta mu szkło. Zatacza latarką koło i w szoku zauważa, że wszystkie żarówki popękały. Promień światła natrafia na coś skulonego na podłodze w samym rogu piwnicy. Mężczyzna zamiera na chwilę, gdy to coś zaczyna się podnosić.

– Pierdol się – mówi Jane, podchodząc i spychając go z drogi, a potem rusza ku schodom i wychodzi ze sklepu.

Zszokowany Kevin wciąż stoi w ciemności, gdy słyszy dzwonek nad wejściem na górze, a potem trzaśnięcie drzwi.

Jane nie wróciła już do pracy w Addy's Market, przekonana, że Kevin zrobił jej paskudny kawał. Jeśli chodzi o niego samego, można mu wybaczyć przekonanie, że

sama Jane mogła mieć z tym coś wspólnego. Na pewno żadne z nich nie pomyślało, że winę ponosi mała mahoniowa szafka.

Miesiąc później Kevin w końcu zabrał się do renowacji szafki na wino. Postanowił, że będzie to idealny prezent na nadchodzące urodziny jego matki Idy. Wyciągnął mebel z głębi piwnicy, postawił na roboczym blacie i właśnie miał otworzyć zasuwkę, kiedy przypomniał sobie ostrzeżenie babci sprzedawczyni: *nie wolno jej otwierać*. Wzruszając ramionami, odsunął palcem zamknięcie i otworzył drzwiczki.

Gdy to zrobił, stało się coś nieoczekiwanego – z dołu wysunęła się mała szuflada, a w niej Kevin ujrzał dwie stare monety i dwa pukle włosów. Wyciągnął szufladę jeszcze dalej, a drzwiczki rozwarły się wraz z nią, jak gdyby sama skrzynka chciała oddać mu swoją zawartość. Gdy Kevin do niej zajrzał, nie wiedział, co myśleć. Po wewnętrznej stronie drzwiczek znalazł pucharek i wieszaki podtrzymujące butelki wina, tak jak się tego spodziewał, ale nie oczekiwał, że w środku pozostały też inne dziwaczne przedmioty.

Zaczął od tych z szuflady – wyciągnął dwie amerykańskie jednocentówki z kłosami – jedną z 1925, a drugą z 1928 roku. Następnie wyjął pucharek na wino, który wyglądał na zrobiony ze złota, i postawił go obok monet. W głównej części szafki znalazł zasuszony pączek róży i potworny żeliwny świecznik z czterema nogami przypominającymi zawinięte wokół podstawy macki ośmiornicy. Następnie podniósł pasma włosów i uważnie im się przyjrzał. Jeden pukiel był kręcony, splątany i w kolorze rudoblond, a drugi o wiele ciemniejszy, prawie czarny i bardzo prosty. Oba niewątpliwie należały do ludzi.

Kevin znalazł też granitową figurkę o dziwnym kształcie z hebrajskim słowem *shalom* – „pokój”, wyłobionym w miedzi z przodu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. Po wyciągnięciu wszystkich przedmiotów mężczyzna zaczął delikatnie wcierać w drewno olejek cytrynowy, kiedy zauważył, że na tylnej ścianie szafki napisano coś jeszcze po hebrajsku. Ponieważ nie był jednak w stanie odczytać napisu, skończył olejowanie, włożył przedmioty z powrotem i ostrożnie zamknął drzwiczki.

Parę dni później po przybyciu do sklepu Ida widzi, że syn czeka na nią ze świeżo przygotowanym prezentem.

– Wszystkiego najlepszego, mamó – mówi Kevin. – Podoba ci się?

Ida uśmiecha się uprzejmie, nie wiedząc do końca, co o tym myśleć, gdy Kevin stawia szafkę na stole, a potem schodzi na dół, żeby dokończyć parę drobnych prac, zanim zabierze matkę na lunch.

Ida siada i czuje, jak przez sklep przemyka delikatny powiew.

Podnosi wzrok i w szoku spostrzega, że drzwiczki skrzynki się otwarły. Wstaje z krzesła, kładzie na niej rękę i nagle czuje uderzenie jakiejś niezwyklej mocy, jak gdyby ktoś podpiął ją do prądu. W panice próbuje się cofnąć, ale coś zmusza ją do pozostania w miejscu. Lewa strona jej ust zaczyna powoli opadać.

Kevin wraca i widzi, że jego matka nie reaguje, a po twarzy spływają jej strumieniami łzy. Zostaje szybko przewieziona do szpitala i lekarze odkrywają, że doszło do udaru, który poskutkowało częściowym paraliżem lewej strony ciała i utratą mowy. Gdy kobieta leży już na oddziale, mając obok siebie syna, podnosi długopis i pisze na kartce słowa: „PREZENT NIE”, po czym mu ją pokazuje. Kevin gładzi ją po dłoni i zapewnia, że kupił jej prezent, ale wzburzona Ida zaczyna potrząsać głową. Wściekle znów coś wypisuje; odwraca notes i pokazuje słowa: „ZŁY PREZENT”.

Ponieważ matka nie chciała zatrzymać prezentu, Kevin zaproponował go najpierw swojej siostrze, która oddała go po tygodniu, skarżąc się, że drzwiczki się nie domykają, a potem bratu i jego żonie, którzy parę dni później zwrócili szafkę zaniepokojeni dziwnym odorem moczu, jaki od niej bił. Kevin zabrał ją z powrotem do sklepu, gdzie wpadła w oko parze w średnim wieku, która życzliwie uwolniła sprzedawcę od przedmiotu, ale już następnego dnia go zwróciła. Kevin znalazł go na progu sklepu z przyklejoną dziwną notatką: „Ta szafka ma w sobie jakiś dawny mrok”. W końcu postanowił zabrać ją do domu i zatrzymać.

Pierwszej nocy po przeniesieniu szafki Kevin ma sen: spaceruje przez urokliwy jesienny krajobraz razem ze starym przyjacielem. Ale gdy przechodzą przez płonące oranże i brązy leśnej ścieżki, zachodzi jakaś zmiana i coś zaczyna być nie tak.

Odwraca się do przyjaciela, którego twarz deformuje się i wykręca w groteskową maskę, aż w końcu zastępują ją potworne rysy niemal nieludzko wyglądającej starej kobiety, z której ciemnych oczu bije coś, co Kevin odbiera jako głębokie, pierwotne i niewyobrażalne zło.

Nagle kobieta rzuca się na niego z przerażającą zaciekłością, zaczyna go bić

i szarpać jego skórę.

Kevin budzi się z krzykiem, zlany potem, serce głośno wali mu w piersi. Kiedy opuszcza wzrok, widzi, że jego ciało jest zaczerwienione i pokryte sińcami. Niedługo potem nabiera przekonania, że coś snuje się po domu. Czasem widzi czarne, podłużne kształty, które cofają się w ciemność, gdy podnosi wzrok. Obawiając się, co pomyślą inni, Kevin przez kolejne osiemnaście miesięcy nie wspomina nikomu o tych koszmarach i wizjach.

Któregoś ranka przy śniadaniu siostra Kevina, która spędzała u niego weekend razem z drugim bratem i jego żoną, poskarżyła się na potworny koszmar, który śnił jej się poprzedniej nocy, a w którym pojawiła się przerażająca, stara kobieta. Bratowa Kevina przerwała jedzenie i nerwowo zerknęła na pozostałych. Śniło jej się dokładnie to samo! Cała czwórka miała ten sam sen, i to nie po raz pierwszy. Razem uświadomili sobie, że te sny zdarzały się za każdym razem, gdy któreś z nich opiekowało się skrzynką dybuka. Chociaż Kevin nie chciał wierzyć, że żydowska szafka na wino ma z tym coś wspólnego, postanowił wstawić ją do schowka za domem, by zaznać trochę spokoju do czasu, aż połapie się, co się dzieje.

Tej nocy w czasie snu Kevin usłyszał gdzieś w oddali syrenę, a gdy się obudził, dotarło do niego, że uruchomił się alarm przeciwpożarowy w schowku. Pobiegł tam, ale nie widział ognia, poczuł tylko intensywny smród kociego moczu. Wrócił do łóżka, ale obudził się znowu o 4.30 nad ranem, czując na szyi czyjś oddech, po czym skulił się przerażony, gdy zobaczył, jak wielki człekokształtny cień znika w korytarzu. Miał już dość.

Nie był ani trochę religijny czy przesądny, toteż kompletnie odrzucał myśl, że ta niegroźna szafka może mieć jakąś duchową moc. Ale ilu z nas, pomimo wewnętrznej pewności czy rozsądku, i tak uniknie przechodzenia pod drabiną lub poczuje delikatny ucisk w piersi, kiedy drogę przetnie nam czarny kot? Najłatwiejszym rozwiązaniem dla Kevina było wyrzucenie szafki albo spalenie jej, nie mógł się on jednak pozbyć myśli: A co, jeśli to prawda? Jeśli szafka jest przeklęta? A jeżeli jej zniszczenie uwolni klątwę, która bez końca będzie dręczyć jego i wszystkich jego bliskich? Czy chciałby dźwigać takie brzemie przez resztę życia?

Nieco ponad trzy tysiące kilometrów dalej, w Kirksville w stanie Missouri, dwudziestojednoletni studenci Brian i Ioseph przechodzili między półkami miejscowego sklepu spożywczego, gdy Ioseph wspomniał o ciekawej skrzynce na sprzedaż, którą widział na eBayu. Mężczyźni studiowali na Uniwersytecie Stanowym Trumana i zajmowali razem mieszkanie niedaleko kampusu.

Niecałą godzinę później siedzieli już przed laptopem Briana, przyglądając się ogłoszeniu zatytułowanemu „Skrzynka dibuka”, które wystawił użytkownik o nicku nw-net-trade. Zaczynało się tak: „Wszystko, co przedstawię na tej aukcji, jest prawdą...”. Dalej w ogłoszeniu opisano wszystkie przerażające doświadczenia właściciela od czasu zakupu przedmiotu. Niestety Brian nie podzielał fascynacji Iosepha skrzynką i nie miał ochoty zapraszać jej do swojego życia, a bez Briana Ioseph nie był pewien, czy obecna cena – sto dolarów – wydaje mu się rozsądna. Ale im bardziej starał się zapomnieć, tym trudniej było mu to zrobić; uległ wrażeniu, że może szafka naprawdę jest nawiedzona. Po kilku dniach, gdy był sam w pokoju, zalogował się i zobaczył, że ogłoszenie zostało uzupełnione o aktualizację: „14 czerwca, 5.21: jeśli ktoś zastanawia się, czy wciąż zdarza mi się coś niezwykłego – myślałem, że wszystko jest w porządku, dopóki nie wróciłem do domu w piątek 13 czerwca i nie odkryłem, że rybki w moim słodkowodnym akwarium – wszystkie dziesięć – nie żyją”[8]. Nie dało się temu oprzeć. Ioseph wybrał przycisk licytacji, wpisał liczbę i kliknął.

Zaledwie tydzień później Brian wrócił do domu i zaraz poczuł, że mieszkanie cuchnie moczem. Poszedł za smrodem do salonu, gdzie ku swemu zaskoczeniu zobaczył tę samą szafkę, którą oglądał z Iosephem w internecie – tyle że tym razem miał ją przed sobą! Kiedy parę godzin później współlokator wrócił, zabrał mebel do swojego pokoju i zażartował do kolegi, by ten nasłuchiwał, w razie gdyby działo się coś dziwnego.

Noc minęła bez incydentów.

Brian pracował na pół etatu w Muzeum Osteopatii przy swoim uniwersytecie. Co poniedziałek zespół prowadzony przez dyrektora Jasona Haxtona miał spotkania, podczas których ustalano cele na dany tydzień, a pracownicy mieli okazję porozmawiać po weekendzie. Zwykle Brian milczał podczas tych sesji, wolał tylko słuchać

wypowiedzi innych. Ale w tym tygodniu w końcu sam mógł się czymś podzielić.

– Kupiliśmy nawiedzoną skrzynkę – powiedział.

Gdy te słowa dotarły do grupy, parę osób uniosło brwi i nerwowo się uśmiechnęło, ale Jason, który szczególnie interesował się „duchowym kontekstem dawnych dzieł sztuki”^[9], był zaintrygowany. zaproponował, że przyjrzy się skrzynce, bo sam chce ją zobaczyć, Brian nie był jednak pewien i obiecał tylko, że da mu znać, jeśli zauważy coś nietypowego.

Na to nie trzeba było długo czekać.

Zaczęło się od świateł. Podobnie jak w sklepie Kevina żarówki nagle zaczęły pękać albo wręcz wybuchać, nawet te dopiero co wymienione. Smród moczu, który zdaniem chłopców wydzielalo drewno, przestał unosić się przy szafce, a zaczął się pojawiać w różnych częściach mieszkania. Laptop Briana w niewyjaśniony sposób popsuł się w wyniku błędu krytycznego dysku twardego i pomimo prób jego naprawy okazało się, że nie da się nic z tym zrobić, a przyczyna awarii jest nieznaną.

Ioseph postanowił dokładniej zbadać, co właściwie kupił. Był przerażony tym, czego się dowiedział. Co prawda w ogłoszeniu Kevin zapisał słowo „dibuk” przez „i”^[10], ale – jak się okazało – dybuk to demon z żydowskiego folkloru, o którym często opowiadano historie mające przerażać dzieci. Ioseph odkrył jednak, że to nie tylko postać ze starej historyjki na dobranoc, ale „zagubiona dusza, która nie jest w stanie ani dosięgnąć Nieba, ani zejść do Piekła [...] Zły Duch”, który uczepia się niespodziewanie swojej ofiary niczym pasożyt, „powodując chorobę psychiczną, gniew i zmiany osobowości”^[11].

Ioseph zauważył też, że na tylnej ścianie skrzynki wyżłobiono kolejne hebrajskie słowa. Była to żydowska modlitwa, którą można przetłumaczyć tak:

„Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Panem jedynym. Błogosławione jest na zawsze imię Jego świętego królestwa”.

To często spotykane, dobrze znane słowa. Można je na przykład odmawiać, kiedy ktoś boi się o życie albo jest bliski śmierci.

Po sześciu tygodniach dziwnych zjawisk czterej pozostali współlokatorzy Iosepha i Briana wrócili z letnich wakacji. Poczuli obawę na myśl, że będą dzielić mieszkanie

ze skrzynką, która podobno jest nawiedzona. Po kampusie rozniosła się wieść i na krótko ich mieszkanie stało się popularnym miejscem spotkań dla odważnych i ciekawskich – ale wydarzenia szybko przybrały złowrogi obrót.



*Człowiek dręczony przez dybuka, rysunek Efraima Mojżesza Liliena z książki
Dybbuk (1908)*

Dwaj spośród współlokatorów zaczęli skarżyć się na swędzenie oczu. Kolejny zapadł na zapalenie oskrzeli, a Ioseph złamał sobie palec. Większość zaczęła ogarniać apatia, jakby coś wysysało z nich energię. Jednemu zepsuł się samochód, a po podniesieniu maski chłopak znalazł tam gromadę martwych myszy. Parę dni później biblijna plaga komarów pojawiła się w pomieszczeniu, gdzie była przechowywana skrzynka.

Na początku Ioseph usiłował nie ulegać przesądom. „To zwykły zbieg okoliczności – mówił sobie. – Seria zupełnie zwykłych wydarzeń, której nadano

zmyślony nadprzyrodzony kontekst ze względu na pojawienie się skrzynki”. Ale na zewnątrz widać było, że coś jest nie tak. Jego zachowanie stawało się coraz bardziej chaotyczne, a Brian i inni współlokatorzy zaczęli to zauważać. Pewność Iosepha słabła.

Po przerwie z okazji Święta Dziękczynienia współlokatorzy wrócili i z ulgą, ale też zaskoczeniem odkryli, że Ioseph wyjechał, zabrawszy ze sobą skrzynkę. I jakby nastąpił odpływ – zdawało się, że dziwne zdarzenia natychmiast ustąpiły. Smród moczu uleciał, nie było już niewyjaśnionych spięć elektrycznych, znikły owady.

Gdy Brian opowiadał o wszystkim w muzeum, Jason był nieodmiennie zafascynowany tematem. Poczł więc zawód, kiedy student zrezygnował z pracy pod koniec lata, by skupić się na nauce. Parę miesięcy później Jason zauważył go na widowni podczas swojego wykładu. Podszedł do niego, mając nadzieję, że dowie się więcej o szafce, ale ku swemu osłupieniu usłyszał, że Ioseph wyprowadził się parę tygodni wcześniej, a Brian nie widział od tamtego czasu ani jego, ani skrzynki. Jasona ogarnęło dziwne, głębokie poczucie straty, jakby właśnie wyśliznął mu się z dłoni pierścień z Rivendell.

Sześć tygodni później Jason dowiedział się od Briana, że Ioseph postanowił sprzedać skrzynkę.

Jason wolał nie wspominać o tym swojej żonie Lori z obawy, że nie będzie chciała mieć nic wspólnego z meblem, dlatego poprosił o radę swojego przyjaciela Michaela, który był także scenicznym magikiem amatorem. Michael zapalił się do pomysłu stworzenia przedstawienia z „nawiedzonym” przedmiotem w roli głównej i zaproponował, by wspólnie zrzucili się na zakup, co przekonało Jasona.

Na początku lutego 2004 roku Jason zalogował się na eBayu swoim nickiem agetron i znalazł przedmiot numer 3701347648, czyli aukcję, na której sprzedawana była „Nawiedzona przez dibuka żydowska szafka na wino”.

Czytając jej treść, Jason poczuł przypływ ekscytacji. W ogłoszeniu opisane było wszystko, o czym opowiadał Brian, w tym historia Kevina z pierwszej aukcji. Było też więcej:

„Mniej więcej 6 października zacząłem źle się czuć, mam problemy ze snem. Ten problem nie ustępuje do dziś.

Pojawiły się omamy, widzę jakby pionowe ciemne plamy na krawędzi pola widzenia.

Co najbardziej niepokojące, w ostatni wtorek (27 stycznia 2004 roku) zaczęły wypadać mi włosy. Do dzisiaj (piątku) wypadła ich mniej więcej połowa. Mam dwadzieścia parę lat, dopiero co zrobiłem sobie badanie krwi i wszystko jest w porządku. Może to przez stres, sam nie wiem”[12].

Opis wyglądał raczej na wołanie o pomoc, a nie ogłoszenie. Bez wątpienia życie Iosepha, który z niewiadomych przyczyn postanowił przeprowadzić się z powrotem do domu rodziców, w ciągu ostatnich miesięcy stawało się coraz bardziej mroczne i dziwne. Jason znowu zerknął na górę strony, przeczytał pierwotne ogłoszenie i znalazł tam znamienne słowa pierwszej właścicielki: „Pan ją kupił... My jej nie chcemy!”[13].

Palce Jasona na chwilę zawisły nad klawiaturą, a potem mężczyzna wpisał swoją ofertę: 99 centów. Wziął głęboki wdech i wcisnął przycisk licytacji, wiedząc, że niezależnie od tego, co będzie dalej, on sam na zawsze stanie się częścią mitu o skrzynce. Przez następnych kilka minut Jason siedział jak sparaliżowany. Z twarzą rozświetloną słabym poblaskiem komputerowego ekranu powoli zwiększał oferowaną kwotę, gdy zegar odliczał czas do końca aukcji, aż w końcu pojawiło się na nim zero. Jason odchylił się od ekranu i głęboko westchnął. Za drzwiami rozległ się odgłos zbliżających się kroków i po chwili pojawił się przy nim bardzo zdenerwowany Michael.

– To ty jesteś agetron, prawda? – spytał.

Jason się uśmiechnął.

– Tak.

Ioseph kupił skrzynkę za 140 dolarów, a Jason musiał wyłożyć ostatecznie 280 dolarów, by dostać ją w swoje ręce. Ale w tym wszystkim tkwił pewien szkopuł. Kiedy Jason napisał do Iosepha, by umówić się na dostawę, miał wrażenie, że właściciel skrzynki rozpląnął się w powietrzu. Po kilku e-mailach bez odpowiedzi Jason spróbował skontaktować się z rodzicami Iosepha, ale oni nic nie wiedzieli o tym, by ich syn miał coś wspólnego z przedmiotem.

Jason w końcu odebrał telefon od Briana, który zajął się doprowadzeniem

sprzedaży do końca, ponieważ Joseph w napadzie rozpaczyny błagał go, by kolega zabrał od niego skrzynkę. W następny wtorek czerwonoooki, rozkojarzony Brian pojawił się w gabinecie Jasona z dużym kartonowym pudłem. Innego dnia Jason być może zauważyłby rozpacz na twarzy Briana, a może zastanawiałby się, dlaczego chłopak chce opuścić budynek natychmiast po przekazaniu paczki i nawet się nie żegna – ale w tamtej chwili nie istniało dla niego nic poza skrzynką. Rozdzierając karton i odsłaniając zawinięty w folię bąbelkową okaz, poczuł niemal euforię. Stwierdził, że jest to przedmiot dobrze pasujący do swojego nowego otoczenia – będzie leżał w towarzystwie przerażających narzędzi do prymitywnych operacji mózgu, spreparowanych ludzkich układów nerwowych i portfeli z ludzkiej skóry[14].

Ponieważ Jason zgodził się, że nie otworzy paczki, dopóki Michael nie będzie mógł się pojawić, musiał oprzeć się pokusie aż do ósmej wieczorem – wówczas przyjaciel do niego dołączył. W upiornej ciszy pustego, niedoświetlonego gabinetu wysunął skrzynkę z pudełka. Po rozpakowaniu włożył parę białych rękawic muzealnych i przesunął dłonią po wierzchu, a potem sięgnął do uchwyty szuflady i pociągnął. Gdy szuflada się otworzyła, razem z nią rozchyliły się drzwiczki, odsłaniając ukryte wewnątrz skarby i uwalniając ostry zapach.

Mężczyźni kolejno ustawili różne przedmioty na rozłożonym błękitnym aksamicie, który Michael kupił specjalnie na tę okazję. Jason oświetlił skrzynkę lampą ultrafioletową – coś takiego robi się na przykład, gdy szuka się krwi w miejscu zbrodni, ale na skrzynce nie było widać niczego z wyjątkiem małej plamy wosku ze świecy. Wtedy Michael zauważył coś ciekawego: literę N wypisaną przy wewnętrznej prawej krawędzi. Jason zastanawiał się, czy jej znaczenie jest rytualne i czy w związku z tym konieczne jest ustawienie tej strony skrzynki w kierunku północnym. A może – pomyślał – to nie jest wcale N, ale hebrajski alef, pierwsza litera wszelkiego stworzenia, pierwszy element alfy i omegi, litera, której numeryczna wartość 111 symbolizuje to, co boskie, duchowe i fizyczne[15]. Taki sam symbol mężczyźni znaleźli na złotym pucharze. Tyle że puchar nie był złoty, jak przypuszczał Kevin, ale raczej mosiężny, pokryty warstwą srebra, która niemal całkiem starła się przez te z grubsza osiemdziesiąt lat, jakie upłynęły od czasu, gdy wykonano przedmiot.

Dostrzegając nowoczesną estetykę skrzynki i styl jej zasuw, Jason ocenił, że

powstała mniej więcej w latach pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych, ale gdy przyjrzał się przedmiotom rozłożonym na aksamicie – monetom, brzuszasztemu świecznikowi, dwóm puklom włosów i dziwnej granitowej figurce – nie był w stanie stwierdzić, do czego była używana. Na pewno żaden z tych przedmiotów nie był tradycyjnie kojarzony ze zjawiskami nadprzyrodzonymi czy praktykami okultystycznymi. Cokolwiek to było, nie przypominało niczego, co dotąd widział.

Kiedy Michael bliżej przyglądał się przedmiotom, Jason powoli zdjął jedną z rękawic i położył gołą dłoń na skrzynce, ale szybko ją cofnął. Niezwykłe – pomyślał. Tym razem zamknął oczy i jeszcze raz pogłodził skrzynkę. Znow ogarnęło go to samo uczucie. Miał wrażenie, że drewno się porusza, faluje niczym woda, nawet wibruje, jak gdyby żyło. Michael nie zauważył, jak Jason kuli się, wydając zduszony jęk, gdy ostry, przeszywający ból ściska go od środka i wędruje do żołądka. Na koniec mężczyźni zrobili kilka zdjęć, po czym postanowili włożyć przedmioty z powrotem do skrzynki i spakować ją.

Tej nocy, gdy Jason jest już w domu, jego powieki drgają i pulsują w wibracjach głębokiego snu fazy REM. Przez jego umysł przesuwają się mroczne, niepokojące obrazy: zdeformowane twarze przechodzące jedna w drugą, okropnie okaleczone, zranione i krwawiące. Pośród tego wszystkiego powraca obraz strasznej starej kobiety o ciemnych, zapadniętych oczach. Mężczyzna budzi się w ciemności, spocony i zdyszany. Jego żona Lori mocno śpi obok. Jason znow zamyka oczy i wkrótce przenosi się do małego domu towarowego. Tym razem inna, niegroźna starsza pani błaga go o coś i wskazuje na pustą skrzynkę będącą mniej więcej wielkości skrzynki dybuka.

Następnego ranka po przepłukaniu twarzy zimną wodą nad umywalką Jason zszokowany zauważył, że ma przekrwione, czerwone oczy. Minęło parę dni, a podrażnienie nie ustąpiło, w dodatku mężczyzna nie mógł się pozbyć z ust metalicznego posmaku ogarniającego wszystko, co jadł. Krztusił się nawet małymi łykami wody, a co najgorsze – nie mógł uwolnić się od ciągłego wrażenia, że coś utknęło mu w gardle.

Lekarz Jasona nie wykluczył, że cierpi on na dysgeuzję, zaburzenie zmysłu smaku, które mogło być spowodowane różnymi dolegliwościami. Ale Jasona to nie przekonało. Taka diagnoza wyjaśniała może posmak w ustach, który mężczyzna czuł teraz bez przerwy, ale nie stanowiła rozwiązania zagadki podrażnionych oczu czy trudności z przełykaniem, nie wspominając o tajemniczych skurczach żołądka. Wszystko wyraźnie wskazywało na to, że został otruty.

Metodyczny Jason zaczął analizować różne substancje i w końcu doszedł do wniosku, że jego objawy świetnie odpowiadają zatruciu amoniakiem. Poza dolegliwościami, z którymi się zmagał, kontakt z amoniakiem może skutkować halucynacjami, a także wrażeniem, że czuje się zapach moczu. W końcu wszystkie historie poprzednich właścicieli zaczęły nabierać sensu. Kiedy jednak Jason zbadał przedmioty, okazały się zupełnie czyste. Cokolwiek się z nim działo, nie miało żadnego związku z trucizną.

Tymczasem w muzeum zaczęły się dziać dziwne rzeczy. W całym biurze żarówki pękały, rozбивały się i wybuchały. Pogarszający się stan zdrowia Jasona także nie pozostał niezauważony. Brian, który wrócił do pracy w muzeum, pierwszy zwrócił się do szefa – stało się dla niego jasne, że to coś, co przyczepiło się do Iosepha, teraz skupiło uwagę na jego przełożonym. Pozostali pracownicy pełni obaw poprosili kolegę, by zabrał skrzynkę do domu.

Jedynym problemem była żona Jasona Lori. Gdy usłyszała o szafce od Erin, partnerki Michaela, wyraźnie zaznaczyła, że mężowi nie wolno zbliżać się z tym czymś do rodziny. Ponieważ Michael nie chciał zabrać skrzynki, a Jason nie zamierzał się z nią rozstawać, postanowił zanieść ją do domu w tajemnicy. Mógł tylko mieć nadzieję, że jeśli coś rzeczywiście się do niego „przyczepiło”, to zostawi jego rodzinę w spokoju. Wkrótce miał pożałować swojej decyzji.

Zaczęło się od nietypowych wahań temperatury. W niektórych częściach domu robiło się tak zimno, że członkowie rodziny widzieli własny oddech, nawet w środku lata. Koszmary Jasona stały się coraz intensywniejsze i bardziej przerażające, ale odtąd dziwne obrazy pojawiały się nie tylko we śnie. Któregoś wieczoru, gdy oglądał z trzynastoletnim synem telewizję w salonie, spozbrzegli dziwną falującą masę, jakby czarny ogień wspinający się po ścianie.

Następnego dnia wzburzony Jason zadzwonił do Steve'a Maassa, prezesa Grupy Badań nad Zjawiskami Paranormalnymi w Long Island (Long Island Paranormal Research Group). Kiedy Jason kupił skrzynkę, nie miał świadomości, jak wielkie zainteresowanie wzbudzi w internecie. Dziesiątki tysięcy ludzi z całego świata widziało, jak wygrał aukcję. Wiele osób później się z nim skontaktowało, chcąc wiedzieć, czy przydarzyło mu się coś dziwnego. Steve był jednym z pierwszych entuzjastów, którzy się do niego odezwali. Zrobił na Jasonie wrażenie swoją szczerością i obszerną wiedzą o podobnych przedmiotach. Steve cierpliwie wysłuchał opowieści Jasona o serii wydarzeń z ostatnich kilku tygodni, a potem wydał mrozący werdykt. Mężczyzna w taki czy inny sposób uwolnił coś, gdy otworzył skrzynkę, i teraz to coś jest z jego rodziną w domu.

Steve zasugerował, by Jason przeprowadził obrzęd uspokojenia z rozdziału XXII piętnastowiecznej księgi znanej jako *Większy Klucz Salomona*. W ramach rytuału konieczne jest złożenie ofiary demonowi. Tamtego wieczoru racjonalny, opanowany mieszkaniec Środkowego Zachodu stanął samotnie w kompletnej ciemności garażu, z dwoma puklami włosów ze skrzynki w ręce, mając nadzieję, że będą one wystarczającą ofiarą. Na kawałku papieru wypisał obietnicę, że w przyszłości przyniesie lepsze dary, i zawiązał to wszystko wokół sosnowej gałązki. Podpalił zapalniczkę i podstawił ją pod zawiniątko, by się zajęło. Gdy ogień zaczął płonąć, Jason powtórzył obietnicę: „przyniosę lepsze dary”. Kiedy płomień wygasł, mężczyzna wyszedł z ciemności garażu w czyste nocne powietrze, jak gdyby wynurzał się na powierzchnię. Tej nocy jego snów nie nawiedziły żadne groteskowe staruszki i w ciągu kilku następnych tygodni jego dolegliwości niemal całkiem zniknęły. Ponieważ wydawało się, że rytuał uspokojenia zadziałał, Jason znowu skupił uwagę na poszukiwaniu dalszych informacji o nawiedzonym artefakcie. Ale chociaż rozmawiał z licznymi ekspertami, od rabinów po historyków, nie dowiedział się wiele więcej ponad to, co już było mu wiadome. Człowiekiem, którego potrzebował, okazał się Kevin.

Dzięki pierwszemu ogłoszeniu na eBayu Jasonowi udało się dowiedzieć, że Kevin mieszka w Portland. Ponieważ niedługo miał się tam wybrać w podróż służbową, zaczął jeszcze intensywniejsze poszukiwania. Znalazł w książce telefonicznej jedną

osobę o nazwisku „Mannis” i zadzwonił pod podany numer. Okazało się, że należy on do siostry Kevina. Kobieta jednak nie chciała udzielić żadnych informacji o bracie ani mieć jakiegokolwiek związku z poszukiwaniami. Niezrażony Jason skorzystał z internetu i na stronie poświęconej genealogii odkrył, że Kevin miał babcię o imieniu Ethel, która zmarła parę lat wcześniej. Angażując do pomocy badacza, Jason znalazł dane kontaktowe innego krewnego Ethel, który zdradził intrygującą informację: babcia Kevina była żydowską imigrantką z Rosji, która dotarła do Stanów na początku XX wieku i zmarła mniej więcej w wieku 103 lat – podobnie jak przypuszczalna pierwsza właścicielka skrzynki, która, jak twierdził Kevin, była Żydówką przybyłą z Europy. Ethel fascynowała się też żydowskim mistycyzmem i kiszufem – rodzajem judaistycznych czarów.

Krewny był przekonany, że Ethel stała się inspiracją do stworzenia historii o skrzynce, którą Kevin z pewnością zmyślił. To wyznanie rozczarowało Jasona, ale parę dni później wydarzyło się coś niezwykłego, kiedy ten sam krewny wysłał Jasonowi e-mailem zdjęcie Ethel. Kiedy mężczyzna otworzył załącznik, wpatrywała się w niego staruszka widziana w snach, ta sama, która stała w domu towarowym i wskazywała na puste pudełko. Okazało się, że Ethel była też właścicielką domu towarowego.

Kiedy Jason w czerwcu pojechał do Portland, był już bliski rezygnacji z rozmowy z Kevinem, ale podjął ostatnią próbę odnalezienia go. Przeglądając dokumenty w miejscowym urzędzie, znalazł numer telefonu. Tego wieczoru zadzwonił z hotelu. Telefon odebrała kobieta. Zapewniła go, że nie mieszka tam nikt o imieniu Kevin, ale Jason nie uwierzył.

– Proszę mu przekazać – powiedział – że dostanie sto pięćdziesiąt dolarów, jeśli tylko zadzwoni do mnie do hotelu.

Kobieta po drugiej stronie odpowiedziała, że zobaczy, co da się zrobić, a potem się rozłączyła.

Zbliżała się północ, kiedy w końcu telefon zadzwonił. Kevin otrzymał wiadomość. Mężczyźni spotkali się następnego dnia i Jason opowiedział Kevinowi o tym, jak skrzynka dybuka wpływała na jego życie i co zrobił, żeby to przerwać. Wyjaśnił ku zaskoczeniu Kevina, że szafka stała się swego rodzaju internetową sensacją – pierwsze

ogłoszenie na eBayu wyświetlone zostało ponad 140 tysięcy razy. Jeśli chodzi o Kevina, przez ostatni rok nie miał się najlepiej. Jak wyznał Jasonowi, w ogłoszeniu na eBayu pominął informację, że w dniu, w którym jego matka dotknęła skrzynki, doszło nie tylko do jej udaru. Tego samego dnia FBI bez wyjaśnienia zrobiło nalot na jego sklep. Liczni agenci i policjanci pojawili się w Addy's Market i z niewiadomych przyczyn skonfiskowali wszystkie urządzenia elektryczne z kartami pamięci. Parę miesięcy później przedmioty zwrócono Kevinowi, nie wyjaśniając powodów nalotu ani nikogo nie aresztując. Kiedy właściciel lokalu dowiedział się o incydencie, Kevin był zmuszony zamknąć sklep. Od tego czasu mężczyzna miał trudności ze znalezieniem zatrudnienia.

Na szczęście kiedy pozbył się skrzynki, zdrowie jego matki znacznie się polepszyło, ale skrzynka coś po sobie zostawiła: te dziwne wizje i sny tak naprawdę nigdy nie zniknęły. Jason był zaniepokojony historią o policyjnym nalocie – brzmiało to kompletnie nierealnie, ale nie podawał w wątpliwość dziwnych wizji, bo sam znał je aż za dobrze. Tego popołudnia Kevin zabrał Jasona do Addy's Market, swojego dawnego sklepu, oraz na żydowski cmentarz, gdzie podobno pochowano pierwszą właścicielkę skrzynki. Próbowali też odszukać dom, w którym Kevin kupił przedmiot, ale zrobił się wieczór, a Jason miał lot powrotny, więc Kevin obiecał, że postara się znaleźć rodzinę pierwszej właścicielki.

Następnych kilka miesięcy w domu Haxtonów na szczęście mijało bezproblemowo, aż w końcu któregoś ranka pod koniec września Jason znalazł małą, brązową mysz gnijącą pod siedzeniem w samochodzie. Gdy parę dni później przywiózł dzieci ze szkoły, wszyscy poczuli, że w całym domu cuchnie odchodami. Woda z jednej z toalet została całkowicie odessana, dlatego docierał do nich smród prosto z miejskiej kanalizacji. Pracownicy miejskiego zakładu wodociągowo-kanalizacyjnego oznajmili Jasonowi kategorycznie, że tak silne zassanie jest niemożliwe. W tym momencie mężczyzna zauważył w lustrze swoje przekrwione oczy, a także wysypkę, która znowu zaczęła pokrywać jego ciało. Kiedy zakasłał, usta wypełnił mu znajomy obrzydliwy metaliczny smak – może to krew? Jasona ogarnęła przerażająca pewność, że to coś wróciło.

Najwyraźniej zakłęcie uspokajające Steve'a, o ile w ogóle podziałało, zaczęło tracić

moc. Jason podobnie jak Kevin wahał się, czy powinien tak po prostu sprzedać skrzynkę albo ją zniszczyć. Obawiał się, że aby uwolnić się od klątwy, potrzeba czegoś bardziej znaczącego. Tym razem poprosił o radę swoją przyjaciółkę Tracey, wyznawczynię religii wicca, która także skontaktowała się z nim na początku, oferując pomoc.

Następnego ranka Jason wstaje wcześnie. Uważając, by nie obudzić żony i dzieci, zabiera skrzynkę dibuka z nieużywanego pokoju i zanosz ją do mieszkania obok, które razem z Lori kupili parę miesięcy wcześniej i które wciąż jest w remoncie. W piwnicy są małe drzwi prowadzące do pogrążonego w kompletnej ciemności korytarza technicznego przechodzącego w ukryty pokój. Jason, niosąc ze sobą także zestaw ziół i fioletową świecę, jak nakazała mu Tracey, popycha skrzynkę przez korytarz do drugiego pokoju.

Zapala latarkę i oświetla prowizoryczny ołtarz, który sklecił wcześniej ze sklejki i pustaków. Umieszcza skrzynkę obok niego, a po drugiej stronie stawia świecę. Z torby z ziołami wyciąga sól morską, na ołtarzu rysuje kwadrat z kołem w środku, a następnie krzyż, kreśląc w ten sposób cztery kierunki kompasu. Cztery rogi posypuje suszoną bazylią, środek – szałwią, a na tym stawia świecę. Latarka gaśnie.

Trwając w ciemności, Jason przez chwilę zbiera się w sobie, a potem pociera zapalką o draskę i zapala świecę. W słabym świetle pali suszoną szałwię nad ołtarzem i macha nią trzykrotnie okrężnym ruchem. Gdy wykonuje ten ruch i wdycha aromatyczny dym, uroczyście wypowiada słowa zgodnie z instrukcją Tracey:

Uwielbiona Hekate, obrończyni słabych
chroniąca tych, co boją się mocy zła,
dla których każdy krok w ciemność pełen jest lęku,
modłę się do ciebie, proszę o twoją przychylność. Hekate,
która dobrze wiesz o wszystkim, czego boimy się my, śmiertelnicy,
która dobrze wiesz, jak odpędzić wszelką chorobę,
proszę o twoje błogosławieństwo. Bogini, chroń mój dom
i moją rodzinę od zła, strzeż nas czujnie
pośród wszystkiego, co chce nas skrzywdzić. Bogini, powstrzymaj

zło ciemności, daj mi mądrość i odwagę,

bym mógł stawić czoła swoim lękom i wrogom z otwartymi oczami[16].

Płomień świecy rozbłyska, gdy Jason przesuwając ją na bok i stawia skrzynkę na ołtarzu, nad bazylią, solą i szałwią, szepcząc niezbędne słowa: „Zostaniesz powstrzymany, zostaniesz powstrzymany, zostaniesz powstrzymany”. Powiew wiatru przemyka przez piwnicę, a potem wszystko nieruchomieje. Jason wychodzi na czworakach z pokoju i patrzy na skrzynkę ostatni raz, po czym zabija gwoździami drzwiczki.

Po zakończeniu rytualnej kąpieli w ziołach i słonej wodzie Jason wraca do piwnicy na drugą część zaklęcia. Zapaliwszy dwie świece, tym razem usypuje wokół siebie krąg soli. Uważając, by nie wyjść poza narysowaną przestrzeń, zapala kolejne gałązki szaławii i trzy razy zakreśla koło po obwodzie okręgu z soli, po raz kolejny wzywając boginię Hekate. Spaloną gałązką szaławii pisze na kawałku papieru słowa wygnania: „Wszystkie blokady zostały usunięte”, zawija papier wokół szaławii i podpala zawiniątko[17]. Kiedy ogień się wypala, Jason wykonuje kolejne trzy okrężne ruchy jedną ze świec, zamyka oczy i zdmuchuje płomień.

Wraca do domu na drugą rytualną kąpiel. Gdy wchodzi do gorącej, pachnącej ziołami wody i wciąga w płuca orzeźwiający zapach bazylii, natychmiast czuje się lżejszy. Ale gdy pozwala ciału się rozluźnić, jego żołądek ściska przeszywający ból. W agonii, z wysiłkiem Jason wynurza się z wanny i pada na podłogę. Klęka na czworakach, zaczyna mieć odruch wymiotny. Coraz intensywniejszy ból wędruje od jego żołądka ku gardłu. Jason zaczyna się krztusić i z trudem chwyta powietrze. Wtedy, jakby ktoś wyrwał to z jego wnętrza, z ostatnim westchnieniem wyrzuca z ust ciemną, „jakby śluzowatą maź”[18]. Gdy ból w końcu mija, Jason opiera się o wannę wyczerpany.

Zainspirowany materiałami użytymi do budowy Arki Przymierza opisanej w biblijnej Księdze Wyjścia[19], Jason każe formalnie pogrzebać skrzynkę, zamykając ją w pozłacanej arce wykonanej z drzewa akacjowego, bo ostrożności nigdy za wiele. Od czasu rytuału mężczyzna nie doświadczył już żadnych strasznych wydarzeń, ale pytanie o pochodzenie skrzynki dibuka pozostało bez odpowiedzi.

Minęło kilka miesięcy od czasu, gdy Kevin obiecał Jasonowi, że znajdzie rodzinę Haveli, a jego milczenie stawało się coraz bardziej tajemnicze. Nie uszło uwagi Jasona, że trudność z odnalezieniem pierwotnego miejsca sprzedaży tamtego letniego popołudnia w Portland była nieco zbyt dużym zbiegiem okoliczności. Mężczyzna zaczął nawet wątpić w całą opowieść Kevina, gdy ten w końcu się odezwał. To, co miał do powiedzenia, było warte oczekiwania.



Skrzynka dibuka zamknięta w arce, którą Jason kazał wykonać na zamówienie

Kevin odnalazł rodzinę kobiety przez firmę aukcyjną, która zajmowała się sprzedażą, i przy pierwszej okazji pojechał na spotkanie. Gdy zadzwonił do drzwi, powitała go znajoma twarz dawnej koleżanki z klasy, która – jak się okazało – była drugą wnuczką Haveli, pierwszej właścicielki skrzynki. Wiedziała o przedmiocie, ale szybko stało się jasne, że dla niej był to tylko powód do żartów. Nawet gdy Kevin opowiedział jej o zdarzeniach kilku ostatnich lat, szybko przekonał się, że marnuje

czas, i odwrócił się do wyjścia. Wtedy właśnie zawołał go inny głos.

– Wybrały pana – powiedziała kobieta.

Kevin odwrócił się i zobaczył w drzwiach obok dawnej koleżanki kruchą staruszkę. Wyciągała w jego stronę chudy, kościsty palec.

– Kto mnie wybrał? – spytał Kevin.

– Dybuki z demonicznej strony – odpowiedziała.

Wnuczka Haveli przedstawiła starszą panią jako ciotkę Sophie. Razem zaprosiły Kevina do środka. Gdy młodsza z kobiet przygotowywała herbatę, Kevin i Sophie zajęli krzesła na patio w ogrodzie. Po chwili milczenia Sophie odwróciła się do Kevina i szczerze przeprosiła za wszystko: od wydarzeń drugiej wojny światowej po tajemnicze, niekorzystne wahania na giełdzie, a także za wiele innych potworności, do których doszło w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat. *Oni* za to wszystko przepraszali.

Sophie dalej wyjaśniała Kevinowi, że zaczęło się od seansu, który odbył się wiele lat wcześniej. Był to pomysł Haveli, który narodził się wobec potworności antysemityzmu późnych lat trzydziestych XX wieku, którego codziennie doświadczali polscy Żydzi. Potworności te z każdym kolejnym dniem stawały się coraz mroczniejsze i straszniejsze. W pewnym momencie poskutkowały śmiercią dzieci i męża Haveli[20]. Zdeterminowana, by się temu przeciwstawić, Havela pewnego wieczoru zaprosiła do swojego domu grupę przyjaciółek, między innymi matkę Sophie. Kiedy kobiety przyszły, zobaczyły przygotowany stół przykryty serwetą ze słowami „Tak” i „Nie”, a także cyframi od 0 do 9 i wszystkimi literami alfabetu. Havela wyjaśniła następnie, iż wezwała koleżanki w nadziei, że uda się wezwać duchy, które ochronią je i ich społeczność przed osaczającymi je coraz bardziej zagrożeniami faszyzmu.

Tamtej nocy kobietom udało się wywołać różne duchy pochodzące z nieokreślonych miejsc i mające nieokreśloną formę. W ciągu kilku kolejnych tygodni przyjaciółki nadal spotykały się i prosiły o rady te same duchy, ale nie minęło wiele czasu, gdy zaczęły bać się tego, co przywołały na swój świat. Istoty zaczęły się robić niespokojne, domagały się uwolnienia, by móc lepiej realizować swoje zadanie, ale coś w ich tonie niepokoiło kobiety.

Uknuły plan, by wygnać je na dobre.

Nad ranem 9 listopada 1938 roku Havela i jej przyjaciółki ostatni raz zasiadły wokół stołu. Na obrusie z planszą ouija stała mała drewniana skrzynka wyglądająca jak żydowska szafka na wino. Kobiety chciały zwabić do niej duchy i zamknąć je tam na zawsze. Coś jednak poszło nie tak i duchy uciekły. Matka Sophie była przekonana, że ta noc doprowadziła do wszystkich tragedii, jakie potem dotknęły ludzkość. Sophie twierdziła, że pierwsza skrzynka została zniszczona w czasie wojny. Ta kupiona przez Kevina została wykonana przez Havelę nieco później, w Portland. Kobieta chciała na nowo schwytać złe duchy.

Po wysłuchaniu Kevina Jason nie był pewien, co myśleć. To była niewiarygodna historia, a on nie mógł zaprzeczyć prawdziwości własnych potwornych przeżyć. Jednak Jason miał dziwne przeczucie co do historii Kevina; coś mu tu nie pasowało. Zwłaszcza jedna rzecz nie do końca mu się podobała: powtarzana przez Kevina informacja, że całkowicie niewyjaśniony nalot FBI wydarzył się dokładnie tego samego dnia, w którym jego matce pokazano skrzynkę i w którym doznała ona udaru.

Któregoś ranka Jasonowi udało się znaleźć stary artykuł w gazecie „The Oregonian”. 8 lipca 1998 roku gazeta opisywała serię akcji policyjnych w całym Portland tydzień wcześniej. W tym czasie, jak wyjaśniono w artykule, kilka małych okolicznych sklepów sprzedawało skradzione towary. Jednym z tych sklepów był Addy’s Market, jeszcze zanim kupił go i zaczął prowadzić Kevin. Czy opisany przez Kevina nalot mógł mieć uzasadnienie? Być może celem operacji było powtórne sprawdzenie sklepu?

Jeśli ten mało prawdopodobny element historii był prawdziwy, to dlaczego inaczej miałyby być z jej resztą? Zdarzały się przecież dziwniejsze rzeczy...

Obejrzałem wcześniej w sieci parę filmików, w których wypowiadał się Jason, więc podczas rozmowy przez Skype’a zrobił na mnie dokładnie takie wrażenie, jakiego się spodziewałem: bystry, uprzejmy, interesujący i mający w sobie coś, w czym dziś rozpoznaję typowy urok i życzliwość ludzi ze Środkowego Zachodu. Mówiąc krótko, ma wszystkie cechy, jakich można by się spodziewać po kuratorze muzeum osteopatii przy uczelni. Rozmawiamy przez prawie dwie godziny. On siedzi w swoim gabinecie

otoczony licznymi miłymi dla oka zdjęciami rodzinnymi. Szybko odnoszę wrażenie, że Jason nie jest kimś, kto łatwo ulega przesądom, a jego otwartość i zainteresowanie skrzynką wynikają raczej ze szczerzej ciekawości niż z żądzy sensacji i obsesji na punkcie zjawisk nadprzyrodzonych. Co oczywiście sprawia, że jego opowieść jest jeszcze bardziej zadziwiająca.

Pierwszy raz trafiłem na historię skrzynki dibuka po obejrzeniu filmu *Kronika opętania* wyprodukowanego przez Sama Raimiego. Byłem zaskoczony, gdy odkryłem, że film jest oparty na faktach. Niedługo potem zacząłem przeglądać stronę internetową Jasona[21]. Parę dni później, gdy wciągnąłem się w lekturę jego książki *The Dibbuk Box* (Skrzynka dibuka), można było śmiało powiedzieć, że ogarnęła mnie lekka obsesja. Jak to się często zdarza w przypadku takich historii, pierwszym, co mnie uderzyło w tej opowieści, była liczba osób twierdzących, że przeżyły podobne potworności, choć niewiele mogły zyskać, dzieląc się swoimi doświadczeniami. Nie umknęło mojej uwadze, że Kevin sprzedał skrzynkę na eBayu – to idealna platforma, gdy chce się usnuć szaloną, fascynującą historię mającą pobudzić zainteresowanie przedmiotem, który w innym przypadku byłby mało ciekawy. Jason twierdził jednak coś podobnego, a ja nie miałem powodów, by wątpić w jego szczerść. Jak zaznacza w książce, z chęcią przyzna, że w rzeczywistości skrzynka nie miała cech nadprzyrodzonych, niemniej on naprawdę doświadczył rzeczy, które czasami go przerażały – rzeczy, które, jak twierdzili inni mający kontakt z przedmiotem, miały na niego namacalny, fizyczny wpływ.

Pewnej środowej nocy w czerwcu 1962 roku liczne amerykańskie media opisały tajemniczą epidemię, z którą zmagali się pracownicy zakładu włókienniczego w miasteczku Strongsville w Ohio. Łącznie sześćdziesiąt dwie osoby dotknęła tajemnicza choroba spowodowana – jak się zdawało – ukąszeniami owadów. Jeden z pracowników opowiadał: „...mały owad atakuje skórę, zostaje ślad podobny do ukąszenia komara. Mniej więcej po dwudziestu minutach ofiara ma gwałtowny napad mdłości”[22].

Nigdy jednak nie znaleziono żadnego owada ani innej przyczyny incydentu. Jak twierdzi socjolog Alan C. Kerchoff, było tak dlatego, że żadnego owada nie było.

Uważa on za to, że dolegliwości były skutkiem zbiorowej choroby psychogenicznej (*mass psychogenic illness*, MPI). MPI tym się różni od szerzej i lepiej znanego zjawiska zbiorowej hysterii, że skutkuje autentycznymi objawami fizycznymi – to jego cecha wspólna z innym zjawiskiem, które jest teraz coraz poważniej traktowane przez środowisko medyczne.

Lekarz Walter Kennedy ukuł termin „nocebo” w 1961 roku na podstawie badań harwardzkiego naukowca Waltera Cannona z 1940 roku, w których ten zajmował się siłą sugestii w praktykach wudu. Nocebo odnosi się do „nieszkodliwej substancji lub kuracji, która przyjmowana przez pacjenta lub podawana mu jest kojarzona ze szkodliwymi skutkami ubocznymi [...] wynikającymi z negatywnych oczekiwań lub dolegliwości psychicznych pacjenta”[23]. Efekt nocebo, przeciwieństwo lepiej znanego efektu placebo, pokazuje, jak sama siła psychiki może negatywnie wpłynąć na ludzki organizm, jeśli będzie on wystarczająco przekonany, że coś mu szkodzi.

Szczególny przykład efektu nocebo wykazano w badaniu z 2017 roku przeprowadzonym przez doktora Petera Severa z Imperial College London. Zbadał on pozorne negatywne skutki uboczne zażywania statyn – leku często przepisywanego osobom po pięćdziesiątce poprawiającego pracę serca poprzez obniżenie cholesterolu LDL. Statynom coraz czujniej przyglądali się lekarze – martwiło ich to, że są zbyt powszechne, biorąc pod uwagę liczbę pacjentów zgłaszających niepokojące skutki uboczne po ich zażywaniu.

Badanie doktora Severa wykazało, że te skutki uboczne, związane głównie z bólami mięśniowymi, były prawdziwe, ale nie miały związku z lekiem. Odkrył on, że pacjenci odczuwali je tylko wtedy, gdy mieli negatywne oczekiwania związane z przyjmowaniem leku. Zasadniczo to ich wyobraźnia przywołała te objawy. Co ważne, Sever zaznacza:

To nie sytuacja, w której ludzie zmyślają objawy albo „wydaje im się”, że ich doświadcza. Pacjenci mogą doświadczać realnego bólu wskutek efektu nocebo i oczekiwań, że leki im zaszkodzą... Badanie wykazuje, że to właśnie oczekiwanie szkodliwości prawdopodobnie powoduje nasilenie bólu mięśni i osłabienie, nie zaś same leki[24].

Należy zauważyć, że fakt, iż jesteśmy w stanie samą wyobraźnią wywołać negatywne objawy biologiczne, nie oznacza, że zdołamy nią odpędzić fizjologiczne problemy, na przykład komórki raka. Narzuca się jednak pytanie: Jeśli organizm jest w stanie sam sobie zadać fizyczny ból w wyniku wymyślonego niebezpieczeństwa, to jakie mogą być granice takiej autoagresji? Czy to możliwe, że wszystkie dolegliwości dotyczące różnych właścicieli skrzynki dibuka: halucynacje, szczypanie i zaczerwienie oczu, oparzenia i ataki krztuszenia, były w pewnym sensie rzeczywiście wywołane przez ducha – ducha umysłu? Może to sama wiara w złego ducha, której katalizatorem stały się mity narosłe wokół skrzynki, jej wyraźne powiązania z żydowskim mistycyzmem i głęboko zakorzeniony w kulturze lęk przed tym, co demoniczne, sprawiły, że Jason, Ioseph i Kevin powołali do życia coś, co rzeczywiście im zagrażało? Może to wydumany pomysł, ale czy przez większość codziennego życia nie mają na nas ciągłego wpływu iluzoryczne, abstrakcyjne idee niosące fizyczne konsekwencje w rzeczywistości?

Termin „hipersąd” (*hyperstition*) został ukuty w latach dziewięćdziesiątych XX wieku przez grupę filozofów znaną jako Jednostka Badawcza Kultury Cybernetycznej (Cybernetic Culture Research Unit – więcej opowiem o niej w rozdziale 9). W odróżnieniu od przesądu (*superstition*), odnoszącego się do błędnego wierzenia, hipersąd – choć tak naprawdę to bardziej złożona kwestia^[25] – jest zasadniczo wierzeniem, które podobnie jak ezoteryczny myślokształt czy też egregor może „przez samo swoje istnienie jako idei stać się przyczyną własnego urzeczywistnienia się”^[26]. Kiedy hipersąd zostaje zbiorowo uznany za stały element rzeczywistości, może nas uwięzić, bo nie opieramy się już na „rzeczywistej” prawdzie, a jedynie na prawdzie, jaką „znamy”. Gdy spojrzeć na to głębiej, hipersądy pokazują, jak całe nasze życie może zostać zdominowane przez systemy, które istnieją tylko dlatego, że w nie wierzymy.

Weźmy na przykład pod uwagę sposób działania giełdy lub abstrakcyjny czy względny charakter „wartości” czegoś w ogóle. Można by przekonywać, że kiedy akcje zostają wypuszczone do obiegu na rynku finansowym, na początku dochodzi do transakcji „prawdziwymi” pieniędzmi, które otrzymuje firma wypuszczająca akcje. Ale firma, która kupiła te akcje, nie posiadała w ten sposób niczego, co ma wartość samą

w sobie. Zasadniczo jest to iluzja wartości – wartość wzrośnie lub zmaleje w zależności od popytu, ale tym popytem steruje często niewiele więcej niż tylko wiara w przyszły sukces firmy. Jeśli chce się sprzedać akcje za gotówkę, którą będzie można na coś wydać, inni ludzie także będą musieli wierzyć w iluzję ich wartości. Zasadniczo cała giełda, ten hipersąd, na którym opiera się znaczna część światowej gospodarki, istnieje tylko dopóty, dopóki ludzie są gotowi w nią wierzyć. Gdyby jutro wszyscy uznali, że nie uważają jej już za prawdziwą, akcje będące w obiegu – ponieważ nie są już finansowo powiązane z firmą, która je wypuściła (chyba że firma ta kupiła własne akcje) – zniknęłyby bez widocznego natychmiastowego wpływu na konto bankowe firmy, którą nominalnie reprezentują.

Mówiąc inaczej, jeśli wystarczająco dużo ludzi jest gotowych wierzyć w świat, w którym występują starożytne demoniczne istoty, i podsycając tę wiarę, snuć spekulacje, że istnieje skrzynka zamieszkiwana przez jedną z takich istot, to niezależnie od tego, w co się wierzy, pewnie lepiej dwa razy się zastanowić, zanim się ją otworzy...

Gdy zakończyłem rozmowę przez Skype'a z Jasonem, on życzliwie zaoferował, że mogę u niego przenocować, gdybym kiedyś chciał go odwiedzić. Raz jeszcze uderzyła mnie szczerść i otwartość tego uprzejmego nieznajomego. Naprawdę mam nadzieję, że kiedyś skorzystam z jego propozycji. Ale gdy mu podziękowałem, ogarnęła mnie niepokojąca myśl. Ponieważ – cokolwiek to znaczy – teraz byłem już częścią historii skrzynki dibuka i mimo woli poczułem lekki niepokój. Ponieważ niezależnie od tego, czy skrzynkę rzeczywiście zamieszkiwał niepojęty demon, czy został on cynicznie zmyślony, by nabrać naiwniaków, w taki czy inny sposób ktoś powołał go do życia. Prawdziwe czy też nie, przerażające możliwości tego nieożywionego pudełka pełnego nieożywionych przedmiotów znalazły się we wspólnej przestrzeni naszej wyobraźni. A jeśli ja jestem częścią tej historii, to ty, po jej przeczytaniu, też nią jesteś...

Następnego dnia uderzył mnie ostry zapach, który zdawał się przenikać wszystkie pomieszczenia w naszym mieszkaniu. Nie dało się go z niczym pomylić. Koci mocz. Mamy w mieszkaniu koty, ale żaden z nich nigdy nie sikał w domu ani niczego nie opryskiwał, ponieważ są wysterylizowane. Byłem coraz bardziej zaniepokojony, gdy

wyszedłem z mieszkania do pracy i wsiadłem do autobusu 243, a zapach wciąż podążał za mną. Przez chwilę czułem, jak coś mnie ściska – jakbym znalazł się na psychologicznej krawędzi i gdybym sobie na to pozwolił, mógłbym za nią spaść. Zapach stał się już wtedy nieznośny. Ponieważ inni pasażerowie nie chcieli obok mnie siadać, a okna autobusu otwierały się w rytmie kaskady kostek domina, stało się jasne, że nie tylko ja go czuję. Powąchałem swoje ubrania, ale nie wyczułem na sobie słodkawego przenikliwego smrodu. Wtedy podniosłem do nosa torbę. Cuchnęła.

Przyznaję, że późniejszy powrót do domu w ciemności był niepokojącym doświadczeniem. Tym bardziej że niewyraźny kształt wynurzył się nagle z salonu i przemknął do kuchni, a po chwili rozległ się łoskot przy tylnych drzwiach. Zapach moczu był teraz jeszcze intensywniejszy.

Gdy zapaliłem światło, znalazłem przyczynę: dużego, czarnego dachowca, który utknął w popsutych kocich drzwiczkach.

[1] R. Sheffield, *100 Greatest TV Shows of All Time*, „Rolling Stone”, 21 września 2016, www.rollingstone.com/tv/lists/100-greatest-tv-shows-of-all-time-w439520/lost-w439598 (dostęp: 8.03.2019).

[2] J.J. Abrams, *The Mystery Box* (plik wideo), 2007, www.ted.com/talks/j_j_abrams_mystery_box/transcript?language=en (dostęp: 8.03.2019).

[3] Producenci *Zagubionych* zataili główny koncept serialu aż do ostatnich odcinków szóstego sezonu.

[4] Naprawdę zadziwiające przedstawienie tego zjawiska można znaleźć w filmie, w którym profesor Jim Al-Khalili wyjaśnia doświadczenie Younga w ramach wykładu dla Royal Institution ogłoszonego w 2013 roku. Film można znaleźć na profilu Royal Institution w portalu YouTube: www.youtube.com/watch?v=A9tKncAdlHQ (dostęp: 8.03.2019).

[5] Chociaż w zamierzeniu Schrödingera eksperyment ten miał obalić interpretację kopenhaską, jest to fajny sposób wizualizacji jednego z jej głównych założeń.

[6] Należy podkreślić, że żadne koty nie ucierpiały w tym eksperymencie, ponieważ kot jest tak naprawdę metaforą cząstek subatomowych...

[7] Oryginalne ogłoszenie Kevina Mannisa na eBayu, *Dibbuk Box*, za: J. Haxton, *The Dibbuk Box*, Kirksville 2012, s. 6.

[8] Tamże, s. 13.

[9] Tamże, s. 19.

[10] Ze względu na błąd w pisowni ta konkretna skrzynka kupiona przez Kevina Mannisa znana jest jako „Dibbuk Box” – skrzynka dibuka.

[11] J. Haxton, *The Dibbuk Box*, dz. cyt., s. 20.

[12] Oryginalne ogłoszenie Iosepha na eBayu, za: J. Haxton, *The Dibbuk Box*, dz. cyt., s. 26.

[13] Oryginalne ogłoszenie Kevina Mannisa na eBayu, *Dibbuk Box*, za: J. Haxton, *The Dibbuk Box*, dz. cyt., s. 27.

[14] J. Lussenhop, *Devil's Wine Box. Missouri's Tie to "The Possession"*, „Riverfront Times”, 30 sierpnia 2012, www.riverfronttimes.com/stlouis/devils-wine-box-missouris-tie-to-the-possession/Content?oid=2500991 (dostęp: 8.03.2019).

[15] P. Coelho, *Mysteries of Aleph*, „Paulo Coelho Blog”, 3 stycznia 2012, paulocoelhoblog.com/2012/01/03/misteries-of-aleph (dostęp: 8.03.2019).

[16] Hearthstone, *In Praise of Olympus. Prayers to the Greek Gods*, lulu.com, 2012, s. 224.

[17] J. Haxton, *The Dibbuk Box*, dz. cyt., s. 117.

[18] Tamże.

[19] Tamże, s. 142.

[20] Niezależnie od prawdziwości historii Kevina nie ulega wątpliwości, że ludność żydowska w Polsce ucierpiała ogromnie wskutek Holokaustu i antysemickiej polityki. Nawet jeśli pominąć liczne formy codziennej dyskryminacji, oszacowano, że w 1939 roku populacja Żydów w Polsce wynosiła mniej więcej 3 474 000 osób. Szacuje się, że w czasie Holokaustu zamordowano około 3 milionów.

[21] www.dibbukbox.com (dostęp: 8.03.2019).

[22] A.C. Kerchoff, *Analyzing a Case of Mass Psychogenic Illness*, w: *Mass Psychogenic Illness. A Social Psychological Analysis*, red. Colligan i in., Mahwah 1982, s. 5–19.

[23] *Nocebo*, słownik internetowy Merriam-Webster, www.merriam-webster.com/dictionary/nocebo (dostęp: 8.03.2019).

[24] M. Caffrey, *Lancet Study Highlights "Nocebo" Effect of Statins*, „American Journal of Managed Care”, 3 maja 2017, www.ajmc.com/newsroom/no-rise-in-side-effects-from-statins-when-patients-dont-know-theyre-taking-them-lancet-finds (dostęp: 8.03.2019).

[25] Zainteresowanym polecam na początek film *Hyperstition* z 2015 roku w reżyserii Christophera Rotha stworzony we współpracy z Armenem Avanesianem. Można go wypożyczyć przez stronę hyperstition.org.

[26] D. Carstens, *Hyperstition*, „Xenopraxis” 2010, xenopraxis.net/readings/carstenshyperstition.pdf (dostęp: 8.03.2019).

Rozdział trzeci

Z LASU W CIEMNOŚĆ

Znaleźliśmy dziwny ślad na wybrzeżach nieznanego.

Arthur Eddington, *Space, Time and Gravitation*

Od początku ludzkiej historii zapisujemy opowieści o dziwnych zjawiskach na niebie, o bogach i potworach przychodzących sponad nas, którzy albo nam grożą, albo nas chronią. Ze współczesnego punktu widzenia, po odrzuceniu elementów wierzeń religijnych i przesądów w wielu spośród tych opowieści można rozpoznać historie o „niezidentyfikowanych obiektach latających”. Termin „latające talerze” – tak o nich mówiono, zanim nazwa „UFO” rozpowszechniła się w latach pięćdziesiątych XX wieku^[1] – pochodzi podobno z artykułu prasowego z 1878 roku zawierającego relację teksańskiego farmera Johna Martina. Gdy Martin pracował któregoś ranka na swojej farmie, podobno zobaczył duży obiekt przypominający talerz, który leciał przez niebo z „niebywałą prędkością”^[2]. Jednak dopiero latem 1947 roku „latające talerze” naprawdę wdarły się do zbiorowej wyobraźni. W lipcu tego roku amerykański pilot rekreacyjny Kenneth Arnold twierdził, że leciało za nim dziewięć „przypominających talerze” obiektów, gdy podróżował swoim samolotem nad Mount Rainier w stanie Waszyngton. W świecie wciąż ogarniętym głęboką traumą po drugiej wojnie światowej siły powietrzne Stanów Zjednoczonych nie chciały ryzykować i szybko podjęły próby ustalenia dwóch rzeczy: czym dokładnie są te dziwne obiekty oraz, co ważniejsze, jakie mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Po dokładniejszej analizie historia Arnolda okazała się mało interesująca dla wojska, jednak rozgłos doprowadził do niespotykanego wcześniej napływu relacji od

setek innych ludzi chcących podzielić się własnymi doświadczeniami. Chociaż siły powietrzne śmiało ignorowały zgłoszenia cywilów, trudniej było zlekceważyć doniesienia pochodzące od ich własnych wyszkolonych żołnierzy. Dlatego w 1948 roku amerykańskie lotnictwo zrekrutowało Josefa Allena Hyneka, który miał pełnić funkcję konsultanta naukowego w nowym projekcie noszącym nazwę Operacja Znak (Operation Sign). Celem tego projektu było zebranie informacji o wszystkich incydentach, podczas których przypuszczalnie widziano UFO, i przeprowadzenie racjonalnego naukowego dochodzenia mającego dostarczyć wiarygodne wyjaśnienie każdego zgłoszenia. Dla Hynka, doktora fizyki i astronomii Uniwersytetu Stanowego Ohio i człowieka oddanego nauce, okazja do obalenia szerzących się mitów o małych zielonych ludzikach była zbyt dobra, by ją odrzucić.

Przez pierwszych kilka lat zadanie było dość proste – potem jednak Hynek zauważył w swojej pracy pewien wzorzec. Chociaż większość przypadków była wydumana i łatwo dało się je obalić, na każde dwadzieścia relacji, jakie otrzymywał, była przynajmniej jedna, której nie dało się wyjaśnić. Opowieści te oznaczał hasłem „Nieznane”. Hynek uświadomił sobie też, że pomimo pierwotnych założeń Operacji Znak w projekcie rzadko trzymano się jego własnych zasad metody naukowej, czyli reguły, że każdy przypadek powinien być traktowany z całkowitą obiektywnością i bez stronniczości. Stało się jasne, że nawet gdyby UFO wylądowało na drodze przed jego przełożonymi, oni nie chcieliby w nie uwierzyć. Szybko dotarło do Hynka, że jego zadaniem nie było badanie zgłoszeń o UFO, lecz ich obalenie.

W 1949 roku Operacja Znak została przemianowana na Operację Uraza (Operation Grudge), a potem, w 1952 roku, zmieniła się w Projekt Błękitna Księga (Project Blue Book). Fani *Twin Peaks* Davida Lyncha i Marka Frosta być może pamiętają Błękitną Księgę dzięki postaciom majora Garlanda Briggsa i Windoma Earle’a, którzy, jak się okazało, pracowali razem w tej tajnej organizacji.

W miarę rozwoju fabuły okazuje się, że to operatorzy radiowi pracujący w Projekcie Błękitna Księga pierwsi wychwycili dziwne sygnały emanujące z lasu pod Twin Peaks, gdzie później odkryto międzywymiarową krainę znaną jako Czarna Chata. W rzeczywistości, przynajmniej o ile nam wiadomo, prawdziwa Błękitna Księga nigdy nie odkryła niczego sięgającego równie głęboko, ale samo istnienie takiego programu

wskazuje, że największe światowe mocarstwo i militarna potęga traktowało wzmianki o UFO bardzo poważnie. Zanim w 1983 roku Hynek zmarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, nabrał przekonania, że zjawisko UFO jest prawdziwe, i wierzył, że jest dość dowodów, by zasugerować, iż zarówno pozaziemska, jak i pozawymiarowa inteligencja może być przyczyną znacznej części doświadczeń z UFO[3]

W Wielkiej Brytanii przez lata także pojawiło się sporo relacji o „UFO”. Jedną z najbardziej znanych to opowieść Howdena Moora, o której wspominałem już w swoim podcaście[4]. Niemniej dla prawdziwych entuzjastów brytyjskich kontaktów z UFO jedna historia wyróżnia się spośród innych. Do zdarzenia doszło w hrabstwie Suffolk w ciągu trzech niezwykłych dni w grudniu 1980 roku.

Leżące na wschodnim wybrzeżu Anglii Suffolk to fascynująca i enigmatyczna kraina o bogatej, mrocznej historii. Krajobraz bladych mokradeł i wiejskich ogródków[5] był ojczyzną owianego złą sławą fanatyka i samozwańczego „przywódcy łowców czarownic”, Matthew Hopkinsa, którego duch podobno krąży po okolicznych polach, a także kompozytora Benjamin Brittena, którego prace często inspirowała idylliczna tajemniczość tej krainy. Od początku XX wieku jest ona również synonimem dziwnych tajnych eksperymentów wojskowych.

Orford Ness to położona na wybrzeżu Suffolk szesnastokilometrowa mierzeja oddzielona od lądu rzeką Alde-Ore. Ten zakupiony przez War Office w 1913 roku cichy i dystygowany fragment wysp brytyjskich przez kolejne siedemdziesiąt lat miał służyć jako główne miejsce badań wyposażenia wojennego – sprawdzano tam zarówno trwałość ubioru ochronnego i spadochronów, jak i cechy balistyczne kul i bomb. W latach trzydziestych XX wieku zespół naukowców pod kierownictwem szkockiego fizyka Roberta Watsona Watta przybył do Ness (tak nazywają tę okolicę miejscowi), by opracować radykalny nowy system obrony dla brytyjskiego wojska znany dziś jako radar.

W czasie drugiej wojny światowej zdawało się, że mierzeja zmieniła się w bardziej gwarną wersję pałacyku Bletchley Park, gdy wypełnił ją personel w białych fartuchach i tweedowych marynarkach planujący i liczący za wielkimi betonowymi ekranami, a pociski wypuszczano ku celom jeden za drugim. Wraz z erą atomu przyszła budowa dwóch dziwnych betonowych pagod mających przetrwać uderzenie testowych

eksplozji. Pod pagodami kryły się podziemne laboratoria, do których opuszczano skorupy bomb jądrowych i eksperymentowano na nich. Pomimo ciągłych plotek świadczących o czymś przeciwnym brytyjskie Ministerstwo Obrony utrzymuje, że na wyspie testowano tylko trwałość osłon, nie zaś materiał rozszczepialny.

W 1993 roku organizacja National Trust odkupiła Orford Ness od Ministerstwa Obrony i oczyszczono teren z (większości) niewybuchów. Dziś nadal fascynuje on zarówno jako rezerwat przyrody, jak i poruszające, niepokojąco odosobnione świadectwo czujnie strzeżonej przeszłości; dziwaczne pagody wciąż tam stoją niczym architektoniczne apokryfy pozostałe po dawno upadłej, niezrozumiałej cywilizacji.

Zaledwie szesnaście kilometrów w głąb lądu od Ness, wśród gęstych sosnowych lasów Rendlesham i Woodbridge, leżą dwie złowrogo opustoszałe bazy lotnicze oddalone od siebie nawzajem o jakieś osiem kilometrów. Każdą z nich otacza wysokie ogrodzenie. Były to bliźniacze bazy RAF Woodbridge i RAF Bentwaters, zbudowane w 1943 roku do obsługi uszkodzonych samolotów wojskowych wracających z nalotów bombowych nad Europą. Z nadejściem zimnej wojny brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa uznało za stosowne udostępnić bazy amerykańskim siłom powietrznym, dla których było to miejsce postoju myśliwców. W 1980 roku bazy były już domem 81. Taktycznego Skrzydła Myśliwców i właśnie tu, pewnego mroźnego grudniowego wieczoru, zaczyna się nasza historia...

– Popatrz tam, w linii drzew, zobacz. Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Sierżant Bud Steffens zatrzymuje jeepa, wyłącza silnik i gasi światła. Ciemność ogarnia samochód, gdy kapral John Burroughs taksuje wzrokiem czyste nocne niebo. Gdy jego wzrok się przyzwyczaja, z atramentowej czerni wynurza się mnóstwo gwiazd otaczających pęczniący jasny księżyc wiszący wysoko po lewej stronie.

– Patrz tam! – powtarza Steffens.

Burroughs podąża wzrokiem za wyciągniętym palcem Steffensa w stronę dziwnego światła, które zdaje się wisieć gdzieś w oddali nad sosnami pobliskiego lasu Rendlesham. Ponieważ jest Boże Narodzenie, zegar szybko zbliża się do północy, a w planach nie ma żadnych późnych lotów, w bazie było dziś szczególnie spokojnie,

a najbardziej tutaj, przy jej wschodniej granicy. Burroughs mruży oczy, by lepiej się przyjrzeć, ściskając trzymany przy nodze karabin M16.

– Co to jest?

Gdy mężczyźni przyglądają się dokładniej, dostrzegają dwa światła błyskające na czerwono i niebiesko, jedno u góry, a drugie jakieś półtora kilometra na wschód od bramy. Ponieważ należą do policji bezpieczeństwa 81. Skrzydła, dzisiaj to właśnie John i Bud mają obowiązek patrolować bazę Woodbridge i rozglądać się za zbłąkanym personelem lub kimkolwiek innym, kto mógł wypuścić się nieco za blisko ogrodzenia bazy. Jest rok 1980, sam środek zimnej wojny, toteż nagłe pojawienie się na nocnym niebie niespodziewanych świateł to poważny powód do niepokoju.

Steffens jest co prawda starszy stopniem, ale dopiero niedawno został przeniesiony tu ze Stanów, dlatego to dwudziestoletni Burroughs stwierdza, że cokolwiek to jest, zdecydowanie nie stanowi części zwykłego krajobrazu.

– Co robimy? – pyta Steffens.

– Coś tam jest – odpowiada Burroughs, otwierając drzwi i wpuszczając do środka powiew mroźnego powietrza. – Lepiej to sprawdźmy.

Zanim Steffens ma czas zaprotestować, Burroughs wyskakuje z auta i zamyka za sobą drzwi. Steffens przez chwilę się waha, a potem odpala silnik i oświetla Burroughsa reflektorami, gdy ten pochyla się, by otworzyć bramę, a z jego ust unoszą się wirujące chmury oddechu. Parę chwil później jadą drogą wzdłuż krawędzi lasu za wschodnią bramą. Wbijają wzrok w niezwykle światła na niebie, które teraz zdają się opadać między drzewa. Gdy docierają do końca, Steffens ostro skręca w prawo, a potem, po zaledwie pięćdziesięciu metrach, zatrzymuje się na początku drogi do przewozu drewna prowadzącej głębiej w las.

Gdy dwaj wartownicy zerkają między drzewa, wyraźnie widzą smukłe pnie sosen czarnych oświetlone od tyłu, zapewne przez źródło tamtego światła. Burroughs zerka na Steffensa i wzrusza ramionami, a potem ostrożnie otwiera drzwi i wychodzi w mróz. Od razu uderza go dziwne wrażenie elektryczności, jakby wokół niego powietrze było naładowane energią. Robi krok do przodu, czuje, jak włoski na karku stają mu dęba, a całą skórę ogarnia dziwne mrowienie. Patrzy z niepokojem i widzi, jak odległe światło robi się coraz mocniejsze. Nie tylko się porusza, ale sunie prosto na nich. Gdy

Burroughs uświadamia sobie, że nie dostali pozwolenia na wyjazd poza teren bazy i nie mają prawa wezwać wsparcia, w ataku paniki wskakuje do jeepa i mężczyźni pędzą z powrotem do bramy, by zgłosić zdarzenie.

O północy w stołówce Bentwaters sierżant sztabowy Jim Penniston właśnie usiadł, by zjeść śniadanie przed rozpoczęciem nocnej zmiany, kiedy jego radio ożywia się z trzaskiem.

– Informujemy, że otrzymaliśmy zgłoszenie o UFO, 10/12 do centrali bezpieczeństwa.

Penniston wpatruje się przez chwilę w jajka na talerzu.

– Przepraszam, proszę powtórzyć.

Zasadniczy żołnierz ze Środkowego Zachodu nie przepada za kawałami. Dwudziestosześcioletni, wysoki na metr dziewięćdziesiąt Penniston ma za sobą siedem lat służby i jest starszym oficerem bezpieczeństwa w Bentwaters i Woodbridge. Jego zadaniem jest przede wszystkim ochrona broni w bazie.

Pomimo podejrzeń zirytowany Penniston nie ma wyboru, musi od razu skontaktować się z centralą bezpieczeństwa. Po połączeniu z sierżantem sztabowym Coffeyem w centrali zaskoczony Penniston słyszy poruszenie w jego głosie. Tym bardziej dziwi go polecenie Coffeya, gdy ten mówi mu, by poszedł po partnera i by szybko pojechali razem do wschodniej bramy RAF Woodbridge. Co niezwykle, Coffey nie chce zdradzać szczegółów przez telefon i mówi, że wszystko zostanie wyjaśnione na miejscu.

Nie tknąwszy jajek, Penniston wybiega ze stołówki i wzywa przez radio swojego partnera zmiany, kaprała Edwarda Cabansaga, by ten spotkał się z nim przy jeepie.

Penniston i Cabansag mkną asfaltem i po kilku minutach docierają do bramy, gdzie czekają na nich roztrzęsieni Burroughs i Steffens. Jim ma ich właśnie spytać, co się dzieje, kiedy sam też to dostrzega: niezwykle rozproszone światło mieniające się pomarańczem, czerwienią i błękitem bije z wnętrza pobliskiego lasu. Zajmował się ponad trzydziestoma wypadkami samolotowymi, dlatego wszędzie rozpozna blask ognia o dziwnej chemicznej barwie.

- Cholera, widzieliście, jak spadał?
- Nie rozbił się – mówi Steffens.
- Nie rozbił się?
- Nie, wylądował. – Penniston wpatruje się skołowany w dal.
- I nic nie słyszeliście?
- Nic.

Penniston na chwilę milknie i znów wpatruje się w światło. Po raz pierwszy zauważa, że tak naprawdę ma ono trzy różne źródła – jedno białe, jedno czerwone i jedno niebieskie. Czerwone światło mruga. Penniston wydaje Cabansagowi rozkaz, by zaczekał z Burroughsem i Steffensem, a sam wzywa głównego dowódcę lotów, starszego sierżanta Chandlera z budki wartowników.

Chandler potwierdza, że na ten wieczór nie zaplanowano żadnych lotów, i podejrzewa, że być może jakiś lekki samolot zboczył z trasy i rozbił się w lesie. Penniston czeka, aż dowódca skontaktuje się z kontrolą ruchu lotniczego w Bentwaters, cały czas pilnując Burroughsa, Steffensa i Cabansaga, którzy nie przestają wpatrywać się we wciąż wyraźnie widoczne światła. Kiedy dowódca lotów znów się zgłasza, informuje coraz bardziej niespokojnego Pennistona, że rzeczywiście coś pojawiło się na radarze zaledwie piętnaście minut wcześniej: niezidentyfikowany samolot trzy kilometry od wybrzeża zmierzał w głąb lądu w kierunku południowo-wschodnim, a potem zniknął poza zasięgiem radaru jakieś osiem kilometrów na wschód od pasa w Woodbridge. Nie tylko wieża w RAF Bentwaters odebrała ten sygnał. Kontrola ruchu lotniczego w Heathrow, pobliska baza lotnicza RAF Bawdsey oraz wschodni radar RAF Watton, najważniejszy zimnowojenny radar Wielkiej Brytanii na południowym wschodzie, także wykryły ten obiekt.

Chandler doradza Pennistonowi, by zabrał dwóch ludzi i rozstawił kordon, a potem czekał na przybycie personelu pożarowego i medycznego. Zgadza się też, by wyjść i jak najszybciej do nich dołączyć.

- Sierżancie Penniston? – dodaje Chandler.
- Tak, sir?
- Proszę zachować ostrożność – mówi, a potem się rozłącza.

Wracając do bramy, Penniston prosi o ochotnika, który ma towarzyszyć jemu i Cabansagowi w drodze do lasu. Steffens porusza się niespokojnie, ale zanim zdąży coś powiedzieć, Burroughs się wcina i prosi o pozwolenie, by pójść z nimi.

Prawo zabrania żołnierzom zabierać broń poza bazę, a ponieważ nie mają pojęcia, z czym się zmierzają, trzej mężczyźni niechętnie oddają karabiny Steffensowi, po czym wsiadają do jeepa i odjeżdżają w kierunku dziwnych świateł. Stojący teraz samotnie przy bramie Steffens rozgląda się nerwowo po okolicy, gdy czerwone tylne światła auta oddalają się za wschodnią bramą i znikają na końcu drogi w ciemności.

Trzej mężczyźni w jeepie nie przestają wpatrywać się w światła. Burroughs instruuje Pennistona, jak dotrzeć do leśnej drogi i gdzie dalej jechać między gęstwiną drzew. Przed nimi rozciąga się oświetlona reflektorami wąska droga pokryta zmrożonym błotem i dywanem brązowiejących sosnowych igieł. Po lewej stronie jest tylko ciemność za drzewami, ale po prawej załamane łagodne promienie dziwnego światła docierają z jakiegoś miejsca położonego w głębi lasu. Gdy się zbliżają, Cabansag czujnie przygląda się Burroughsowi w lusterku wstecznym, przyciskając twarz do tylnej szyby. Dziewiętnastoletni Cabansag jest świeżym rekrutem w bazie, przeniósł się tu zaledwie dwa dni wcześniej. Zaczyna się obawiać, że to może być jakiś rytuał inicjacyjny.

Mężczyźni mocno się trzymają, gdy jeep kołysze się i podskakuje gwałtownie na coraz bardziej nierównej drodze. Gdy ścieżka zaczyna robić się coraz węższa, Penniston z poślizgiem zatrzymuje auto, a potem włącza radio, w którym rozlega się głośny szum.

– Delta 7, Golf 14 – mówi, zgłaszając pozycję starszemu sierżantowi Chandlerowi.

Urządzenie odbiera zdeformowany, ledwie słyszalny przez zakłócenia głos. Nie mając pojęcia, czy ich wiadomość została odebrana, Penniston postanawia, że mimo to ruszą dalej na piechotę. Gdy wysiadają z auta, Burroughsa ogarnia to samo uczucie co wcześniej – jakby powietrze było naelektryzowane. Cabansag i Penniston też to czują. Ponieważ spodziewali się rozbitego samolotu, są zaskoczeni dziwną ciszą i brakiem swądu płonącego paliwa. Niewzruszony Penniston wyciąga z bagażnika aparat, a także trzy latarki i krótkofalówki i podaje po jednej Burroughsowi i Cabansagowi.

Penniston oświetla latarką drzewa i ostrożnie, ale pospiesznie prowadzi mężczyzn

w las. Po odległym dźwięku jeepa Chandlera wjeżdżającego do lasu następuje trzask budzących się do życia krótkofalówek. Z trudem rozumieją słowa Chandlera, którego głos znów stara się przebić przez powtarzające się uderzenia zakłóceń. Zauważywszy, że sygnał słabnie, gdy się oddalają, Penniston instruuje Cabansaga, by ten pozostał na miejscu i utrzymał łączność, tymczasem on i Burroughs pójdą dalej w stronę świateł.

Gdy docierają do małego młodnika, wyraźniej widzą światła i patrzą zdezorientowani, jak te zdają się cofać przed nimi zygzakowatym ruchem i sunąć głębiej w las. Penniston próbuje powiadomić Cabansaga, ale w odpowiedzi jego krótkofalówka trzeszczy, a głos kaprała – jeśli rzeczywiście odbiera sygnał – ginie w szumie.

Penniston wyłącza krótkofalówkę i patrzy sfrustrowany na Burroughsa. Teraz, gdy przygotowują się, by ruszyć dalej w głąb, wszystko pogrążone jest w ciszy, aż nagle z lasu wydobywa się przerażająca kaskada piskliwych, niemal ludzkich krzyków, która zaskakuje mężczyzn. Krzykom towarzyszy odgłos czegoś, co kryje się w ciemności przed nimi i przemyka między drzewami. Penniston i Burroughs przygotowują się do zderzenia, gdy duże stado ptaków wystrzeliwuje z koron drzew nad nimi. Mężczyźni w przerażeniu patrzą, jak ptaki, których sylwetki rysują się na rozświetlonym księżycem niebie, głośno trzepoczą skrzydłami, odlatując w noc. Potrzebują chwili, by się opanować, a potem ruszają dalej przez kolejną linię drzew. Po raz pierwszy widzą, że światła się zatrzymały, stały się mniej rozproszone, bardziej konkretne. Gdy prą przed siebie, na małej polanie przed nimi wyłania się jakiś kształt.

– Co to jest, do cholery? – pyta Penniston.

Na krawędzi leśnej drogi Cabansag dołączył do Chandlera przy autach i obaj są coraz bardziej zaniepokojeni. Dziwne światła dawno zniknęły i minęło prawie czterdzieści pięć minut, odkąd stracili łączność z Pennistonem i Burroughsem. Chandler już chce wysłać ekipę poszukiwawczą, kiedy pojawiają się dwa światełka i słychać odgłos trzaskających gałęzi – coś wychodzi z lasu. Ogarnia ich wielka ulga, gdy spośród drzew w końcu wyłaniają się Penniston i Burroughs. Są zdezorientowani i zszokowani, kiedy Chandler informuje ich, że minęła już 3.45 rano, chociaż zegarki obu mężczyzn

pokazują godzinę bliższą 3.00. Penniston wyjaśnia, że w głębi lasu trafili na jakiś statek powietrzny. Gdy się do niego zbliżyli, pojazd uniósł się z ziemi i ruszył w kierunku wybrzeża. Jim wyjaśnia, że zrobili zdjęcia, i wyciąga dłoń z aparatem. Kiedy Chandler próbuje podjąć decyzję co do kolejnych kroków, łączy się z nimi oficer bezpieczeństwa lotów, porucznik Buran, który rozkazuje mężczyznom, by natychmiast wrócili do bazy.

Penniston i Burroughs prawie nic nie mówią, gdy Cabansag odwozi ich z powrotem do Bentwaters. Po oddaniu broni i zabraniu aparatu Pennistona w celu wywołania zdjęć w ciemni w bazie mężczyźni zmierzają do biura dowódcy zmiany na odprawę. Parę chwil później, mając przed sobą powątpiewających kapitana Mike'a Verrano i zastępcę dowódcy eskadry majora Drury'ego, zmęczeni, ale nieugięci Penniston i Burroughs stoją ramię w ramię i przedstawiają swoją szokującą relację z tego, co dokładnie widzieli tego dnia nad ranem.

Penniston wyjaśnia, że po dotarciu do małej polany odkryli trójkątny obiekt, który wyglądał, jakby był zrobiony ze światła. Kiedy podeszli do niego, biały błysk wystrzelił z jego górnej części, sprawiając, że obaj padli na ziemię. Gdy światło się cofnęło, Penniston, czując, że nic im nie grozi, wstał i pomógł Burroughsowi się podnieść. Rozkazał mu, by pozostał na krawędzi polany, a sam spróbował dokładniej przyjrzeć się dziwnemu obiektowi. Gdy się zbliżał, czuł, że powietrze jest naelektryzowane, i ogarniały go coraz silniejsze mdłości, a ciało zdawało się zwalniać, jakby hamowały je niewidzialne sznurki. Kiedy się odwrócił, zobaczył Burroughsa stojącego w snopie światła dochodzącym gdzieś z góry. Zawołał do niego, ale nie usłyszał odpowiedzi. Osłaniając oczy, spojrzął znowu na obiekt i właśnie wtedy po raz pierwszy wyraźnie go zobaczył. Wyglądał jak jakiś pojazd unoszący się tuż nad ziemią, przypominał spłaszczoną piramidę – miał wysokość około trzech metrów i trójkątną podstawę. Z góry biło czyste białe światło, a od spodu emanowała na ziemię mieszanka czerwieni, błękitu i żółci.

Wciąż nie mogąc przyciągnąć uwagi Burroughsa, postanowił zrobić zdjęcia aparatem, a potem zebrał się na odwagę i dotknął pojazdu, który był gładki, pozbawiony nitów czy łączeń. Z bliska wyglądał, jakby był zrobiony z czarnego szkła, które w jakiś sposób było zarówno oświetlone od środka statku, jak i samo emanowało światłem. U podstawy zauważył też rząd wyrytych symboli – były bardzo wyraźne, ale

nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Przypominały mu hieroglify – sześć precyzyjnie wyrysowanych geometrycznych kształtów o wysokości mniej więcej ośmiu centymetrów. Wyciągnął właśnie rękę, by znów go dotknąć, niemal pewien, że widział, jak w środku coś się porusza, kiedy po kolejnym błysku światła obiekt cicho uniósł się w powietrze. Zaniepokojony, ale całkowicie zahipnotyzowany Penniston dalej patrzył, jak pojazd porusza się powoli z boku na bok, szukając drogi wyjścia z małej polany, a potem w końcu unosi się nad czubkami drzew. Kiedy znalazł się mniej więcej na wysokości sześćdziesięciu metrów, wystrzelił ku nocnemu niebu i ruszył z powrotem w stronę wybrzeża.

– Wtedy go chwyciłem – wtrąca się Burroughs – i odciągnąłem z polany. Przez chwilę razem bieглиśmy za światłami – mówi dalej – a potem całkiem nam zginęły.

Burroughs nie jest w stanie przypomnieć sobie, co dokładnie robił, kiedy Penniston oglądał statek, pamięta tylko, że potem gonili obiekt, a następnie wrócili na polanę i zobaczyli połamane gałęzie na czubkach drzew oraz trzy małe wgłębienia w twardej, zamrożonej ziemi. Tworzyły kształt trójkąta, a każdy jego bok miał mniej więcej trzy metry długości. Wtedy właśnie ruszyli z powrotem do Chandlera i Cabansaga.

Po zastanowieniu się skołowany Drury rozkazuje mężczyznom, by zaprowadzili go na domniemane „miejsce lądowania”, żeby sam mógł je obejrzeć. Gdy tylko wstaje świt, cała trójka razem z kapitanem Verrano i starszym sierżantem Rayem Gulyasem, którego poproszono o zrobienie kolejnych zdjęć, jedzie z powrotem do lasu.

Idą przez prawie pół godziny, krążąc w kółko, a cierpliwość Drury’ego stopniowo się wyczerpuje, kiedy w końcu Burroughs woła, żeby się zatrzymali.

– Tam! – mówi, wskazując na polanę przed nimi.

To mały skrawek ziemi przy wschodniej krawędzi lasu. W świetle dnia okazuje się, że leży niecałe dwadzieścia metrów od dużego otwartego pola należącego do Green Farm w niedalekiej wiosce Capel Saint Andrew. Burroughs wskazuje trzy wgłębienia w ziemi, a mężczyźni natychmiast zabierają się do badania terenu, wbijając znaczniki przy płytkich dołkach i mierząc ich odległość od siebie. Drury dziękuje Burroughsowi i Pennistonowi za poświęcony czas i pozwala im odejść, sugerując, by zrobili sobie kilka dni odpoczynku.

Niecałą godzinę później konstabl Brian Creswell, wysłany z pobliskiego

posterunku w Ipswich, dołącza do zespołu Drury'ego w lesie. Ze względu na wymogi prawne amerykańskie siły powietrzne muszą informować brytyjskie władze o wszelkich działaniach podejmowanych poza bazą. Jednego funkcjonariusza wysłano już na miejsce, gdy o 4.11 odebrano telefon z bazy w Bentwaters z informacją, że wyrusza z niej ekipa mająca zbadać możliwe miejsce lądowania UFO. Konstabl David King przybył niedługo po tym, jak Burroughs i Penniston opuścili teren, ale znalazł tylko opuszczoną polanę, na której nie dostrzegł niczego podejrzanego. King nie widział żadnych świateł, jedynie jasne regularne błyski latarni morskiej na Orford Ness, położonej jakieś osiem kilometrów na wschód.

Teraz to Creswell ma się przyjrzeć miejscu zdarzenia: stoi na środku polany i patrzy w górę ku niewielkiemu przejaśnieniu między drzewami, a potem znów na ziemię.

– Czyli mówicie, że właśnie tutaj wylądowało UFO i nie wydało przy tym żadnego dźwięku, a potem odleciało prosto w górę?

Drury może tylko wzruszyć ramionami.

– Cóż, nie wpiszę tego do raportu – mówi Creswell.

Trzy wgłębienia na ziemi nie robią na policjancie żadnego wrażenia – uważa, że to tylko dzieło kopiących nory leśnych zwierząt. Creswell zapisuje coś w notatniku, a potem wraca na posterunek.



Autor w „miejscu lądowania” w lesie Rendlesham, październik 2017 roku

—

Parę godzin wcześniej, zaraz po 5.00, zastępca dowódcy bazy podpułkownik Charles Halt zgłosił się na służbę w biurze oddziału porządkowego. Po przybyciu zastał roześmianego oficera dyżurnego.

– Nie zgadniesz, co się stało w nocy – zagadnął oficer, gdy Halt podszedł do recepcji. – Podobno Burroughs i Penniston pojechali uganiać się za UFO.

Czterdziestojednoletni Halt, którego w tym roku przeniesiono do bazy Bentwaters, od szesnastu lat był weteranem amerykańskich sił powietrznych, a wcześniej pracował w Pentagonie i służył w Wietnamie. Zakładając, że to jakiś kawał, Halt nalegał mimo wszystko, by wpisać coś do dziennika, proponując, aby użyli bardziej racjonalnego sformułowania „niewyjaśnione światła” zamiast „UFO”.

Gdy tego ranka Halt dowiedział się więcej o doświadczeniach Burroughsa

i Pennistona od dowódcy bazy pułkownika Conrada, ponownie zajrzał do dziennika, by zaktualizować wcześniejszy wpis, ale zobaczył, że został on usunięty. Halt odkrył też, że drugi wpis w dzienniku bezpieczeństwa także zniknął wraz z pierwszym raportem o incydencie. Gdy sierżant sztabowy Coffey wrócił do centrali bezpieczeństwa, również został poproszony o oddanie swojego dziennika.

Następnego dnia, gdy John Burroughs przewracał się z boku na bok w łóżku, coś wkradło się do jego snów. Wydając zduszony jęk, gwałtownie się wyprostował i cały zlany potem zaczął chwytać powietrze. Z nieznanym mu powodów ogarnęła go całkowita pewność, że niezwykle obiekt niebawem wróci.

Później tego wieczoru najstarsi stopniem mężczyźni i kobiety z ekipy wsparcia bojowego 81. Skrzydła oraz ich partnerzy zebrali się w barze Woody's na terenie bazy Woodbridge, gdzie odbywała się coroczna kolacja z przyznaniem odznaczeń. Wydarzenie było pod wieloma względami nieoficjalną uroczystością bożonarodzeniową i okazją do tego, by ciężko pracujący żołnierze, spośród których wielu przez długie miesiące stacjonowało z dala od rodzin, mogli się dobrze bawić. Kiedy Halt podszedł do baru po drinka, zauważył, że porucznik Bruce Englund zbliża się do niego z drugiego końca sali, z wyrazem głębokiego niepokoju na twarzy.

– Sir – zaczął cicho Englund, niespokojnie rozglądając się wokół. – Wróciło.

– Co wróciło?

– UFO, sir.

Gdy Halt uświadomił sobie, że Englund mówi poważnie, rozkazał mu zaczekać przy drzwiach, a sam przekazał wiadomość pułkownikowi Conradowi. Obaj byli znużeni coraz bardziej rozbudowanymi plotkami dotyczącymi bazy i chociaż Halt nie miał ochoty rezygnować z przyjęcia, wiedział, że to jego szansa, by raz na zawsze z nimi skończyć. Conrad miał tego wieczoru wygłosić przemówienie, dlatego to Halt zmuszony był opuścić przyjęcie i wszcząć natychmiastowe dochodzenie.

Niedługo po północy drogą na terenie bazy Woodbridge przemyka jeep, zmierzając prosto do wschodniej bramy. W środku siedzą podpułkownik Halt oraz porucznik Englund, a także dowódca lotów starszy sierżant Bobby Ball i oficer dowodzący do spraw gotowości na wypadek katastrof sierżant Monroe Nevels, który ściska w dłoni

aparatu Nikon, a także licznik Geigera AN/PDR-27, mający zmierzyć wszelkie szczątkowe promieniowanie, jakie mógł pozostawić po sobie nieznany statek.

Kierują się właśnie w stronę lasu, gdy dziwna seria błysków światła wystrzela spoza drzew w odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów od nich – jakby ktoś robił zdjęcia. Ale gdy ekipa dociera do końca drogi, szybko odkrywają przyczynę. Halt wydał wcześniej polecenie, by rozstawić specjalne platformy na kołach z przemysłowymi reflektorami mającymi pomóc w poszukiwaniach. To proste urządzenia napędzane benzyną i prądnicami, ale – co dziwne – wygląda na to, że żadne z nich nie działa. A co dla Halta bardziej irytujące – w okolicy kręci się mnóstwo żołnierzy, którzy liczą, że uda im się zobaczyć tajemnicze światła. Obawiając się katastrofy PR-owej, Halt przekrzykuje brzęczenie prądnic i wydaje rozkaz, by obszar opuścili wszyscy z wyjątkiem małej grupy żołnierzy mających pomóc z platformami świetlnymi. Gdy większość jest już z powrotem w bazie, zostają w końcu sprowadzone kolejne urządzenia, ale wygląda na to, że dzieje się coś bardzo dziwnego. Mimo najróżniejszych wysiłków żadne ze świateł nie chce działać.

Halt żąda, żeby przysłano kolejne zastępcze platformy, ale kiedy oficer próbuje nawiązać łączność, radio także odmawia posłuszeństwa, jakby coś próbowało zakłócić sygnał. Problem nie dotyczy tylko tego urządzenia – żadne radio w okolicy nie działa poprawnie. Nie było dziwnych błysków na niebie, kiedy Halt i jego ekipa dotarli do lasu, ale po chwili podpułkownik zostaje zaprowadzony do rozrzuconego sierżanta Bustinzy, który wcześniej widział światła i uruchomił całą akcję. Halta ogarnia sceptycyzm, gdy cierpliwie słucha raportu Bustinzy opowiadającego o rozproszonych tęczowych światłach nad drzewami i o błękitnych kulach lecących przez powietrze. Gdy podpułkownik, przytrzymując czapkę, dziękuje Bustinzie za informacje, a potem prowadzi Englunda, Nevelsa i Balla ku krawędzi lasu, w zaimprovizowany obóz uderza silny wiatr. Po chwili wchodzą razem między drzewa.

Ośloniętych teraz od wiatru mężczyźni ogarnia względny spokój, gdy podążają za światłami swoich latarek. Stały łoskot prądnic niknie w tle, zastępowany przez delikatne trzaskanie sosnowych igieł pod stopami. Wkrótce są już głęboko w lesie.

Ekipa idzie dalej przed siebie, prowadzona przez Halta, który cicho mówi do dyktafonu, nie chcąc, by umknęło mu coś, co zauważy. Na końcu porucznik Nevels

przełącza licznik Geigera na skalę pięć dziesiątych w miliremach p/hr – to jednostka pomiaru promieniowania gamma i rentgenowskiego nosząca nazwę po Wilhelmie Röntgenie, odkrywcy promieniowania. Nevels powoli odpina sondę i zaczyna skanować otoczenie. Poruszając się powoli między drzewami, ekipa szybko dociera na pierwsze „miejsce lądowania”. Gdy Halt świeci latarką po ziemi, zauważa oznaczenia pozostawione przez majora Drury’ego i kapitana Verrano wskazujące trzy wgłębienia. Dziwi go, jakie są małe. Nevels przesuwa licznik nad jednym z nich, patrząc, jak wskaźnik porusza się to w jedną, to w drugą stronę przez środek skali.

– Odczytuję mniej więcej trzeci czy czwarty poziom – mówi Nevels do ekipy[6].

– Dobrze, wciąż jesteśmy tu bezpieczni – potwierdza Halt z odrobiną ulgi.

Ekipa przechodzi do drugiego wgłębienia.

– Nic – mówi Nevels, nie wyłapując żadnego sygnału na liczniku.

Następnie kieruje sondę na trzeci dołek i zaskoczony podnosi wzrok.

– Mam tu promieniowanie szczątkowe.

Halt oświetla licznik latarką, gdy wskazówka podskakuje na koniec skali.

– Zdecydowanie trochę pulsuje!

– Hej – mówi Englund, gdy znajduje coś, co wygląda jak ślady po przypaleniu na ziemi. – Tutaj chyba mogło dojść do wybuchu, to pośrodku trójkąta.

Nevels podchodzi do Englunda i kieruje sondę na ziemię. Ku ich zaskoczeniu urządzenie się ożywia. Rozlega się nagła seria kliknięć, gdy wskazówka przeskakuje na koniec skali, zmuszając Nevelsa do przełączenia się na wyższą.

– Właśnie przeskoczyła do siedmiu dziesiątych! – stwierdza Englund.

Oświetliwszy drzewa latarką, Englund dostrzega na pniach dziwne otarcia o szerokości mniej więcej dziesięciu centymetrów, wszystkie skierowane w stronę polany.

– Wszystkie są na tej samej wysokości – zauważa Ball.

Gdy mężczyźni w milczeniu przyglądają się dziwnym śladom, nagły szum z radia Balla przerywa ciszę.

Nie mogąc pozbyć się dziwnego wrażenia, że tego wieczoru coś miało się przydarzyć, niebędący na służbie Burroughs wrócił do lasu, gdzie zaskoczył go widok

ekipy lotników obozujących już na jego krawędzi. Prośba Burroughsa, by dołączyć do poszukiwań, zostaje przekazana Ballowi, ale Halt nie wyraża zgody na jego przybycie. Rozczarowany Burroughs nie ma wyjścia – może tylko czekać przy granicy z pozostałymi żołnierzami, starając się ogrzać i wypatrując na niebie jakiegokolwiek aktywności.

W lesie mężczyźni wciąż przyglądają się otarciom na drzewach.

– Hej, zobacz tutaj – odzywa się podekscytowany Ball do Englunda, podając mu lunetę noktowizyjną.

Englund przykłada ją do oka i patrzy przez wizjer na dziwny, zielony świat, który mu się właśnie ukazuje. Ball trzyma latarkę nad pniem, a potem ją gasi.

– Widzisz? – pyta Ball.

– Sir? – mówi Englund, podając lunetę Haltowi.

– Dobrze, poświeć znowu latarką, Bob – prosi Halt.

Bob znowu przybliży światło do drzewa, a potem je cofa.

– To dziwne – stwierdza Halt.

To samo robią przy każdym z wgłębień i za każdym razem zauważają to samo nasilenie światła sugerujące potencjalne źródło ciepła.

– Ciepło, a może jakiś rodzaj energii? – zastanawia się Halt, kierując wzrok na korony drzew.

Świeci latarką w górę na gałęzi i widzi kolejną dziwną rzecz. Spora część z nich złamała się na wysokości mniej więcej czterech do sześciu metrów. Przesuwając światło do podstawy drzew, zadziwiony dostrzega świeżo odłamane gałęzie pokrywające podłoże, jakby coś niedawno opadło na polanę.

Dziwny jęk zaskakuje mężczyzn.

– Słyszeliście to?

Brzmi jak poruszające się leśne zwierzęta zaniepokojone czymś, czego z daleka nie widać. Kiedy odgłos cichnie, mężczyźni wreszcie to widzą.

– Popatrzcie tam, światło! – Englund biegnie na krawędź polany.

– Zaczekaj chwilę, zwolnij – woła Halt, biegnąc do niego.

– Na wprost, między drzewami. Znowu tam jest!

– Też to widzę! Co to? – pyta zadziwiony Halt.

Z ciemności na wschodzie wyłania się małe, czerwone światło, unosi się niecały kilometr od polany. Halt odwraca się do pozostałych i rozkazuje zgasić latarki. Mężczyźni gubią na chwilę światło, a potem znów je widzą – zawisa dokładnie nad farmą po drugiej stronie pobliskiego pola. Światło tak mocno odbija się w oknach domu, że cały budynek wygląda, jakby płonął.

– Sprawdź, czy coś z niego wyłapiesz – mówi Halt, prowadząc grupę na pole.

Englund, który teraz przejął licznik Geigera, odbiera coraz silniejsze sygnały, gdy kieruje sondę w stronę źródła światła.

– To chyba nie dochodzi z ziemi – mówi, słuchając cichych trzasków i wpatrując się w światło w oddali.

Mężczyźni, którzy przeszli jakieś dwieście metrów od „miejsca lądowania”, patrzą z zadziwieniem, jak dziwna kula, która teraz błyska na żółto-czerwono, przesuwana się w ich stronę. Gdy się zbliża, mężczyźni zauważają, że zdają się z niej spadać jakieś jasne elementy, jakby zrzucała jakiś stopiony metal.

– To jest bez wątpienia dziwne! – woła niespokojny Halt.

Wtedy po lewej pojawia się drugie światło.

– Nie zapalajcie latarek – rozkazuje Halt. – To coś bardzo dziwnego...

– Sir, przeleciało na prawo! – wzdycha Englund.

Kula jest już niecałe dwieście metrów od nich i porusza się szybko z boku na bok. Kiedy Halt dalej się w nią wpatruje, ma wyraźne wrażenie, że kula patrzy prosto na nich, jakby była źrenicą oka. Podpułkownik zerka przez lunetę noktowizyjną i ledwie udaje mu się dostrzec mały punkcik na jej środku, kiedy światło staje się zbyt jasne, by patrzeć przez wizjer. Mężczyźni dalej spoglądają przerażeni i parę chwil później obiekt rozdziela się na pięć różnych kul światła, które wystrzelają w różnych kierunkach. Gdy kule się oddalają, mężczyźni zaczynają biec przez pole.

Jest druga w nocy, kiedy ekipa mija dom farmera, przechodzi w bród małe jezioro, a potem idzie dalej przez drugie pole za domem. Licznik Geigera trzaska bez przerwy, a Halt bardzo się stara zarejestrować to wszystko na taśmie.

– Kąt dziesięciu stopni, na horyzoncie, dokładnie na północ widzimy dwa dziwne

obiekty, eee, w kształcie półksiężyca, kołyszące się i świecące na kolorowo. Jakieś osiem czy piętnaście kilometrów, może mniej – mówi zdyszany.

Nagle z jednego z obiektów błyska światło i parę chwil później dokładnie na południu pojawia się kolejny.

– Ten się od nas oddala – stwierdza Halt.

– Szybko się oddala – dodaje Nevels.

– Oba zmierzają na północ. Hej, ten z południa tu leci, leci prosto na nas! – woła Halt.

Parę sekund później kula wisi nad nimi. Mężczyźni zamierają całkowicie zdezorientowani, gdy obiekt wypuszcza wąski promień światła niecałe trzy metry od ich butów, niemal jakby przygotowywał broń naprowadzaną laserowo.

– To nierealne – śmieje się Halt.

Promień znika równie szybko, jak się pojawił, a kula zaczyna się oddalać. Przez kolejne pół godziny mężczyźni patrzą skamieniali w milczeniu, jak trzy inne obiekty pojawiają się na niebie, a potem wszystkich ogarnia lęk, kiedy jedna z kul ustawia się nad bazą Woodbridge i wypuszcza na ziemię kolejny tajemniczy promień. Ponieważ nie mogą nawiązać dobrej łączności z bazą i marzną w przemoczonych ubraniach, o 4.00 Halt wydaje rozkaz o powrocie do Bentwaters.

Później, z nadejściem pomarańczowego świtu, Halt stawiał się na odprawie prowadzonej przez dowódcę bazy pułkownika Conrada. Oddał mu nagrane komentarze, by włączono je do dokumentacji, i jak najdokładniej opowiedział o tym, co według niego zdarzyło się nad ranem. Kolejna odprawa odbyła się w poniedziałek rano. Najstarsi stopniem oficerowie ustalili podobno, że żaden raport z wydarzeń poprzednich nocy nie może dotrzeć do biura PR i że cała dokumentacja musi być ściśle utajniona. 13 stycznia za radą Donalda Morelanda, brytyjskiego oficera łącznikowego, Halt napisał notatkę służbową, która miała zostać wysłana do brytyjskiego Ministerstwa Obrony, a w której zawarto dalsze szczegóły dziwnych wydarzeń z dni od 26 do 28 grudnia. Na notatkę nikt nigdy nie odpowiedział. Parę dni później, kiedy Jim Penniston odwiedził ciemnię w bazie, by odebrać zdjęcia z 26 grudnia, otrzymał informację, że film został całkowicie zniszczony. Sierżant Monroe Nevels był tak samo

rozczarowany, kiedy próbował wywołać własne zdjęcia z 28 grudnia – okazało się, że wszystkie fotografie były zbyt rozmyte, by dało się coś na nich dojrzeć.

W końcu wyszło na jaw, że żołnierze amerykańskich sił powietrznych nie byli jedynymi świadkami dziwnych zdarzeń tamtej nocy – liczni obserwatorzy z najróżniejszych miejsc na południu Anglii opowiedzieli swoje historie o dziwnych światłach na niebie i jasnych promieniach z góry. Przez dwa lata amerykańskie siły powietrzne zaprzeczały, że do incydentu w ogóle doszło, aż w końcu wniosek o informację publiczną wystosowany przez organizację Citizens Against UFO Secrecy poskutkował publikacją „Notatki Halta”. Notatka Halta nie tylko potwierdziła wydarzenia z 26 grudnia, ale też zawierała zaskakujący opis tego, co widziała jego ekipa nad ranem 28 grudnia, w tym liczne obiekty, które „poruszały się szybko gwałtownymi ruchami pod kątem... emanując czerwonymi, zielonymi i niebieskimi światłami”. Podpułkownik Charles Halt służył w amerykańskich siłach powietrznych do emerytury w 1991 roku, uzyskawszy stopień pułkownika. Do dzisiaj potwierdza wszystko, co zostało opisane w jego notatce.



Autor w cieniu latarni morskiej Orford Ness. Niektórzy sugerowali, że to ona mogła być źródłem pierwszych tajemniczych światła na niebie

—

Ludzie od dawna snują spekulacje o istnieniu życia pozaziemskiego; jednym z wcześniejszych znanych nam przykładów takich rozważań jest napisana w II wieku naszej ery satyra Lukiana z Samosat pod tytułem *Prawdziwa historia*. Opisane są w niej walki pomiędzy ludem Słońca i ludem Księżycy[7]. Jednak dopiero w XX wieku zaczęliśmy na poważnie rozważać statystyczne prawdopodobieństwo zetknięcia się z takimi formami życia. W 1961 roku astronom i fizyk doktor Frank Drake stworzył równanie mające oszacować liczbę komunikatywnych pozaziemskich cywilizacji, które mogą istnieć jedynie w galaktyce Drogi Mlecznej. Równanie Drake'a uwzględnia różne zmienne, między innymi tempo powstawania gwiazd, średnią liczbę planet orbitujących wokół gwiazd oraz to, na jakim odsetku tych planet mogą zamieszkiwać zaawansowane formy życia. Chociaż równanie miało być tylko przyczynkiem do

dyskusji, wielu krytyków szybko zaczęło przekonywać, że próby obliczenia takiej wartości wiązałyby się ze zbyt dużym marginesem błędu, by mogły być wiarygodne.

Niedawny artykuł opublikowany w 2016 roku przez astrobiologów Adama Franka z Uniwersytetu w Rochester oraz Woodruffa Sullivana z Uniwersytetu Waszyngtońskiego przedstawia ciekawe nowe podejście do tego pytania. Zamiast próbować oszacować potencjalną liczbę innych samoświadomych cywilizacji w naszej galaktyce, naukowcy zadają sobie pytanie, jakie jest prawdopodobieństwo, że jedyną taką cywilizacją są ludzie. Zgodnie z ich odpowiedzią prawdopodobieństwo to wynosi mniej więcej 1 do 60 miliardów[8]. Kiedy weźmiemy pod uwagę, że Drogę Mleczną uważa się za zaledwie jedną z dwóch bilionów galaktyk w znanym, widzialnym wszechświecie, obliczenia dwóch naukowców wskazują, że istnienie innych zaawansowanych cywilizacji jest nie tylko wysoce prawdopodobne, lecz także nawet całkiem możliwe, że były takie, które już rozkwitły i wyginęły, zanim nasza w ogóle powstała.

W 1950 roku fizyk Enrico Fermi odwiedzał laboratorium w Los Alamos, amerykański ośrodek prowadzący badania nad bronią jądrową, i tam spotkał się przy lunchu z innymi fizykami jądrowymi: Emilem Konopinskim, Edwardem Tellerem i Herbertem Yorkiem. Rozpoczęła się ożywiona dyskusja o małych, zielonych ludzikach i o tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że któregoś dnia zobaczymy latający talerz zdolny podróżować z prędkością nadświatlną. Gdy mężczyźni przerzucali się statystykami, dyskutując o możliwości istnienia obcych cywilizacji, Fermi nagle zawołał: „No to w takim razie gdzie oni wszyscy są?”. W wywodzie, który dziś znamy jako paradoks Fermiego, fizyk zaczął zastanawiać się, dlaczego pomimo statystycznego prawdopodobieństwa, że w naszym wszechświecie występują inne samoświadome gatunki, nie otrzymaliśmy żadnych dowodów na ich istnienie[9]. Chociaż wielu wskazywało incydenty takie jak ten w lesie Rendlesham, znajdując w nich wyraźne dowody na to, że tak naprawdę widzieliśmy te obce istoty, niewiele osób w środowisku akademickim się z tym zgadza.

Proste wyjaśnienie może być takie, że szukamy ich dopiero od niedawna, a nasze metody mogą okazać się dość prymitywne. Naukowe przedsięwzięcie, jakim jest poszukiwanie obcego życia – często mówi się o poszukiwaniu pozaziemskiej

inteligencji (*search for extraterrestrial intelligence*, SETI) – opiera się przede wszystkim na wykorzystaniu radioteleskopów mających wyłapać nieregularne fale radiowe, które mogą stanowić dowody na istnienie obcego życia. Istnienia fal radiowych dowiedziono zaledwie w 1887 roku, a w znacznym stopniu zawdzięczamy to pracy fizyków Heinricha Hertza i Jamesa Clerka Maxwella. Dopiero gdy w 1960 roku rozpoczął się projekt Ozma Franka Drake’a, zaczęliśmy na poważnie traktować możliwość, że inne cywilizacje mogą próbować się z nami skontaktować i że robią to już od jakiegoś czasu. Projekt noszący nazwę po księżniczce Ozmie – władczyni fikcyjnej krainy Oz z książki Lymana Franka Bauma – polegał na tym, że astronomowie mieli nasłuchiwać potencjalnych komunikatów przekazywanych za pośrednictwem fal radiowych z odległych planet. Przedsięwzięcie to uważa się powszechnie za narodziny współczesnego ruchu SETI, bo zainspirowało ono wielu do kontynuowania dzieła. Przez prawie sześćdziesiąt lat, które upłynęły od tamtego czasu, pojawiło się niewiele konkretnych dowodów wskazujących na to, że Ziemia nie jest jedyną planetą zamieszkiwaną przez istoty inteligentne, jednak dwa niedawne odkrycia opisane poniżej pobudziły wyobraźnię środowiska SETI i sprawiły, że wielu nabrało jeszcze większego przekonania, iż kontakt z obcymi jest nieuchronny.

Pierwsze zdarzenie jest związane z projektem społecznym o nazwie Planet Hunters rozpoczętym w 2010 roku przez znaną na całym świecie astronomkę profesor Debrę Fischer z Uniwersytetu Yale. Projekt ten miał zaangażować ogromną grupę astronomów amatorów oraz entuzjastów ruchu SETI z całego świata do pomocy w prowadzonej przez NASA misji Keplera poszukującej nowych światów. Obecnie najlepiej znaną techniką odkrywania planety jest metoda tranzytu. Nie ma dziś możliwości zaobserwowania zarysu planety poza naszym Układem Słonecznym, ponieważ porusza się ona wokół gwiazdy, zatem zamiast tego obserwuje się światło gwiazdy w poszukiwaniu chwilowych spadków lub różnic w jego jasności, mogących sugerować, że coś wielkości planety przesunęło się przed nią. Długość spadku jasności światła gwiazdy może nam wskazać wielkość promienia tranzytu – im dłuższy spadek, tym większy tranzyt i tym większe prawdopodobieństwo, że jest to planeta[10].

W maju 2009 roku agencja NASA odebrała sygnał z gwiazdy KIC 8462852 oddalanej od nas mniej więcej o 1480 lat świetlnych, znajdującej się w gwiazdozbiore

Łabędź. Ale dopiero kiedy Planet Hunters zaczęli analizować dane, na ten szczególny sygnał zwrócił uwagę zespół Keplera. To, co odkryli, różniło się od wszystkiego, na co natknęli się wcześniej. Sygnał zdawał się wskazywać, że coś wielkiego przesunęło się przed gwiazdą i spowodowało, iż jej światło osłabło na kilka dni, a nie na kilka godzin, jak to zwykle bywało. Jednak w przeciwieństwie do planety obiekt nie wydawał się symetryczny. W lutym 2013 roku tranzyt spowodował spadek jasności światła gwiazdy na sto dni, a pomiary wskazywały, że ten obiekt, czymkolwiek jest, ma powierzchnię tysiąc razy większą od rozmiaru Ziemi.

Jak twierdzi profesor astronomii Tabettha Boyajian prowadząca badanie nad KIC 8462852 – nazywaną teraz często na jej cześć gwiazdą Tabby – teorie dotyczące przyczyny takiego wielkiego spadku jasności są różne: jedni sugerują na przykład, że to dwie planety zderzające się w trakcie orbitowania wokół gwiazdy, inni – że to liczne komety przesuwające się przed Słońcem po nietypowej eliptycznej orbicie. Chociaż Boyajian przypuszczała, że jedno z takich naturalnych wyjaśnień okaże się prawdziwe, niektórzy sugerowali, że tak naprawdę widać było niesamowicie wielką obcą megastrukturę, którą nazwano sferą Dysona. Fizyk Freeman Dyson po raz pierwszy zasugerował teoretyczne istnienie takiej struktury, gdy zetknął się z takim pomysłem w powieści Olafa Stapledona *Star Maker* (Twórca gwiazd) opublikowanej w 1937 roku. Dyson sugerował, że cywilizacja, która rozrosła się tak, że nie sposób nad nią zapanować, mogłaby używać takiego urządzenia, by efektywniej rozprzewadzać energię ze Słońca. Urządzenie byłoby wykonane z odpowiedniego materiału mogącego pobierać i gromadzić energię słoneczną i skonstruowano by je częściowo lub całkowicie wokół gwiazdy, wychytując emitowaną przez nią energię do późniejszego użytku. Chociaż zbudowanie czegoś tak potężnego jest logistycznie nieprawdopodobne, to zdecydowanie nie jest też całkowicie niemożliwe, ponieważ taka możliwość może po prostu wykraczać poza granice tego, co dla nas obecnie zrozumiałe. Na początku 2018 roku poinformowano, że niezwykle osłabienie światła gwiazdy Tabby wynikało prawdopodobnie z pojawienia się dużej chmury pyłu wskutek nieznaney nam jeszcze katastrofy; niektórzy entuzjaści ruchu SETI wciąż jednak mają nadzieję, że okaże się ona budowlą obcej cywilizacji[11].

Drugie niedawne odkrycie intrygujące obserwatorów SETI ogłoszono w lutym

2017 roku podczas konferencji na żywo zorganizowanej przez NASA. Zespół astronomów pod kierownictwem Michaela Gillona z belgijskiego Uniwersytetu w Liège odkrył dziwny układ słoneczny oddalony mniej więcej o czterdzieści lat świetlnych od Ziemi. W sercu układu znajdowała się dość mała gwiazda o słabym świetle, tak zwany bardzo zimny czerwony karzeł, wokół której najwyraźniej orbitowały dwie planety wielkości Ziemi. Po raz pierwszy zauważyli ją w 2016 roku astronomowie wykorzystujący teleskop Trappist w Chile, dlatego gwiazdę nazwano Trappist-1. W ciągu kolejnych miesięcy zespół wykorzystujący teleskop Spitzera należący do NASA dokonał, jak twierdzi Sean Carey, kierownik Spitzer Center, „najbardziej emocjonującego odkrycia” w historii ośrodka[12].

Astronomowie odkryli nie dwie planety wielkości Ziemi, ale siedem. Ponadto trzy spośród tych planet znajdowały się w ważnej „strefie Złotowłosej”, obszarze orbity niezbędnym do tego, by na powierzchni planety mogła gromadzić się woda. Po raz pierwszy odkryto tak wiele planet teoretycznie podobnych do Ziemi otaczających jedną gwiazdę i będących niemalże w sąsiedztwie. Masy i promienie tych konkretnych planet wskazywały na to, że spośród wszystkich odkrytych ciał niebieskich te najlepiej nadają się do prowadzenia dalszych poszukiwań życia, a przynajmniej nadającego się do zamieszkania ekosystemu, który kiedyś moglibyśmy zbadać. Thomas Zurbuchen, zastępca administratora wydziału misji naukowych NASA, mówi: „To zdarzenie to ważny krok naprzód ku odpowiedzi na jedno z podstawowych pytań tak wielu ruchów filozoficznych... czyli: Czy jesteśmy sami?”[13].

W wywiadzie dla „The Sunday Times” z 2016 roku fizyk Brian Cox przedstawił zaskakującą potencjalną odpowiedź na pytanie, dlaczego jeszcze nie znaleźliśmy dowodów na istnienie inteligentnych cywilizacji pozaziemskich. Zasugerował on, że być może wystarczająco zaawansowane formy życia po prostu nie zdołały przetrwać własnego postępu naukowego wystarczająco długo, by nawiązać międzygalaktyczną komunikację[14]. Co ciekawe, ufolodzy często sugerowali powiązania między zetknięciem z UFO a miejscami pracy nad bronią masowej zagłady. W 1992 roku I-Team, grupa dziennikarzy śledczych pracujących dla KLAS-TV w Nevadzie, otrzymała liczne dokumenty od Departamentu Energii Stanów Zjednoczonych w odpowiedzi na wniosek o informację publiczną. Ujawniono w ten sposób całą listę

zetknięć z UFO w okolicy ważnych ośrodków pracy nad bronią jądrową. Zdarzenia sięgały aż do lat czterdziestych XX wieku, obejmowały miejsca od Los Alamos po Hanford Site w stanie Waszyngton[15], gdzie w 1943 roku powstał pierwszy na świecie reaktor plutonowy.

Incydent w lesie Rendlesham nie jest wyjątkiem.

Być może nigdy nie dowiemy się, co dokładnie wydarzyło się nad Rendlesham w tamten dziwny grudniowy weekend 1980 roku i w kolejnych latach, gdy pojawiało się coraz więcej „świadków”, a ich zeznania stawały się coraz bardziej rozbudowane, przez co rozmywała się granica między faktami a fikcją. Jednak raczej nie podlega dyskusji, że siły powietrzne Stanów Zjednoczonych oraz brytyjskie Ministerstwo Obrony podjęły świadomy wysiłek, by zataić wszelkie informacje o tych wydarzeniach – niektórzy wierzą, że była to próba strzeżenia jakiegoś konkretnego sekretu. Oficjalnie RAF Woodbridge i RAF Bentwaters były tylko miejscami postoju w okresie zimnej wojny i dzięki nim amerykańskie siły powietrzne mogły przechowywać, naprawiać i tankować myśliwce, zanim wyruszyły one w dalszą drogę. Dziś uważa się, że w bliźniaczych bazach bez wiedzy Brytyjczyków przechowywano zapasy broni jądrowej większe niż w jakimkolwiek innym miejscu w Europie w tamtym czasie.

To niewątpliwie wydumana i naiwna wersja, ale lubię wyobrazić sobie, że jeśli takie zjawiska rzeczywiście miały źródło pozaziemskie, ich cel wcale nie był niebezpieczny, lecz raczej pokojowy – była to próba ocalenia nas przed nami samymi podjęta przez mądrzejszy, bardziej zaawansowany gatunek.

Ale jeśli nie przybywają pokojowo? Zastanawiam się nad tym, co by było, gdyby role się odwróciły, gdybyśmy to my podróżowali przez galaktykę, szukając planet do zbadania.

Wyobrażam sobie zespół badaczy z Ziemi natrafiających na nową, cudowną planetę zamieszkiwaną przez nieznaną wcześniej gatunek porównywalnie inteligentnej formy życia. Po wypełnieniu z wód swoich oceanów na lądy i wyewoluowaniu później ze zwierząt prowadzących nadrzewny tryb życia te istoty stają się wystarczająco zaawansowane, by wykształcić poczucie wspólnoty, świadomość istnienia innych jednostek i wspólnych interesów. Potem odkrywają potworny akt przemocy, który nie

jest niezbędny do przetrwania: zdolność zabijania, nie w obronie czy z rozpaczliwej konieczności, ale po prostu dla własnej korzyści. Przez lata ten czyn kładzie się cieniem na wszelkich próbach dyplomatycznych rozwiązań, przez co niektórzy odłączają się od grupy. Wędrując poprzez wielkie połacie rozciągające się przed nimi, nieustraszone plemiona w końcu znowu osiadają, tworząc podobne społeczności o wspólnych interesach.

W tych nowych grupach tworzą się hierarchie na bazie gróźb i strachu oraz instynktu przetrwania. Wkrótce społeczności zaczynają coraz bardziej się od siebie izolować, oddzielone różnymi sposobami życia, ucząc się różnych nowych wspaniałych rzeczy, ale zapominając po drodze o innych, starszych wspaniałych odkryciach. Teraz tak uparcie rozdzieleni, zapominają o tym, co ich na początku połączyło. Niektórzy odkrywają, że miejsca zamieszkiwane przez innych mają wartość, i rozpoczyna się nieskończony cykl wojen, śmierci i zniszczenia, a każdy z nich przynosi nowe, bardziej wyrafinowane sposoby dokonywania zagłady. Aż w końcu pewnego dnia pojawia się urządzenie mogące zniszczyć w jednej chwili całe miliony istot. Zatem wszystko to ciągnie się bez ustanku, aż wreszcie, kiedy nie zostaje prawie nic, o co można by walczyć, kończy się. Jakby za sprawą jakiegoś niemożliwego cudu ci, którzy powstałi z gruzów, pamiętają. Broń zostaje zniszczona, zawierane są nowe porozumienia i następuje pokój. Przez tysiące lat istoty funkcjonują bez wojny i mogą w końcu przyjrzeć się klatkom własnego nieszczęścia. Zatem żyją dalej, nareszcie w harmonii.

Wiele lat później z nieba przylatuje statek kosmiczny i ląduje na obrzeżach spokojnej wioski przy jeziorze. Nowi przybysze wychodzą ze swojego pojazdu i są ciepło witani przez mieszkańców planety. Obcy przedstawiają się jako „ludzie” z planety „Ziemia” i z ulgą spostrzegają, że ich gospodarze nie chcą zrobić im krzywdy. Przeciwnie, zapraszają ludzi do domów i razem cieszą się swoją obecnością, dzielą się posiadanym jedzeniem i mądrością.

Po powrocie na statek obcy z „Ziemi” będą się śmiać z tego, jak prymitywny i zacofany jest ten nieznaną gatunek – nie mają nawet kijów do obrony. Niczego się od nich nie nauczymy – stwierdzają. A kiedy odkryte zostają złoto, ropa i koltan, podejmują decyzję.

Druga forma życia nie ma żadnych szans.

[1] Stworzenie terminu „niezidentyfikowany obiekt latający” słownik Oxford English Dictionary przypisuje zarówno lotnikowi i pisarzowi Donaldowi Keyhoe’owi (1953), jak i oficerowi amerykańskich sił powietrznych Edwardowi Ruppeltowi (1956).

[2] B.J. Booth, *Before the Wright Brothers... There Were UFOs*, „American Chronicle”, 8 grudnia 2006, web.archive.org/web/20120819213938/, www.americanchronicle.com/articles/view/17732 (dostęp: 8.03.2019).

[3] C. Fuller, *Proceedings of the First International UFO Congress*, New York 1980.

[4] Więcej o tym zdarzeniu można posłuchać w trzecim odcinku pierwszego sezonu *Unexplained* zatytułowanym *Do You See What I See*.

[5] W.G. Sebald, *The Rings of Saturn*, New York 2002, s. 229.

[6] Ten fragment oraz dialog poniżej pochodzą z autentycznego nagrania rejestrującego wydarzenie. Wykonał je Charles Halt. Można go posłuchać na stronie www.charleshalt.com.

[7] G. Grewell, *Colonizing the Universe. Science Fictions Then, Now, and in the (Imagined) Future*, „Rocky Mountain Review of Language and Literature” 2001, R. 55, nr 2, s. 25–47.

[8] A. Frank, W.T. Sullivan, *A New Empirical Constraint on the Prevalence of Technological Species in the Universe*, „Astrobiology”, nr 5, 13 maja 2016.

[9] E.M. Jones, ‘Where Is Everybody?’ *An Account of Fermi’s Question*, marzec 1985, fas.org/sgp/othergov/doe/lanl/la-10311-ms.pdf 10 (dostęp: 8.03.2019).

[10] E. Tasker, *The Planet Factory. Exoplanets and the Search for a Second Earth*, London 2017, s. 8.

[11] M. Wall, *No Alien Megastructure. Star’s Weird Dimming Likely Caused by Dust*, Space.com, 3 stycznia 2018, www.space.com/39263-alien-megastructure-tabbys-star-dust.html (dostęp: 8.03.2019).

[12] S. Carey, *7 Exo Planets Discovered on Trappist 1 – NASA Press Conference* (plik wideo), 2017, www.youtube.com/watch?v=x5lMRwBF0rE (dostęp: 8.03.2019).

[13] Th. Zurbuchen, *7 Exo Planets Discovered on Trappist 1 – NASA Press Conference* (plik wideo), 2017, www.youtube.com/watch?v=x5lMRwBF0rE (dostęp: 8.03.2019).

[14] J. Leake, *Cox’s Theory on Missing Aliens*, „The Times”, 9 października 2016.

[15] G. Knapp, *I-Team. New Film Claims UFOs Monitored Nuclear Weapons*, „Las Vegas Now”, 6 lipca 2016, www.lasvegasnow.com/news/i-team-new-film-claims-ufos-monitored-nuclear-weapons/500671865 (dostęp: 8.03.2019).

Rozdział czwarty

JAŻŃ W ŻRENICACH

...takie rzeczy zdarzają się nagle, w mgnieniu oka. Dzieje się tak dlatego, że już je ćwiczyliśmy, raz za razem, w ciszy i ciemności; w takiej ciszy, takiej ciemności, że w ogóle nie zdajemy sobie z nich sprawy. Ślepi, lecz pewnie trzymający się na nogach, robimy krok w przód, jakbyśmy zaczęli wyuczony taniec.

Margaret Atwood, *Ślepy zabójca*,
tłum. Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Ludzie często zakładają z góry, że ostatecznie jesteśmy odpowiedzialni za swoje czyny. Że decyzjami, które podejmujemy, rządzi wyłącznie nasza wolna wola. W końcu kwestionowanie wolnej woli to kwestionowanie nie tylko odpowiedzialności moralnej, ale też i samego pojęcia tożsamości, ponieważ jeśli zostaniemy zwolnieni ze zdolności do świadomego działania, to kim albo czym właściwie się staniemy? Przyjmując Newtonowskie deterministyczne spojrzenie na wszechświat i uznając go za miejsce, w którym każde zdarzenie spowodowane jest przez istniejące już wcześniej uwarunkowania wynikające z określonych wcześniej działań, będziemy musieli przyznać, że wolna wola w ścisłym pojęciu jest niemożliwa. Jak pisze John Gray w książce *Słomiane psy*, „nasze zachowanie stanowi końcowy wytwór długich ciągów nieświadomych reakcji”[1].

W 1980 roku seria pionierskich eksperymentów pod kierownictwem neurobiologa Benjamina Libeta jeszcze poważniej podważyła możliwość istnienia wolnej woli. W badaniu Libeta uczestnicy – podłączeni do elektroencefalografu (EEG)[2] – mieli przeprowadzić prostą czynność, na przykład wcisnąć przycisk albo wyprostować nadgarstek, równocześnie zwracając uwagę na moment, w którym poczują potrzebę

wykonania tej czynności. Po porównaniu wskazanego czasu, w którym zdaniem uczestników doszło do decyzji o działaniu, z rzeczywistą pracą mózgu odpowiedzialną za jego wywołanie Libet i jego zespół odkryli, że te pozornie dobrowolne decyzje były inicjowane nawet 0,35 sekundy przed tym, zanim badani je sobie uświadomili[3]. Nad wnioskami płynącymi z odkryć Libeta dyskutowano intensywnie, a niektórzy sugerowali, że to drobne opóźnienie to jedynie różnica między chwilą, w której nasz mózg „widzi” bodziec, a tą, w której świadomie go rozumiemy. Twierdzenie to podważono w znacznym stopniu w 2008 roku po serii podobnych eksperymentów przeprowadzonych przez zespół naukowców pod kierownictwem profesora Johna-Dylana Haynesa w niemieckim Instytucie Maxa Plancka. Wykazały one, że do decyzji w mózgu może dochodzić nawet na siedem sekund przed tym, jak je sobie uświadamiamy[4].

Myślenie o wolnej woli jako zaledwie przydatnej iluzji jest co najmniej niepokojące i chociaż być może kiedyś zaakceptujemy taki stan rzeczy po prostu jako kaprys losu, dla innych ma on zupełnie inne, o wiele bardziej złowieszcze znaczenie.

W końcu jeżeli to nie my panujemy nad swoimi umysłami, to kto lub co je kontroluje?

Podróż po spokojnych wodach w górę rzeki Men odłączającej się od potężnego Renu to wkroczenie w zaczarowany świat wiekowych lasów, kolorowych, przypominających tort weselny miasteczek i zamków zgrabnie otoczonych wieżyczkami, jakby wyjętych wprost ze stron rękopisów braci Grimm (nie dziwi szczególnie informacja, że urodzili się oni w Hanau, jednym z pierwszych miast, na które się natrafia, gdy rusza się na wschód od Frankfurtu). Podążając rzeką na południe w kierunku Bawarii, szybko zobaczymy pasmo górskie Odenwald na zachodzie oraz rozległe lasy porastające niskie wzgórza Spessartu na wschodzie. Właśnie pośród tych wiekowych gór porośniętych dębami, bukami i jodłami miały się narodzić opowieści o Królowie Śnieżce czy Jasiu i Małgosi, które później zostały zebrane i w końcu wydane jako *Baśnie braci Grimm* w 1812 roku.

Gdy zagłębimy się jeszcze bardziej w te mityczne krainy, możemy natrafić na miejsce, w którym spotykają się cztery drogi – miejsce, gdzie, gdyby zbłądzić do niego pewnej ciemnej nocy wiele wieków temu, zobaczylibyśmy może doktora Fausta rysującego mistyczne koła na ziemi i rzucającego zaklęcia na wiatr. Może z ukrycia obserwowalibyśmy, jak słowa młodego człowieka toną w kakofonii nieludzkich dźwięków, zapowiadając pojawienie się dziwnych, potwornych zjaw. Gdybyśmy jeszcze nie ulegli lękowi i nie wycofali się w pośpiechu, niewykluczone, że zobaczylibyśmy, jak jedna z takich zjaw: demon i sługa Lucyfera o imieniu Mefistofeles, przybiera kształt – zgodnie z legendą o doktorze Fauście.

Na południowy zachód od Spessartu leży mała osada domków z murem pruskim, pokrytych ładną dachówką. Miasteczko znane jako Klingenberg przetrwało przez lata wiele burz – niektóre z nich przyniosły zniszczenie, na przykład przybycie wojsk francuskiego króla Ludwika XIV, które zrównały z ziemią zamek w Klingenbergu w 1680 roku, inne zaś zasiały ziarno, które później zakorzeniło się i rozkwitło przez wieki, na przykład w postaci licznych otaczających miasteczko winnic zabezpieczających znaczną część miejscowego handlu: to dziedzictwo po rzymskich osadnikach sprzed ponad dwóch tysięcy lat.

W 1952 roku zamieszkiwany przez zaledwie trzy tysiące osób Klingenberg był częścią Niemiec Zachodnich, państwa świeżo powstałego z prochów najbardziej wyniszczającej wojny, jaką znał świat. Stare czerwono-białe flagi z czarnymi symbolami powiewające z budynków miejskich kilka lat wcześniej zostały zdjęte i zastąpione prostymi czarno-czerwono-żółtymi pasami. To właśnie w tym mieście pewnego niedzielnego wrześnieowego poranka Anna i Josef Michelowie cieszyli się narodzinami pierwszego wspólnego dziecka. Dwadzieścia cztery lata później to samo dziecko będzie martwe – niektórzy powiedzą, że wskutek najbardziej przerażającego i przekonującego opętania przez demona, jakie zostało udokumentowane.

W 1948 roku, trzysta kilometrów na wschód od Klingenbergu, w gminie Leiblfling dwudziestoośmioletnia Anna Fürg jest w rozpacz.

Niedawne narodziny jej nieślubnej córki Marthy przyniosły hańbę jej samej i jej

rodzicom – gorliwym katolikom. Obawiając się, że córka nie będzie już mogła wyjść za mąż, rodzice Anny dostrzegają szansę, gdy poznają młodego mężczyznę imieniem Josef, który niedawno przybył do miasteczka w interesach. Z pomocą diecezji w Würzburgu i – jak głosi plotka – kilkuset niemieckich marek Fürgowie oddają córkę młodemu człowiekowi. Josef i osłonięta czarnym welonem na znak hańby Anna biorą ślub w kolejnym roku. Pomimo niepomyślnych początków para jest razem szczęśliwa i wkrótce osiada w Klingenbergu, gdzie Josef, który kieruje teraz rodzinnym tartakiem, buduje dom przy cichej ulicy z widokiem na miejscowy cmentarz. To skromny dwupoziomowy budynek z kremowymi tynkowanymi ścianami i spadzistym dachem przypominającym strome tarasowe winnice, które rozpościerają się za nim, a potem nikną w ciemnym lesie Spessartu.

Josef kocha córkę Anny, Marthę, jak własną, ale nieporównywalnie większe uczucie budzi się w nim, gdy ich pierwsze wspólne dziecko rodzi się w ciepły wrześnieowy poranek. Ponieważ dziewczynka urodziła się w Dzień Pański, rodzice wybierają jej imię Anneliese, co znaczy „Bóg jest hojny”. Mała jest dzieckiem tak pięknym, jakiego życzyłby sobie każdy rodzic. Wkrótce dołączają do niej siostry: Gertrude, Maria oraz Barbara. Czwórka uroczych dzieci jest błogosławieństwem dla pobożnych Anny i Josefa.

W 1956 roku w nerce ośmioletniej Marthy zostaje wykryty guz wymagający natychmiastowej operacji. To delikatny i niebezpieczny zabieg, który Martha przypłaci życiem. Dla zdeklarowanej katolickiej rodziny tragedia ta jest szczególnie nie do pojęcia: niewinna istota została im tak okrutnie i nagle odebrana. Ale Anna w głębi duszy zawsze przeczuwała, że ten dzień nadejdzie. Martha przyszła na ten świat, będąc dosłownie uosobieniem grzechu, a Anna nie zdołała tego odpokutować. Jest dla niej jasne, że przedwczesna śmierć Marthy to nieunikniona zemsta Boga. Mimo to wielki ból towarzyszy pochówkowi dziewczynki na cmentarzu niedaleko domu – grób jednak ukryty jest w głębi, na ziemiach przeznaczonych dla samobójców i bękartów.

Teraz już pewna, co musi zrobić, Anna skupia całą energię na Anneliese. Jej córka zawsze ma trzymać w dłoni różaniec, nigdy nie opuścić mszy – to walka o odzyskanie Bożego zaufania. Kiedy Anneliese zapada na odrę, a potem na świnkę i szkarlatynę, Anna obawia się, że jej wysiłki znowu okazały się daremne, ale rodzina modli się

i wkrótce dolegliwości dziewczynki łagodnieją. Córeczka znów staje się zdrowym, szczęśliwym dzieckiem. Jesienią 1958 roku sześćoletnia Anneliese przyjmuje Pierwszą Komunię Świętą. Gdy Anna i Josef z dumą patrzą, jak spożywa Ciało i pije Krew Pana, czują równocześnie ogromną ulgę. W grudniu rodzi się kolejna córeczka; chrzczą ją imieniem Roswitha, a jej pojawienie się zdaje się nagrodą za wszystkie wysiłki.

W 1965 roku, w wieku trzynastu lat, Anneliese rozpoczyna naukę w Gimnazjum Dalberga w Aschaffenburgu. Szkołę dzieli od domu zaledwie dziesięć minut jazdy pociągiem, ale te dziesięć minut spędzone na wpatrywaniu się w przesuwane się za oknem wzgórza i jaskrawożółte pola dają dziewczynce wolność, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Poznaje nowe koleżanki, na przykład Marię, z którą często śmieje się i żartuje w czasie codziennej podróży, a w ciągu kilku kolejnych lat przychodzą kolejne zmiany – wewnętrzne zmiany, które trudno Anneliese pogodzić z wymogami Pisma. Chociaż dziewczynka chce tak jak siostry uczyć się tańca w okolicznej sali, Anna tego zabrania. Matka przypomina jej, że miejsce Anneliese jest na mszy; ma dziękować Matce Bożej i pokutować za wszystkich nieszczęśników. Są noce, kiedy Anneliese śpi nawet na podłodze na znak skruchy, ale pomimo tego wszystkiego coś się w niej budzi.

Latem 1968 roku Anneliese i Maria uczą się razem w klasie, kiedy Maria zauważa, że coś jest nie tak.

– Anneliese?

Nie dostaje odpowiedzi.

– Anneliese?

Zdaje się, że jej koleżanka zasnęła na krześle.

– *Ist alles in Ordnung?* Czy wszystko w porządku? – pyta Maria.

– *Oh, ja, natürlich* – odpowiada Anneliese, wracając do pracy, jakby nic się nie stało.

Tej nocy dziewczyna budzi się gwałtownie, nie mogąc złapać oddechu, z oczami otwartymi szeroko z przerażenia. Woła pomocy, ale z jej ust nie dobywają się żadne słowa. Kończyny jej sztywnieją, jakby jakaś potężna, niewidzialna siła przykuwała ją

do łóżka. Kiedy w końcu zostaje uwolniona, wypływa spod niej coś ciepłego i wilgotnego.

Anneliese nie wspomniała nikomu o tym incydencie i pozostał on niemal zapomniany – aż rok później znów wydarzyło się to samo, tym razem jednak przerażone krzyki dziewczyny słychać było w całym domu. Następnego ranka zaniepokojona nocnymi zdarzeniami Anna poszła razem z córką do neurologa, doktora Siegfrieda Lüthy'ego. Zwięzły i uprzejmy Lüthy nie wykrył u Anneliese żadnych problemów, ale zasugerował wykonanie badania EEG w nadziei, że rzuci ono nieco światła na przyczynę dziwnych ataków nastolatki. Dwa dni później zdenerwowana Anneliese siedziała w gabinecie badań, otoczona cichym pomrukiem maszyn, a do głowy miała przyklejone liczne małe elektrody podłączone do kabli. Po wciśnięciu przycisku przez drukarkę został przeciągnięty arkusz papieru, a rząd zakrzywionych metalowych igieł narysował na kartce ostre, kolorowe linie. Anna z ulgą ścisnęła dłoń córki, gdy Lüthy przez chwilę przyglądał się wynikowi EEG, a potem oświadczył, że nie ma się czym niepokoić. Jednak parę tygodni później Anneliese zapadła na anginę, po której nastąpiło ostre zapalenie opłucnej i płuc. W lutym 1969 roku chora także na gruźlicę i załamana Anneliese została wypisana ze szkoły i wysłana na leczenie do sanatorium Hochgebirgsklinik.

Sanatorium położone na obrzeżach Mittelbergu, przy południowej granicy Niemiec Zachodnich z Austrią znajduje się na wysokości tysiąca metrów w Alpach Algawskich, na północy łańcucha górskiego. Rozrzedzone powietrze i majestatyczne widoki na góry powinny być idealnym lekarstwem dla płuc Anneliese, ale gdy dziewczyna przybyła na miejsce i podniosła wzrok na samotny monolit budynku, za którym wznosiły się ciemne zimozielone jodły, nie była w stanie się pozbyć złowieszczonego przeczucia. Kiedy prowadzono ją do jej pokoju, z każdym krokiem przez sterylny jodowany korytarz widziała kolejną pobladłą twarz przyglądającą jej się czujnie, lecz znajomy gwar nastolatków szybko ją uspokoił. Gdy weszła do pokoju, dziewczęta szybko przywitały ją w swojej prowizorycznej komunie.

Wiosna przeszła w lato i stan Anneliese się poprawił, aż w końcu któregoś ranka rozdzierający gardło krzyk zbudził dziewczyny. Pielęgniarki również go usłyszały i pobięły korytarzem do jej sypialni. Tylko kilka osób wyczuło słaby odór amoniaku,

ale wszyscy widzieli, jak Anneliese trzęsie się w przerażeniu. Gdy już się uspokoiła, została przeniesiona do czystego łóżka, była jednak zbyt przerażona, by spać. Podczas kontroli następnego ranka lekarz nie wykrył żadnych problemów.

Parę tygodni później Anneliese siedzi sama w ciemniejącym pokoju, kiedy ostatnie promienie słońca rozszczepiają się w złotopomarańczowej aurze na krawędziach odległych górskich szczytów. Dziewczyna zamyka oczy, sięga po różaniec i zaczyna się modlić.

– Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna. Pan z Tobą...

Gdy znajdują ją dziewczęta, nadal siedzi na krześle i mówi do siebie.

– Anneliese?

– ...błogosławiony owoc żywota Twojego...

– Anneliese?

– ...teraz i w godzinę śmierci naszej...

Anneliese, nie reagując, dalej wpatruje się pustym wzrokiem w okno, a dziewczęta przyglądają jej się z niepokojem. Podniesione do twarzy drżące dłonie są sztywne niczym pazury. Chwilę później dziewczyna wyrывa się z transu i odwraca do koleżanek w milczeniu – oczy ma jak dwa czarne koła, a na jej ustach igra dziwnie błogi uśmiech.

W czerwcu, gdy kolejne badanie EEG wykazało drobną anomalię w falach mózgowych Anneliese, została u niej zdiagnozowana epilepsja toniczno-kloniczna i lekarz przepisał dziewczynie serię leków przeciwkonwulsyjnych. Tydzień później, znowu w swoim pokoju, nastolatka po raz kolejny wpatrywała się w okno, przesuwając między palcami paciorki różańca, kiedy coś dziwnego zaczęło nabierać kształtu nad szczytami gór. Anneliese zobaczyła najpierw zdeformowany nos, potem dziwnie wykręcone uszy, a następnie ohydne usta ze zgrzytającymi zębami i oczy patrzące prosto na nią. Usiłowała odwrócić wzrok, ale coś ją powstrzymało. W końcu uwolniła się i pobiegła w przerażeniu w głąb pomieszczenia, krzycząc, by zostawić ją w spokoju.

Pewnego popołudnia, spytana, czy miała jeszcze jakieś problemy w czasie pobytu w sanatorium, Anneliese odpowiedziała, że nie, bojąc się tego, co zrobią, jeśli powie prawdę. Została uznana za zdrową i po prawie sześciu miesiącach w sanatorium

wróciła do domu. Później siedziała przez chwilę samotnie w pogrążonej w ciszy sypialni i dotykała swoich rzeczy: książeczki do modlitwy z zasuszonymi polnymi kwiatami, porzuconego dziennika i oprawionego w ramkę wizerunku Jezusa na ścianie. W innej części domu jej siostry rozmawiały ze sobą zaniepokojone – mówiły, że z Anneliese coś jest nie w porządku.

Wydawała się... inna.

W ciągu kolejnych kilku lat Anneliese nadal odnosiła sukcesy w szkole i pomijając kilka drobnych ataków, wydawała się wracać do pozorów normalności. Tak naprawdę wiedziała jednak, że to coś znowu po nią przyjdzie – to tylko kwestia czasu.

Zaczęło się wiosną 1973 roku cichym pukaniem do jej drzwi w środku nocy. Gdy je otworzyła, po drugiej stronie nie było nikogo. Po kolejnej bezowocnej wizycie u lekarza siostra Anneliese, Barbara, zapytała matkę, czego tym razem dotyczyło badanie.

– Niczego – odpowiedziała Anna. – Po prostu wyobraża sobie, że słyszy coś w nocy.

– Ale mam – zaprotestowała Barbara – ja też coś słyszałam.

Okazało się, że wszystkie jej siostry to słyszały – ciche stukanie dochodzące z jakiegoś miejsca w domu. Czasami słychać je było w ścianach, czasami dobiegało ono spod desek podłogi, a czasami z wnętrza szafy Anneliese.

Pewnej nocy bez wiedzy reszty rodziny dwudziestoletnia już Anneliese obudziła się w ciemności i usłyszała, że mówi do niej jakiś głos.

– Dołącz do nas w piekle, na zawsze – powtarzał charcząco.

Josef, zaniepokojony udręczonymi jękami córki, znalazł wijącą się w przerażeniu Anneliese z dłońmi przyciśniętymi do uszu, błagającą głos, by przestał.

Tego samego lata Josef zabrał Anneliese na pielgrzymkę do Włoch, gdzie odwiedzili ogród Rosy Quattrini-Buzzini, od niedawna miejsce czci w wiosce San Damiano. W miarę jak Anneliese zbliżała się do ogrodu, zaczął ją przeszywać potworny ból w stopach, miała wrażenie, jakby płonęły. Gdy podniosła wzrok, spostrzegła przerażona, że twarze innych pielgrzymów zmieniły się w rozwarte usta z ostrymi, zgrzytającymi zębami.

Podczas drogi powrotnej autokarem do Klingenbergu Anneliese zerwała medalion z ikoną z szyi Thei Hein, przyjaciółki i sąsiadki, która zorganizowała pielgrzymkę. Josef gorąco przeprosił za zachowanie córki i odprowadził ją na miejsce, bardzo starając się uspokoić dziewczynę. Tymczasem pozostali pasażerowie zerkali na nią, szepcząc między sobą.

Parę dni później Anneliese znowu odwiedziła gabinet doktora Lüthy'ego.

– Jest we mnie diabeł.

Lüthy wiercił się w fotelu zbity z tropu i zerkał na Annę.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Mówił do mnie za ich pośrednictwem.

– Czyim?

– Demonów.

– To właśnie ich twarze widziałaś?

– Tak.

– Po czym poznałaś, że to diabeł?

Anneliese spojrzała na matkę, ale nie potrafiła odpowiedzieć. Uświadomiła sobie, że Lüthy nigdy tego nie zrozumie.

Po raz ostatni wspomniała wówczas tak zwanym lekarzom o potwornych twarzach i dręczących ją głosach.

Był wrzesień 1973 roku, kiedy ojciec Ernst Anton Alt dowiedział się o przypadku Anneliese. Wysoki mężczyzna o zadbanej brodzie, jednak dość młody, bo trzydziestopięcioletni, uważany był przez innych księży za bardzo wnikliwego i inteligentnego. Z wielkim niepokojem wysłuchał opowieści ojca Karla Rotha o spotkaniu, w którym ten dopiero co wziął udział, a które dotyczyło potencjalnego przypadku opętania przez demona. Zanim Roth zdążył powiedzieć coś więcej, ojca Alta ogarnęło dziwne przecucie. Ku zdziwieniu rozmówcy Alt sam opowiedział o Anneliese i sytuacji jej rodziny z dokładnymi szczegółami, jak gdyby to on był na tym spotkaniu. Dwa dni później ojciec Alt skonsultował się z innym księdzem, ojcem Eduardem Herrmannem, do którego także odezwała się zrozpaczona rodzina. Kiedy

Herrmann podał Altowi dwa dokumentujące przypadek listy otrzymane od Anny i Josefa, młodego księdza ogarnęły dziwne mdłości. Zaniepokojony takim obrotem spraw, nie chciał tracić czasu i umówił się na rozmowę z rodziną.

– Szukam ludzi, którzy mi uwierzą – oznajmiła mu Anneliese, kiedy po raz pierwszy się spotkali.

Po wszystkim, co dotąd usłyszał, Alt poczuł się dziwnie, widząc tę młodą, dwudziestojednoletnią teraz kobietę, taką bystrą i zdeterminowaną, chociaż nieco bladą. Ale po godzinnym wywiadzie ojciec Alt i ojciec Roth podejrzewali, że Anneliese rzeczywiście padła ofiarą potwornego opętania. Nie chcąc powodować niepokoju, mężczyźni nie zdradzili swojego osądu i umówili się na obserwację, zanim zdecydują, co robić dalej. Tymczasem Anneliese miała dalej żyć swoim życiem, tak jak dotąd.

Anneliese dostała się na kurs na Uniwersytecie w Würzburgu i w listopadzie, wzmocniona regularnymi konsultacjami z ojcem Altem, przeprowadziła się tam, żeby rozpocząć studia. Po przeniesieniu do surowego uniwersyteckiego akademika nazywanego Ferdinandeum przez kolejnych kilka miesięcy chodziła na wykłady i nawiązywała nowe przyjaźnie. Zdarzały się wzloty i upadki, Anneliese czasami spędzała całe dnie w swoim pokoju, zbyt ospała, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Ale pewnego wieczoru, gdy poczuła się nieco lepiej, znajomi zaciągnęli ją na zabawę taneczną w akademiku. Radosny rock and roll rozbrzmiewał z głośników, a młody człowiek o delikatnej bladej skórze i ciemnych falistych włosach patrzył z kąta sali, jak Anneliese tańczy uszczęśliwiona w zamglonym pomieszczeniu, wśród przygaszonych świateł. Przedstawił się jako Peter. Spodobały jej się jego oczy i łagodna pewność siebie, było w nim coś, co od razu sprawiło, że poczuła się swobodnie. Umówili się znowu i w kolejnych dniach Peter zaczął darzyć tajemniczą młodą kobietę z Klingenbergu coraz większą sympatią.

Pewnego ranka Anneliese weszła do okolicznego kościoła, żeby przystąpić do spowiedzi, ale kiedy próbowała coś powiedzieć, słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Nie minęło dużo czasu, a ataki i bóle głowy wróciły. W ciągu kolejnego roku zmagiała się z różnymi dolegliwościami i odwiedzała ojca Alta, kiedy tylko czuła, że może stracić nad nimi panowanie. Pewnego razu Josef przywiózł do biura Alta bardzo

przybitą i dziwnie rozkojarzoną Anneliese, która wróciła do domu na wakacje. Po chwili dziewczyna klęczała na podłodze z pochyloną głową, a Alt wyciągał ręce przed siebie.

– Niech Pan cię błogosławi i ma w swojej opiece – zaczął.

Kiedy skończył, uczynił znak krzyża i patrzył w zadziwieniu, jak – niczym kwiat zwracający się do słońca – znów ożywiona i czujna Anneliese ukazała się przed nim w miejsce ponurej, nieobecnej młodej kobiety, którą była jeszcze parę chwil wcześniej. Dla Anneliese stało się jasne, że tylko Kościół może ją ocalić. Alt nalegał jednak, by regularnie chodziła do uniwersyteckiego lekarza, który przepisał jej kolejną serię leków.

Przez cały ten czas Peter, coraz bardziej zakochany, wspierał Anneliese, jak tylko mógł, ale smuciło go, że przez te swoje dolegliwości dziewczyna często jest ospała i odrętwiała, niezdolna do tego, by odwzajemnić jego miłość. Gdy napięcie między nimi zaczęło narastać, Anneliese poczuła, że nie ma wyjścia i musi wyznać chłopakowi to, co od dawna podejrzewała: że coś potwornego próbuje przejąć kontrolę nad jej umysłem. Peter był z początku zszokowany, ale widząc szczere spojrzenie Anneliese, obiecał, że gdy tylko będzie go potrzebowała, on ją wesprze.

Na drugim roku dziewczyna miała już swój własny pokój i stopniowo oddaliła się od grupy znajomych. Znalazła nowych, bardziej religijnych przyjaciół, na przykład Marię K. i Annę, z którymi razem chodziła na modlitwy. Po ostatniej interwencji Alta wydawało się, że ataki zupełnie ustąpiły, i gdy nadszedł rok 1975, głosy i twarze już się nie pojawiały.

Późną wiosną babcia Anneliese, bardzo przez nią kochana i wnosząca do jej życia spokój, umarła w swoim domu w Klingenbergu. Barbara mieszkała wtedy w Sulzbachu, a Gertrude pracowała w Hiszpanii, więc Anneliese mimo woli czuła, że coś jej się wymyka. Parę dni później przyjaciółki Anna i Maria rozmawiały głośno w pokoju Anneliese, ale kiedy ona zaczęła krzyczeć, żeby przestały, popatrzyły na nią zdezorientowane – wcale nie rozmawiały. Niedługo później, pewnego wieczoru, po zdarciu wizerunku Chrystusa ze ściany i rozszarpaniu różańca, Anneliese pobiegła do kościoła, by się pomodlić, ale choć usiłowała wejść do środka, jej nogi nie były w stanie przekroczyć progu. Tej nocy koszmary znów ją nawiedziły. Na darmo

próbowała walczyć z głosami zsyłającymi ją do piekła.

Następnego ranka Anneliese dzwoni w rozpacz do ojca Alta.

Ksiądz przyjeżdża i razem z przerażoną młodą kobietą klęka przy jej łóżku. Gdy zaczynają się modlić, po jej twarzy spływają łzy:

– Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

Parę chwil później Alt patrzy w przerażeniu, jak z gardła Anneliese dobywa się nieludzki wrzask. Anna stoi w drzwiach, zasłaniając usta dłonią.

– Zażyła tabletki? – pyta ojciec Alt, gdy Anneliese krzyczy udręczona.

– Tak, tak! Widziałam, jak je brała.

– Sprowadźcie natychmiast Petera! – woła ojciec Alt.

Następnie duchowny wykonuje znak krzyża i szybko, cicho wypowiada uroczyste błogosławieństwo. Oddech Anneliese zaczyna zwalniać, aż w końcu dziewczyna nieruchomieje. Po chwili spokoju Alt zbiera się w sobie, a potem kładzie jej dłoń na głowie.

– Ja, ojciec Ernst Alt, kapłan Chrystusa i Kościoła w imię Jezusa Chrystusa rozkazuję ci, duchu nieczysty, jeśli kryjesz się w ciele tej kobiety stworzonym przez Boga.

Ojciec Alt czuje ruch pod dłonią. Anneliese powoli unosi głowę, pokazując potworną twarz wykrzywioną nie do poznania przez gniew. Po chwili jej ciało drga i wije się pod ręką Alta, gdy on stara się zebrać w sobie i mówić dalej. Anneliese chwyta różaniec i rozrywa go na kawałki, a potem rozrzuca po pokoju. Kiedy Anna przychodzi z Peterem, Anneliese odwraca się prosto do niego i krzyczy ostrym, gardłowym głosem:

– Wynoś się!

W końcu się uspokaja i zostaje łagodnie zaprowadzona do łóżka, ale obecni przy zdarzeniu nie mają wątpliwości, czego byli świadkami.

Tamtego lata, gdy Anneliese dryfowała między stanami zupełnego braku opanowania a swoją prawdziwą świadomością, umówili się z Peterem, że jeśli kiedykolwiek zeszywnieje lub pograży się w transie, on popatrzy jej w oczy, by sprawdzić, czy

wciąż jest obecna. Jeśli jej oczy się poruszą, będzie wiedział, że ona jest w środku.

W połowie lipca, po powrocie Anneliese do domu ojciec Roth odbiera w swoim biurze telefon i ku swemu zaskoczeniu słyszy po drugiej stronie drżący głos Josefa Michela. Ponieważ Josef nie zdołał skontaktować się z ojcem Altem, błaga Rotha o pomoc. W tle rozlegają się przerażające krzyki jego córki.

Kiedy parę godzin później Roth dociera do domu Michelów, uderza go obrzydliwy smród – jakby podpalono coś gnijącego. Josef prowadzi księdza do kuchni, gdzie smród staje się jeszcze mocniejszy. Anneliese stoi sztywno na środku pomieszczenia, jakby pogrążona w głębokim transie. Bez ostrzeżenia zaczyna biec w stronę Rotha, któremu ledwie udaje się wycofać chwiejnym krokiem, aż nagle kobieta zatrzymuje się i sztywnieje niecały metr od niego. Przez chwilę przygląda się jego twarzy, a potem odskakuje do tyłu, na drugi koniec pomieszczenia.

Roth wyciąga krucyfiks, co wywołuje u Anneliese atak wściekłości.

– Przestań! Dręczysz mnie! – skrzeczy, chwytając butelkę wody święconej z San Damiano i rzucając ją na podłogę.

Czując, że go to przerasta, Roth obiecuje powiadomić ojca Alta, a potem szybko wychodzi.

Zebrawszy wszystkie te informacje, Roth i Alt udają się do biskupa Stangla, który w końcu udziela im pozwolenia na podjęcie próby małego egzorcyzmu. W niedzielę 3 sierpnia w domu Michelów dwudziestotrzyletnia wówczas Anneliese siedzi cierpliwie przed dwoma księżmi. Alt wyciąga z teczki małą, czarną książeczkę zawierającą modlitwy egzorcystyczne papieża Leona XIII i klęka przed dziewczyną.

– Najchwalebniejszy Książę Wojska Niebieskiego, Święty Michale Archaniele...

Anneliese zamyka oczy. Jej głowa powoli opada, a ciało zaczyna się wykręcać. Rozlega się jęk, który stopniowo narasta, zmieniając się w ryk.

– ...broń nas w walce przeciw mocom ciemności... – modli się dalej Alt.

– Przestań, to pali mi ręce! – skrzeczy dziewczyna.

Ksiądz mówi dalej:

– ...przeciw władcom świata ciemności i duchom nieczystym.

Anneliese bez ostrzeżenia rzuca się do przodu, próbując wytrącić książeczkę z dłoni

duchownego, ale przytrzymują ją rodzice.

Alt i Roth widzieli już dość.

Kiedy rodzina czekała, aż Kościół zdecyduje, co robić dalej, Josef i Anna usiłowali nie dopuścić do najgorszego, modlili się i odmawiali różaniec, ale wszystko to jawiło się daremne. Pewnego ranka Anna zastała w sypialni dyszącą Anneliese, a jakaś niewidzialna siła zdawała się uderzać jej twarzą o podłogę. Gdy rodzice usiłowali ją podnieść lub wyprostować, dziewczyna zaczęła się potwornie krztusić, a Josef nie mógł tego znieść. Ataki ustępowały równie szybko, jak się zaczynały, a Anneliese zapadała po nich w dziwny stan katatonii. Kiedy letnie upały sięgnęły zenitu, dziewczyna zaczęła rozdzierać ubrania i biegała nago po domu, rozpaczliwie próbując się ochłodzić. W nocy słychać było, jak miota się po swoim obecnym pokoju na strychu, czemu towarzyszyły nieustanne mrozące krew w żyłach krzyki. Któregoś ranka Anna zastała córkę wpatrzoną w pająka przechodzącego po podłodze. Zanim miała czas temu zapobiec, młoda kobieta złapała go, włożyła do ust i połknęła w całości. Czuła wokół siebie zbierające się chmary much; dziwne zdeformowane istoty przemykały w ciemności, a wszystkie religijne wizerunki zdzierane były ze ścian lub roztrzaskiwane na kawałki.

Któregoś dnia, gdy ojciec Alt jest na wakacjach, rodzice wzywają jezuickiego księdza i specjalistę od egzorcyzmów, ojca Rodewyka. Kiedy przychodzi, zastaje Anneliese leżącą w transie na kuchennej podłodze, z niewielkimi otwartymi ranami na dłoniach i stopach. Anna twierdzi, że któregoś ranka pojawiły się bez powodu. Po zaprowadzeniu Anneliese na sofę Rodewyk utwierdza rodziców w przekonaniu, że potężne siły zła opętały ich córkę.

Jezuita chwyta dłonie Anneliese i wyraźnym, zdecydowanym głosem pyta:

– Jak masz na imię?

Głowa dziewczyny opada na bok.

– Jestem Judasz – odpowiada niskim, obcym głosem.

Parę chwil później Anneliese otwiera oczy i patrzy na Rodewyka, jakby widziała go po raz pierwszy.

Kościół jednogłośnie zgadza się na przeprowadzenie pełnego egzorcyzmu, zanim będzie za późno, ale ponieważ ojciec Alt mieszka teraz sto kilometrów dalej w Ettleben i nie jest w stanie w pełni zaangażować się w to zadanie, rytuał ma przeprowadzić szanowany ojciec Arnold Renz z zakonu salwatorianów w Rück-Schippach. 24 września o czwartej po południu Renz przychodzi do domu Michelów i rozpoczyna błogosławiony obrzęd egzorcystyczny z Rytuału Rzymskiego.

Anna i Josef przygotowali pokój na górze w głębi domu, żeby krzyki Anneliese nie niepokoiły jeszcze bardziej sąsiadów. Renz wchodzi do pokoju i zastaje Anneliese czekającą na niego cierpliwie na drewnianym krześle. Wokół niej siedzą Anna i Josef, jej siostry Barbara i Roswitha oraz niezawodny Peter, który przez cały ten czas trwał przy Anneliese. Thea Hein i jej mąż dopełniają zgromadzenie. Na lewo znajduje się prowizoryczny ołtarzyk przykryty białym wyszywanym obrusem, a na nim stoi krucyfiks z figurą Chrystusa oraz obramowane wizerunki Marii Panny, Michała Archanioła, ojca Pio z San Damiano i Najświętszego Serca Jezusowego.

Wszyscy przyglądają się w pełnym niepokojem milczeniu, jak ojciec Renz w białoczarnych szatach kładzie na stoliku teczkę i wyciąga fioletową stułę, którą następnie z czcią układa na swoich ramionach. Potem wyjmuje fiolkę wody święconej, relikwie papieża Piusa X, Świętego Wincentego i fragmenty krzyża. Drżący Renz wymienia z Altem pełne powagi spojrzenie i znów odwraca się do Anneliese. W jednej dłoni trzymając Biblię, drugą czyni znak krzyża, a potem sięga po fiolkę z wodą święconą i delikatnie skrapia nią zaniepokojonych zebranych. Kiedy podchodzi do Anneliese, dotyk wody sprawia, że dziewczyna wzdryga się i warczy z bólu. Oczy Roswithy otwierają się szerzej w przerażeniu, a Barbara ściska jej dłoń. Po krótkiej przerwie Renz opada na kolana.

– Boże, zmiłuj się.

– Boże, zmiłuj się – odpowiadają wszyscy.

Gdy Renz rozpoczyna *Litanie do wszystkich świętych*, z ust Anneliese dobywa się dziwny jęk, a jej ciało coraz bardziej niespokojnie się porusza.

– Święty Łukaszu, Święty Marku...

Anneliese rzuca się do przodu, gwałtownie wierzgając. Herr Hein biegnie do niej i razem z Peterem i Josefem siłą sadzają dziewczynę z powrotem na krześle. Anneliese

warczy i rzuca się gwałtownie, a gdy trzech mężczyzn usiłują ją przytrzymać, zgrzyta zębami, próbując ich ugryźć.

– Rozkazuję ci – mówi dalej Renz – duchu nieczysty, kimkolwiek jesteś, razem ze wszystkimi swoimi sługami atakującymi teraz tę służebnicę Bożą...

Z głębi gardła Anneliese wydobywa się potworny krzyk.

– Skończ z tym gównem! – jęczy.

Anna wzdycha, z trudem powstrzymując łzy, a wszyscy obecni patrzą z przerażeniem i zadziwieniem.

Renz kładzie dłoń na głowie Anneliese, a ona dalej warczy i wije się.

– Na chorych ręce kłaść będą, i ci odzyskają zdrowie...

Kolejne pokropienie wodą święconą sprawia, że Anneliese zaczyna znowu wyc z bólu.

– Odłóż to gówno! – wrzeszczy.

Niezdolni utrzymać dziewczynę dłużej bezpiecznie na krześle Peter i Josef prowadzą ją na małą kanapę w głębi pokoju.

Ośmieleni słowami zakonnika zebrani zaczynają cicho śpiewać:

– *Gloria Patri, et Filio, et Spiritui Sancto...*

Anneliese jęczy na dźwięk każdego słowa, jakby niosły je do niej ogniste fale.

Po szesnastu godzinach Renz kończy sesję. Anneliese błaga go, by kontynuował, ale Renz boi się przesadzić i nalega, by na dzisiaj skończyli, świadom, że czeka ich długa droga.

W ciągu kolejnego miesiąca ojciec Renz i pozostali zebrali się osiem razy w tym małym pokoiku w głębi domu, od czasu do czasu robiąc przerwy na herbatę i ciasto w trakcie szczególnie wyczerpujących sesji. Niekiedy Anneliese była tak rozwścieczona, że związywali jej ręce i nogi, by chronić ją przed nią samą. Ci, którzy próbowali ją przytrzymać, skarżyli się, że za każdym razem gdy się zbliżali, przygniatał ich wielki ciężar. Anneliese często na powrót znów stawała się sobą, myślała jasno i klarownie, ale potem znowu władzę przejmowały duchy ciemności i ich wstrętne głosy. Alt sprawdzał Anneliese, zmieniając język, zadając duchom pytania po holendersku lub po łacinie, ale głosy za każdym razem zdawały się rozumieć. Podczas

jednej z sesji znowu pojawiły się u niej cztery rany na stopach i dłoniach – jak twierdził Renz, były to stygmaty.

Po tygodniach pytań dręczyciele Anneliese w końcu zdradzili swoje imiona: byli to Neron, Kain, Lucyfer, Hitler i Judasz.

Pewnego popołudnia ojciec Alt opowiadał rodzinie o zhańbionym księdzu Valentinie Fleischmannie, który w XVI wieku był proboszczem w parafii Alta, kiedy Anneliese wydała z siebie potworny krzyk. Z przerażeniem patrzyli, jak jej ciało ogarniają spazmy, a twarz wykrzywia się dziwnie, jakby coś starało się przedostać. Wtedy odezwał się szósty demon. To Fleischmann. Ojciec Alt był zszokowany, gdy głos opowiedział następnie o tym, jak zabił człowieka i pobił kobietę, podając szczegóły, które można było znaleźć tylko w archiwach jego parafii w Ettleben.

Co niezwykle, w dniach między sesjami Anneliese była w stanie uczyć się do egzaminów semestralnych. Innym razem matka zastała ją, jak wpatrzona w przestrzeń kopła podstawę łóżka, aż skóra na stopach pękła i rany zaczęły krwawić. W październiku Anneliese siedziała sama w swojej sypialni, kiedy pojawił się kolejny głos, którego wcześniej nie słyszała. Był łagodny, delikatny i czuły. Głos przedstawił się jako Matka Boża. Powiedział Anneliese, by była dzielna, przekonywał ją, że musi przetrwać całe to cierpienie, by ponieść brzemień wszystkich grzechów, które spadły na ten świat. Nie musi się bać – niedługo będzie wolna.

Przez cały ten czas nadal trwały sesje nagrywane przez ojca Renza na magnetofonie szpulowym. W niektóre wieczory ksiądz odtwarzał nagrania biskupowi Stangłowi. Razem siedzieli jak zahipnotyzowani w słabym świetle gabinetu hierarchy, w którym rozbrzmiewały głosy sług Szatana.

29 października głosy przekazują nieoczekiwaną wiadomość: odejdą w wigilię Wszystkich Świętych, w piątek 31 października. Dwa dni później zebranych po raz kolejny w małym pokoiku ogarnia ostrożny optymizm, gdy rodzina zajmuje miejsca wokół udręczonej Anneliese.

– W imię Trójcy Świętej, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, rozkazuję wam odejść i nigdy nie wracać – powtarza ojciec Renz.

Skropiona wodą święconą Anneliese zaczyna krzyczeć z bólu, ale głosów nie ma. W końcu pojawia się jeden z nich.

- Kim jesteś? – pyta Renz.
- Jesteś Fleischmann? – pyta Alt.
- Tak, muszę teraz odejść – charczy.
- Do piekła? – domaga się odpowiedzi Alt.
- Tak!

Anneliese krztusi się gwałtownie i zgina w pół z wrzaskiem, a potem słychać krótkie, wycharczane: „Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna” i w pokoju zapada zupełna cisza.

Renz odzywa się pierwszy.

- Fleischman odszedł, teraz przyszła kolej na pozostałych.

Hitler, Kain, a następnie Neron kolejno odchodzą wśród potwornych krzyków i błagań, by nie odsyłać ich z powrotem do piekła, aż w końcu zostaje tylko Lucyfer.

– Nie odejdę! – warczy głos, ale wkrótce i on jęczy: – Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna...

Wyczerpana Anneliese opada z powrotem na kanapę.

Cienki sierp księżycyca w nowiu wisi za oknem w ciemną jesienną noc, a zapomniana dawno cisza powraca do domu Michelów. Jest w pół do jedenastej w nocy i odszedł ostatni z demonów. Rozlegają się westchnienia i ostrożne pomruki, gdy Anneliese zaczyna się poruszać, jakby budziła się z głębokiego snu.

- Już po wszystkim? – pyta słabym głosem.

Zebrani zaczynają płakać ze szczęścia i śpiewać – podnoszą się radosne głosy i pokój ogarnia cudowna euforia. Śpiewają tak głośno, że z początku nie słyszą, jak wśród łagodnych melodii rozbrzmiewa cichy charkot, który zmienia się w kolejny przerażający krzyk, przerywając radosny hymn. Wszyscy w przerażeniu zwracają się ku Anneliese, która teraz znów siedzi wyprostowana na sofie z dziwnym uśmiechem igrającym na ustach.

- Ja jeszcze nie wyszedłem – mówi chropawy głos.

Pomimo niepowodzenia w ukończeniu egzorcyzmu krótki okres dobrego samopoczucia w kolejnym tygodniu umożliwił Anneliese powrót do Würzburga i podejście do

egzaminów z teologii. W ciągu kilku następnych miesięcy kobieta wielokrotnie podróżowała do Klingenbergu, a ojciec Renz dalej bez skutku próbował poznać imię demona, który nie pozwalał się wypędzić. Kiedy przyjaciele Anneliese pytali, gdzie była, odpowiadała tylko, że choroba nie pozwalała jej się uczyć. Rok dobiegł końca, a dziewczyna nie zaznała ulgi od nieznanego głosu, który dręczył ją bezustannie. Pluła i wściekała się na ojca Renza za każdym razem, gdy ten się zbliżył.

W nowym roku głos się przedstawił. Oznajmił: „Jestem Lucyfer”.

Pewnego wieczoru w akademiku Lucyfer kazał Anneliese przycisnąć twarz do podłogi.

– Nie przestawaj, aż nie będziesz mogła oddychać – rzekł. – Teraz rozbierz się, idź do pokoju Anny i wejdź pod jej kołdrę.

Anneliese zaczęła krzyczeć, aż w końcu się uwolniła. Włożyła ubrania i rozedrgana, z przerażeniem, położyła się w łóżku. Trzęsła się przez całą noc, błagając o spokój, który nie nadchodził.

Dziewczynę najbardziej przerażała myśl, że ktoś na uniwersytecie poza Peterem i Anną poznałby prawdę o tym, co się z nią działo. Chociaż od czasu do czasu udawała się do różnych lekarzy z polecenia ojca Alta, nigdy nie wspominała o głosach i twarzach, a już na pewno nie zająknęła się o egzorcyzmie. Przede wszystkim bała się, że zostanie uznana za chorą psychicznie, wywieziona i że odebrane jej zostanie prawo stanowienia o sobie, że będzie szturchana i popychana przez niemających o niczym pojęcia lekarzy uparcie próbujących zaprzeczyć jedynej rzeczy, która może ją wybawić: jej wierze. Ale być może Anneliese dręczyło coś głębszego, coś, co wciąż kryło się w umysłach narodu próbującego pogodzić się ze swoją przeszłością.

Kiedy Adolf Hitler podpisał dekret o eutanazji we wrześniu 1939 roku, to właśnie członkowie Kościoła, na przykład biskup katolicki August von Galen – choć jego niepokój był mniejszy, gdy chodziło o prześladowanie Żydów – najbardziej gwałtownie się mu przeciwstawiali, a ludzie tacy jak Werner Hyde, profesor psychiatrii i neurologii z Uniwersytetu w Würzburgu – tego samego, na którym studiowała Anneliese – najbardziej entuzjastycznie go popierali. Między 1939 a 1945 rokiem podczas operacji noszącej nazwę Aktion T4 aż sto tysięcy niemieckich obywateli uznanych za fizycznie lub psychiatrycznie wybrakowanych – spośród których wielu już

wcześniej wysterylizowano w ramach masowego programu eugenicznego – zostało zamordowanych przez władze własnego kraju[5].

W marcu Anneliese próbowała wsiąść do pociągu do Klingenbergu, gdy jej ciało dziwnie zeszywniało i nie była w stanie się poruszyć. Uznawszy, że nie może pojechać do domu, wróciła do akademika, a później próbowała się modlić w okolicznym kościele, kiedy niewidzialna siła kilkakrotnie rzuciła ją na kolana w dziwnym błagalnym akcie. W związku z tymi niepokojącymi wydarzeniami Roswithę wysłano do Würzburga, by zaopiekowała się siostrą, która teraz nie chciała już jeść. Pewnego ranka przyjaciółka Anneliese, Ursula, otworzyła drzwi do pokoju dziewczyny i westchnęła z przerażeniem. Roswitha szybko ją wygoniła, ale Ursula nie mogła zapomnieć tego widoku. Maria też to widziała: Anneliese wpatrującą się w przestrzeń, wyciągającą do przodu powykęcane w nieludzki sposób kościste ramiona. Przyjaciele coraz bardziej się niepokoiли, ale Roswitha nie pozwalała im wezwać lekarza, zapewniając, że wszystko jest pod kontrolą.

W kolejnym miesiącu następne przerażające krzyki sprawiły, że Roswitha pobiegła do Anny po pomoc, ale wcześniej wszystkie światła w akademiku już się zapaliły, a niespokojne twarze zerkały po sobie w konsternacji z różnych stron korytarza. Anna robiła, co mogła, by uciszyć plotki, przysięgała, że posłano po lekarza, choć tak naprawdę wezwano ojca Alta. Po krótkim pobycie duchownego, podczas którego Roswitha doznała kontuzji po tajemniczym upadku, słaba i wychudzona Anneliese została zabrana przez Petera i rodziców, zanesiona do samochodu i odwieziona do domu. Choć jej stan się pogorszył, młoda kobieta usiłowała zapewnić rodzinę i przyjaciół, że wszystko będzie dobrze, Matka Boża powiedziała jej, że w lipcu to się skończy.

Po powrocie do domu Anneliese zaczęła zachowywać się jeszcze bardziej chaotycznie, a głosy nie przestawały jej uparcie torturować. Czasami rodzina znajdowała ją pocierającą twarz albo uderzającą głową o ścianę aż do krwi. Prosiła bliskich, żeby wiązali ją w nocy, a czasami też w ciągu dnia, ze strachu przed tym, do czego zmuszą ją demony. Ale kiedy ojciec Renz kontynuował egzorcyzm, głosy demonów milczały i zdawało się, że jego działania wywołują tylko u Anneliese gwałtowne ataki gniewu, podczas których Peter i Josef bardzo starali się ją

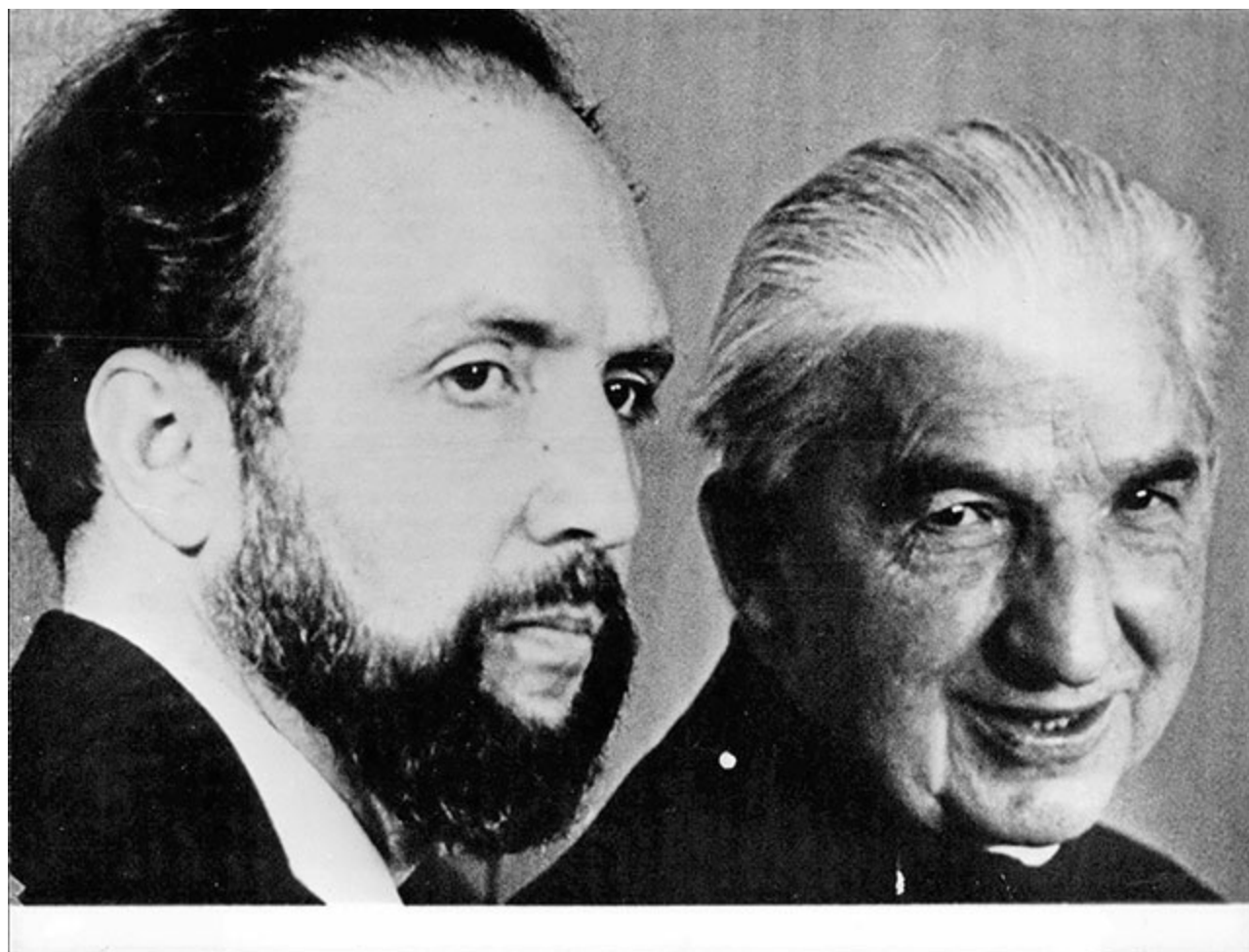
przytrzymywać. W trakcie pewnej szczególnie brutalnej sesji, tak jak parę tygodni wcześniej w kościele, Anneliese padła na kolana, wstała, a potem znów rzuciła się na podłogę, aż skóra pękła i kolana zaczęły krwawić. Powtórzyła ten ruch sześćset razy, aż w końcu padła z wyczerpania. Anna we łzach próbowała przynieść córce ulgę, rzucając pod jej zakrwawione nogi poduszki i koce, ale dziewczyna zdawała się uparcie je omijać za każdym razem, gdy opadała na podłogę.

Udręczony wieściami o tym zdarzeniu i informacją, że Anneliese wciąż odmawia jedzenia, a także wiedząc o niechęci rodziny do angażowania specjalistów medycyny, Alt potajemnie zaprosił na jedną z sesji egzorcystycznych znajomego lekarza. Sesja była już w trakcie, gdy doktor Richard Roth wszedł za Altem do domu rodziny Michelów; z głębi dało się słyszeć ludzki krzyk. Jedna tylko lampa oświetlała korytarz, którym Alt poprowadził Rotha na drugie piętro. Lekarz westchnął na widok stojącej przed nim wychudzonej, młodej kobiety. Jej twarz była spuchnięta i pobita, a oczy – zapadnięte. Ojciec Renz stał przed nią, trzymając krucyfiks, i przemawiał. Doktor Roth uznał, że dość już zobaczył, i roztrzęsiony wrócił do kuchni. Kiedy ojciec Alt zapytał, czy udzieli im pomocy, jeśli stan dziewczyny się pogorszy, doktor Roth odparł: „Nie ma zastrzyków przeciw diabłu”, a potem zabrał swoje rzeczy i wybiegł z domu.

Kiedy parę dni później Alt wrócił do Michelów, Anneliese ze słabnącym światłem w oczach opowiedziała mu o swoich obawach: boi się, że będzie jeszcze gorzej, zanim jej się poprawi. Przypomniała, że nie wolno mu się bać: w lipcu wszystko będzie dobrze, jak zapowiedziała Matka Boża. Ojciec Alt zauważył, że jeden z zębów Anneliese się ukruszył. Kiedy wychodził, dostrzegł na ścianie dziwne wgniecenie w kształcie ust, a w drzwiach brakowało szyby. Josef powiedział mu, że to Anneliese – przebiegła przez nie, głową do przodu.

W końcu po kolejnych pięciu sesjach, 30 czerwca, w gęstym letnim upale, Renz przychodzi do domu Michelów na sześćdziesiątą siódmą sesję od rozpoczęcia egzorcyzmu w 1975 roku. Podobnie jak podczas wszystkich pozostałych sześćdziesięciu sześciu spotkań Anneliese cierpliwie i w gotowości czeka na swoje ocalenie, mając obok siebie Annę, Josefa, Barbarę, Roswithę i Petera. Jest powód do radości, bo chociaż temperatura sięga 38,9°C, jutro zacznie się lipiec – zgodnie z zapowiedzią wtedy nareszcie nastąpi wyzwolenie.

Anneliese zostaje położona na sofie i prawie nie ma sił się unieść, ale gdy ojciec Renz rozpoczyna rytuał, młoda kobieta znów zaczyna się wić i jęczeć, jej zęby i wyniszczone dziąsła zgrzytają na dźwięk modlitwy. U nasady jej nosa krwawi duża otwarta rana, która pojawiła się w poprzednim tygodniu. Renz kontynuuje i wtedy słychać jęk – nie jest to ryk demonów czy wściekłe syczenie. To łagodny, słodki i zmęczony głos młodej kobiety.



Ojciec Ernst Alt i Arnold Renz podczas procesu w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci wiosną 1978 roku, po śmierci Anneliese

– Absolucja.

Ojciec Renz przerywa i pyta, czy jest pewna.

– Tak.

Duchowny patrzy na Petera, który długo i intensywnie wpatruje się w oczy Anneliese, a potem potwierdza, że to jej własne słowa. Anneliese ostatkiem sił opada

z kanapy i klęka na podłodze. Renz czyni znak krzyża i kładzie dłoń na głowie dziewczyny.

– Bóg, Ojciec miłosierdzia, który pojednał świat ze sobą przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna i zesłał Ducha Świętego na odpuszczenie grzechów, niech ci udzieli przebaczenia i pokoju przez posługę Kościoła. I ja odpuszczam tobie grzechy w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Kiedy jest po wszystkim, rodzina zabiera Anneliese do łóżka i pozwala jej zasnąć. Pełna nadziei Anna odprowadza Renza do drzwi.

– Co teraz będzie? – pyta.



Josef i Anna Michelowie także oczekują na proces w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci córki. Obok zdjęcie Anneliese

Ojciec Renz klepie kobietę po ręce i się uśmiecha.

– Będziemy się modlić.

Później, gdy Anna idzie do łóżka, z pokoju Anneliese rozlega się cichy głos.

– Mamo, boję się[6].

Anna siedziała z córką, aż dziewczyna zasnęła. O północy krzyk rozdarł nocną ciszę. Josef pobiegł do pokoju Anneliese i ujrzał, jak córka rzuca się na łóżku. Ojciec rozkazał demonom, by zostawiły dziewczynę w spokoju – atak ustąpił, ale dopiero 1 lipca nad ranem Anneliese w końcu uspokoiła się na tyle, by przewrócić się na bok i zasnąć. Parę godzin później Jutrzenka, czyli Wenus, która jasno świeciła na niebie, powoli zbladła, aż w końcu całkiem znikła w ciepłym świetle wschodzącego słońca. O siódmej rano przed wyjściem do pracy Josef zajrzał do córki i zastał ją pogrążoną w spokojnym śnie.

Godzinę później odebrał telefon od żony; Anna poinformowała go, że Anneliese nie żyje.

Autopsja wykazała, że wszystkie wewnętrzne narządy młodej kobiety były zdrowe, mózg także, nie odnotowano żadnych uszkodzeń, które mogły powodować ataki epilepsji. Uznano, że śmierć nastąpiła z wygłodzenia, a także prawdopodobnie z wyczerpania. W raporcie odnotowano także, że źrenice Anneliese były „niezwykle” rozszerzone i że nie miała odleżyn ani wrzodów występujących zwykle przy wygłodzeniu[7], chociaż w chwili śmierci ważyła zaledwie trzydzieści kilogramów[8]. Została pochowana kilka dni później na obrzeżach cmentarza, obok siostry Marthy.

Po śmierci Anneliese władze Niemiec Zachodnich oskarżyły rodziców kobiety, Josefa i Annę, a także ojca Arnolda Renza i ojca Ernsta Alta, o nieumyślne spowodowanie jej śmierci. Dwa lata później w szeroko nagłośnionej sprawie całą czwórkę oskarżonych uznano za winnych spowodowania śmierci wskutek zaniedbania i skazano na sześć miesięcy więzienia (w zawieszeniu) oraz trzy lata okresu próby. Wszyscy oskarżeni do końca utrzymywali, że Anneliese padła ofiarą opętania przez demony.

O wiele później, gdy nagrania ojca Renza z egzorcyzmu Anneliese zostały upublicznione, analiza jej pełnych bólu, udręczonych wypowiedzi wykazała, że dźwięk rozbrzmiewał w dwóch rejestrach naraz, jakby mówiły równocześnie dwie osoby.

Niezależnie od tego, jak potraktujemy straszny i tragiczny przypadek Anneliese Michel, nie sposób uciec od jego potworności. Jeśli wierzy się w istnienie demonów, które mogą zamieszkiwać ludzki umysł i usiłować doprowadzić do skazania duszy na wieczne potępienie – wtedy tej potworności nie trzeba wyjaśniać. Jeśli nie, nasuwa się kilka równie niepokojących myśli.

Gdy podczas egzorcyzmów Anneliese krzyczała i walczyła z ojcem Renzem, twierdziła, że czuje, jakby ktoś przejął władzę nad jej umysłem i zepchnął „ją samą” na obrzeża psyche, a tymczasem ktoś inny pociągał za sznurki[9]. Jeśli podobnie jak mnie taka wizja cię przeraża, to lepiej nie myśleć za dużo o tym, czym właściwie jesteśmy „my sami”.

Często mówi się, że określają nas nasze czyny i podejmowane decyzje, od poglądów moralnych po noszone ubrania czy partnerów, których „wybieramy” – wszystko to razem tworzy wrażenie tego, kim jesteśmy. Ale jeśli żyjemy w deterministycznym wszechświecie, jak uważa większość wybitnych naukowców i filozofów, a już na pewno ci działający w ramach – mówiąc trochę niezgrabnie – „zachodniej” tradycji, to które z naszych decyzji, o ile w ogóle jakies, można rozsądnie uznać za podjęte całkowicie z własnej woli? Parafrazując Arthura Schopenhauera: można o czymś pomyśleć, a potem zadziałać na podstawie tej myśli, ale co właściwie pomyślało o tym, by przywołać tę myśl?

Wolna wola w najczystszyznaczeniu – wola całkowicie wolna od wszelkich wpływów – nie istnieje. Poprzez połączenie genetyki i otoczenia jeszcze przed narodzinami zostajemy zaprogramowani, by zachowywać się w określony sposób. Na poziomie podstawowym nasze zachowanie jest kontrolowane przez biologiczne wymogi naszego ciała. Jemy, bo jesteśmy głodni, pijemy, bo chce nam się pić, odpoczywamy, bo jesteśmy zmęczeni. Moglibyśmy zdecydować, że nie będziemy jeść, pić lub odpoczywać, ale zwykle konsekwencje takiego działania sprawiają, że nie podejmujemy takich decyzji. Często nie jesteśmy świadomi tego, jak wpływają na nas nasze podstawowe funkcje. Badanie z 2011 roku przeprowadzone przez Jonathana Levava ze Szkoły Biznesu Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku stanowi

szczególnie szokujący przykład. Levav i jego współpracownicy przeanalizowali 1112 spraw w czterech izraelskich sądach i odkryli, że im bardziej zmęczony był sędzia, tym większe było prawdopodobieństwo, że odmówi więźniowi zwolnienia warunkowego. Oszacowano, że więźniowie mieli 65 procent szans na zwolnienie warunkowe, jeśli ich sprawa została rozpatrzona na początku sesji, ale jeśli zajęto się nią pod koniec, ich szanse spadały niemal do zera[10].

Sieci neuronowe w naszych mózgach wpływające na nasze zachowanie, na to, jak szybko się złościmy albo dlaczego na przykład wolimy pomarańcze od jabłek, wynikają częściowo ze zdarzeń w sferze genów (a wiele z nich zachodzi, zanim się urodzimy), które stale mają na nas wpływ. Do naznaczenia genetycznego, jak wspomniałem w rozdziale pierwszym, także dochodzi przed naszymi narodzinami i może się ono ciągnąć przez całe nasze życie. Organizacja Nurse-Family Partnership (NFP), założona w Stanach Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych XX wieku, oferuje wsparcie dla będących w trudnej sytuacji kobiet o niskich dochodach mających urodzić pierwsze dziecko. Pomoc ma formę regularnych wizyt domowych realizowanych przez dyplomowane pielęgniarki – od momentu gdy kobieta jest jeszcze w ciąży nawet do dwóch lat po porodzie. Niedawne badania nad skutecznością programu wykazały, że u dzieci wychowanych z pomocą NFP wystąpiło zmniejszenie o 67 procent problemów behawioralnych i emocjonalnych w wieku do sześciu lat[11], zmniejszenie o 28 procent problemów psychicznych w wieku dwunastu lat[12] i zmniejszenie o 59 procent aresztowań w wieku do piętnastu lat[13], co wykazuje, że na nasze zachowanie ogromny wpływ ma otoczenie. Co ważne, jak zauważa profesor Raymond St. Ledger z Uniwersytetu Maryland, dzieci, które korzystały z programu NFP, zyskiwały być może nie tylko dzięki lepszym umiejętnościom rodzicielskim. Program mógł też wpłynąć na epigenetyczną ekspresję ich genów, co biologicznie zmuszało je do innego zachowania[14].

Nasza wola także stale ulega bardziej subtelnym wpływom. Często czujemy, że podejmujemy swobodnie decyzje, podczas gdy nasze działania są tak naprawdę reakcją na bodźce. Istotnym przykładem niech będzie torowanie – zjawisko to pokazuje, jak naszym zachowaniem może manipulować coś tak prostego jak skojarzenia słowne. Uderzającym przykładem jest badanie z 2006 roku przeprowadzone przez psycholog

Kathleen Vohs z Uniwersytetu Minnesoty, która wykazała, że ludzie wykonujący czynności i równocześnie odbierający komunikaty przypominające o pieniądzach, czy to w postaci obrazów wyświetlanych na ekranach, czy zostawionych na widoku pieniędzy z gry monopoli, byli zwykle bardziej samowystarczalni i mniej chętni do pomocy innym we wszelkich innych czynnościach, które mieli następnie wykonać w ramach eksperymentu[15] – a przecież jeszcze nawet nie wzięliśmy pod uwagę tego, jak przekonania moralne i religijne są kształtowane przez wychowanie i grupy społeczne, w których najczęściej się obracamy.

Można powiedzieć, że w niektórych z opisanych powyżej przypadków poprzez wychowanie i zwiększoną świadomość uczymy się rozpoznawać to, jak na nasze decyzje wpływają rzeczy, nad którymi nie panujemy, i wybierać lepiej, bardziej świadomie. Jak sugerują niektórzy myśliciele, na przykład Daniel Dennett, być może to wystarczy. Dennett przekonuje, że nawet jeśli odrzucimy purystyczną ideę wolnej woli, w ramach pewnych parametrów możemy zachować wystarczający stopień wolności, który przynajmniej daje nam „warianty wolnej woli, których warto chcieć”[16]. W tym sensie wolna wola jest możliwa, jeśli rozumiemy ją zasadniczo jako przydatną iluzję, podobnie jak pojęcie „meczu baseballowego”[17], jak to ujął kosmolog Sean Carroll, rozwijając idee Dennetta; nie istnieje ona jako fundamentalne prawo, nie dałoby się jej zbadać w laboratorium, ale da się racjonalnie powiedzieć, że istnieje w praktycznym doświadczeniu świata. Innymi słowy, chociaż powinniśmy zaakceptować fakt, że nie mamy pełnej władzy nad swoimi decyzjami – czy to nad biologicznymi impulsami, nad którymi nie panujemy, na przykład nad tym, w kim się zakochujemy, czy nad tysiącami różnych wpływów otoczenia – możemy uznać, że mamy wystarczająco dużą swobodę wyboru, by znacząco wpłynąć na rezultaty, co z kolei daje nam zadowalające uczucie niezależności.

Jeśli powiemy, że wolna wola sprowadza się do liczby dostępnych dla nas opcji w każdej sytuacji, to jak uwzględnimy liczne ograniczenia tych decyzji związane z funkcjonowaniem grup społecznych? Jak wziąć pod uwagę to, że dla każdego z nas – wskutek wpływu naszej własnej, z góry określonej struktury genetycznej oraz licznych subiektywnych doświadczeń naszego życia – dostępne możliwości będą różne? Prosta odpowiedź jest taka, że się nie da. Możemy co najwyżej wszyscy zgodzić się, co

uznajemy za dopuszczalne zachowanie, a potem negocjować parametry tej dopuszczalności – albo otwarcie, poprzez egzekwowanie praw, albo niejawnie, poprzez niepisane umowy społeczne. Co się zatem dzieje, kiedy te parametry się zmieniają?

Potworne doświadczenie opętania przez demony wiąże się z czymś więcej niż tylko z kontrolą. Dla ludzi pobożnych największy lęk jest taki, że coś do cna „złego” przejmie władzę nad ich „duszą” i zdoła czynić „zło” w ich imieniu albo popełnić grzech samobójstwa, skazując ich na piekło.

Jeśli jednak nigdy nie mamy kontroli nad swoimi czynami, to do czego byłby zdolny każdy z nas w określonych okolicznościach?

W lipcu 1961 roku dwudziestotrzyletni Bill Menold natrafił na ogłoszenie w „New Haven Register”, lokalnej gazecie z siedzibą w Connecticut: szukano „osób do badania pamięci”, proponując „cztery dolary za zaledwie godzinę poświęconego czasu”^[18]. Ponieważ Bill niedawno wystąpił z wojska, uznał, że pieniądze mu się przydadzą, a skoro i tak miał być tego dnia w New Haven, postanowił się zgłosić^[19]. Parę dni później przybył do Laboratorium Interakcji na Uniwersytecie Yale, gdzie przedstawiono mu innego ochotnika, księgowego nazwiskiem Wallace, oraz „prowadzącego eksperyment”, mężczyznę wypowiadającego się niezwykle oficjalnie i odzianego w szary fartuch laboratoryjny, mającego nadzorować badanie. Bill i pan Wallace zostali poinformowani, że biorą udział w eksperymencie sprawdzającym wpływ kary na zdolność uczenia się, a następnie w drodze losowania przypisano każdemu z nich określoną rolę^[20]. Panu Wallace’owi przypadła rola „uczącego się” – zaprowadzono go do pokoju, gdzie na oczach Billa został przypięty do „krzesła elektrycznego”. Billa, który miał przyjąć rolę „nauczyciela”, zaprowadzono do sąsiedniego pomieszczenia z urządzeniem uruchamiającym porażenie prądem i powiedziano mu, że jest ono podłączone do „krzesła elektrycznego”. Pod czujnym okiem prowadzącego eksperyment Bill i pan Wallace – nie mogąc się już nawzajem widzieć – przeprowadzili serię prostych słownych testów pamięci. Bill musiał tylko porazić prądem „ucznia” za każdym razem, gdy ten odpowiedział źle. Dodatkowo jednak poinstruowano go, że przy każdym kolejnym porażeniu powinien zwiększyć napięcie.

Na generatorze było 30 przełączników wyraźnie oznaczonych jako różne poziomy

napięcia – od 15 woltów, z podpisem „lekkie porażenie”, do 450 woltów, z podpisem: „niebezpieczeństwo: silne porażenie”.

Podczas eksperymentu Bill posłusznie zwiększał porażenie o 15 woltów przy każdej złej odpowiedzi, nawet kiedy słyhać było krzyk bólu pana Wallace’a i wołanie, by wypuszczono go z pomieszczenia za ścianą. Przy każdym krzyku Bill odwracał się do prowadzącego eksperyment, czekając na instrukcje, i za każdym razem słyhał spokojne, lecz zdecydowane polecenie: „Proszę kontynuować”^[21]. 210 woltów... 255 woltów... 345 woltów. I tak dalej, aż stało się coś, na co Bill nie był przygotowany. Pan Wallace przestał reagować. Młodego byłego żołnierza poinstruowano wcześniej, by brak odpowiedzi traktował jako niepoprawną odpowiedź, ale – co zrozumiałe – Bill zaniepokoił się, że stało się coś strasznego. Podniósł wzrok na prowadzącego eksperyment, który znów kazał mu kontynuować. Bill wcisnął następny przełącznik: 435 woltów. Nie było odpowiedzi. Udręczony Bill, teraz już całkiem pewien, że zabił pana Wallace’a, znów podniósł wzrok na prowadzącego eksperyment.

– Eksperyment wymaga, żebyśmy kontynuowali – rozkazał beznamiętnie mężczyzna.

Wbrew własnemu osądowi Bill wcisnął najwyższy i ostatni przełącznik na urządzeniu: 450 woltów.

Oczywiście i na szczęście dla Billa to wszystko nie działo się naprawdę. Pan Wallace nie był rażony prądem, okazało się też, że nie jest wcale księgowym, tylko figurantem i nazywa się Bob McDonough. Bill nieświadomie wziął udział w bardzo kontrowersyjnym eksperymencie stworzonym przez psychologa Stanleya Milgrama sprawdzającym posłuszeństwo ludzi wobec autorytetów. Gdy po drugiej wojnie światowej ujawniono, jak wyglądał Holokaust, Milgram, podobnie jak wiele innych osób, był w kompletnym szoku, kiedy dowiedział się, jak wielu „zwykłych” ludzi dało się przekonać do takich czynów. Inspiracją do przeprowadzenia eksperymentu stał się dla Milgrama proces Adolfa Eichmanna, który jako członek Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników odegrał ważną rolę w organizacji Holokaustu. Słynne są słowa Eichmanna, który twierdził, że nie należy uważać go za winnego jego czynów, ponieważ po prostu wykonywał rozkazy. obrońcy Eichmanna z konsternacją sugerowali, że każdy w jego sytuacji podjąłby pewnie te same decyzje. Milgram

postanowił odkryć, czy jest w tym choć trochę prawdy.

Bill był jednym z czterdziestu mężczyzn o różnych profesjach i wykształceniu, których przebadano. Przed eksperymentem Milgram poprosił czternastu studentów psychologii z Yale, by przewidzieli, ilu badanych będzie czuło przymus włączenia najwyższego napięcia. Średnia odpowiedź wynosiła 1,2 procent. Ostatecznie okazało się, że ten odsetek wynosi tak naprawdę 65 procent[22]. Według mnie właśnie w tym kryje się coś naprawdę potwornego: być może naturalna awersja do określonych rodzajów zachowań wykształca się u nas, ponieważ przynosi nam to korzyść, ale często jedynym, co stoi między nami a popełnieniem czynu, który można uznać za „zły”, są nieustępliwe fikcyjne społeczne konwenanse i odrobina szczęścia – czy to w postaci genetycznych predyspozycji, czy wykształcenia odpowiednich mechanizmów – sprawiająca, że potrafimy „dobrowolnie” się ich trzymać. To z kolei pozostawia nas z jeszcze bardziej niewygodną prawdą: „zło” wcale nie jest zaburzeniem ludzkiej natury, ale stanowi normę.

Poszukiwanie prawdy (przez duże P) o rzeczywistości pobudza umysły myślicieli od początku historii ludzkości, a szczególnie trudnym problemem stało się w epoce niepewności, dla której charakterystyczny jest lęk przed wpływem „fake newsów” i opieranie się w coraz większym stopniu na beznamiętnych algorytmach gromadzenia informacji. Rzadko przyznajemy, że prawda niekoniecznie ma znaczenie dla funkcjonowania i przetrwania ludzkości. W rzeczywistości można by przekonywać, że jeśli chodzi o formowanie społeczeństwa i podejmowanie wspólnych działań, może ona nie mieć znaczenia, a czasami nawet szkodzić.

W 2008 roku Kathleen Vohs, tym razem we współpracy z psychologiem Jonathanem Schoolerem z Uniwersytetu Kalifornijskiego, przeprowadziła fascynujące badanie sprawdzające to, jak wiara w wolną wolę wpływa na odpowiedzialność moralną. Vohs i Schooler dali każdej z dwóch grup uczestników do przeczytania jeden z dwóch fragmentów z książki *Zdumiewająca hipoteza* z 1994 roku, której autorem jest noblista i współodkrywca DNA Francis Crick. W jednym fragmencie pojawiała się informacja, że „choć zdaje się, że posiadamy wolną wolę, w rzeczywistości nasze decyzje zostały już z góry za nas podjęte”, a w drugim nie wspomiano o tym wcale. Badani wypełnili krótką ankietę, w której wyrażali własne zdanie na temat koncepcji

wolnej woli, a następnie poproszono ich o wykonanie krótkiego testu matematycznego z jednym zastrzeżeniem: za każdym razem gdy pojawiał się pytanie, mieli wcisnąć spację, by zapobiec pojawieniu się na ekranie odpowiedzi. Co niezwykle – ci, którzy przeczytali fragment zaprzeczający istnieniu wolnej woli, częściej oszukiwali, a w dodatku oszukiwali tym więcej, im bardziej sceptyczne mieli do niej podejście[23]. Być może w takim razie, pamiętając o tym (i zakładając, że uważamy oszukiwanie za niepożądane zachowanie), mamy powód, by uwierzyć, że wolna wola istnieje – niezależnie od tego, czy jest to prawda, czy nie.

Ostatecznie być może to, jak mocno trzymamy się koncepcji wolnej woli i odpowiedzialności za siebie samych, ma o wiele więcej wspólnego z tym, co uważamy za cel naszego życia, nie zaś z jakąkolwiek rzeczywistą prawdą o tym, kim lub czym jesteśmy – być może nawet wynika to z zaprogramowanych z góry danych genetycznych i nieświadomych reakcji. Czy chcemy postrzegać siebie jako wartościowych mieszkańców maleńkiej wspólnej przestrzeni w ogromnym wszechświecie, którzy powinni robić, co mogą, by zapewnić jak największej liczbie osób doświadczenie życia, które warto przeżyć? Czy wolimy zachowywać się samolubnie, by przetrwać i odnosić sukcesy niezależnie od ceny? A może człowiek to po prostu, jak mówi Rusty Cohle w serialu *Detektyw*:

[...] istota, która łądzi się, że posiada osobowość, ukształtowaną jakoby z przeżyć i doświadczeń jednostki. Każdy z nas został zaprogramowany, by uważać się za kogoś, a jest, jak cała reszta, nikim[24].

[1] J. Gray, *Słomiane psy*, tłum. C. Cieśliński, Warszawa 2003, s. 66.

[2] Elektroencefalograf rejestruje aktywność mózgu poprzez elektrody umieszczone na głowie, które mierzą komunikację między komórkami mózgu.

[3] B. Libet, *Unconscious Cerebral Initiative and the Role of Conscious Will in Voluntary Action*, „The Behavioral and Brain Sciences”1985, t. 8, s. 529–556.

[4] Być może profesor Haynes sam nieco zaniepokoił się wynikami, ponieważ szybko otworzył drzwi wolnej woli, stwierdzając, że jeszcze się okaże, czy takie decyzje można też cofnąć albo celowo nie wprowadzać ich w czyn. Research News, *Unconscious Decisions in the Brain. A Team of Scientists*

Has Unravalled How the Brain Unconsciously Prepares Our Decisions, „Max-Planck-Gesellschaft”, 14 kwietnia 2008, www.mpg.de/research/unconscious-decisions-in-the-brain (dostęp: 9.03.2019).

[5] Wiele technologii i technik opracowanych w ramach realizacji Akcion T4 później stało się ważnymi narzędziami podczas Holokaustu.

[6] F.D. Goodman, *Egzorcyzmy Anneliese Michel*, tłum. M. Gredecka, Radom 2005, s. 234.

[7] Tamże, s. 236.

[8] E. Hansen, *What in God's Name*, „The Washington Post”, 4 września 2005, www.washingtonpost.com/wp-dyn/content/article/2005/09/02/AR2005090200559.html (dostęp: 9.03.2019).

[9] F.D. Goodman, *Egzorcyzmy Anneliese Michel*, dz. cyt., s. 87.

[10] Z. Corbyn, *Hungry Judges Dispense Rough Justice*, „Nature”, 11 kwietnia 2011, www.nature.com/news/2011/110411/full/news.2011.227.html (dostęp: 9.03.2019).

[11] D.L. Olds, H. Kitzman, R. Cole i in., *Effects of Nurse Home Visiting on Maternal Life – Course and Child Development. Age-Six Follow-Up of a Randomized Trial*, „Pediatrics” 2004, t. 114, s. 1550–1559.

[12] H.J. Kitzman, D.L. Olds, R.E. Cole i in., *Enduring Effects of Prenatal and Infancy Home Visiting by Nurses on Children – Follow-Up of a Randomized Trial Among Children at Age 12*, „Archives of Pediatrics and Adolescent Medicine” 2010, R. 164, nr 5, s. 412–418.

[13] Ponowna analiza artykułu D.L. Olds, C.R. Henderson, R. Cole i in., *Long-Term Effects of Nurse Home Visitation on Children's Criminal and Antisocial Behavior. 15-Year Follow-Up of a Randomized Controlled Trial*, „JAMA: The Journal of the American Medical Association” 1998, R. 280, nr 14, s. 1238–1244.

[14] R.J. St. Leger, *Epigenetics and You* (plik wideo), 2018, www.coursera.org/learn/genes/lecture/5A5Bg/epigenetics-and-you (dostęp: 9.03.2019).

[15] K.D. Vohs, N.L. Mead, M.R. Goode, *The Psychological Consequences of Money*, „Science” 2006, R. 314, nr 5802, s. 1154–1156.

[16] D.C. Dennett, *Elbow Room. The Varieties of Free Will Worth Wanting*, Cambridge, MA 1984.

[17] S. Carroll, *Free Will Is as Real as Baseball*, „Preposterous Universe”, 13 lipca 2011, www.preposterousuniverse.com/blog/2011/07/13/free-will-is-asreal-as-baseball (dostęp: 9.03.2019).

[18] www.open.edu/openlearn/ocw/mod/oucontent/view.php?printable=1&id=18956 (dostęp: 9.03.2019).

[19] M. Mosley, *The Uncomfortable Truth About Mind Control. Is Free Will Simply A Myth?*, „Independent”, 6 stycznia 2011, www.independent.co.uk/life-style/health-and-families/features/the-uncomfortable-truth-about-mind-control-is-free-will-simply-a-myth-2177014.html (dostęp: 9.03.2019).

[20] S. Milgram, *Behavioral Study of Obedience*, „Journal of Abnormal and Social Psychology”

1963, R. 67, s. 371–378.

[21] S. Milgram (reżyser), *Obedience* (plik wideo), www.youtube.com/watch?v=wdUu3u9Web4 (dostęp: 9.03.2019).

[22] S. Milgram, *Behavioral Study of Obedience*, dz. cyt.

[23] S. Nichols, *Free Will Versus the Programmed Brain*, „Scientific American”, 19 sierpnia 2008, www.scientificamerican.com/article/free-will-vs-programmed-brain/ (dostęp: 9.03.2019).

[24] *Detektyw*, HBO, New York, 2014, tłum. W. Stybliński.

Rozdział piąty

ŚLAD IMIENIA

Jeśli mam opowiedzieć prawdziwą historię, zacznę od swojego imienia.

Kendrick Lamar w rozmowie
z Amosem Barshadem dla Vulture.com

Jest 11 grudnia 2015 roku, dopiero co wybiła druga po południu. Jakiś nieznajomy wchodzi do pubu The Clarence w wiosce Greenfield na obrzeżach Saddleworth Moor, na brytyjskiej wyżynie Peak District. W pogodniejsze dni pobliskie wrzosowiska mogą zdawać się miejscem pełnym surowego majestatu, gdy mienią się intensywnie różowymi i fioletowymi pędzelkami wrzosów i połaciami żółtych traw – miejscem, gdzie na każdym uskoku skalnym człowiek czuje, że wystarczy tylko wyciągnąć rękę, żeby dosięgnąć nieba. Jednak w ponure dni, takie jak ten, urok wrzosowisk wydaje się o wiele bardziej złowieszczy – zielenie i szarości stromych skał piaskowca ustępują czerni, ziemia wygląda tak, jakby spłukano z niej cały kolor. Można by pomyśleć, że to cieniste przestrzenie z apokaliptycznego obrazu Johna Martina i że za chwilę ziemia rozerwie się, odsłaniając ogniste wnętrza.

Nieznajomy jest mężczyzną w średnim wieku, ma jakiś metr osiemdziesiąt, a na sobie szarobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy. Włosy na jego skroniach są szpakowate, na czubku głowy została ich tylko niewielka kępka. Gdy podchodzi do baru, pyta jedynie o to, jak dojść na „szczyt góry”. Właściciel pubu wskazuje mu zbiornik retencyjny Chew. Mówi, że to miejsce jest położone najwyżej, ale ostrzega mężczyznę – nie będzie się dało z niego wrócić po zmroku^[1]. Nieznajomy nie zraża się: dziękuje właścicielowi i kiedy zaczyna się lekka mżawka, wychodzi w szarość.

Następnego ranka na drodze między zbiornikami Dovestone i Chew rowerzysta zauważa, że ktoś leży równolegle do drogi i o dziwo nie reaguje na lejący się z nieba intensywny deszcz oraz przenikliwie zimne powietrze. To nieznajomy z baru. Kiedy policja i ratownicy górscy przybywają na miejsce, nie znajdują przy nim żadnego dokumentu tożsamości, tylko trochę pieniędzy, bilety na pociąg oraz opakowanie po tabletkach z solą sodową tyroksyny – to musi im wystarczyć do identyfikacji.

W ciągu kolejnych miesięcy media na całym świecie powtarzają wiadomość o odnalezieniu ciała. Trudno nie czuć zaciekawienia i nie zadawać sobie pytania o to, dlaczego mężczyzna, który – jak później odkryto – popełnił samobójstwo, postanowił zakończyć swoje życie w taki sposób. Ale przede wszystkim fascynuje nas tajemnica jego tożsamości. Czujemy nieodpartą chęć, by poznać jego imię, chociaż być może życzył sobie anonimowości.

Mimo że imion w formie ustnej używano prawdopodobnie wiele lat wcześniej, do pierwszego udokumentowanego zapisu imienia przez *homo sapiens* doszło mniej więcej 3500–3000 lat przed naszą erą w Sumerze w Mezopotamii – znaleziono je na glinianych tabliczkach, które były, mówiąc ogólnie, starożytnymi pokwitowaniami. Tablica Kuszima, która – jak się uważa – opisuje sprzedaż 29 086 miar jęczmienia, zdaje się również zawierać imię osoby, która nadzorowała transakcję[2] Imię „Kuszim”, wypisane w rogu i stanowiące kombinację dwóch symboli, które – jak twierdzą eksperci – można fonetycznie zapisać jako *ku* oraz *szim*, może być pierwszym w historii ludzkości udokumentowanym imieniem.

Wraz z ewolucją pisma i języka rozwija się zdolność rozumienia pojęć, a co za tym idzie – świata, który nas otacza. W tym sensie tablica Kuszima reprezentuje kluczowy moment w ewolucji społeczności; jak pisze Yuval Noah Harari w książce *Sapiens. Od zwierząt do bogów*, pokazuje ona, że wraz ze wzrostem poziomu złożoności społeczeństw potrzebne były coraz bardziej wyrafinowane sposoby kontrolowania zobowiązań[3]. Być może pierwszy zapis imienia to także symbol innego swoistego przejścia – w świat, w którym wszyscy zaczęliśmy indywidualnie myśleć o tym, kim jesteśmy, i o naszym miejscu w świecie, a także o tym, jak możemy je kształtować jako jednostki. Zanim zaczęliśmy zapisywać imiona, mogliśmy zostawiać odciski dłoni lub niepowtarzalne symbole namalowane na skałach, na przykład takie jak te znalezione

w jaskiniach krasowych na Celebesie w Indonezji, ale czas już zatarł ślad po tym, do kogo należały. Bez udokumentowanych dowodów potwierdzających to, kim jesteśmy jako jednostki, można było wyrzucać z pamięci, ignorować i wykluczać z dyskusji całe grupy w społeczeństwach, ale teraz – wyrażona w biurokratycznym przełomie Kuszima – pojawiła się szansa, by każdy był w stanie zaistnieć w piśmie. Będzie wiadomo, że istnieliśmy, bo tak jest napisane, o, tutaj. Dało nam to narzędzie, dzięki któremu nawet w najbardziej zapomnianych i zepchniętych na margines zakątkach, na przykład jako nowojorski grafficiarz z lat siedemdziesiątych XX wieku, można było wykrzyczeć swój bunt przeciw byciu ignorowanym, zamalowując płomieniami wagony metra wyjeżdżającego z Bronxu.

W styczniu 2017 roku, po trwających ponad rok dokładnych poszukiwaniach, zwłoki znalezione na wrzosowisku Saddleworth zostały w końcu zidentyfikowane – był to David Lytton, który przez poprzednie dziesięć lat mieszkał w Lahaur w Pakistanie, a potem wrócił do Wielkiej Brytanii, gdy postanowił odebrać sobie życie. Historia Davida, przynajmniej ten niewielki jej fragment, który znamy, ma punkty wspólne z inną, biorącą swój początek siedemdziesiąt pięć lat wcześniej na drugim końcu świata. Tak jak wszystkie podobne historie, ta również zaczęła się od znalezienia ciała...

Kiedy go znaleziono, leżał na skale przy brzegu oceanu. Sądząc po stanie zwłok i ułożonej starannie pod głową gazecie z datą 20 maja 1945 roku, zmarł nieco ponad dwa tygodnie wcześniej. Spokojne kobaltowe wody Taylors Bay w Sydney – tego pochmurnego popołudnia nieco mniej lśniąco niż zwykle – łagodnie odbijały się od skał poniżej, gdy policjanci badali miejsce znalezienia zwłok. Na lewo od ciała natrafiono na małą szklaną i opróżnioną do połowy butelkę lemoniady obok otwartej, pustej już saszetki. Na piersi mężczyzny, ściskana przez niego w prawej dłoni, tkwiła niewielka książka w twardej oprawie, długości niecałych trzynastu centymetrów. Strony trzepotały w tę i w tę na łagodnym wietrze, gdy jeden z policjantów pochylił się, by ją podnieść. Zdmuchnął piasek z okładki i wziął do ręki książkę, by przeczytać nadrukowany złotymi literami tytuł: *Rubajjaty Omara Chajjama*. Po przejrzaniu tomiku znaleziono błady krzyżyk nakreślony ołówkiem obok wersetów:

Ach, korzystajmy z czasu, którego niewiele,
nim pójdziemy pod ziemię szukać swego końca
prochem szarym na zawsze, popiołem w popiele,
bez wina, bez miłości, bez śpiewu, bez słońca!^[4]

Później mężczyznę zidentyfikowano jako trzydziestoosmioletniego Josepha Haima Saula Marshalla, który mieszkał w Sydney przez ostatnie sześć lat po przyjeździe z Singapuru w 1939 roku. Czasem jednak Joseph wolał, by zwracano się do niego George, a nazwisko Marshall tak naprawdę było przybrane, bo pierwotnie nazywał się Mashal – być może (co zdarza się zbyt często) była to próba ukrycia prawdziwych żydowsko-bagdadzkich korzeni wynikająca z lęku o to, jak potraktują go ludzie.

Dochodzenie w sprawie śmierci Josepha wykazało, że pusta saszetka znaleziona obok jego ciała zawierała kwas barbiturowy. Potwierdzono wówczas samobójstwo. Odkryto też, że w noc przed domniemaną śmiercią Josepha doszło do spotkania między nim a Gwenneth Dorothy Graham, młodą fryzjerką zamieszkałą w Sydney. Graham, która przez poprzednie cztery lata była bliską przyjaciółką Josepha, stała się głównym świadkiem w dochodzeniu. Niecałe dwa tygodnie później ciało Dorothy Graham znaleziono w jej mieszkaniu przy Roslyn Road w dzielnicy Kings Cross w Sydney – było przewieszane przez krawędź wanny i częściowo w niej zanurzone, a nadgarstki wyglądały na podcięte żyłką, która leżała w wodzie. Autopsja wykazała jednak, że śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia.

Tuż obok Taylors Bay, zaledwie trzy kilometry od miejsca, gdzie znaleziono ciało Josepha Marshalla, leży Chowder Bay, popularny punkt widokowy idealny na wieczorne spacerowanie brzegiem morza lub krótkie kąpiele w osłoniętych wodach wspaniałego kąpieliska. Szczególnie znaną lokalizacją, zwłaszcza dzięki bliskości koszar wojskowych, był hotel Clifton Gardens. Ów wyrazisty przykład architektury federacyjnej znajdował się zaledwie kilka metrów od brzegu i wyglądał zza otaczających go drzew. To było idealne miejsce na wieczór z przyjaciółmi w łagodnym świetle zimowego słońca; mógł też być dobrym punktem do dyskretnej obserwacji ruchu okrętów wojennych wypływających z zatoki Sydney, mijających Watsons Bay i płynących dalej w zdradliwe wody południowego Pacyfiku.

Wieczory w Cliftonie miały szczególną atmosferę, która rodziła się spontanicznie; było to ucieleśnienie ducha epoki dla tych, którzy zbyt dobrze wiedzieli, jak cenne mogą się kiedyś okazać takie chwile. Pewnej nocy na początku sierpnia, mniej więcej w czasie gdy prowadzono dochodzenie w sprawie śmierci Josepha Marshalla, grupa przyjaciół z koszar próbowała szczęścia przy drzwiach od tyłu, chociaż minęła już szósta – godzina, o której zwykle zamykano. Parę chwil później, gdy usadowieni już w barze mężczyźni wznosili toasty za pracowników hotelu, którzy ich wpuścili, jeden z członków grupy, trzydziestodziewięcioletni porucznik Alfred Boxall, został przedstawiony dziewczynie odbywającej praktyki pielęgniarskie w Royal North Shore Hospital. Między dwójką ludzi od razu pojawiła się więź – tak wyraźna, że już podczas drugiego spotkania, dzień przed planowanym wypłynięciem Boxalla, pielęgniarka zdecydowała się podarować mu coś na pożegnanie: egzemplarz *Rubajjatów Omara Chajjama*. Na wewnętrznej stronie okładki napisano:

Poprzysiągłem skruszony uczynić pokutę,
lecz pewno byłem wtedy winem zamroczony,
bo wiosna zaśpiewała na swą słodką nutę
i skrucę mą rozwiała w cztery świata strony^[5].

Numer wiersza, 70, podano poniżej, a dedykacja podpisana została „Jestyn”. Następnego dnia Boxall wypłynął w stronę Terytorium Północnego, by dołączyć do reszty 4. Kompanii Transportu Wodnego. Dwoje ludzi miało już więcej się nie spotkać.

TRZY LATA PÓŹNIEJ

– Zobacz, jak tamten facet leży – mówi Helen, gdy idą we dwoje po piasku.

W takie ciepłe wieczory przy dźwięku odbijających się łagodnie od brzegu fal, pod ciemniejszym niebem rozświetlonym jeszcze różowozłotym światłem, Helen i jej mąż John często spacerują po Somerton Beach. Jest wtorek, 30 listopada 1948 roku, ostatni dzień wiosny, a Helen i John przechadzają się w kierunku północnym ku Glenelg, cichemu przedmieściu Adelaide. Właśnie minęła siódma, kiedy Helen widzi elegancko

ubranego mężczyznę leżącego tuż pod przytułkiem dla niepełnosprawnych dzieci w Somerton.

John patrzy w miejsce wskazywane przez żonę, na postać leżącą ze skrzyżowanymi nogami wyciągniętymi w stronę oceanu. Mężczyzna wydaje się dziwnie oparty, jakby nie miał siły do końca się podciągnąć i oprzeć o ścianę. Helen czuje ogromną ulgę, gdy ten podnosi rękę, kiedy go mijają.

– Chyba ktoś trochę za dużo wypił. Może powinniśmy go zgłosić na policję – żartuje John.

Helen się uśmiecha, a potem odwraca głowę, by jeszcze raz spojrzeć na leżącego mężczyznę – jej uśmiech staje się trochę mniej pewny, gdy odwraca się do Johna, bierze go pod rękę i przyciąga bliżej. Idą dalej.

Parę chwil później pod przytułek podjeżdża młoda para na motocyklu. Olive i jej chłopak Gordon też przyjechali, by obejrzeć zachód słońca. Wybierają najlepsze miejsce na ławce tuż obok krótkich schodków prowadzących na plażę. Są tam dopiero od pięciu minut, kiedy Olive zauważa nogi w brązowych spodniach w paski sterczące obok muru nabrzeża. Dziewczyna poklepuje Gordona i wskazuje.

– Daj temu spokój, nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

– A jeśli nie żyje?

– Pewnie raczej śpi.

Oboje się śmieją, ale mija pół godziny i wydaje im się dziwne, że mężczyzna nie poruszył się ani razu, zwłaszcza że wokół byczy tyle irytujących komarów. Ale za każdym razem, gdy Olive próbuje lepiej przyjrzeć się leżącemu, Gordon ją odciąga i mówi, że niegrzecznie jest się tak gapić. Gdy zapada zmrok i wokół nich zaczynają zapalać się latarnie, dziewczyna zauważa człowieka w niebieskim garniturze, który zatrzymał się tuż nad miejscem, gdzie leży mężczyzna. Patrzy, jak tamten zerka w dół na spowitą w mroku sylwetkę na piasku – wydaje się, że trwa to dobrych kilka minut – a potem odwraca się i znika w jednej z ulic oddalających się od morza. Niedługo potem Gordon i Olive wsiadają na motocykl i odjeżdżają w ciepłą mglistą noc.

Następnego ranka John Lyon znów przychodzi na plażę, żeby popływać. Kiedy wynurza się z wody, zauważa dwóch mężczyzn na koniach patrzących na coś leżącego

przy murze nabrzeża. Gdy John się przybliży, przedmiot ich zainteresowania stopniowo ukazuje się jego oczom. Chociaż nie ma pewności, wydaje mu się, że to ten sam mężczyzna, którego widział z Helen poprzedniego wieczoru – wciąż leży dziwnie przygarbiony z głową zwisającą luźno na prawo. Dwaj pozostali mężczyźni, lokalni jeźdźcy Neil Day i Horrie Patching, mówią, że właśnie przejeżdżali, kiedy znaleźli go w takim stanie. Gdy John podchodzi jeszcze bliżej, w ostrym porannym świetle widzi go wyraźnie po raz pierwszy: szerokie ramiona, szorstkie rudawe włosy, zakola i siwiznę na skroniach. Mężczyzna ma na sobie białą koszulę i czerwono-niebieski krawat pod brązowym wełnianym swetrem, do tego szarobrązową dwurzędową kurtkę i brązowe skórzane buty. John natychmiast i bez najmniejszych już wątpliwości dostrzega także, że mężczyzna nie żyje.

Konstabl John Moss z pobliskiego posterunku w Brighton przybywa i zastaje Johna, Neila i Horriego, a także rosnący stale tłumek gapiów czekający przy zwłokach. Moss bada ciało, stwierdza, że jest zimne, sztywne i wilgotne od porannej rosy, a potem otwiera mężczyźnie powieki, by przyjrzeć się szarym tęczówkom i rozszerzonym źrenicom. Realizuje rutynowe działania i szuka pulsu – bez powodzenia – po czym zauważa niedopalonego papierosa między prawym policzkiem a klapą marynarki. Nie ma jednak śladów oparzenia, co wskazuje na to, że być może papieros zgasł, zanim wypadł mu z ust.

Policjant szacuje, że mężczyzna mógł mieć jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt lat. Zauważa, że jego ręce luźno zwisają, nie ma wyraźnych oznak przemocy ani uszkodzeń ciała, wydaje się też, że piasek wokół ciała nie został zanadto poruszony. Ku swemu zaskoczeniu konstabl widzi także, że buty mężczyzny są niezwykle czyste jak na kogoś, kto mógł się przechadzać brzegiem morza. Szukając dokumentu tożsamości w kieszeniach, znajduje coś innego – niewykorzystany bilet kolejowy drugiej klasy na pociąg z Adelaide do Henley Beach, bilet komunikacji miejskiej o numerze 88708, cienki aluminiowy grzebyk, nieotwartą paczkę gumy do żucia Juicy Fruit, paczkę papierosów Army Club i pudełko zapalek Bryant & May.

Niedługo potem, gdy blade poranne słońce coraz bardziej jaśnieje i wznosi się na niebie, a ciepły powiew wiatru rzuca luźnymi ziarenkami piasku po plaży, Lyons

patrzy, jak ciało przenoszone jest do karetki i w końcu odwożone.

Doktor John Bennett czeka na pojazd podjeżdżający właśnie na podwórze Royal Adelaide Hospital. Na podstawie rozległości sinicy i stopnia stężenia pośmiertnego uznaje, że śmierć nastąpiła niecałe osiem godzin wcześniej, czyli mniej więcej o drugiej w nocy. Doktor Bennett oficjalnie stwierdza zgon i przypuszcza, że przyczyną mógł być atak serca, chociaż w tym momencie nie da się już stwierdzić, w jaki sposób mężczyzna zmarł. Ze szpitala ciało zostaje przewiezione bezpośrednio do miejskiej kostnicy obok cmentarza przy West Terrace, na południowo-zachodnim krańcu terenów parkowych w centrum Adelaide.

Po przeniesieniu na nosze konstabl Moss pomaga przewieźć ciało do środka, gdzie parę chwil później koroner John Dwyer zdejmuje z niego ubrania, a do dużego palca u nogi przywiązuje niezapisany kartonowy znacznik. Dwyer przykrywa zwłoki tkaniną, przewozi je do chłodni, otwiera drzwi i układa ciało na jednej z półek. Moss pakuje rzeczy znalezione przy zwłokach oraz wszystkie części garderoby, z ciekawością zauważając, że większość metek jest wycięta – zostały po nich tylko postrzępione resztki. Gdy funkcjonariusz kończy pracę, zadanie identyfikacji mężczyzny przypada policji metropolitalnej w Adelaide, gdzie nadzór nad dochodzeniem zostaje przekazany detektywowi sierżantowi Lionelowi Leane'owi.

Choć policjanci bardzo angażują się w ustalanie tożsamości niezidentyfikowanych zmarłych, nawet gdy podejrzenie przestępstwa jest niewielkie, takie przypadki często trwają długo i odwracają uwagę od pilniejszych zadań, dlatego telefon odebrany tego wieczoru w wydziale Leane'a przynosi ulgę. Dzwoni sierżant Fenwick z posterunku w Glenelg, by powiadomić o mocnym tropie dotyczącym tożsamości mężczyzny. Fenwick przypuszcza, że ciało należało do pięćdziesięcioletniego Edwarda Cecila Johnsona, który niedawno zaginął, nie wróciwszy do swojego domu w Payneham, północno-wschodnim przedmieściu Adelaide. Fenwick poleca, by sprawdzili, czy łokieć mężczyzny jest uszkodzony i czy brakuje mu kawałka małego palca.



*Zdjęcie z pierwszej autopsji nieznanego mężczyzny znalezione na Somerton
Beach w grudniu 1948 roku*

Następnego ranka, 2 grudnia, konstabl Sutherland z policji metropolitalnej dołącza do Dwyera, by nadzorować autopsję nieznanego mężczyzny. Cierpliwie patrzy, jak z ciała zostaje zdjęta tkanina i ukazują się wyraźnie nietknięte palce obu dłoni. Edward Johnson to nie ten człowiek. Gdy Dwyer starannie przeprowadza dwugodzinną procedurę autopsji, na jaw wychodzi coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego.

Dwyer odkrywa, że nieboszczyk był mężczyzną w całkiem przyzwoitej kondycji fizycznej, który dość dobrze o sobie dbał. Jego paznokcie u dłoni i stóp są obcięte i czyste, twarz starannie ogolona, a to nie pasuje do pierwszego przypuszczenia policji, że był to pijak albo włóczęga, chociaż brakuje mu zębów zarówno w górnej, jak i w dolnej szczęce – łącznie osiemnastu. Dwyer szacuje, że mężczyzna ma mniej więcej czterdzieści pięć lat, po zmierzeniu zapisuje jego wzrost – 180 centymetrów. Zmarły ma mocną budowę – szerokie, muskularne ciało kogoś dosyć silnego. Dwyer na chwilę zatrzymuje się przy jego oczach. Gdy przygląda im się bliżej, zauważa w źrenicach dziwną nierówność, jakby tuż przed śmiercią nienaturalnie na coś reagowały. Badając tylną część zwłok, Dwyer spostrzega sporą plamę za uszami i w okolicy szyi, gdzie zgromadziła się krew – odpowiada to pozycji, w jakiej znajdowało się ciało po śmierci. Koroner znajduje też odrobinę piasku we włosach, ale nie ma go wcale w nozdrzach ani w ustach, co wraz z czystymi butami wskazuje, że przed śmiercią denat nie przebywał na plaży zbyt długo.

Podobnie jak doktor Bennett, także Dwyer uznaje, że najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci była choroba serca, i stwierdza kongestię krwi we wszystkich najważniejszych narządach, co jest klasycznym objawem niewydolności serca. Dlatego zaskakuje go spostrzeżenie, że samo serce wydaje się nie tylko zdrowe, lecz także twarde i jędrne niczym organ należący do młodszego mężczyzny. Jest jeszcze bardziej zaskoczony, gdy rozcina żołądek i znajduje w środku krew – znak, że przyczyna śmierci była zupełnie inna.

Dwyer nie może mieć jeszcze pewności, ale opierając się na dotychczasowych dowodach, ma podejrzenie, że chociaż mężczyznę rzeczywiście zabiła niewydolność

serca, to jego śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych – został otruty, albo z własnej ręki, albo przez kogoś innego. Ponieważ nie ma śladów wskazujących, że połączył cokolwiek zabójczego, Dwyer zastanawia się przez chwilę, czy substancję wstrzyknięto igłą. Szuka między palcami stóp i kostkami dłoni punktowej rany, ale znajduje tylko jasną bliznę na lewej ręce i kilka otarć na dłoni. Tego samego popołudnia konstabl Sutherland zawozi wycinki tkanek do Rządowego Wydziału Chemii na północy miasta razem z próbkami krwi i moczu. Wszystko to odbiera doktor Robert Cowan, zastępca szefa analiz chemicznych. Próbkę mają zostać zbadane na obecność cyjanków, alkaloidów, barbituranów i kwasów karbolowych, minie jednak kilka dni, zanim wyniki będą znane.

Następnego ranka detektyw Leane w białym kapeluszu typu panama i garniturze z gofrowanej bawełny sięga po egzemplarz „Advertisera” w kiosku prasowym. Uwagę Leane’a natychmiast przyciąga artykuł na pierwszej stronie o aresztowaniu dwóch szpiegów w brytyjskiej strefie Wiednia. Potem detektyw zagląda na drugą stronę i znajduje to, czego szukał: NIEBOSZCZYK WCIAŻ NIEZIDENTYFIKOWANY – głosi tytuł. Pewien, że to załatwi sprawę, odkłada gazetę na stojak, a potem rusza do pracy.

Zapowiada się upalny dzień, gdy Leane idzie do wydziału śledczego na Angas Street. Południowoaustralijski oddział specjalny składa się mniej więcej z piętnastu mężczyzn i kobiet pousadzanych w czterech małych pokojach – przestrzeń jest tu luksusem. Nierzadko widuje się konstabłów Sutherlanda czy Storcha albo detektywa Canneya skulonych na parapetach lub siedzących na krawędzi stołu, gdy przygotowują raporty i sprawdzają dokumenty. Tego ranka, kiedy wszyscy się zbierają, Leane przedstawia zespołowi raport Dwyera, informując, że powinni zacząć uważać tę sprawę za przypadek samobójstwa lub być może morderstwa i zwiększyć wysiłki w celu zidentyfikowania mężczyzny. Później, po otrzymaniu z kostnicy zdjęć zwłok i odcisków palców zespół przygotowuje dokumentację, która ma zostać rozesłana razem z kopiami odcisków i zdjęciami do wszystkich najważniejszych oddziałów policji w kraju.

W Australii końca lat czterdziestych XX wieku zidentyfikowanie zwłok mogło być szczególnie uciążliwym zadaniem. Koniec wojny przyniósł falę migracyjną, bo wielu ludzi, którzy nie chcieli lub nie mogli wrócić do domu, pragnęło na nowo zbudować sobie życie w nowym miejscu. Dla Australii sama skala działań wojennych, nie wspominając już o atakach na Darwin i port w Sydney, sprawiła, że wiele osób u władzy – być może przez pamięć o tym, w jaki sposób powstał sam naród – obawiało się, że tak młode i słabo zaludnione państwo jest mocno zagrożone inwazją. Tylko między 1947 a 1952 rokiem polityka „populate or perish” (zaludnić albo zginąć) poskutkowało przybyciem 180 tysięcy ludzi, którzy znaleźli w Australii dom i zatrudnienie. W ramach tej strategii stosowano kontrolę rasową, bo minister imigracji Arthur Calwell lękał się, że „rasy żółte” mogą kiedyś przejąć władzę. Calwell miał też nadzieję, że większość nowo przybyłych będzie pochodzić z Wysp Brytyjskich, ponieważ jednak brytyjska żegluga ucierpiała w czasie wojny, rząd był zmuszony otworzyć drzwi przybyszom ze wschodniej i południowej Europy, którzy często przyjeżdżali z byle jakimi papierami, nie mieli na miejscu żadnych przyjaciół ani rodziny i wybierali najbardziej fizyczne, tymczasowe prace.

Dzięki artykułowi w „Advertiserze” ponad dwudziestu policjantów skontaktowało się z wydziałem śledczym do końca dnia – głównie z informacjami od zaniepokojonych krewnych obawiających się o bezpieczeństwo synów, braci i ojców. Ale jeden telefon się wyróżniał.

Dzwonił niejaki Brian Joseph Dittmar.

Dziewiętnaście miesięcy wcześniej, podczas pracy przy statkach cukrowych w Port Adelaide, poznał mężczyznę o nazwisku Jack Thomas McLean, sądząc jednak po tym, jak wyglądały wtedy sprawy w porcie, nie był wcale pewien tego nazwiska. Dittmar znał McLeana jako kogoś, kto nie dawał sobie w kaszę dmuchać, i przypuszczał, że mężczyzna mógł przez lata wdać się w parę potyczek.

Następnego dnia Dittmar przyglądał się, jak z twarzy nieboszczyka zsuwana jest tkanina. Od razu potwierdził, że ciało należy do Jacka McLeana, a potem, co ciekawe, zmienił swoje poprzednie zeznanie i przyznał, że tak naprawdę od ich ostatniego spotkania upłynęły cztery lata, a nie półtora roku. Mimo to uzbrojony w potencjalną tożsamość zespół skontaktował się z Biurem Śledczym Nowej Południowej Walii

w Sydney, by sprawdzić, czy mają jakieś informacje o Thomasie McLeanie. Dittmar zasugerował, by się z nimi skontaktowali, przekonany, że McLean może już być w bazie ze względu na aresztowanie w przeszłości. Wszyscy się ucieszyli, gdy otrzymali pozytywną odpowiedź – jednak zgodnie z podejrzeniami Dittmara mężczyzna nie nazywał się Jack McLean, ale William Edward Price. Co więcej, choć Dittmar zidentyfikował zwłoki, detektywi ustalili, że Price/McLean miał brązowe oczy, a nie szare, a jego wzrost wynosił zaledwie 168 centymetrów. Zespół wrócił do punktu wyjścia.

W ciągu kolejnych tygodni do wydziału śledczego w Adelaide stale wydzwaniali krewni i przyjaciele zaginionych, przedstawiając możliwe tożsamości. Wiele osób przyjeżdżało na cmentarz przy West Terrace, by obejrzyć zwłoki. Matka z St Kilda szukała trzydziestoczteroletniego syna, który zaginął jakiś czas temu, inna chciała znaleźć swojego, który zniknął przed sześcioma tygodniami. Obie obejrzały ciało, ale wyszły z kostnicy z odzyskaną rozpaczliwą nadzieją, że ich dziecko ciągle gdzieś żyje. Właściciel okolicznego hotelu zasugerował, że być może był to gość, który niedawno zniknął bez płacenia. Kiedy policja odnalazła jego rodzinę, odkryła, że bliscy nie widzieli go od miesiący, ale opis nie pasował i detektywi szybko skreślili go z listy.

Kobieta z Salisbury od dwudziestu dwóch miesięcy nie widziała męża, nałogowego palacza mającego w zwyczaju wycinanie metek z ubrań, tak jak wycięto je z odzieży zmarłego. Pewien mężczyzna, były skazany z więzienia w Alice Springs, sądził, że mógł to być jego współwięzień, który przybył na statku z Bułgarii w 1945 roku. Wiele osób umawiało się na oględziny, ale nie przychodziło, inni identyfikowali zwłoki, ale później wycofywali zeznania, większość zaś wcale nie rozpoznawała ciała. Każdy trop był kolejno sprawdzany, ale wszystkie prowadziły donikąd.

Ponieważ nadzieja na szybkie rozwiązanie sprawy malała, podjęto decyzję o zabalsamowaniu ciała. 10 grudnia przedstawiciel zakładu pogrzebowego Laurie Elliot wjechał do kostnicy z nowiutką maszyną do balsamowania Turner Portiboy, a potem wypełnił jej duży cylindryczny pojemnik specjalnym płynem z formaliną. Przy asyście Sutherlanda wydobył zwłoki z chłodni i ułożył je na stole. Elliot rozmasował ciało, aby je rozgrzać, a następnie z wielką starannością wykonał skalpelem dwa nacięcia na tętnicach i w każdej z nich umieścił kaniulę – jedna połączona była gumową rurką

z maszyną, a druga podpięta do osobnej rurki, która zwisała nad odpływem pod stołem. Uznawszy, że kaniule znajdują się we właściwym miejscu, Laurie wcisnął przełącznik na maszynie, która zaczęła głośno wirować. Dwaj mężczyźni patrzyli, jak poczerńiała krew wypływająca powoli z prawej strony zmarłego zaczyna ściekać cienką strugą przez rurkę, a ku kaniuli po lewej stronie ciała stopniowo skrada się wypływający z maszyny jasny płyn. Gdy krew zaczęła kapać na podłogę i do odpływu, formalina w końcu powoli wypełniła ciało.

W ciągu trzech tygodni większość najważniejszych gazet w kraju opublikowała zdjęcia zmarłego, a we wszystkich internatach i hotelach Adelaide policja szukała jakichkolwiek użytecznych informacji – bezskutecznie. Następnego dnia dokumentacja sprawy została rozesłana do wszystkich anglojęzycznych krajów na świecie, bo zespół Leane'a próbował rozszerzyć zakres poszukiwań. 22 grudnia Cowan, zastępca głównego analityka, dostarczył raport z analizy chemicznej do wydziału śledczego. Nie znalazł jednoznacznych dowodów na otrucie, co bardzo zaniepokoiło Leane'a. Zwykle każda z powszechnie używanych w wypadku samobójstwa trucizn, a przynajmniej te, na obecność których wykonał badania Cowan, zostawiłaby wyraźny ślad w organizmie. Fakt, że nie znaleziono nic, wskazywał, że jeśli użyto trucizny, to musiało to być coś o wiele rzadszego i trudniejszego do zdobycia niż substancja, której użyłby potencjalny samobójca. Cowan szybko dodał, że być może dowodzi to jedynie tego, że zgon wcale nie nastąpił wskutek otrucia, ale po prostu niewydolności serca. Ale Leane nie był przekonany. Jak, do diabła, tak silnie zbudowany mężczyzna z tak mocnym sercem mógł po prostu paść? Co jeszcze dziwniejsze – jeśli był to zwykły atak serca, mężczyzna najwyraźniej wcale się nie szamotał. I dlaczego nikt nie wie, kto to jest?

Naród przygotowywał się do świąt, tymczasem policja nie zbliżyła się do odkrycia tożsamości mężczyzny. Jednak na początku 1949 roku pojawił się obiecujący trop. W niedzielę 2 stycznia na posterunek policji w Morgan, małym miasteczku położonym nad rzeką Murray, około 160 kilometrów na północny wschód od Adelaide, przysła elegancko ubrana kobieta. Podeszła do recepcji, ściskając w ręku egzemplarz „Sunday Mail” z tego dnia ze zdjęciem niezidentyfikowanego mężczyzny wydrukowanym na pierwszej stronie oraz małą czarno-białą fotografią. Kobieta przedstawiła się jako Elizabeth Thompson i wskazała na pierwszej stronie gazety zdjęcie nieznanego

mężczyzny, w którym rozpoznała swojego przyjaciela Roberta Walsha o przezwisku Nugget. Druga fotografia przedstawiała ją oraz Walsha przed laty. W Adelaide detektyw Harvey otrzymał wiadomość od anonimowego rozmówcy, który także widział tego ranka zdjęcie w „Sunday Mail” i rozpoznał w mężczyźnie kogoś, z kim kiedyś pracował, również przezywanego Nugget.

Parę dni później, jadąc na cmentarz przy West Terrace w Adelaide, by zidentyfikować zwłoki, Elizabeth zajrzała do Stanleya Salottiego w Port Adelaide. Salotti był kiedyś pracodawcą Walsha, gdy ten mieszkał w domu Elizabeth. Kobieta pokazała Salottiemu gazetę i stare zdjęcie przedstawiające jego i Walsha razem, a wtedy i on nabrał przekonania, że zmarłym jest ich wspólny znajomy. Zgodził się pójść do kostnicy razem z Elizabeth.

Kiedy oboje oficjalnie oświadczyli, że ciało należy do Roberta Walsha zwanego Nuggetem, zostali zabrani na Angas Street, gdzie przesłuchał ich konstabl Harry Storch. Elizabeth, wdowa, wyjaśniła, że poznała Walsha, który w tym roku skończyłby sześćdziesiąt cztery lata, przed ośmiu czy dziewięciu laty, kiedy przybył on do Adelaide w poszukiwaniu zakwaterowania. Twierdził, że pochodzi z Walii, gdzie żyła jeszcze jedna jego krewna – siostra, z którą dawno się poróżnił i nie utrzymywał kontaktu. Ściskając trochę mocniej zdjęcie Walsha, Thompson wyjaśniła, że opuścił jej dom nieco ponad rok wcześniej, przed Bożym Narodzeniem w 1947 roku, bo chciał odwiedzić Brisbane. Miał nadzieję, że ona kiedyś do niego przyjedzie, ale tego nie zrobiła. Wtedy po raz ostatni widziała go żywego.

Salotti, który opisał Walsha jako cichego i lubianego człowieka, ostatni raz widział go przy torze wyścigów konnych w Victoria Park osiemnaście miesięcy wcześniej. Dodał, że jego zdaniem Walsh dość lubił hazard. Następnego dnia Jack Hannam, magazynier pracujący w Port Adelaide, pojawił się w wydziale śledczym i zidentyfikował mężczyznę jako kogoś, kogo poznał na hipodromie w Morphettville w maju 1947 roku. Chociaż Hannam także twierdził, że mężczyzna nosił przezwisko Nugget, ciekawe było to, że przedstawił mu się jako Bob Morgan, a nie Robert Walsh. Na początku lutego kolejnego roku Jack znowu natknął się na niego przypadkiem przy stacji kolejowej w Adelaide. Mężczyzna potrzebował zakwaterowania, a Hannam pomógł mu się przeprowadzić do pensjonatu o nazwie Turners, w którym sam

mieszkał. Morgan/Walsh przebywał tam przez następnych kilka miesięcy i w tym czasie blisko zaprzyjaźnił się z Hannamem – często rozmawiali i od czasu do czasu coś razem wypili. W pewnym momencie Morganowi wyrwało się, że tak naprawdę nazywa się Robert Walsh, a czasami mówił o sobie Nugget McCarthy. Jack przyznał, że teraz wydaje mu się to trochę dziwne, ale wtedy go to rozbawiło.

Storch słuchał i cierpliwie notował, a Jack opowiadał dalej. Mówił, że Nugget był mężczyzną przed pięćdziesiątką, miał metr siedemdziesiąt wzrostu i tatuaż na prawym przedramieniu.

– Przepraszam – przerwał Storch – wspomniał pan o tatuażu?

– Tak – odparł Jack. – To był chyba blady zarys Australii.

Tamtego popołudnia Storch pojechał razem z Jackiem do kostnicy, gdzie mężczyzna zidentyfikował ciało jako należące do mężczyzny, którego znał jako Boba Morgana. Jednak kiedy Storch ponownie sprawdził przedramię zmarłego, nie znalazł śladu tatuażu.

Następnego dnia funkcjonariusz Boyce z posterunku w Minlaton skontaktował się z wydziałem śledczym i poinformował, że odebrał właśnie telefon od kolejnego mężczyzny, który rozpoznał w zmarłym Roberta Walsha. Dodał, że mężczyzna chciał, aby cały jego dobytek trafił do Elizabeth, gdyby coś mu się stało[6]. Potem otrzymano kolejną wiadomość od kogoś innego, potwierdzającą dokładnie to samo. W końcu wydział postanowił nie kontynuować śledztwa w tym kierunku, być może dlatego, że zaczęło to coraz bardziej wyglądać na oszustwo.

Również 2 stycznia – na krótko po zgłoszeniu się Elizabeth Thompson – natrafiono na zupełnie inny trop. W biurze w Adelaide pojawił się mężczyzna, który także zobaczył zdjęcie zmarłego w „Sunday Mail”. Podał policji inne potencjalne nazwisko nieboszczyka: Ray Clark. Człowiek ten opisał Clarka jako mężczyznę przed czterdziestką mającego ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, z rudawymi włosami i czerwoną cerą, któremu brakowało kilku zębów. Mężczyzna wiedział, że Clark w młodości był bokserem i wciąż pozostawał w dobrej kondycji, a to świetnie pasowało do profilu zmarłego. Ale dopiero gdy mężczyzna zaczął opowiadać, jak poznał tego Raya Clarka, detektywi nadstawili uszu.

– Pracowaliśmy razem dla rządu – powiedział. – W Woomerze.

– W Woomerze? – powtórzył zdezorientowany młodszy funkcjonariusz.

Detektyw Leane dobrze wiedział, czym jest Woomera.

18 lipca 1945 roku, w tajemnicy przed większością świata, o 5.48 czasu miejscowego pośrodku pustyni Jornada del Muerto w Nowym Meksyku zdetonowano bombę. Akcja pod nazwą Trinity była pierwszą udaną eksplozją bomby atomowej. Niecałe trzy tygodnie później era atomu dała o sobie znać w postaci dwóch niosących śmierć i zniszczenie grzybów atomowych, gdy bomby Little Boy i Fat Man zrzucono na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki. Bomby w znacznym stopniu przyczyniły się do przyspieszenia końca drugiej wojny światowej, ale dały też początek wyścigowi zbrojeń, który zdawał się nie mieć końca i który po dziś dzień kładzie się cieniem na każdym aspekcie militarnym międzynarodowej dyplomacji. Po wojnie, czy też – mówiąc dokładniej – po detonacji bomb nad Hiroszimą i Nagasaki, dla rządów wszystkich państw uważających się za największych światowych graczy stało się jasne, że reguły gry się zmieniły. Co prawda Wielkiej Brytanii nie brakowało wiedzy pozwalającej na rywalizację w tworzeniu broni jądrowej, nie było jednak przestrzeni, gdzie można by ją testować.

Słowo *woomera*, zaczerpnięte z języka plemienia Darug, w luźnym tłumaczeniu oznacza „drewnianą konstrukcję wyrzucającą włócznie”. Można powiedzieć, że to idealna nazwa dla miejsca, w którym testowano pociski nuklearne. Stworzona we współpracy między rządami Australii i Wielkiej Brytanii i położona ponad pięćset kilometrów na północny zachód od Adelaide, na ciągnącym się po horyzont południowoaustralijskim odludziu, Woomera zajmowała powierzchnię mniej więcej 120 tysięcy kilometrów kwadratowych.

To, co się tam działo, było ściśle tajne, a w budowie kompleksu pomagał Ray Clark. Myśl, że ten cały Ray Clark, człowiek o nieznanym pochodzeniu i potencjalna ofiara morderstwa, pracował przy ściśle tajnym ośrodku, bardzo zaniepokoiła Leane’a.

Tego samego popołudnia konstabl Horsnell pojechał z byłym kolegą Raya Clarka do kostnicy, gdzie ten potwierdził tożsamość zmarłego. Następnego dnia „Advertiser” napisał, że nieznanym mężczyzną może być właśnie Clark. Później tego wieczoru inny

mężczyzna, który utrzymywał, że pracował z Clarkiem, również został zaprowadzony do kostnicy, ale stwierdził, że zmarły to nie on. Jednak po paru dniach przyszedł list od jednego z głównych inspektorów budowlanych Woomery, poświadczającego, że wygląd i opis nieznanego mężczyzny rzeczywiście pasują do Raya Clarka, którego znał. Co ciekawe, mężczyzna dodał, że na licencji australijskich sił powietrznych Clarka figurowało inne nazwisko, ale nie potrafił go sobie przypomnieć. Pomimo wysiłków zespół Leane'a nie był w stanie zlokalizować Clarka, ale – co ważne – nie znaleziono też dość informacji, by potwierdzić, że to on jest nieznanym mężczyzną.

Po sześciu tygodniach bezowocnego śledztwa policja w Adelaide, wspomagana teraz przez bystrego i sympatycznego detektywa Lena Browna, ponownie zebrała się, by jeszcze raz przyjrzeć się dowodom. Gdy przeglądali przedmioty należące do zmarłego, Leane nie potrafił się uwolnić od myśli, że musi być coś, co przeoczyli, jakiś trop, za którym jeszcze nie podążyli. I wtedy go zobaczył: bilet kolejowy! Rzucił się do telefonu i natychmiast połączył się ze stacją kolejową w Adelaide.

– Bagaż – powiedział do słuchawki – sprawdźcie w bagażowni, czy są jakieś nieodebrane walizki lub torby zdane przed pierwszym grudnia. Sprawdźcie też wszystkie przechowalnie bagażu – poinstruował zaskoczonych policjantów.

Ci szybko połączyli się ze wszystkimi pensjonatami i dworcami regionalnymi, jakie przysły im do głowy, i kazali szukać rzeczy, które mogły należeć do zmarłego. Podobny apel został zamieszczony następnego dnia w „Advertiserze”.

Wreszcie 14 stycznia nastąpił ważny przełom.

– Zdano ją trzydziestego listopada między jedenastą a dwunastą – wyjaśnił starszy bagażowy Harold North, prowadząc detektywa Leane'a na tyły szatni na stacji w Adelaide. Niestety dla Leane'a Harold nie pamiętał, od kogo odebrał walizkę, ale zaznaczył, że tylko po nią spośród wszystkich bagaży zdanych przed początkiem grudnia nikt jeszcze nie przyszedł. Harold lawirował między górą toreb i płaszczy wciśniętych do małego pomieszczenia, aż w końcu znalazł – bilet numer G52703. Zdjął bagaż z półki i podał go Leane'owi.

– Proszę bardzo, kolego.

Leane odebrał od Harolda średniej wielkości walizkę i postawił ją na ziemi. Oglądając jej bok, zauważył, że niedawno zdarto nalepkę podróżną, ale poza tym nie

było widać innych śladów. Otworzył zatrzaski i zatrzymał się na chwilę, po czym podniósł wieko. W środku znajdowały się starannie złożone ubrania oraz kilka sprzętów, których przeznaczenia Leane nie był jeszcze w stanie stwierdzić. Gdy powoli wyciągał koszulę i parę brązowych spodni, niemal identycznych jak te, w które ubrany był znaleziony na plaży nieznajomy, już wiedział, do kogo należała ta walizka. Gorączkowo poszukiwał jakichkolwiek dokumentów, ale niczego nie znalazł.

Na posterunku zespół dokładniej przeanalizował zawartość. Skrawek brązowej bawełny i guziki zdawały się pasować do tkaniny i guzików znalezionych na spodniach zmarłego. Znaleźli ponadto szlafrok w czerwoną kratę, kapcie, brązowe skórzane buty, krawat, przybory do golenia, marynarkę i chusteczkę, która również wyglądała jak ta znaleziona przy mężczyźnie. Co ciekawe, znów okazało się, że wszystkie ubrania miały wycięte metki. Na trzech elementach odzieży wypisana była nazwa Keane, ale Leane przypuszczał, że ten trop donikąd nie doprowadzi.



Od lewej: detektywi Dave Bartlett, Lionel Leane i Len Brown analizują zawartość walizki znalezionej na dworcu w Adelaide

Jeśli chodzi o sprzęty, były wśród nich: mały śrubokręt elektryka, płaski pędzel, nożyczki i nóż stołowy, który został przycięty tak, by był mniejszy i ostrzejszy, oraz zabezpieczony taśmą przed zniszczeniem. Leane dowiedział się następnie, że

przedmioty te są zwykle używane do malowania za pomocą szablonów, a po rozmowie z krawcem odkrył, że marynarkę znaną w walizce prawdopodobnie uszyto w Ameryce. Niestety wszelka nadzieja, że będzie to stanowić nowy trop, zgasła już parę dni wcześniej, gdy przyszedł list z Departamentu Sprawiedliwości USA z informacją, że w bazie danych FBI nie znaleziono przesłanych odcisków. Wszystkie międzynarodowe wydziały policji, z którymi kontaktował się zespół, odpowiedziały tak samo: tego mężczyzny nie ma w ich bazach. Choć odnalezienie walizki początkowo ucieszyło policję, to ze względu na brak dokumentów w środku nie było na czym oprzeć dalszego śledztwa. W kwietniu mężczyzna wciąż pozostawał bezimienny.

W pewnym momencie poradzono Leane'owi, żeby zwrócił się o pomoc do Uniwersytetu w Adelaide. Profesor John Cleland, szanowany i doświadczony patolog cieszący się dużym autorytetem, chętnie skorzystał z okazji do udzielenia wszelkiej możliwej pomocy. Następnego dnia Cleland odebrał notatki ze sprawy oraz walizkę wraz z zawartością znaną na stacji kolejowej i od razu zabrał się do pracy. Gdy siedemdziesięcioletni profesor czytał raport z sekcji zwłok, stało się dla niego jasne, że ten mężczyzna nie zmarł z przyczyn naturalnych, co potwierdziło podejrzenia detektywa Leane'a. Cleland natrafił na łodygi jęczmienia zarówno w dolnej części nogawek spodni znaną w walizce, jak i na jednej ze skarpet, którą miał na sobie zmarły, co wskazywało na to, że być może w którymś momencie te części odzieży były noszone równocześnie. Ostatecznie Cleland był w stanie potwierdzić, że walizka i jej zawartość należały do mężczyzny, ale niewiele mógł dodać do tego, co już wiedzieli.

Analizując ponownie ubrania, oświetlił wycięte metki lampą na podczerwień, ale nie znalazł niczego ciekawego. Potem znowu popatrzył na spodnie, które miał na sobie mężczyzna, gdy go znaleziono – uszyła je firma Wilson, jak podano na małej metce wewnątrz jednej z kieszeni, którą Cleland wywrócił na lewą stronę, odsłaniając wpisane kredą oznaczenie: 560-T5-REG-23. Policja podążyła tym tropem na początku śledztwa i dotarła do wytwórcy mającego siedzibę przy Brunswick Street 275 w Melbourne – co tydzień firma produkowała ponad trzy tysiące par podobnych spodni. Innymi słowy: dotarcie do nazwiska kupującego graniczyło z cudem. Cleland był zawiedziony i już miał się poddać, kiedy przesuwając palcami po wewnętrznej stronie pasa, wyczuł małe wybrzuszenie w tkaninie obok kieszonki na zegarek.

Wsuwając do niej palec, znalazł mały, ciasno zwinięty skrawek papieru. Uważając, by go nie podrzeć, rozwinął papier, który na pewno został skądś wydarty. Był zaskoczony, gdy zobaczył dwa tajemnicze słowa nadrukowane grubą czarną stylizowaną czcionką: *Tamám Shud*.

Zespół w wydziale śledczym nie miał pojęcia, co to może znaczyć, Cleland także tego nie wiedział. Mijały tygodnie, a detektywi bezskutecznie próbowali odkryć znaczenie słów, aż pewnego popołudnia Frank Kennedy, dziennikarz z „Advertisera”, dowiedział się o tajemniczym odkryciu i natychmiast coś sobie przypomniał. Pobiegł do telefonu i zadzwonił do detektywa Lena Browna, by dać mu znać, że widział już wcześniej te słowa – w *Rubajjatach Omara Chajjama*[7]. Brown chwycił skrawek papieru i ruszył prosto do okolicznej biblioteki. Przesuwał palcami po grzbietach książek w dziale poezji, aż w końcu znalazł pierwsze wydanie *Rubajjatów* opublikowane przez Collins Press. Wziął je z półki i zaczął przerzucać kartki, a gdy dotarł do ostatniej, odnalazł kłujące w oczy, wypisane pogrubioną czcionką słowa: *Tamám Shud*. Podniósłszy kartkę do światła, wyciągnął wydarty skrawek papieru i przyłożył do słów w książce – pasowały idealnie.

Później po konsultacji z bibliotekarzem Brown i reszta zespołu dowiedzieli się, że to fraza w języku perskim, którą można przetłumaczyć jako „do końca” lub „zakończyć”. Policja rozpoczęła gorączkowe działania, skontaktowała się ze wszystkimi księgarniami i bibliotekami w nadziei, że uda się znaleźć egzemplarz, z którego został wyrwany skrawek, ale poszukiwania znowu spełzyły na niczym.

W kostnicy pomimo kontynuacji procesu balsamowania ciało zmarłego zaczęło się rozkładać, a ponieważ nikt nie potwierdził jego tożsamości, policja nie miała wyjścia – trzeba go było w końcu pochować. Paul Lawson, miejscowy specjalista w zakresie preparowania zwłok, został sprowadzony w celu przygotowania odlewu torsu i głowy, gdyby w przyszłości ktoś jeszcze chciał zidentyfikować ciało. Następnie zmarły został ubrany i przygotowany do pochówku. Rankiem 14 czerwca bezimiennego mężczyznę przewieziono karawanem z zakładu pogrzebowego F.T. Elliot & Sons w Hindmarsh na cmentarz przy West Terrace. Trudno było nie poczuć dziwnie mrocznej atmosfery okoliczności – składano do grobu ciało bez tożsamości. Bezimienny mężczyzna, który, jak się zdawało, nie ma rodziny ani przyjaciół, mogących go nazwać swoim. Ludzie,

którzy spędzili ponad sześć miesięcy, próbując rozwiązać jego zagadkę, zjednoczyli się w dziwnym smutku, gdy ciało zostało złożone w ziemi.

Sprawa poruszyła ludzi do tego stopnia, że miejscowy bukmacher pokrył koszty godnego pochówku mężczyzny, a niedługo potem postawiono mu niewielki nagrobek – prezent od miejscowego kamieniarza, pana A. Collinsa. Napisano na nim: „Tu spoczywa nieznany mężczyzna znaleziony na plaży Somerton 1 grudnia 1948 roku”. Parę dni później przeprowadzono postępowanie sądowe w sprawie śmierci mężczyzny i stwierdzono, że najprawdopodobniej zmarł z przyczyn innych niż naturalne, co w pewnym sensie podsumowało śledztwo. Popiersie mężczyzny wystawiono na pokaz w South Australian Museum, by mógł mu się przyjrzeć każdy, kto sobie tego życzy, i mimo że detektywi wciąż z nadzieją szukali tego ważnego egzemplarza *Rubajjatów*, trudno było nie ulec poczuciu, że to już koniec.

Przynajmniej do czasu, aż na jaw wyszło coś niezwykłego.

Pewnego piątkowego wieczoru w czerwcu Ronald Francis czytał gazetę w swoim domu przy Jetty Road w Glenelg, gdy natrafił na historię o prowadzonych przez miejscową policję poszukiwaniach książki z częściowo wydartą ostatnią stroną. Przypomniawszy sobie zeszłoroczną wycieczkę samochodem z żoną i jej bratem, Roland wstał i poszedł do swojego hillmana minxa zaparkowanego przy drodze tuż obok domu. Otworzył drzwi i sięgnął do schowka, wyciągając z niego książkę, którą włożył tam jego szwagier, kiedy wrócili z podróży. *Rubajjaty Omara Chajjama* – brzmiał napis na okładce. Roland od razu zajrzał na ostatnią stronę i zszokowany zobaczył, że ze środka wydarto duży fragment. Co więcej – zdawało się, że na wewnętrznej stronie tylnej okładki napisano coś, co bardzo przypominało numer telefonu. Jak się okazało, szwagier Rolanda znalazł książkę pod siedzeniem i włożył ją do schowka, błędnie sądząc, że należy ona do Rolanda.

Następnego ranka Roland udał się do wydziału śledczego i został przedstawiony rozpromienionemu detektywowi Leane’owi. Podał mu książkę, a ten od razu przyłożył skrawek papieru do ostatniej strony – pasował idealnie. Po potwierdzeniu zeznania Rolanda i wyłączeniu go z kręgu podejrzanych o udział w śmierci mężczyzny zespół

natychmiast zabrał się do analizy książki. Oświetlając wnętrze tylnej okładki lampą na podczerwień, policja o dziwo znalazła nie jeden, ale dwa wyżłobione numery telefonów. Pod cyframi znajdowało się coś naprawdę szczególnego – pięć rzędów liter tworzących niezrozumiałą sekwencję:

WRGOABABD

MLIAOI

WTBIMPANETP

MLIABOAIAC

ITTMTSAMSTGQAB.

Druga linijka zdawała się wykreślona, a w czwartej literę O przekreślono symbolem x. Jeden z funkcjonariuszy stwierdził, że wygląda to jak obcy język. Inny odparł: wcale nie, to wygląda na kod.

Numery były łatwiejsze do rozszyfrowania. Jak się okazało, jeden z nich należał do banku, ale drugi był numerem prywatnym do domu przy Moseley Street w Glenelg. Co dziwne, ulica ta jest przecznicą z Jetty Road, jej wylot znajduje się tuż obok miejsca, gdzie Roland Francis parkował samochód. Niedługo potem detektyw Errol Canney, którego zadaniem było odnalezienie właściciela numeru, wszedł po schodach werandy domu na Moseley Street. To przyjemna, wysadzana drzewami ulica położona tuż przy plaży, zaledwie piętnaście minut spacerem od miejsca, gdzie pogodnego grudniowego poranka minionego 1948 roku odnaleziono ciało mężczyzny.

Canney z trudem powstrzymywał nerwową ekscytację, gdy pukał do drzwi. Usłyszał ruch w środku i zobaczył, jak ktoś podchodzi. Parę chwil później powitała go młoda, pewna siebie kobieta o falistych brązowych włosach do ramion. Osłaniała oczy od słońca, by lepiej przyjrzeć się Canneyowi, gdy ten się przedstawił, a potem uprzejmie zaproponowała, żeby porozmawiali w środku.

Kobieta, która przedstawiła się jako Jessica Thomson, nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego jej numer mógł zostać zapisany na okładce egzemplarza *Rubajjatów*, ale chętnie odpowiadała na pytania Canneya. Wyjaśniła, że mieszka w Glenelg od kilku lat i pracuje jako pielęgniarka w mieście. Przeprowadziła się tu po praktykach

w Sydney i mieszka z mężem Prestige'em, którego nie ma teraz na miejscu, oraz z ich trzyletnim synem Robinem. Po chwili milczenia Canney po raz ostatni spytał, czy nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłoby mieć znaczenie dla sprawy, i wtedy kobieta coś sobie przypomniała. Powiedziała, że parę lat wcześniej kilka razy podczas wyjścia z koleżankami spotkała się z pewnym żołnierzem – było to w okresie, gdy odbywała praktyki. Na krótko przed jego ponownym wypłynięciem podarowała mu egzemplarz *Rubajjatów*. Mężczyzna próbował nawet skontaktować się z nią po zakończeniu wojny, ale ona odpisała mu, by dać znać, że wyszła za mąż i że byłoby lepiej, gdyby już do siebie nie pisali. Powiedziała, że mężczyzna miał na nazwisko Alfred Boxall. Podała też adres, pod którym policja będzie mogła go znaleźć.

Canney przeczytał dziwną sekwencję liter z tylnej okładki książki i zapytał, czy Jessica wie, co to może znaczyć. Kobieta jednak, tak samo jak wszyscy, nie miała pojęcia. Detektyw podziękował jej za poświęcony czas i zaproponował, by umówili się na posterunku, gdzie pielęgniarka złoży oficjalne zeznanie oraz obejrzy odlew popiersia mężczyzny. W końcu, gdy Canney odwrócił się do wyjścia, spytał, czy do Jessiki kiedykolwiek zwracano się jakoś inaczej.

– Tak – odpowiedziała. – Ludzie często mówili na mnie Jestyn.

Na Angas Street detektyw Leane polecił wszystkim policjantom zgromadzić jak najwięcej informacji o Alfredzie Boxallu. Ponieważ występowało powiązanie między Boxallem i *Rubajjatami*, a w dodatku mężczyzna został odtrącony przez Jessicę, Leane zaczął myśleć, że być może to właśnie jego szukali i że koniec końców była to śmierć samobójcza. Popołudniem 26 lipca 1949 roku, przeszło siedem miesięcy od odnalezienia zwłok nieznanego mężczyzny, detektywi Leane i Canney udali się wraz z Jessicą do South Australia Museum, gdzie Paul Lawson zaprowadził ich do popiersia, które wykonał. Mężczyźni z zapartym tchem patrzyli, jak Jessica do niego podchodzi. Przez chwilę Leane widział błysk rozpoznania na jej twarzy. Potem kobieta szybko opuściła wzrok na podłogę i nie podniosła go już do końca rozmowy. Wydawało się, że na chwilę traci równowagę, prawie jakby miała zemdleć, ale kiedy Leane spytał, czy wszystko w porządku, odpowiedziała, że tak. Poprosił, żeby potwierdziła, czy kiedykolwiek widziała tego mężczyznę.

Na ułamek sekundy Jessica zamilkła, a potem odpowiedziała:

– Nie, nie widziałam go.

Trzy dni później po odnalezieniu domu pod ostatnim znanym adresem Boxalla – posiadłość leżała przy plaży w Maroubrie na przedmieściu Sydney – okazało się, że mężczyzna żyje i ma się dobrze, pracuje jako konserwator na dworcu autobusowym w niedalekim Randwick. Kiedy później Boxall został przesłuchany w domu przez wydział śledczy policji w Sydney, potwierdził zeznanie Jessiki dotyczące wieczoru w Clifton Gardens Hotel, gdzie podarowała mu egzemplarz *Rubajjatów*. Pokazał nawet na dowód książkę z dedykacją podpisaną „Jestyn”, a potem odłożył ją z powrotem na półkę. Przepraszył za to, że zmarnowali czas.

Policjantom nie udało się też rozgryźć ewentualnego kodu, chociaż próbowali go złamać najlepsi funkcjonariusze wywiadu marynarki wojennej. Ponieważ nie zostało już nic do stracenia, detektyw Leane ujawnił kod prasie – przez kolejnych siedemdziesiąt lat będą próbowaly go złamać całe rzesze szpiegów amatorów.

Do dziś nikomu nie udało się znaleźć zadowalającej odpowiedzi co do jego znaczenia.

Wiele rzeczy wyjdzie później na jaw i być może gdyby detektywi wiedzieli o nich wcześniej, okazałyby się one znaczące. Jedną z takich informacji jest to, że jednostka inżynierska Alfa Boxalla nie była tylko osławioną formacją obrońców ojczyzny, lecz zajmowała się też wywiadem; kolejna to fakt, że Jessica Thomson, jak podobno powiedziała swojej córce na krótko przed śmiercią w 2007 roku, rzeczywiście znała mężczyznę – znali go też inni, których rzekomo opisała jako stojących u władzy wyżej niż policja[8].

Czas nie osłabił zanadto zainteresowania bezimiennym mężczyzną, którego ciało znaleziono na plaży Somerton w grudniu 1948 roku. Spekulacje co do tego, co robił tamtego wieczoru na spokojnym przedmieściu Adelaide, są dziś niezliczone.

Czy był to tajemniczy Ray Clark? Tajny agent i być może współpracownik Jessiki Thomson, któremu nie można już było ufać albo który – co gorsza – po spełnieniu swojego zadania stał się bezużyteczny? Czy był przelotnym znajomym Thomson, którego zniszczyła nieodwzajemniona miłość? A może jednym z wielu ludzi, którzy musieli opuścić wyniszczone wojną domy i rodziny pozostałe na drugim końcu świata i szukać jakiegokolwiek pracy w nadziei na stworzenie lepszej przyszłości dla bliskich,

lecz jego serce nagle przestało bić, gdy na chwilę zatrzymał się, by nacieszyć się zachodem słońca i pomyśleć o dniu, w którym w końcu znów się spotkają?

Być może nigdy się tego nie dowiemy.

Chociaż nieudane poszukiwania tożsamości „mężczyzny z Somerton” sprawiły, że stał się on bardziej znany niż większość ludzi, to zdecydowanie nie doszło do tego na jego warunkach. Niezależnie od tego, czy chciał być pamiętany przez potomnych, jego los na pewno przeraża wielu z nas: smutek życia, które musi zostać zapomniane, potwierdzenie tak głębokiego braku znaczenia, że nie sposób go pojąć, nawet jeśli tak naprawdę taka sama dola przypadnie w udziale nam wszystkim.

Pojęcie indywidualności może się wydawać dziwne wszechpotężnemu bogu, który obserwuje nasz nieznaczący kawałek kamienia spoza naszego wszechświata i patrzy, jak szybko się pojawiajemy i znikamy, obserwuje, jak żwawe malutkie istotki krążą się po kuli ziemskiej wraz z upływem całych stuleci – dla niego nanosekund. Patrzy, jak pojawiają się punkty masy, wznoszą się i upadają struktury, być może z rozbawieniem zauważa, jak z przewidywalną regularnością błyskają i zapalają się światła, gdy wielki cień nocy przetacza się wokół planety.

Z jego perspektywy, zakładając, że uzna nas za wystarczająco znaczących, by w ogóle zaszczycić nas spojrzeniem, wyglądalibyśmy tak, jak dla wielu z nas może wyglądać kolonia mrówek albo bakterie na szklanej płytce – pojedyncze elementy pozbawionego znaczenia gatunku, który porusza się, ewoluuje, żyje i umiera, istoty dające się bez trudu zastąpić i nie do odróżnienia od innych, zdające się jedynie realizować cele jakiejś zbiorowej świadomości. Jak wielkim szokiem byłoby, gdyby przybliżył się i odkrył zupełnie inny świat – świat zadziwiającej niepowtarzalności i różnorodności jednostek oraz to, na jak wiele sposobów możemy odróżnić się od innych. Ten właśnie świat zaczyna się od naszego imienia.

W sztuce Arthura Millera *Czarownice z Salem*, która w formie fikcji opowiada o procesach czarownic w Salem, a także stanowi alegorię antykomunistycznej paranoi ogarniającej Stany Zjednoczone w latach pięćdziesiątych XX wieku, główny bohater John Proctor jest zmuszony przyznać się do uprawiania magii, by uniknąć egzekucji.

Za to wyznanie musi jednak zapłacić cenę: nie tylko inni więźniowie będą musieli ponieść śmierć, ale w dodatku jego nazwisko zostanie wypisane atramentem i przypięte do drzwi miejscowego kościoła, a on i jego rodzina pozostaną na zawsze naznaczeni piętnem wyznanych przez niego grzechów. W najbardziej emocjonującej scenie sztuki Proctor zmienia zdanie i drze swoje zeznanie. Spytany, dlaczego to zrobił, krzyczy: „Bo to moje imię! Bo innego nie będę miał... Oddałem wam duszę, ale zostawcie mi imię!”[9].

Cóż zatem znaczy nazwa? Na pewno, jak przekonuje nas Szekspir, „to nie dłoń, nie stopa, nie twarz, nie ramię – nie człowiecze ciało”[10]. Rzadko wybieramy imię sami, czasami nawet go nie lubimy, a jednak dla większości z nas – może to dobrze, a może źle – to właśnie ono jest najważniejszym symbolem naszego istnienia. Właśnie ono pozostanie w rejestrach administracyjnych, na certyfikatach, w spisach ludności, na nagrobkach i kontaktach w mediach społecznościowych na długo po naszym zniknięciu. Próbujemy pozostawić swój ślad w przestrzeni wspólnej, czy to przez słowo pisane, dźwięki czy środki wizualne, ale to właśnie prosty czar naszego imienia jest głównym wyzwalczem, który sprawia, że pojawiajemy się i trwamy w umysłach innych ludzi – i że nawet nieobecni możemy pozostać czymś trwałym i prawdziwym. Imię ma zatem moc. W nim jest nasz początek i koniec.

Dość dziwne jest zatem to, jak rzadko ludzie podążają drogą tytułowej bohaterki *Lady Bird*, genialnego filmu Greta Gerwig z 2017 roku, i wybierają sobie imię samodzielnie. Dla wielu osób imię, którego nie lubimy, może być irytujące, ale stanowi przynajmniej źródło dumy, łączności z rodziną lub plemieniem. Często nie doceniamy tego, że w ogóle je mamy, ale okazuje się ono wielkim luksusem, gdy pomyśli się o milionach niemieckich Żydów z imionami o „nieżydowskim” pochodzeniu, którzy 1 stycznia 1939 roku zostali zmuszeni do przyjęcia imienia Izrael lub Sara, by władze nie miały wątpliwości, kto jest Żydem, a kto nie. Lub o setkach tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci porwanych ze swoich domów w Afryce, skazanych na anonimowość i pozbawionych tożsamości, często „otrzymujących” imię w nowych miejscach przymusowego pobytu w celu ułatwienia działań administracyjnych, jako oznaczenie własności pana.

Biorąc pod uwagę przerażające doświadczenia ofiar Holokaustu czy niewolnictwa otrzymane imię może być zatem skomplikowanym i zupełnie niechcianym oznaczeniem naszego istnienia, takim, które może taić prawdę o tym, kto się pod nim kryje. Kiedy Muhammad Ali został mistrzem świata w boksie wagi ciężkiej w lutym 1964 roku, dokonał tego pod innym nazwiskiem – Cassius Clay. Gdy zdecydował się je zmienić, wiele osób w amerykańskich mediach zdominowanych przez ludzi rasy białej ignorowało ten fakt. Ali jednak nie zamierzał dać się ignorować. Powiedział im: „Cassius Clay to nazwisko niewolnika. Nie wybrałem go i nie chcę. Ja jestem Muhammad Ali, to nazwisko wolnego człowieka – to znaczy »kochany przez Boga« i chcę, by ludzie go używali, kiedy się do mnie zwracają”^[11].

Być może takie pojmowanie indywidualności to tylko kolejny zaawansowany mechanizm, element zapisanej w naszym DNA strategii, sposób na wykreowanie jeszcze silniejszej iluzji tożsamości, która sprawia, że walczymy o przeżycie. Można by przekonywać, że prawdziwą wolność da się osiągnąć, pozbywając się takiego sposobu pojmowania indywidualnego „ja”, porzucając iluzję odosobnienia i pragnienie bycia dostrzeżonym. Zanim nam się to uda, trudno jest nie zgodzić się ze stworzoną przez Gerwig Lady Bird; trudno nie rozumieć cierpienia podręcznej z powieści Margaret Atwood, Fredy, czy też nie pojmować porzucania nazwisk takich jak Alice Faye Williams, by zamiast nich mogły rozbrzmieć takie jak Afeni Shakur.

David Lytton, którego ciało znaleziono na wrzosowisku Saddleworth w 2015 roku, tak naprawdę urodził się pod nazwiskiem Lautenberg. W pewnym momencie życia zdecydował zmienić je na Lytton, co – dopóki istnieje potwierdzająca je dokumentacja – o wiele prawdziwiej pokazuje, za kogo się uważał. Warto też pomyśleć o naszej słabości do mediów społecznościowych często wykorzystywanych nie jako narzędzie, dzięki któremu poznajemy siebie nawzajem, a środek, dzięki któremu utwierdzamy własną wartość – nie tylko mówimy, kim jesteśmy, ale też w stylu starego graffiti zaznaczamy, że tu byliśmy. Że naprawdę istnieliśmy. Jeśli to wszystko – życie, wszechświat i cała reszta – jest bez znaczenia, to możemy przynajmniej powiedzieć, że byliśmy tutaj, materialni i niezależni.

Być może nazwa nie znaczy zupełnie nic poza tym, że jest początkiem prawdy, na

której zbudowane jest całe twoje istnienie.

[1] W. Atkins, *The Mystery of Saddleworth Moor. Who Was Neil Dovestone?*, „The Guardian”, 14 maja 2016.

[2] R. Krulwich, *Who's the First Person in History Whose Name We Know?*, „National Geographic”, 19 sierpnia 2015, phenomena.nationalgeographic.com/2015/08/19/whos-the-first-person-in-history-whose-name-we-know/ (dostęp: 9.03.2019).

[3] Y.N. Harari, *Sapiens. Od zwierząt do bogów*, tłum. J. Hunia, Kraków 2018, s. 154.

[4] O. Chajjam, *Rubajjaty*, w: K.A. Jaworski *Przekłady poezji romańskiej. Rubajjaty Omara Chajjama*, Lublin 1972, s. 195.

[5] Tamże, s. 203.

[6] G.M. Feltus, *The Unknown Man. A Suspicious Death at Somerton Beach*, Bayswater, AU 2017, lokacja 1100 z 4916.

[7] *Rubajjaty* Omara Chajjama były serią czterowerszy przypisywaną Omarowi Chajjamowi, matematykowi i astronomowi, który mieszkał w Persji w XI i XII wieku naszej ery. Zostały luźno zebrane i przetłumaczone przez poetę Edwarda Fitzgeralda. Książka po raz pierwszy została opublikowana w 1859 roku i z początku się nie sprzedawała, jednak moda na orientalizm w świecie anglojęzycznym znacznie zwiększyła jej popularność. *Rubajjaty* zyskały jeszcze bardziej na popularności w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej – dla wielu osób powtarzające się motywy akceptowania losu i cieszenia się życiem z dnia na dzień były pewnego rodzaju pocieszeniem. Do dziś opublikowano ponad 1330 wersji *Rubajjatów*. news.utexas.edu/2008/12/19/hrc_rubaiyat (dostęp: 9.03.2019).

Autorem cytowanych przekładów na język polski jest Kazimierz Andrzej Jaworski.

[8] R. Castello, *New Twist in Somerton Man Mystery as Fresh Claim Emerges*, „Adelaide Now”, 23 listopada 2013, www.adelaidenow.com.au/news/south-australia/new-twist-insomerton-man-mystery-as-fresh-claims-emerge/news_story/18b3fe551a0b50d1adad4b42646a1748?nk=392ac697c93839c-6c1feb79ccb8b6c94-1520941080 (dostęp: 9.03.2019).

[9] A. Miller, *Czarownice z Salem*, tłum. A. Bańkowska, Warszawa 2009, s. 268–269.

[10] W. Szekspir, *Romeo i Julia*, w: tegoż, *Tragedie i kroniki*, tłum. S. Barańczak, Kraków 2013, s. 46.

[11] A. Sims, *Muhammad Ali. Why Did the Boxing Legend Change His Name from Cassius Clay*, „The Independent”, 4 czerwca 2016.

Rozdział szósty

WSZYSTKO, CO WIDZIMY

Jeśli chodzi o wrażenie, to wrażenie nigdy nie jest takie, jakie się wydaje... pozory zawsze są dziwne.

Timothy Morton, *Dark Ecology*

Kiedy statki Krzysztofa Kolumba zbliżyły się do wybrzeży wysp znanych dziś jako Bahamy, podobno ich mieszkańcy nie zauważyli, jak nadpływają. Dopiero gdy dostrzegli nietypowy ruch wody przecinanej galeonami, uświadomili sobie, że dzieje się coś dziwnego. Ta sama historia opowiadana jest na różne sposoby – możemy zastąpić Kolumba dowolnym europejskim podróżnikiem „odkrywającym” podobno „niezbadane” tereny i osiągniemy ten sam efekt: sugestię, że statki były tak obce miejscowej ludności, że stawały się niemal niewidzialne.

Uważa się, że te apokryficzne opowieści mają swoje źródło w zapiskach z 1770 roku w dzienniku prowadzonym przez botanika Josepha Banksa – w tym okresie towarzyszył on kapitanowi Jamesowi Cookowi na pokładzie HMS Endeavour^[1]. Gdy docierali do zatoki noszącej dziś nazwę Botany Bay, Endeavour minął liczne łodzie, którymi płynęli miejscowi rybacy, ale „kiedy statek przepływał w odległości ćwierć mili od nich [...] ledwie podnosili wzrok od swojego zajęcia; [Banks] niemal był skłonny sądzić, że zajęci swoimi sprawami i ogłuszeni szumem fal, nie widzieli ani nie słyszeli [statku]”^[2].

Później, gdy pozornie niemożliwy do przegapienia trzydziestometrowy statek przybił do brzegu niecałą milę od małej wioski, rybacy wiosłujący ku wybrzeżu i wyciągający łodzie na plażę spoglądali na niego tylko na chwilę, po czym wracali do

domów[3]. Chociaż powodów tego dziwnego zachowania mogło być wiele, sugestia Banksa, że ludzie byli po prostu zbyt rozkojarzeni zwykłymi codziennymi wydarzeniami, by zauważyć wpływający do zatoki statek, jest szczególnie wnikliwa.

W 1998 roku psychologowie Arien Mack i Irvin Rock opublikowali na MIT artykuł zatytułowany *Inattentional Blindness* (Ślepotą z nieuwagi)[4]. Rozwijając wcześniejsze ustalenia psychologów kognitywnych Ulrica Neissera i Roberta Becklena, autorzy artykułu przedstawili wyniki serii prostych eksperymentów, które zwracały uwagę na zasadnicze braki w naszym postrzeganiu. Badanie wykazało, że ze względu na naturalną tendencję naszego mózgu do łączenia licznych obiektów i bodźców w grupy często nie zauważamy najbardziej oczywistych bodźców, choćby znajdowały się bezpośrednio przed nami. Jednym z dobrze znanych przykładów jest tak zwany eksperyment z niewidzialnym gorylem[5], w ramach którego uczestnicy obejrżeli film, na którym gracze podawali sobie piłkę do koszykówki; ich zadaniem było policzyć, ile razy przekazano ją dalej. Gdy potem badani cieszyli się, że odgadli właściwie, niemal 50 procent z nich zaskoczyła informacja, że przegapili coś bardzo nietypowego: człowieka w stroju goryla, który przeszedł przez kadr, zatrzymał się na środku, odwrócił do kamery i uderzył się w piersi, a potem odszedł.

Chociaż ślepotą z nieuwagi nie wyjaśnia, jak coś mogłoby się ukryć na widoku, a nie tylko pozostać niezauważone przez chwilę, gdy intensywnie skupiamy się na czymś innym, stanowi ona zadziwiający przykład granic naszej percepcji. Trudno jest zatem nie zadać sobie pytania o to, co innego nam umyka.

Na pewno fascynująca jest myśl, że mogą istnieć technologie lub istoty albo materiały tak bardzo wykraczające poza nasze zrozumienie, że ich nie widzimy, a tym bardziej nie pojmujemy, albo może warunkowanie, jakiemu jesteśmy poddawani w ciągu naszego życia, sprawia, że już zawsze będziemy na nie ślepi.

Uważa się, że Pytie w starożytnej Grecji – kapłanki w świątyni Apollina, które służyły jako jego wyrocznia w Delfach – z początku były małymi dziećmi, a najchętniej wybierano do tej roli córki rolników, ponieważ uważano je za czyste i niewinne[6]. To częsty motyw powtarzający się w wielu kulturach w historii wróżbiarstwa. W starożytnym Rzymie dzieci często ciągnęły losy – sposób ten wykorzystywano do poznania woli bogów poprzez odczytywanie treści małych

tabliczek zwykle wykonanych z drewna, które na ogół wrzucano do wody[7]. Badaczka starożytności, profesor Sarah Iles Johnston z Uniwersytetu Stanowego Ohio, przypisuje ten zwyczaj głębokiemu przekonaniu, że dzieci po prostu „potrafiły widzieć bogów, demony i duchy, których nie dostrzegali inni ludzie”[8] – umiejętność tę zawsze traciły w dorosłości.

Co ciekawe, znajdujemy też aluzje do tego motywu w związku z licznymi szczególnie fascynującymi zetknięciami z UFO. W 1977 roku czternastu uczniów ze szkoły w Broad Haven, małej wiosce na południowo-zachodnim wybrzeżu Walii, podobno zobaczyło, jak statek w kształcie cygara wylądował na polu obok ich placu zabaw. Rodzice i nauczyciele szybko zlekceważyli incydent, ale potem drapali się w głowy, gdy dyrektor poprosił dzieci, by narysowały, co dokładnie widziały. Choć na czas wykonania zadania odseparowano je od siebie, ich rysunki były zadziwiająco podobne[9].

Nieco ponad piętnaście lat później analogiczny incydent wydarzył się na drugim końcu świata, w małej rolniczej wiosce w Zimbabwie. Do tej pory jest to jeden z najbardziej niezwykłych udokumentowanych przypadków domniemanego bliskiego spotkania trzeciego stopnia.

Wielu zastanawiało się podobnie jak wielki Enrico Fermi: Jeśli naprawdę istnieją inne zaawansowane formy życia, to gdzie one są? Inni mogą powiedzieć, iż sam fakt, że ich nie widzimy, nie oznacza, że ich nie ma...

Minęła godzina dziewiąta wieczorem 14 września 1994 roku, kiedy Cynthia usłyszała wybuch. Poderwała się znad dokumentów, odwróciła do okna i pospiesznie zlustrowała horyzont, szukając śladów ataku. Choć minęło ponad czternaście lat, odkąd Zimbabwe uzyskało niepodległość, nadal był to trudny czas, obfitował w społeczne i polityczne zmiany, których można się spodziewać w postkolonialnym kraju zmagającym się ze skomplikowaną przeszłością. Bogate, zielone przedmieście Mount Pleasant, na którym mieszkała Cynthia, było ekskluzywną dzielnicą północnego Harare. Mieszkali tam jedni z najbogatszych ludzi w mieście, między innymi liczni dygnitarze i oficjele rządowi. Fakt, że niedaleko mieszkał były etiopski dyktator

Mengystu Hajle Marjam, był równie dobrym powodem jak każdy inny, aby tak jak Cynthia podejrzewać, że hałas za oknem wywołała bomba.

Nie mogąc dojrzeć nic zza biurka, Cynthia wyszła do ogrodu, gdzie dołączyły do niej przyjaciółka i wnuczka, które również usłyszały wybuch. Gdy szukały na wieczornym niebie pozostałości po wybuchu, zdziwiły się, nie dostrzegłszy żadnych gęstych chmur dymu ani błyskających świateł. Zamiast syren, które spodziewały się usłyszeć, ciszę przerywał tylko łagodny szmer wody przepływającej przez filtr basenu. W takiej sytuacji cisza była nietypowa, nawet psy w sąsiedztwie wydawały się nienaturalnie spokojne. Chcąc dotrzeć do sedna sprawy, ciekawska Cynthia szybko razem z pozostałą dwójką wskoczyła do samochodu i ruszyły w poszukiwaniu źródła wybuchu. Gdy powoli przeczesały okolicę, szukając śladów zniszczeń, telefon w domu Cynthii nie przestawał dzwonić.

Cynthia Hind urodziła się w RPA w latach dwudziestych XX wieku i spędziła wiele lat na północy Anglii razem z mężem i dwójką dzieci. Następnie przeprowadziła się do regionu Mashonaland w południowo-wschodniej Afryce, by pomóc w prowadzeniu firmy ojca. Jednak prawdziwą pasją kobiety było pisanie, a tym, co fascynowało ją najbardziej, były zjawiska paranormalne. Pisała przede wszystkim opowiadania do radia i do czasopism dla kobiet, ale zjawiskiem UFO zainteresowała się w 1966 roku po przeprowadzeniu wywiadu z „porwaną przez obcych” Elizabeth Klarer.

W 1956 roku Klarer oświadczyła, że miała romans z astrofizykiem imieniem Akon, który przybył na Ziemię z dalekiej planety Meton. Cynthia wątpiła w jej historię, ale fascynowało ją też, jak kobieta mogła zmyślić coś tak niezwykłego, skoro to nie była prawda. Kiedy napisany przez nią artykuł opublikowano w końcu w 1969 roku w „Fate”, popularnym amerykańskim czasopiśmie specjalizującym się w rozważaniach nad zjawiskami paranormalnymi, jej życie całkowicie się zmieniło. W ciągu kilku tygodni Cynthię zalały listy od niezliczonych osób z całego kontynentu pragnących podzielić się swoimi doświadczeniami. Przedstawiciele niedawno założonej amerykańskiej organizacji znanej jako Mutual UFO Network (MUFON, Wspólna Sieć UFO) również szybko się do niej odezwali.

Organizacja MUFON powstała z wcześniejszej grupy znanej pod nazwą Aerial Phenomena Research Organization (Organizacja do spraw Badań na temat Zjawisk

Powietrznych) i została założona, by badać zjawiska UFO w sposób wyważony i naukowy. Napisali oni do Cynthii, ciesząc się na nawiązanie współpracy z badaczką działającą w Afryce, ale kobieta była niechętna. Jej zainteresowanie wzbudziła osobista historia związana ze zjawiskiem, a nie samo zjawisko, a ponieważ dopiero zaczynała karierę, bała się nieuniknionych kpin i napiętnowania, jakie przyniosłyby powiązania z taką grupą. Chociaż Cynthia sądziła, że większość historii, które otrzymała, jest zbyt absurdalna, by mogły być prawdziwe, uznała, że samo przytaczanie opowieści świadków nie jest równoznaczne z przyznaniem, że w nie wierzy, ale stanowi przydatny wkład w zrozumienie ciekawego zjawiska zasługującego na bliższą analizę, niezależnie od tego, czy ma ono źródło pozaziemskie, czy nie. Po przyjęciu oferty MUFON w 1974 roku Cynthia została mianowana oficjalnym badaczem terenowym i kolejne kilka lat spędziła, analizując najróżniejsze domniemane zetknięcia z UFO na całym kontynencie.

W lipcu 1978 roku Cynthia odbyła podróż do Dayton w Ohio na swoją pierwszą konferencję MUFON. Oczarowali ją obecni na niej mówcy: znane osobistości świata ufologii, na przykład J. Allen Hynek i major Donald Keyhoe, człowiek często uznawany za jednego z najwybitniejszych w tej dziedzinie[10]. Czuli się swobodnie wśród innych członków MUFON, którzy – jak z radością odkryła – zupełnie nie przypominali żyjących złudzeniami pomyleńców, jak to ich sobie wyobrażała. Wielu z nich okazało się ludźmi wykształconymi, którzy mieli w dorobku osiągnięcia akademickie w zakresie fizyki, psychiatrii, geologii i medycyny. W 1981 roku Cynthia znów przyjechała na konferencję i przedstawiła własną pracę o afrykańskich spotkaniach z UFO. Miała okazję poznać między innymi emerytowanego fizyka jądrowego, teraz ufologa Stantona Friedmana – uważanego za pierwszego cywila, który udokumentował miejsce owianego złą sławą incydentu w Roswell w Nowym Meksyku, gdzie przypuszczalnie zatajono pojawienie się statku obcych, który rzekomo rozbił się tam w 1947 roku. Zanim w 1982 roku Cynthia opublikowała swoją pierwszą książkę, *UFOs – African Encounters* (UFO – afrykańskie spotkania), stała się swego rodzaju autorytetem w tym temacie i często zapraszano ją do telewizji i radia, by mówiła o swoich badaniach.

Właśnie reputacja Cynthii w tej dziedzinie wyjaśniała fakt, że jej telefon dzwonił

nieprzerwanie, odkąd opuściła dom tamtej wrześnieowej nocy 1994 roku. Po powrocie miała odbyć pierwszą spośród wielu rozmów tamtej nocy – dzwonili różni przyjaciele i znajomi chcący podzielić się historiami o niezwykłych wydarzeniach tego wieczoru. To nie była bomba – a przynajmniej nie taka, która wybuchła na ziemi – ale raczej coś niezwykłego, co dokonało się powyżej. Ludzie powtarzali, że widzieli dziwne światła przecinające niebo w paradzie kolorów i błysków, niczym wielkie rzymskie ognie rozświetlające całe sklepienie. Cynthia pracowała niestrudzenie, zapisując każdą usłyszaną opowieść, ale już ledwie nadażała. W końcu postanowiła zadzwonić do redaktora naczelnego gazety „The Herald”, z którym pozostawała w dobrych stosunkach, by dowiedzieć się, jakie informacje otrzymali. Jak się spodziewała, u nich telefony także się urywały, dzwonili ludzie nawet z tak odległych miejsc jak Johannesburg i opowiadali o dziwnych światłach. Jej entuzjazm szybko jednak przygasł, gdy dowiedziała się, że już odnaleziono źródło zjawiska. Jak wyjaśnił redaktor, był to po prostu deszcz meteorytów. Na pewno sam w sobie niezwykły i piękny, ale nie na to liczyła Cynthia. A jednak gdy telefon do późnej nocy nie przestawał dzwonić, kobieta nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że być może było inaczej, niż się wydaje.

Jedną z osób, z którymi rozmawiała tamtego wieczoru, była Vivienne Pascoe, nauczycielka mieszkająca w Bulawayo – pięć godzin jazdy samochodem od Harare. Vivienne opowiedziała, że dokładnie o 20.54 zobaczyła coś pośród chmur, kiedy wyszła z domu, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Patrząc na północ, przez ponad minutę obserwowała, jak „błyskające, migoczące smugi światła”^[11] poruszały się nisko na niebie, zmierzając na południe w kierunku niedalekiego parku Matopo Hills. Potem było zgłoszenie od pana Alexandra, specjalisty w dziedzinie ochrony przeciwpożarowej samolotów – razem z kolegą zobaczył on coś, co, jak sądzili, było uszkodzonym samolotem, z którego skrzydła wystrzeliwały płomienie. Widząc, jak powiedział, „zbiorowisko małych białych światła rozciągających się przez cały kadłub od jednego skrzydła do drugiego”^[12], obserwował, jak obiekt przypominający samolot podobny rozmiarem do boeinga 747 cicho porusza się z północy na południe na niewielkiej wysokości niecałych dwudziestu metrów nad czubkami drzew. Przemierzał niebo w locie poziomym, co – jak sądziła Cynthia – było dziwne w przypadku deszczu

meteorytów; jednak jeszcze dziwniejsze było to, że obiekt wydawał się metalowy. Usłyszała też wiele opowieści od osób znad jeziora Kariba, miejsca popularnego wśród turystów na północnym zachodzie Zimbabwe. Alexander Law, który zatrzymał się w Cutty Sark Hotel nad brzegiem jeziora, zobaczył na początku białe światło rosnące na horyzoncie, a potem uświadomił sobie, że ono się porusza, a wokół niego miga czternaście innych świateł. Był w stanie dostrzec ciemny środek głównego obiektu, a także ciągnący się za nim długi pomarańczowy ogon[13]. Podobne opowieści napływały z regionu, a wiele osób twierdziło, że obiekty zdawały się zmieniać kierunek. Cynthia skrupulatnie zapisywała te relacje, niemniej jako że większości mediów wystarczała wersja o meteorytach, wydawało się, że zdarzenie zostanie szybko zapomniane jako zwykłe zjawisko na niebie. Było tak, dopóki na jaw nie wyszło coś zupełnie niespodziewanego.

Dzieci tłumnie wybiegają na plac zabaw, tworząc plamę złożoną z szortów khaki, bladoniebieskich sukienek i jasnoczerwonych swetrów. Z dzikim entuzjazmem rozpraszają się po terenie pokrytym chaszczami, aż w końcu tworzą bardziej uporządkowane grupki – jedne biegają za piłką albo idą na huśtawki i wspinają się po drabinkach, a inne po prostu siedzą w cieniu dużego eukaliptusa. Jest piękny dzień pod koniec zimy, na niebie nie ma ani jednej chmury. Alyson, fizjoterapeutka, która dzisiaj pracuje jako ochotniczka w szkolnym sklepiku, mimo woli uśmiecha się, gdy widzi, jak dzieci piszczą i chichoczą w jasnym porannym słońcu – wyglądają jak kwiaty w szerokich, miękkich kapeluszach. Tego ranka rozbrzmiewa tu nieco większy gwar niż zwykle, być może dlatego, że nauczyciele wciąż siedzą w budynku na zebraniu grona pedagogicznego, dzięki czemu uczniowie mogą szaleć na placu zabaw. To właśnie Alyson, której dziesięcioletnia córka Fifi chodzi do tej szkoły, ma samodzielnie nadzorować grupę mniej więcej dwustu pięćdziesięciorga dzieci.

Zbudowana w 1991 roku szkoła Ariel powstała na miejscu starego gospodarstwa, mniej więcej trzydzieści kilometrów na wschód od Harare, w małym rolniczym miasteczku Ruwa, które stanowi też centrum życia miejskiego dla wielu otaczających je domostw. Ponieważ jest to szkoła płatna, jej uczniowie chodzący do klas od pierwszej do siódmej należą do zamożniejszych warstw społeczeństwa Zimbabwe

i stanowią różnorodną mieszankę etniczną: od dzieci pochodzących między innymi z ludów Szona, Ndebele i Karanga po imigrantów z Europy w pierwszym i drugim pokoleniu. Na placu zabaw znajduje się obszar z huśtawkami i drabinkami, z którego korzystają głównie dzieci z klas od pierwszej do czwartej, oraz niecały hektar ziemi i trawy. Gęste krzaki i rząd wysokich eukaliptusów tworzą naturalną granicę na końcu płaskiej ziemi, za którą płynął niegdyś wyschnięty teraz potok i gdzie leżą wielkie połacie sawanny przechodzące w liczne niskie wzgórza, chylące się łagodnie na horyzoncie. Dzieci z tych stron dobrze wiedzą, że nie warto znikać za takimi naturalnymi granicami – przecież nie wiadomo, jakie stworzenia mogą się cziąć w wysokiej trawie, gotowe albo zaatakować, albo zacząć się bronić śmiertelnym jadem, gdy wyczują choć cień zagrożenia.

Gdy jedenastoletnia Salma podchodzi do stojącej w głębi placu zabaw Emmy, dociera do niej głośnie buczenie. Dochodzi chyba zza rzędu drewnianych słupów i kabli energetycznych, które biegną pod drzewami przy wschodniej krawędzi placu zabaw, a potem ciągną się przez równiny. Kiedy Salma się zbliża, buczenie zdaje się głośniejsze, aż w końcu gdzieś z oddali wystrzela błysk światła.

– Co to było? – pyta Salma, gdy obie dziewczynki odwracają się, by zobaczyć, skąd się wzięło światło.

– Patrz! – mówi Emma, wskazując na drugi koniec placu zabaw.

Salma i Emma widzą oszołomione, jak mała grupa dzieci gromadzi się przy drzewach na krawędzi boiska, jakby właśnie ktoś je tam przywołał. Dołączają do nich kolejne dzieci biegnące ze wszystkich krańców placu zabaw.

– Chodź! – mówi podekscytowana Emma, chwytając Salmę za rękę.

W szkolnym sklepiku Alyson właśnie zorientowała się, że na boisku zapadła niezwykła cisza, gdy do kiosku wpada dwunastoletni Luke.

– Proszę pani! Proszę szybko przyjść!

Kobieta cierpliwie wysłuchuje Luke'a, który ma trudność z wysłowieniem się. Mówi coś o małym człowieczku w czarnym, lśniącym stroju, z dużymi oczami i srebrną przepaską na czole. Alyson, podejrzewając, że może chłopiec chce podstępem odciągnąć ją od słodyczy, ani myśli wychodzić i sprawdzać, co się dzieje, kiedy jednak

próbuję zrozumieć jego dziwną historię, dociera do niej cichy odgłos płaczu. Gdy podnosi wzrok, w jej stronę zbiegają kolejne dzieci. Jedne mają szeroko otwarte oczy, a inne płaczą bez opanowania, ale każde przynosi tę samą opowieść: wśród drzew za placem zabaw właśnie coś wylądowało i wyszły stamtąd dwie małe istoty o dziwnych oczach, ubrane w srebrno-czarne stroje. Nagle zaniepokojona wyraźnym wzburzeniem dzieci, Alyson szuka wzrokiem swojej własnej córki Fifi i w końcu widzi, jak dziewczynka biegnie w stronę sklepika.

– Dlaczego oni wszyscy płaczą? – pyta Alyson.

– Przez to świecące białe coś, co wylądowało – odpowiada córka.

Alyson wpatruje się w córkę, ale w oczach dziewczynki nie ma nawet śladu łobuzerskiego błysku.

Dyrektor Colin Mackie właśnie kończy zebranie, kiedy rozlega się gwałtowne walenie w drzwi pokoju nauczycielskiego. Otwiera je i widzi wzburzonego ucznia. Dziecko mówi, że na zewnątrz wylądował statek. Pan Mackie cicho się śmieje i mówi, że spotkanie niedługo się skończy, a potem zamyka drzwi. Dziesięć minut później nauczyciele wychodzą, gawędząc i zbiegając ku jasnemu placowi zabaw, aż w końcu jeden po drugim całkowicie milkną. Tam, przed nimi, zamiast roześmianych, zajętych zabawą dzieci, które spodziewali się ujrzeć, widzą mniej więcej dwadzieścioro skulonych w jednym miejscu uczniów, ze łzami spływającymi po policzkach, podczas gdy inni koledzy próbują ich pocieszyć. Wielu stoi wokół w małych grupkach i są pogrążeni w rozmowie, kolejni błędzą po okolicy w dziwnym oszołomieniu. Alyson pociesza kilkoro dzieci, kiedy podchodzi do niej pan Mackie.

– Co tu się do licha dzieje? – pyta.

Zanim Alyson jest w stanie wyjaśnić, zagłuszają ją dzieci – mówią szybko jedno przez drugie, rozpaczliwie starając się dokładnie opisać swoje przeżycia. Niektóre opowiadają, że widziały, jak to coś wylądowało, inne – że już tam było, kiedy przyszły. Wspominają, że migotało wśród drzew i że miało dziwny, okrągły kształt, ale przede wszystkim chcą opowiedzieć o dwóch istotach, które z niego wyszły, o ich niezwykłych wielkich oczach zdających się rozciągać na całe twarze. Nauczyciele patrzą na siebie nawzajem z niedowierzaniem.

Pomimo sceptycyzmu pan Mackie bardzo chce się dowiedzieć, co tu się naprawdę

stało, i prosi, by każdy, kto twierdzi, że coś widział, poszedł za nim na szkolny korytarz. Gdy w środku zebranych jest ponad sześćdziesięcioro dzieci, pan Mackie i dwaj inni nauczyciele proszą je, by się rozdzieliły, wzięły kartki i kredki i narysowały, co dokładnie widziały. Przez następne pół godziny dzieci siedzą w pełnej skupienia ciszy, szkicując i kolorując, a nauczyciele rozmawiają między sobą. Czując ulgę, że w końcu udało im się uspokoić uczniów, nie zwracają zbyt wielkiej uwagi na serię przypominających talerze kształtów i patykowatych ludzików pojawiających się na kartkach. Dzieci kolejno oddają rysunki, a nauczyciele pytają: „Czy to na pewno nie był helikopter?”, „Jesteś pewien, że to nie był tylko parobek z pobliskiego gospodarstwa?”. Komentują: „Naoglądałeś się za dużo telewizji”. Ale przede wszystkim mówią, że tylko im się zdawało i że obcy z kosmosu nie istnieją. Na dźwięk dzwonka nauczyciele zbierają ostatnie rysunki i zalecają dzieciom, by spróbowały zapomnieć o tym, co, jak im się zdaje, widziały.

Lecz jedenastoletnia Salma dobrze wie, co widziała. Podobnie jak wiele innych dzieci nawet nie ma w domu telewizora i chociaż niektórzy z jej kolegów wspominali o obcych i UFO, ona sama dzisiaj usłyszała te wyrazy po raz pierwszy. Kiedy wychodzi ze szkoły do domu, ma wrażenie, że przez całe popołudnie mówiła tylko o tym zdarzeniu, ale żaden z dorosłych nie usłyszał ani jednego jej słowa. Dlatego kiedy matka pyta ją, co słyhać, dziewczynka niechętnie się odzywa.

– Nie uwierzysz, jeśli ci powiem – mówi, bawiąc się jedzeniem na talerzu. – Żaden nauczyciel mi nie wierzy.

Ale matka nie ustępuje i w końcu Salma daje za wygraną: opowiada jej o błysku światła i o tym, jak razem z Emmą podeszły bliżej i poczuły, że czas był ściśnięty, jakby nie stanowił już części ich myśli. A także o tym, jak podeszły do tłumu, przepchnęły się do przodu i zobaczyły duży, srebrny obiekt na lewo od drzew. Nie umiała powiedzieć, co to było, ale wyglądało na coś mechanicznego, jakby w każdej chwili mogło się poruszyć – tyle tylko, że nie przypominało żadnego materiału, jaki dotąd widziała.

Przed wszystkim jednak nie mogła oderwać wzroku od istoty, która stała w wysokiej trawie niecałe pięć metrów od miejsca, w którym się zebrali. Trochę przypominała człowieka, ale nie była wyższa od dziecka, a całe jej ciało było pokryte

lśniącym czarnym strojem przywodzącym na myśl kombinezon nurka. Do tego ta twarz. Nie mogła przestać się w nią wpatrywać: to była pusta, gładka powierzchnia, niczym porcelanowy dzbanek. Chociaż zdawało się, że nie ma oczu, nosa ani ust, to gdy dziewczynka na nią patrzyła, miała bardzo silne wrażenie, że istota wpatruje się w nią, jakby próbowała ją zrozumieć.

– Miałam wrażenie, że mnie zna – mówi.

Co więcej, ciągle skakała – tam i z powrotem, z jednego miejsca w drugie, tyle że Salma nie widziała jej ruchu – było niemal tak, jakby za każdym razem gdy dziewczynka mrugnęła, istota gdzieś się przemieściła.

– Bałaś się? – pyta ją matka.

Salma nagle podnosi wzrok znad talerza.

– Wierzysz mi?

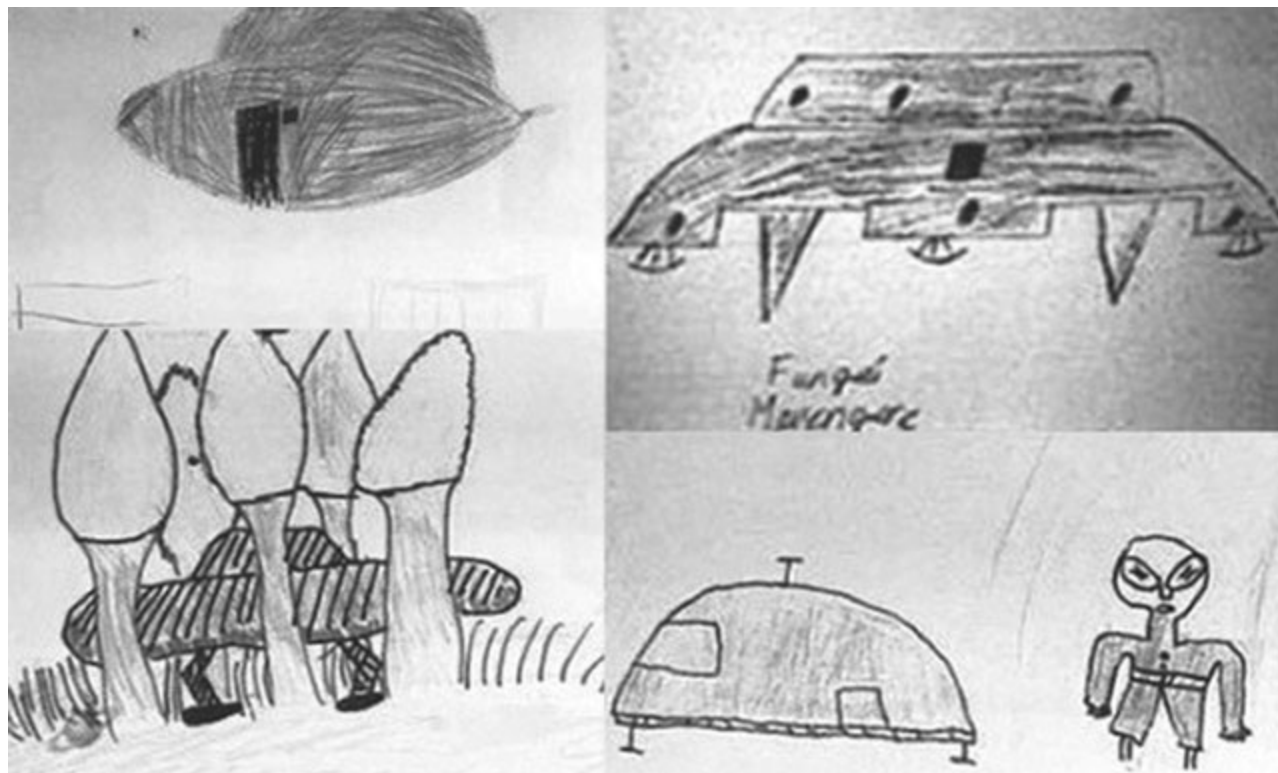
– Nie wiem, co widziałaś, ale tak, wierzę ci.

Na twarzy Salmy pojawia się szeroki uśmiech.

– Nie, nie bałam się.

Tego wieczoru, chociaż dzieciom radzono, by zapomniały o tym, co się zdarzyło, podobne rozmowy odbywają się w domach wszystkich sześćdziesięciorga kilkorga dzieci, które twierdzą, że widziały niezwykle zdarzenie i czuły, że istota im się przygląda. Te, które w przeciwieństwie do Salmy się boją, czeka bezsenna noc – wyglądają przez okna sypialni przerażone myślą o małych stworach w czarnych kombinezonach, które mogą wrócić i porwać je z łóżek. Te, które boją się za bardzo, by w ogóle powiedzieć rodzicom, muszą znieść koszmary samotnie, w ciemnościach. Wiele innych także nie śpi, a ich młode umysły pracują na najwyższych obrotach, gdy bezradnie próbują poukładać to, co widziały. Myślą, że być może nauczyciele mieli rację, może rzeczywiście wyobraźnia tylko płatała im figle.

Tego wieczoru, po powrocie do domu, w swoim salonie pan Mackie po raz pierwszy dokładniej przegląda rysunki. Jest coraz bardziej zaniepokojony, gdy na kolejnych kartkach widzi te same obrazy przedstawione przez każde z dzieci: statek na ziemi i człekokształtne postacie z szerokimi wylupiastymi oczami rozciągniętymi na twarzach.



Cztery rysunki wykonane przez uczniów szkoły Ariel przedstawiające „statek”, który podobno widzieli

Brytyjski dziennikarz Tim Leach przeprowadził się z Londynu w latach sześćdziesiątych, żeby studiować dziennikarstwo na Uniwersytecie Rodezji (w 1980 roku przemianowanym na Uniwersytet Zimbabwe). W 1994 roku, po ponad dwudziestu latach pracy jako reporter i operator kamery, był już szefem biura BBC w południowej Afryce i miał w dorobku relacje z najbardziej przerażających zdarzeń, jakie można sobie wyobrazić, od wojny w Angoli po ludobójstwo w Rwandzie. Tim otrzymał wiadomość o dziwnym incydencie w szkole Ariel jeszcze w dniu zdarzenia i szybko poinformował o nim swoją przyjaciółkę Cynthię Hind. Reporter zasugerował, żeby z samego rana w poniedziałek udali się do szkoły i zbadali sprawę. Cynthia nie lubiła siedzieć beczynnie, więc dzięki pomocy znajomego weterynarza, który mieszkał w Ruwie, już po kilku minutach rozmawiała przez telefon z Fifi, córką Alyson, i słuchała ze współczuciem, gdy dziewczynka opowiadała jej o tym, co widziała tego ranka. Fifi dokładnie opisała wszystkie szczegóły, jakie była w stanie sobie przypomnieć, wspomniała na przykład o podmuchu silnego wiatru, który pojawił się dokładnie w chwili, gdy jasne światło opadło między drzewa. Wyjaśniła też po raz

kolejny, że niektórzy z jej kolegów mówili o dziwnych, małych ludzikach w czarnych kombinezonach, ale ona sama ich nie widziała. Jednak jedenastoletni Barry i dwunastoletni Fungai, z którymi Cynthia rozmawiała tego samego wieczoru, potwierdzają, że widzieli „istoty”. Obaj chłopcy wyraźnie dostrzegli ich duże, czarne oczy w kształcie piłek do rugby. Doświadczyli też dziwnego spowolnienia czasu, kiedy podeszli do obiektu, który nazwali „statkiem”. Później tego wieczoru, gdy Cynthia wreszcie skończyła rozmowy telefoniczne, trudno było jej się oprzeć się wrażeniu, że natrafiła – być może – na jedno z najbardziej niezwykłych bliskich spotkań trzeciego stopnia na świecie.

W następny poniedziałek Tim i Cynthia w towarzystwie Guntera Hoffera – przyjaciela Cynthii, który tak jak ona bada zjawiska UFO – wyjeżdżają z Harare na wschód, w stronę białych traw i gospodarstw tworzących okoliczne tereny wiejskie, aż w końcu przed dziewięcią zatrzymują się pod szkołą Ariel. Powitani przez pana Mackiego zostają od razu zaprowadzeni do pokoju nauczycielskiego, gdzie zebrało się już kilku członków grona pedagogicznego, by opowiedzieć im o wydarzeniach zeszłego tygodnia. Żaden z nauczycieli nawet przez chwilę nie wierzy, że UFO naprawdę wylądowało na szkolnym placu zabaw, nie potrafią jednak odpowiedzieć na pytanie, jak to możliwe, że sześćdziesięcioro dzieci było w stanie zorganizować takie oszustwo, jeśli właśnie z tym mają do czynienia.

Tim filmuje Cynthię, gdy kobieta przygląda się rysunkom. Od razu rzuca jej się w oczy ich szczegółowość, ale także drobne różnice między każdym z nich, co podpowiada jej, że dzieci nie wymyśliły tego razem. Parę minut później sześcioro uczniów z siódmej klasy, najstarszej w tej szkole, wchodzi jedno za drugim do małego białego pomieszczenia, żeby porozmawiać z kobietą. Pan Mackie wydaje im polecenie, by usiadły wzdłuż ściany w głębi.

Cynthia czeka, aż zajmą miejsca, a potem pyta, czy na pewno wszystkie coś widziały. Każde z nich odpowiada, że tak, kiwając entuzjastycznie głową. Jako pierwszy swoją wersję wydarzeń przedstawia Nathaniel.

– Czy to miało jakiś kształt? – pyta Cynthia^[14].

Nathaniel przez chwilę się zastanawia, a potem pokazuje dłońmi kształt kopuły.

– Było długie u góry, a wokół boków była platforma – wyjaśnia, rysując

w powietrzu dłońmi kształt spodka.

– Nie widziałem statku kosmicznego, ale widziałem tego małego ludzika. Był ubrany na czarno i wyglądał, jakby miał długie włosy – mówi dwunastoletni Luke, siedzący na lewo od Nathaniela.

– Widziałeś jego twarz?

– Nie – odpowiada cicho chłopiec.

– Dlaczego stał wśród drzew? – pyta Cynthia.

– To było jak... jak cień – wtrąca się jeden z pozostałych chłopców.

– Jak masz na imię? – pyta Cynthia.

– Trevor.

– Ty też to widziałeś, tę istotę?

– Tak, wszyscy tam byliśmy.

– Widziałeś lądowanie?

– Zobaczyłem tylko błyski kątem oka i tak naprawdę nic więcej – odpowiada cicho.

– Nie widziałeś niczego na ziemi?

– Nie.

Następny jest Daniel, który prawie wybuchł z podniecenia w oczekiwaniu na swoją kolej.

– Jestem Daniel i widziałem to srebrne coś wśród drzew, a jedno coś siedziało po boku, a drugie biegło tam i z powrotem na górze, prawie wyglądało jak prawdziwy człowiek, tylko było trochę bardziej okrągłe – mówił, zaciskając dłonie wokół pasa.

– Na początku myślałam, że to bawi się jakiś chłopiec ze szkoły – stwierdza Emily, która jest następna w kolejności i która podobnie jak większość dzieci określiła ubrane na czarno istoty jako ludzi. – Mieli trochę dłuższe włosy, całe czarne, do tego duże czarne oczy. Odwrócili się i tak jakby popatrzyli, a potem wrócili do tego jakby statku, był jeden duży i kilka małych dookoła.

– Mówisz, że mieli duże oczy – odzywa się Cynthia. – Pokaż mi rękami.

Emily podnosi dłonie do twarzy i ułożywszy kółka z palców, przykłada je do oczu.

– Były owalne, o, takie – pokazuje.

– Bałaś się?

– Tak – odpowiada z niespokojnym uśmiechem.

– Jak myślałaś, co to było?

– Wszyscy mówili, że to UFO i w ogóle.

– Czy mogło na ciebie wpłynąć to, co powiedziały pozostałe dzieci?

Emily przez chwilę się zastanawia, a potem przekrzywia głowę i patrzy pewnym wzrokiem na Cynthię.

– Trochę, ale na pewno widziałam to, co widziałam.

W końcu Cynthia odwraca się do Charity, która stoi z boku.

– Co widziałaś?

– Widziałam coś srebrnego na ziemi pośród drzew i człowieka w czerni, tylko tyle.

– Jak wyglądało to coś srebrnego?

– Wyglądało jak spodek, ale nie było tak naprawdę okrągłe.

– Słyszałaś przed tym zdarzeniem o UFO?

– Nie.

– Bałaś się?

– Tak – odpowiada cicho dziewczynka i wbija wzrok w ziemię.

Tim, który filmuje całą rozmowę, usiłuje nie trząść kamerą, gdy na jego karku jeżą się wszystkie włoski. Jako doświadczony dziennikarz, mający za sobą doświadczenia jednych z najgorszych i najbardziej złożonych ludzkich konfliktów, aż do teraz sądził, że widział już wszystko. Wie też, jak wygląda oszustwo, ale gdy przygląda się twarzom dzieci przez obojętny obiektyw, dostrzega jedynie szczerść. Myśli, że cokolwiek się zdarzyło, one naprawdę coś widziały.

Po spotkaniu z dziećmi Cynthia postanawia, że powinni wyjść na plac zabaw i poszukać szczątkowego promieniowania w „miejscu lądowania”. Pan Mackie wysyła dwunastoletnich Guya i Fungaia, z którymi Cynthia rozmawiała w piątkowy wieczór, żeby ich zaprowadzili. Gdy grupa idzie na plac zabaw, w oknach sal lekcyjnych pojawiają się liczne dziecięce twarzyczki – dzieci chcą choć przez chwilę zobaczyć ekipę telewizyjną. Gdy wychodzą z osłoniętego terenu na szerszą, niezarośniętą równinę, Guy opowiada o swoim doświadczeniu. Na początku zauważył małą grupę dzieci wskazującą na coś w wysokiej trawie i krzewach na krawędzi placu zabaw.

Naturalnie pomyślał, że tamci się wygłupiają albo że ktoś jest ranny. Ponieważ należał do wyższych dzieci, z łatwością przepchnął się do przodu i właśnie wtedy – mówi, gdy ekipa w końcu zbliża się do krawędzi – zobaczył to. Guy wskazuje na miejsce tuż za krawędzią, w cieniu eukaliptusów, gdzie widział duży srebrzysty okrągły obiekt i inny, mniejszy, tuż po prawej. Wyjaśnia, że niektóre dzieci zaczęły iść w stronę tego większego, kiedy wyszła z niego „istota”.

Cynthia słucha z uwagą, a Guy odczekuje chwilę po każdym pytaniu – widać, że wciąż jeszcze usiłuje pojąć, co zobaczył. W pewnym momencie zauważył, że dwie młodsze dziewczynki zaczęły płakać. Widział, że były coraz bardziej wystraszone, aż w końcu uciekły na drugi koniec placu zabaw. Potem dostrzegł innych, którzy również płakali i wyglądali na sparaliżowanych strachem. W grupie powtarzało się słowo „Tokoloshe” mamrotane przez zalane łzami, drżące dzieci. Dopiero później Guy dowiedział się, co ono znaczy.

Tokoloshe to w mitologii Zulusów niski, złośliwy demon wodny o długich włosach i świecących oczach, którego można przywołać, by wyrządził poważną krzywdę swoim ofiarom. W okolicy opowiadano, że wiele lat temu młoda kobieta, która nosiła na ręce dziewięć bransolet, kąpała się w rzece paręset kilometrów na wschód od Harare, kiedy zaatakował ją Tokoloshe, urwał jej rękę i wrzucił ją do wody. Chociaż wiele osób wątpi w istnienie takiego stworzenia, to w 1924 roku poszukiwacz kapitan Valentine chcący odnaleźć tenże odcinek rzeki odkrył podobno szczątki ludzkiej ręki, kopiąc w rzeczonym korycie. Kiedy wyciągnął je z mułu, zadziwił go widok otaczających rękę dziewięciu metalowych bransolet^[15].

Kiedy Guy kończy opowieść, Fungai dokładnie wskazuje Cynthii i pozostałym miejsce, w którym wylądował statek. Wyjaśnia, że po zdarzeniu niektórzy z uczniów, przeczesując okolicę z jednym z nauczycieli, znaleźli coś, co wyglądało na sześć wypalonych śladów na trawie, a wokół – setki martwych mrówek. Gunter wyciąga licznik Geigera i kieruje sondę na ziemię, ale nie znajduje śladów promieniowania.

W ciągu kilku następnych tygodni wieści o niezwykłym zdarzeniu w małej wiejskiej szkole w Zimbabwie rozeszły się po całym świecie, a reporterzy z Holandii, brytyjskiego BBC i południowoafrykańskiej telewizji zgromadzili się w okolicy, by spotkać się z dziećmi. Na początku uczniowie cieszyli się z zainteresowania, ale

wkrótce zaczęło ich męczyć powtarzanie w kółko tego samego, bo dobrze wiedzieli, że ludzie się z nich śmieją, a w dodatku każdy reporter i rozmówca z wyjątkiem Cynthii próbował ich przekonać, że tak naprawdę tego wszystkiego nie widzieli. Znalazł się jednak jeszcze jeden człowiek – z najbardziej nieoczekiwanego środowiska – który nie zlekceważył tak łatwo ich opowieści, chociaż odbiło się to poważnie na jego zawodowej reputacji.

Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku doktor John Mack, szanowany psycholog dziecięcy i profesor psychologii w Szkole Medycznej Harvarda, zainteresował się opowieściami ludzi, którzy twierdzili, że kontaktowali się z nimi obcy; fascynacja ta w końcu przerodziła się w trwające dziesięć lat badania na ten temat. Macka początkowo nie interesowało to, czy badani rzeczywiście zostali porwani, czy nie, ale sama skala zjawiska wskazująca na to, że w takim czy innym sensie w wypowiedziach tych ludzi jest nieco prawdy.

Na początku naukowiec założył, że „świadkowie” cierpieli na jakieś zaburzenie psychologiczne. Jednak u wielu spośród badanych nie występowały żadne odchylenia. Najciekawsze dla Macka było to, jak często badani po takich spotkaniach zdawali się całkowicie zmieniać sposób postrzegania świata. Chociaż psycholog często spotykał się z kpinami z powodu swojej nowej obsesji, dobry przyjaciel i wybitny filozof Thomas Kuhn zachęcał go, by mimo tego dalej prowadził badania. Kuhn sam wiele lat wcześniej stał się obiektem kontrowersji, gdy opublikował przełomową rozprawę naukową zatytułowaną *Struktura rewolucji naukowych*. Podważał w niej dominujące wówczas przekonanie, że postęp naukowy opiera się na systematycznym gromadzeniu przyjętych faktów i teorii, i sugerował, że takie okresy ciągłości pojęciowej często przerywają rewolucje w myśleniu. Przekonywał, że tego typu rewolucje często pozwalają odkryć nowe sposoby dociekań naukowych. Słynny jest termin Kuhna określający tę ideę – „zmiana paradygmatu”.

W maju 1994 roku doktor John Mack, jako profesor psychiatrii w Szkole Medycznej Harvarda, opublikował pierwszy zbiór odkryć w swojej książce *Uprowadzeni. Bliskie spotkania IV stopnia*. Krótko po publikacji dziekan uczelni, zaniepokojony tematyką poruszaną przez Macka, zwołał komisję mającą zbadać jego pracę, by zdecydować, czy naukowiec nie naraża reputacji instytucji. Mack był

oszołomiony tą decyzją, ale znajdując pocieszenie w pracy bliskiego przyjaciela Thomasa Kuhna, przekonywał, że nawet jeśli opowieści o spotkaniach z obcymi są nie do pogodzenia z naszą aktualną wiedzą naukową, to być może kiedyś jeszcze odkryjemy ich prawdziwość, choć obecnie tego nie pojmujemy[16]. Niezrażony Mack obiecał sobie, że będzie kontynuował badania, pewny, że nie złamał zasad uniwersytetu ani reguł etyki; trzymał się też wysokich standardów akademickich uczelni.

Gdy dochodzenie w sprawie jego pracy trwało, doktor Mack postanowił rozszerzyć badania i zacząć analizować przypadki spoza Stanów Zjednoczonych. Właśnie zorganizował wyprawę do RPA, kiedy rozniosła się wiadomość o wydarzeniu w szkole Ariel. Mack postanowił, że nie może przegapić takiej okazji; zmienił plany i w towarzystwie asystentki naukowej Dominique Callimanopulos odwiedził szkołę. Przez dwa dni dwójka naukowców badała sprawę, wykorzystując swoje znaczne akademickie doświadczenie. To, co odkryli, było naprawdę niezwykle.

Dzieci z początku nie są zbyt chętne, by opowiadać o tym wszystkim po raz kolejny, ale życzliwy i charyzmatyczny Mack, którego chwyt, jakim jest siadanie obok dzieci na ich poziomie, na małym klasowym krześle, i zadawanie pytań z łagodnym entuzjazmem, szybko sprawia, że czują się swobodnie. Jakby rozpoznały w nim jednego ze swoich, kogoś, komu mogą ufać, kto jest szczerze zainteresowany tym, co mają do powiedzenia. Mack, podobnie jak Cynthia, wielokrotnie dziwi się, jak wiele szczegółów pamiętają, gdy opowiadają mu swoje historie. Jak później przyznali nauczyciele, opowieści dzieci rzadko odbiegały od tych, które uczniowie przedstawili tamtego dziwnego wrześniego poranka.

Mack był szczególnie zainteresowany wspomnieniami dzieci, dla których wydarzenie to było traumatyczne i które wyraźnie wciąż nie pozbyły się urazu. Gdy spytał jedną z dziewczynek, co najbardziej wystraszyło ją w tamtym incydencie, odpowiedziała: „hałas”.

– Jaki hałas? – spytał łagodnie doktor Mack[17].

– Hałas, który słyszeliśmy w powietrzu – odpowiada dziecko.

Gdy dziewczynka mówi, John niemal widzi, jak wspomnienie wypływa na jej

twarz, lęk wyrasta z jakiegoś zakątka w jej wnętrzu.

– Co to było: huk czy buczenie? – pyta.

– To było tak, jakby ktoś grał na flecie – odpowiada tajemniczo uczennica.

Psycholog pyta inną dziewczynkę:

– Gdzie mieli oczy?

Tak samo jak wiele innych dzieci przed nią, dziecko odpowiada, układając palce w koła i przykładając je do twarzy.

– Co czułaś, kiedy w nie patrzyłaś?

– To było straszne.

– Dlaczego straszne?

– Te oczy zdawały się złe.

– Co było w nich złego?

– To coś po prostu się na mnie patrzyło, jakby chciało podejść i mnie zabrać.

– Chciałaś pójść razem z nim?

Dziewczynka potrząsa głową, a oczy zachodzą jej łzami.

Zdecydowanie nie przypominało to rozmów z pacjentami psychiatrycznymi, którzy często rozpaczliwie pragnęli, by lekarz im uwierzył, albo którzy wyraźnie wykrzywiali w jakiś sposób rzeczywistość. Mack był przekonany, że te dzieci są przy zdrowych zmysłach. Gdy odpowiadały, słyszał w ich tonie powściągliwość, obawę przed tym, jak może zostać odebrane to, co mówią, oraz nieustanne zwątpienie we własne wspomnienia. Był pewien, że dzieci przynajmniej szczerze wierzą, że to, co opisują, naprawdę im się przydarzyło.

Dziesięcioletnia Lisa była wśród pierwszych uczniów, którzy zobaczyli obiekt. Pobiegła w jego kierunku razem z innymi dziećmi.

– Bałam się – przyznaje.

– Co było w tym strasznego? – pyta John, przycupnięty na małym krzeselku obok niej.

– Bałam się, bo nigdy wcześniej nie widziałam kogoś takiego.

John poprosił Lisę o narysowanie na tablicy tego, co pamięta ze zdarzenia. Patrzy, jak dziewczynka kreśli kształt statku: krągły spodek z dwiema podporami do lądowania

i antenami na górze. Obok niego Lisa rysuje patykowatego ludzika z szerokimi oczami na twarzy. To, co powiedziała potem, było najbardziej zadziwiające.

– Myślałam, że może świat się kończy, że może chcą nam powiedzieć, że świat się kończy.

Podobnie jak wynikało z relacji innych dzieci, które tego „doświadczyły”, Lisa zdaje się wyciągać jakieś przesłanie ze spotkania.

– Dlaczego uważasz, że mogli chcieć nas wystraszyć?

– Bo może nie dbamy odpowiednio o planetę i powietrze.

– Czy kiedyś wcześniej o tym myślałaś? O tym, że nie dbamy odpowiednio o planetę i o powietrze? Czy może ta myśl przyszła ci do głowy podczas tego doświadczenia?

– Podczas tego doświadczenia.

– W jaki sposób?

– Po prostu poczułam się w środku okropnie. Jakby na świecie wszystkie drzewa miały się przewrócić i nie byłoby powietrza, i ludzie by umierali.

– Jak obcy przekazał ci te myśli?

– Nic nie powiedział, zrobił to po prostu twarzą i oczami.

– Chciałabyś go znowu zobaczyć?

– Tak.

– Myślisz, że go jeszcze zobaczysz?

– Nie wiem.

– A gdybyś go znowu zobaczyła, co byś zrobiła?

– Spytałabym go: „Co robisz na Ziemi i czego od nas chcesz?”. – Milknie na chwilę, a potem dodaje z naciskiem: – Wierzę w to, bo to widziałam.

Nie jest jedyną, która najwyraźniej otrzymała wiadomość od istoty. Emma, która była wtedy ze swoją przyjaciółką Salma, również opowiada o czymś podobnym.

Mówi, że gdy istota się w nią wpatrywała, serce biło jej coraz szybciej i szybciej, aż w końcu w głowie zaczęła się pojawiać myśl.

– Oni chyba chcą, żeby ludzie wiedzieli, że naprawdę robią krzywdę temu światu i że nie wolno nam za bardzo opierać się na technologii – zauważa dziesięciolatka.

Nie tylko dzieci ze szkoły Ariel odebrały „wiadomości” – z czymś takim doktor Mack zetknął się wielokrotnie podczas swoich wywiadów z „doświadczonymi”. Badani przez Macka z zadziwiającą regularnością opowiadali, że byli ostrzegani w temacie niszczenia środowiska przez ludzi, co skłania Macka do przypuszczenia, że w taki czy inny sposób było to najważniejszą częścią doświadczenia „uprowadzenia”[18].

Mack skończył wywiady i wkrótce wrócił do Stanów, by kontynuować badania. Po czternastu miesiącach harwardzkie dochodzenie dotyczące jego akademickiej wiarygodności zostało zakończone. Poskutkowało ono całkowitym oczyszczeniem jego imienia i potwierdzeniem od dziekana, że Mack może „swobodnie badać to, co chce, i bez ograniczeń wygłaszać swoje opinie”[19]. Jeśli chodzi o uczniów szkoły Ariel, zainteresowanie mediów szybko przygasło, a dzieci znowu skupiły się na nauce.

Chociaż pamięć o tej historii w końcu znikła w świadomości publicznej, żadne z dzieci nigdy nie zapomniało, co się zdarzyło tamtego dziwnego wrześnieowego dnia. Teraz są już dorośli, pracują i mają własne dzieci, niektórzy żyją na emigracji w odległych zakątkach świata, a inni stworzyli sobie dom w Zimbabwie – lecz żaden spośród ponad sześćdziesiątki uczniów nie wyznał, że historia była oszustwem, a wielu do dziś ją opowiada; niektórzy nadal nie pozbyli się traumy.

Wszyscy oni obserwują z rosnącym przerażeniem, jak z roku na rok ostrzeżenia dotyczące środowiska zdają się coraz bardziej prorocze.

Co zatem mamy myśleć o tajemniczym zdarzeniu w szkole Ariel? Ponieważ brakuje niezbywalnych dowodów empirycznych, jedynie anegdotyczne opowieści świadków mogą pomóc odróżnić prawdę od fałszu. Większość ludzi całkiem rozsądnie zakłada, że ze względu na sam fakt niewielkiego prawdopodobieństwa takiego zdarzenia dzieci w najlepszym razie pomyliły się w interpretacji zdarzeń, a w najgorszym – celowo na ten temat kłamały. Tym, co intryguje mnie w tej konkretnej historii o wiele bardziej niż pytanie, czy rzeczywiście się zdarzyła, jest romantyczny wniosek, że dzieci były w stanie zobaczyć coś, czego nie widzieli dorośli – ta niemożność „dostrzeżenia” statku kosmicznego była wyłącznie kwestią percepcji.

Zawężenie percepcji to ignorowanie przez ludzki mózg pewnych informacji

w otoczeniu, byśmy mogli lepiej skupić się na innych typach wiadomości. W artykule zamieszczonym w „Scientific American” w 2016 roku neurołożka Susana Martínez-Conde analizowała wyniki kilku badań pokazujące, że przed szóstym miesiącem życia dzieci widzą rzeczy, których nie dostrzegają dorośli. Pewne badanie opublikowane w 2002 roku wykazało, że dzieci poniżej szóstego miesiąca życia potrafią lepiej odróżniać miny małą niż dorośli. Kolejne badanie przeprowadzone przez zespół psychologów pod kierownictwem Jiale Yanga z Uniwersytetu Chūō w Japonii wykazuje, że przed piątym miesiącem życia niemowlaki mają o wiele większą wrażliwość na to, w jaki sposób światło odbija się od przedmiotów, i są w stanie dostrzec subtelne, niewidoczne dla dorosłych różnice między obrazami i kolorami[20]. Z wiekiem nasza wrażliwość zmysłowa się zawęża i stajemy się ślepi na te aspekty rzeczywistości – „obiektywne różnice zmieniają się w subiektywne podobieństwa”[21].

Drugą stroną medalu tego zawężenia percepcji jest fakt, że prawdopodobnie jest to korzystny mechanizm ewolucyjny pomagający nam łatwiej przetrwać w otoczeniu. Nie zaryzykowałbym twierdzenia, że może on stanowić wyjaśnienie naszej niezdolności „dostrzegania” obcych technologii, gdyby jednak tak było, owa myśl stałaby się w pełni spójna z podstawowym faktem naszej codzienności: ze względu na ograniczenie naszej osobistej perspektywy znaczna część świata jest przed nami stale ukryta. Lub też, jak elokwentnie ujęła to Susana Martínez-Conde, być może gdzieś istnieje „miejsce, które można nazwać rzeczywistością”, ale „nie jest to miejsce, w którym ktokolwiek z nas kiedyś był”[22].

Postrzeganie kolorów to świetny przykład. Fakt, że dzieci są w stanie rozróżnić odcienie, których my jako dorośli nie widzimy, sprowadza się do tego, że nie postrzegamy obiektu takim, jakim on jest, ale takim, jakim interpretuje go dla nas mózg. Sięgając jeszcze głębiej, możemy stwierdzić, że to w ogóle nie ma żadnego związku z „kolorem”. Kolor sam w sobie nie istnieje. Zielona piłka nie jest zielona, o ile jakiś obserwator nie stwierdzi, że taka jest. Kiedy światło padnie na powierzchnię piłki, w zależności od jej struktury molekularnej fale o określonej długości zostaną pochłonięte, a inne – odbite. Poprzez mechanikę oka nasze mózgi interpretują te odbite fale jako kolory. Kolor piłki widziany przez nas w danym momencie zależy od tego, ile światła ją oświetla i jakiego ono jest rodzaju, a także od tego, w jakim stopniu nasz

mózg jest w stanie nadrobić tę różnicę. Kiedy już zrozumiemy, że piłka jest zielona, utrzymujemy, że taka jest, nawet jeśli w słabym świetle może się wydawać szara. Jaka w takim razie jest ona sama?

Filozof Immanuel Kant wprowadził rozróżnienie między *fenomenem* jako czymś opisywanym i rozumianym przez nasze zmysły oraz *noumenem* jako obiektem takim, jaki istnieje niezależnie od naszych zmysłów. Być może postrzegamy „piłkę”, o której – gdyby trafiła nas w rękę – powiedzielibyśmy, że jest czymś, z czym możemy wchodzić w fizyczną interakcję, ale zdefiniowanie, czym dokładnie ona jest, to nieco bardziej skomplikowana sprawa. Filozof antyrealista Hilary Lawson zauważył w prelekcji „The Strangeness of Things” (Dziwność rzeczy) wygłoszonej dla Instytutu Sztuki i Idei (Institute of Art and Ideas), że zjawisko, w tym przypadku idea „piłki”, to jedynie użyteczna metafora. Jej prawdziwa substancja – jej własność noumenalna – nie jest czymś, co kiedykolwiek byliśmy w stanie określić[23]. Żyjący w V wieku przed naszą erą Demokryt powiedziałby, że piłka jest zbudowana z atomów. Od tamtego czasu odkryliśmy, że atomy to dopiero początek jeszcze bardziej fascynującego świata cząstek subatomowych i zjawisk kwantowych, a w dodatku nic nie wskazuje na to, że dotarliśmy do ostatecznej, podstawowej własności definiującej wszystkie noumeny.

Zagłębując nieco głębiej, musimy skonfrontować się z jeszcze bardziej złożoną prawdą na temat „rzeczywistości”. Wiemy już o gatunkach na Ziemi, które fizycznie postrzegają i interpretują świat w inny sposób niż my. Skąd zatem możemy wiedzieć, że gdzieś we wszechświecie nie istnieje samoświadomy gatunek, który pojmuje świat i istnieje jedynie w formie fal elektromagnetycznych albo błysków ultrafioletowego światła, lub w sposób, jakiego nie jesteśmy nawet jeszcze w stanie pojąć? Jeśli my i ten inny gatunek rozumiemy „księżyc” na różne sposoby, to co tak naprawdę obserwujemy i czy coś w ogóle musi być ożywione, żeby uznać je za zdolne do obserwacji? Niewykluczone jest, co prawda, że istnieje coś, co ma własności, które postrzegane przez nas przybierają formę „księżycy”, ale raczej nie należy twierdzić, że nasza wersja jest tą ostateczną, obiektywnie poprawną. Wyobraź sobie istotę postrzegającą rzeczywistość tak jak Doktor Manhattan Alana Moore’a, który – zdolny widzieć cząstki subatomowe – nie byłby w stanie odróżnić kubka od stolika, na którym on stoi (lub statku kosmicznego lądującego na placu zabaw wiejskiej szkoły w Zimbabwie).

Być może to nic nie szkodzi – to, co widzimy, to nasze postrzeganie rzeczywistości i nie znamy żadnego innego. Nasze mózgi i ciała dość dobrze spełniają swoje zadanie utrzymywania nas przy życiu i funkcjonowania we wspólnym praktycznym doświadczeniu rzeczywistości. W skrajnym wypadku – gdybyśmy wyszli na ruchliwą ulicę albo potrzebowali operacji serca – nie byłoby zbyt dobrze, gdybyśmy nie potrafili dostrzec, że obiekt jest samochodem albo sercem. Oba cechują się swego rodzaju stałością i istnieniem, których ignorowanie niesłoby śmiertelne konsekwencje. Często zastanawiam się, czy miałyby w ogóle znaczenie, gdybyśmy tak jak Neo z *Matrixa* odkryli, że tak naprawdę żyjemy w symulacji komputerowej? Pewnie nasze fizyczne doświadczenie życia zmieniłoby się w niewielkim stopniu, o ile w ogóle. Jest tylko jeden zasadniczy problem. Jeśli znamy tylko taką perspektywę, to zazwyczaj tylko taka perspektywa nas interesuje. Pomijając fakt, że zaburza to nasze pojmowanie przestrzeni, czasu, wszechświata i całej reszty, to zaburza to przede wszystkim nasze pojmowanie miejsca, w którym żyjemy.

Nasza biologiczna konstrukcja ogranicza naszą perspektywę i ukrywa przed nami prawdziwą naturę rzeczywistości, a w dodatku nasze subiektywne rozumienie świata wokół nas zaburza nasz sposób postrzegania go. Apokryficzne opowieści o europejskich odkrywcach i niewidzialnych galeonach wspomniane na początku rozdziału mają odzwierciedlać niezdolność rdzennej ludności do „dostrzeżenia” statków, ale w tej historii niewidzialny jest ktoś jeszcze: sama rdzenna ludność. Te historie znamy z perspektywy dzielnych poszukiwaczy „odkrywających” i „umieszczających na mapie” nieodkryte tereny, które tak naprawdę są zamieszkane przez innych ludzi. Przekonanie o niezdolności do „zobaczenia” statków odzwierciedla po części przekonanie o intelektualnej niższości miejscowych ludów, które zostały „odkryte”. Co prawda nie wiemy na pewno, co myślał Joseph Banks o ludach żyjących w zatoce znanej dziś jako Botany Bay, ale możemy mieć pewność, że niewielką wagę do ich kultury i sposobu postrzegania przywiązywali ludzie, którzy mieli skolonizować zamieszkałe przez nich ziemie.

Niepokojąca jest myśl o tym, jak wiele tracimy, gdy nie bierzemy pod uwagę innych perspektyw, myśl o tym, jak wiele spośród naszych interakcji ulega zbyt powszechnym

wzajemnym stereotypom na podstawie własnych uprzedzeń dotyczących seksualności, rasy, płci i warstwy społecznej, niemających podstaw w obiektywnej rzeczywistości. Czy na przykład idee męskości i kobiecości są rezultatem cech biologicznych, czy ograniczającymi konstruktami społecznymi uniemożliwiającyymi szersze spojrzenie na człowieka?

Podobne rozważania są w przerażający sposób przedstawione w odcinku serialu *Czarne lustro* zatytułowanym *Ludzie przeciw ogniewi*. Jego główny bohater, amerykański „superżołnierz” Stripe (w tę rolę wcielił się Malachi Kirby), walczy, by wyeliminować rasę zdziczałych człekokształtnych istot nazywanych „gnidami”, które zdają się terroryzować ludzi. Stripe’owi, podobnie jak reszcie oddziału, wszczepiono implant neuronowy mający poprawić jego efektywność w walce. Jednak po pewnej szczególnie trudnej misji implant Stripe’a psuje się, odsłaniając tym samym prawdę na temat wrogich „gnid”. Z powodu awarii implantu Stripe nie widzi już swoich ofiar jako potwornych mutantów, którzy krzyczą w niezrozumiałym języku. Widzi ich takich, jakimi naprawdę są: jako zwykłych ludzi. Implant przez cały czas go oszukiwał, by żołnierz mógł lepiej wykonywać swoje zadanie.

Bardziej przerażającym przykładem z rzeczywistości może być zajadła rasistowska kampania Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników porównująca Żydów i przedstawicieli wędrownych grup etnicznych do szczurów i karaluchów. Nie opierała się na żadnej obiektywnej prawdzie ani na dowodach empirycznych, lecz była próbą stworzenia rzeczywistości, w której zabicie takich ludzi stałoby się mniej skomplikowane, ponieważ inne osoby uważałyby ich za gorszych od siebie. Okazała się przerażająco skuteczna.

Jest to głęboka refleksja na temat praktycznej rzeczywistości, w której żyjemy. To miejsce, gdzie pozornie niewinne zdanie, na przykład „biegasz jak baba”, może kompletnie zmienić perspektywę i oczekiwania; miejsce, gdzie ludzie mogą odebrać sobie życie, ponieważ ich społeczność arbitralnie uznała ich seksualność za odchylenie.

Chociaż czasami niefortunne, można by mimo wszystko przekonywać, że zawężenie percepcyjne jest przydatnym narzędziem przetrwania, ale czy nasza niezdolność do ucieczki od własnych ograniczeń percepcyjnych nie okaże się w końcu naszą zgubą?

Jak twierdzą filozofowie tacy jak Timothy Morton – oraz inni zwolennicy teorii, że żyjemy obecnie w epoce zwanej antropocenem – nasze przetrwanie może zależeć od zdolności pozbycia się antropocentrycznych sposobów postrzegania, zwłaszcza tych, które skłoniły nas do błędnego przekonania, że jesteśmy w jakiś sposób lepsi od natury lub że nie stanowimy jej części[24]. Proponowany termin „antropocen” ma określać erę trwającą do dziś, a zapoczątkowaną mniej więcej dwanaście i pół tysiąca lat temu, kiedy społeczności gatunku *homo sapiens* przekształciły się ze zbieracko-łowieckich w rolnicze. Jego zwolennicy są przekonani, że ten moment wskazuje rozpoczęcie epoki, w której ludzkie społeczności zaczęły w nieodwracalny sposób wpływać na planetę i wskutek tego sama Ziemia oraz wszystko, co się na niej znajduje, są zagrożone. Morton i podobni myśliciele szukają sposobu na uniknięcie zbliżającego się kryzysu ekologicznego naszych czasów związanego głównie, ale nie tylko, ze zmianą klimatu, zachęcając, byśmy szukali lepszej „logiki koegzystencji” ze światem naturalnym[25]. Jednym z głównych założeń Mortona przedstawionym w jego najnowszej książce *Dark Ecology* (Ciemna ekologia) jest idea, że wszystko, od nieożywionego kamienia, przez leśne pnącza, po nas samych, ma swoje miejsce we wszechświecie oraz perspektywę, która jest w pewnym sensie równie wartościowa, a my zbyt często postrzegamy te elementy albo jako zwykłą dekorację przestrzeni, albo coś, co można wyzyskać[26].

Być może nie jesteś jeszcze gotów uwzględnić perspektywy kamienia, warto jednak rozważyć, że ku naszemu rosnącemu przerażeniu – o czym w zabawny, ale i straszny sposób opowiada Simon Amstell w parodii dokumentu z 2017 roku zatytułowanej *Carnage* (Rzeź) – okazuje się, że zwierzęta, które masowo i regularnie hodowaliśmy w potwornych warunkach, a potem mordowaliśmy dla mięsa, najwyraźniej nie są głupimi, pozbawionymi myśli jadalnymi maszynami, za które je uważaliśmy. Kto by się spodziewał, że stworzenia żyjące w tym samym wszechświecie co my są inteligentnymi, czującymi istotami zdolnymi tworzyć relacje, mającymi pamięć, więzy rodzinne i odczuwającymi ból oraz żal po utracie bliskich tak samo jak ludzie.

W 2017 roku biologka ewolucyjna Susanne Schultz z Uniwersytetu w Manchesterze przeprowadziła analizę zdolności społecznych dziewięćdziesięciu różnych typów waleni – wielorybów, delfinów i morświnowatych. Doktor Schultz i jej

zespół odkryli, że wiele spośród tych gatunków nie tylko wykorzystuje narzędzia bardziej złożone, niż wcześniej się spodziewano – potrafią one także tworzyć strategie, o których dotąd nie mieliśmy pojęcia. Odkryto, że niektóre delfiny pomagają ludziom w rybołówstwie i bez żadnej zachęty zaganiają ryby do sieci, bo rozumieją, że w zamian zostaną nakarmione. Odkryto także, że najbardziej zaawansowane gatunki waleni przekazują swoją wiedzę o technikach polowania i wykorzystaniu narzędzi kolejnym pokoleniom[27]. Zaobserwowano również, że porozumiewają się one w bardziej wyrafinowany sposób, niż dotąd sądzono, że występują wśród nich dialekty regionalne i indywidualne imiona – może nawet jakoś nas nazywają.

Nie ma oczywiście powodu, by sądzić, że jeśli ktoś uświadomi sobie istnienie innej perspektywy, to będzie ona miała dla niego znaczenie. Ślepotą byłoby założenie, że czyjaś niezdolność do uwzględnienia innych punktów widzenia wynika jedynie z nieświadomej stronniczości. Ignorowanie innej perspektywy albo obstawanie przy własnej interpretacji rzeczywistości można nawet uznać za korzystne. Ubolewając nad ludzkim instynktem uznawania się za lepszych od natury i innych zwierząt, pomijamy jednak to, że samo takie zachowanie jest naturalnym procesem w świecie przyrody. Choć ta myśl bardzo mnie boli, niektórym ludziom sprawia przyjemność zabijanie zwierząt niebędących ludźmi. Na pewno naiwnością jest spodziewać się, że gdy powiemy przyjacielowi, że świnia może być bardziej inteligentna, niż sądził, to wystarczy, by przestał jeść świnie. Dobrze wiemy, jak inteligentni są ludzie, a jednak inteligencja nie zapobiega wzajemnemu mordowaniu się.

Tak czy owak, dlaczego wszyscy mielibyśmy postrzegać świat w ten sam sposób? Być może czymś pożądanym zdaje się ujednoczenie perspektyw i osiągnięcie jednego wspólnego punktu widzenia, a homogeniczne postrzeganie świata to ostateczny ludzki cel. Możemy być jednak pewni, że w takim świecie byłoby wiele rzeczy, które pozostałyby przed nami ukryte. Napięcia i konflikty wynikające z różnych perspektyw to – czy tego chcemy, czy nie – składowa bycia człowiekiem. Chociaż może się to wydawać niefortunne, przetrwanie naszego gatunku oraz sposób, w jaki ewoluujemy my i nasze społeczności – dążąc, miejmy nadzieję, do czegoś „lepszego” (cokolwiek to znaczy) – może zależeć od tego, że nie wszyscy postrzegamy świat w ten sam sposób, że nie wszystkich nas łączy jednolite postrzeganie tego, jak powinien albo nie powinien

wyglądać świat. Nie oznacza to, że nie możemy szukać sposobów na większe zbliżenie pomiędzy różnymi punktami widzenia i starać się poprawić nasze wspólne doświadczanie życia, ale warto pamiętać, że znaczna część tego wspólnego zrozumienia świata wynika nie z obiektywizmu, lecz z wymiany niepowtarzalnych, jednostkowych perspektyw.

Zatem o wiele większą korzyść odniesiemy – nawet jeśli zaryzykujemy możliwość istnienia punktów widzenia, z którymi się nie zgadzamy – jeśli zamiast skupiać się na eliminowaniu innych prawd, będziemy uczyć się akceptacji wobec różnorodności perspektyw jako wrodzonej cechy naszego gatunku; uczyć się, że nie należy odwracać się od tego, co dziwne i obce. Nie można od nas oczekiwać, że od razu będziemy wszystko wiedzieli, rozumieli i dostrzegali, ale być może jedynie dzięki dopuszczeniu różnych punktów widzenia jesteśmy w stanie w pełni „zobaczyć” to, co w innym przypadku pozostałoby dla nas ukryte. Gdy staniemy się bardziej świadomi i bardziej oswojeni z istnieniem różnych punktów widzenia, być może zaczniemy lepiej rozumieć nasz świat i siebie nawzajem.

[1] B. Evans, *Myth of the Invisible Ships*, „North Coast Journal”, 23 czerwca 2009, www.northcoastjournal.com/humboldt/myth-of-the-invisible-ships/Content?oid=2129921 (dostęp: 9.03.2019).

[2] B. Ralph, *Forum. Now You See It Now You Don't – A Problem That May as well Be Invisible*, „New Scientist”, 17 czerwca 1989, www.newscientist.com/article/mg12216695.700-forum-now-you-see-it-now-you-dont--a-problem-that-might-as-well-be-invisible/ (dostęp: 9.03.2019).

[3] Tamże.

[4] A. Mack, I. Rock, *Inattentional Blindness*, Cambridge, MA 1998.

[5] D. Simons, Ch. Chabris, *Niewidzialny goryl. Dlaczego intuicja nas zawodzi?*, tłum. J. Korpanty, Warszawa 2011.

[6] S.I. Johnston, *Ancient Greek Divination*, Hoboken 2008, s. 43.

[7] *Mantike. Studies in Ancient Divination*, red. S.I. Johnston, P.T. Struck, Leiden 2005, s. 132.

[8] S.I. Johnston, *Charming Children. The Use of the Child in Ancient Divination*, „Arethusa” 2001, R. 34, nr 1, 2001, s. 97–117.

[9] *Broad Haven UFO Sightings Marked 40 Years on*, BBC.co.uk, 4 lutego

2017, www.bbc.co.uk/news/uk-wales-south-west-wales-38723643 (dostęp: 9.03.2019).

[10] J. Clark, *The UFO Book. Encyclopedia of the Extraterrestrial*, Canton 1998.

[11] C. Hind, *UFO Flap in Zimbabwe. Case No. 95*, „Afrinews”, nr 11, luty 1995, s. 12.

[12] Tamże, s. 14.

[13] Tamże, s. 12.

[14] Ten i kolejne fragmenty rozmów z Cynthią Hind to dokładne cytaty z wywiadów Cynthii z uczniami w szkole Ariel sfilmowanymi przez Tima Leacha, www.youtube.com/watch?v=eBqKJHSrYZg (dostęp: 9.03.2019).

[15] Van Hunks, *The Tokoloshi (Tokolosh, Tokoloshe, Tokoloshie, Tikaloshe)*, Vanhunks.com 2002, www.vanhunks.com/tokoloshi1.html (dostęp: 9.03.2019).

[16] J.E. Mack, *Passport to the Cosmos. Human Transformation and Alien Encounters*, New York 2000, s. 9.

[17] Ten i kolejne fragmenty rozmów z doktorem Mackiem to dokładne cytaty z wywiadów doktora Macka z uczniami szkoły Ariel, www.youtube.com/watch?v=TBiMzxdc09o&t=89s (dostęp: 9.03.2019).

[18] J.E. Mack, *Passport to the Cosmos*, dz. cyt., s. 94.

[19] J. Bayot, *Dr. John. E. Mack, Psychiatrist, Dies at 74*, „The New York Times”, 30 września 2004.

[20] S. Martinez-Conde, *What Babies See That You No Longer Can*, „Scientific American”, 1 lutego 2016, blogs.scientificamerican.com/illusion-chasers/what-little-babies-see-that-you-no-longer-can/ (dostęp: 9.03.2019).

[21] Tamże.

[22] S. Martinez-Conde, *The Dance of Life* (plik wideo), 2016, iai.tv/video/the-dance-of-life (dostęp: 9.03.2019).

[23] H. Lawson, *The Strangeness of Things* (plik wideo), 2017, iai.tv/video/the-strangeness-of-things (dostęp: 9.03.2019).

[24] T. Morton, *Dark Ecology. For a Logic of Future Coexistence*, New York 2016.

[25] Tamże.

[26] Tamże, s. 6.

[27] O. Moody, *Why Dolphins and Whales Are Even Cleverer Than We Thought*, „The Times”, 16 października 2017.

Rozdział siódmy

GDYBY ŚCIANY MOGŁY KRZYCZEĆ

Pocimy się i dostajemy gęziej skórki nie z bojaźni przed domowymi tajemnicami, przed potwornością tego, Co Mogło Się Wydarzyć na strychu, lecz dlatego, że wiemy, co najprawdopodobniej się wydarzyło...

Thomas Pynchon, *Tęcza grawitacji*, tłum. Robert Sudół

Świat horrorów pełen jest przerażających miejsc, które zarówno czerpią ze zbiorowej wyobraźni, jak i do niej przenikają. Są miejsca nazywane powszechnie światem „naturalnym”, które zdają się przesycone ponadczasowym duchem wykraczającym poza ludzką wyobraźnię: mistyczna skała Uluru, znana też jako Ayers Rock, położona w głębi australijskich pustkowi; porzucone skaliste kopalnie odkrywkowe w Alderley Edge w angielskim Cheshire, sugestywnie przedstawione w dziele Alana Garnera. Są również miejsca w świecie „naturalnym”, które często odczytujemy jako metaforę, odbicie naszej duszy: ciemny las lub czarne migoczące jezioro – te Jungowskie i Freudowskie miejsca z podświadomości, które sugerują, że coś czai się albo głębiej, albo tuż pod powierzchnią, gdzie coś niewidzialnego przyciąga nas, wyzywa, byśmy skonfrontowali się z demonami przeszłości albo ukrytym lękiem.

Psychologiczny wpływ takich miejsc często wynika z naszych własnych projekcji – stają się one w sensie postmodernistycznym nie „miejscami”, ale „przestrzeniami”, a ich zdolność budzenia w nas niepokoju zależy od naszej osobistej perspektywy – od zamkniętych wewnątrz obaw, które to my mamy rozszyfrować i pokonać. Być może istnieje pod tym wszystkim noumenalne, obiektywne miejsce, o ile nam jednak wiadomo, te cechy natury nie nadają sobie same nazwy^[1], a gdyby tak było, to odpowiedź na pytanie, czy naprawdę można o nich powiedzieć, że są złowieszcze,

tajemnicze lub dziwne, byłaby wyrażona w języku, którym obecnie nie władamy.

Zatem bardziej niepokoją miejsca wymagające od nas przekroczenia progu, wejścia do świata, którego interpretacja nie należy do nas: ludzkich budowli. Miejsca te kryją nie tylko najgłębsze tajemnice naszej nieświadomości, ale i nieświadomości innych...

W swoim gotyckim dziele *Zagłada domu Usherów* mistrz makabry Edgar Allan Poe prezentuje nam dostojny budynek, który żyje i ma okna „zgasłym podobne źrenicom”[2], oraz jest równie złowieszczy jak każdy z jego ponurych mieszkańców; równocześnie jako metafora linii rodowej Usherów, pozostaje tak nierozzerwalnie związany z „duszami” tytułowych Magdaleny i Rodericka, że w chwili ich śmierci natychmiast rozpada się na dwie części, rozdzielony szczeliną, która „wiła się zygzakowato od dachu aż do posad budynku”[3], a następnie kompletnie się zawala.

Przejdźmy od tego, co dziwne, ku czemuś nieco przypominającemu horror: jeśli wyruszymy drogą numer 39 w kierunku Ashton, skręcimy następnie na drogę numer 5, minimy małą wioskę Hillsdale i pojedziemy dalej między wzgórz, być może, jeśli będziemy mieli pecha, dotrzemy do bramy Hill House. Ten niezwykle niepokojący obiekt to główne miejsce akcji mrozącego krew w żyłach klasyka Shirley Jackson *Nawiedzony dom na wzgórzu*, często uznawanego za jedną z najlepszych powieści o nawiedzonych domach w historii literatury[4]. W powieści Jackson dom na wzgórzu, w którym przez osiemdziesiąt lat istnienia zmarło w niepokojących okolicznościach wiele osób, staje się dla parapsychologa doktora Johna Montague miejscem poszukiwania zjawisk paranormalnych. Pomaga mu w tym grupa asystentów wybranych ze względu na doświadczenia paranormalne w przeszłości – badacz liczy, że będą oni szczególnie wyczuleni na wszelkie ponadnaturalne zjawiska. Obserwując zdarzenia głównie z perspektywy Eleanor, jednej z asystentek, widzimy, jak w domu dochodzi do licznych, coraz bardziej niepokojących wydarzeń. Gdy jednak następuje tragiczny koniec powieści, pozostajemy z wątpliwością, czy w ogóle cokolwiek się wydarzyło, czy po prostu byliśmy świadkami utraty zdrowych zmysłów przez Eleanor. Montague uparcie powtarza, że „zło tkwi w samym domu”[5] i czy to swoim wyglądem, czy wspomnieniami o potwornej historii budynku w jakiś sposób wpłynął na jej myśli.

Podobny motyw pojawia się w wielu autentycznych opowieściach o domniemanych zjawiskach nadprzyrodzonych, do których dochodzi w domach. Przykładem może być zdarzenie z Pontefract przy ulicy 30 East Drive czy historia domu o numerze 284 przy Green Street w Enfield[6]. W tych opowieściach odnajdujemy powracający temat: każdy nowy mieszkaniec posiadłości jest intruzem i zajmuje przestrzeń, której zajmować nie powinien. Czasami może się wydawać, że w taki czy inny sposób sama posiadłość zyskała własnego ducha.

Dla mnie – choć stworzona przez Roberta Clatworthy’ego i Josepha Hurleya, a sportretowana w *Psychozie* Alfreda Hitchcocka ikoniczna posiadłość Batesów[7] zajmuje drugie miejsce – prawdziwy dom strachów ma własną rzeźnię, niepowtarzalne, wykończone skórą wnętrza i lodówkę pełną mięsa. Być może rozpoznasz w nim rodzinny dom Leatherface’a, który przerażał w fascynująco obłąkańczym filmie Tobe’ego Hoopera *Teksańska masakra piłą mechaniczną*. Pomijając bardziej intelektualne interpretacje tego kultowego filmu (niektórzy sugerowali nawet, że jest to metafora kanibalistycznych tendencji kapitalizmu), jeśli wziąć pod uwagę jedynie instynktowne doznania, oglądanie *Teksańskiej masakry* po raz pierwszy przyniosło taki poziom strachu, którego mój nastoletni wówczas umysł nie pojmował.

Wspólną cechą tych fikcyjnych budynków jest ich niemal nierozzerwalny związek z pierwszymi mieszkańcami lub złowrogimi wydarzeniami, do których w nich doszło. Pojawia się przecucie, że nawet gdy były puste, w jakiś sposób wyzwoliły to, co się w nich wydarzyło. Są to miejsca zdarzeń tak niewyobrażalnie potwornych, że żadną siłą nie da się ich oderwać od tej przestrzeni. À propos, *Psychoza* i *Teksańska masakra* po części opierały się na życiorysie mordercy Eda Geina, którego upodobanie do tworzenia ozdób i mebli z ludzkich kości i skóry jeszcze dziś, po ponad sześćdziesięciu latach, wciąż szokuje świat. Po skazaniu Geina postanowiono, że jego dom zostanie zburzony. Miejscowa społeczność nie była w stanie oddzielić miejsca od zdarzeń, które w nim zaszły, dlatego nie było innej możliwości – należało je całkowicie usunąć.

Hotel jest spośród wszystkich miejsc jednym z najbardziej niepokojących, zarówno w świecie rzeczywistym, jak i fikcyjnym. Nie dziwi to, gdy pomyśleć, że przez hotele codziennie przewijają się setki gości – liczne zdarzenia i ciała, których drogi przecinają się w czasie, niesamowite chaotyczne rozdroża, zbiegające się i zgromadzone w jednej

przestrzeni.

Niektórzy mogą kojarzyć Henry'ego Howarda Holmesa i jego „zamek morderstw” położony dawniej na rogu alei South Wallace i 63. Ulicy niedaleko Jackson Park w Chicago. Holmes rozpoczął budowę tego dwupoziomowego wielofunkcyjnego budynku w 1887 roku. Znajdowały się tam różne lokale handlowe i prywatne mieszkania. Pięć lat później dodał trzecie piętro, twierdząc, że chce założyć hotel, by wykorzystać napływ turystów mających odwiedzić Światową Wystawę Kolumbijską (której nazwę później zmieniono na World's Fair, czyli Targi Światowe). Nie ma wątpliwości, że Holmes był bezwzględny seryjnym mordercą – ale co do tego, czy rzeczywiście zabił ponad dwieście osób i ukrył ich ciała w tajnych korytarzach i kanałach, które zbudował w swoim niesławnym „hotelu”, nie można mieć pewności. Holmes łaskawie spalił swój „zamek morderstw” w ramach oszustwa ubezpieczeniowego na krótko przed tym, jak w 1894 roku został zatrzymany i dwa lata później stracony.

Fani Stephen Kinga mogą podziękować hotelowi Stanley w Estes Park w Kolorado za to, że zainspirował pisarza do stworzenia najbardziej ikonicznej powieściowej scenerii. To właśnie w tym hotelu z widokiem na jezioro Estes, w cieniu Gór Skalistych, King spędził w 1974 roku przerażającą noc pełną koszmarnych wizji, w których jego trzyletniego syna goniło po hotelowych korytarzach coś potwornego i niewidzialnego. Jak się pewnie domyślasz, te koszmary miały zainspirować Kinga do napisania *Lśnienia*, w którym hotel Panorama zastąpił korytarze hotelu Stanley. Niewielu spośród tych, którzy zajrzeli w korytarze Kingowskiej Panoramy, uciekło przed namiastką tych koszmarów, jakich doświadczył sam pisarz, i niewielu oprze się dziwnemu, niepokojącemu uczuciu ogarniającemu ich w niemal każdym hotelu, gdzie od tamtej pory się zatrzymują.

Jest pewien budynek – z powodów, o których wkrótce opowiem, zajmuje on szczególne miejsce w panteonie hoteli o dziwnej i złowieszczej przeszłości. W 2013 roku właśnie tam doszło do jednej z najbardziej niepokojących i tragicznych śmierci ostatnich czasów – tajemnica ta do dziś pozostaje niewyjaśniona.

Sarah po raz kolejny zajrzała na profile Elisy na Facebooku i Twitterze. Wiedziała, że jej siostra uwielbia korzystać z mediów społecznościowych, dlatego wydało jej się dziwne, że nie zamieściła niczego w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Tymczasem David znów próbował się dodzwonić do Elisy, a Yinna zerknęła na niego niespokojnie. David podniósł telefon do ucha i wyjrzał przez okno, za którym popołudniowe słońce niemal już przebijało się przez chmury. Na jego twarzy malował się niepokój, kiedy po raz kolejny włączyła się poczta głosowa. Normalnie nie byłoby nic dziwnego w tym, że dwudziestojednolatka odbywająca samotną podróż do Los Angeles może czasami zapomnieć zadzwonić do domu, ale tu chodziło o Elisę, umówili się przecież. Mogła pojechać pod jednym warunkiem: że będzie dzwonić do rodziców codziennie, by dać im znać, że jest bezpieczna. Poza tym Elisa robiła to bardzo chętnie. Wiedziała, jak trudno im było przez ostatnie kilka lat.

Siostra znowu przejrzała profile Elisy. Ostatni tweet pochodził z 27 stycznia 2013 roku, sprzed pięciu dni, i brzmiał „SPEAKEASY” – ale to było jeszcze w San Diego. Dalej były zdjęcia z zoo, także w San Diego, i w końcu nagranie na żywo programu Conana O’Briena w Los Angeles, w którym Elisa brała udział dwa wieczory wcześniej. Wydawało się, że świetnie się bawi. Sarah powiedziała rodzicom, żeby się nie martwili, że pewnie nic się nie dzieje, ale zasugerowała, by na wszelki wypadek spróbowali zadzwonić do hotelu. Jak on się miał nazywać, The Stay on Main? David znalazł numer i od razu zadzwonił, czując ulgę, gdy nareszcie po drugiej stronie usłyszał głos żywego człowieka. Sarah i Yinna patrzyły z wyczekiwaniem, gdy David rozmawiał z recepcją. Ułga na myśl o tym, że zaraz się czegoś dowiedzą, szybko zmieniła się w niepokój na widok miny ojca, kiedy ten się rozłączył. Wyjaśnił, że Elisa miała się wymeldować tego ranka, ale nie przyszła i nie było jej w pokoju. Ponieważ kolejny gość już zarezerwował ten pokój, hotel miał przechować rzeczy poprzedniej lokatorki w piwnicy do czasu, aż wróci. Powiedzieli też, że David nie powinien się zanadto niepokoić – przyczyny nieobecności jego córki mogły być różne. Ojciec usiłował zachować optymizm, ale nie mógł się pozbyć ucisku w żołądku.

Coś było nie tak.

Piątkowe wieczory należały do najbardziej ruchliwych w chińskiej restauracji Paul’s na Hastings Street w North Burnaby prowadzonej przez Davida i Yinnę, którzy

byli też jej właścicielami. Niewielki, ale popularny lokal na cichym przedmieściu Vancouver można było rozpoznać po dużej żółtej tablicy świetlnej nad wejściem. Rodzina przybyła z Hongkongu w 2003 roku i od tego czasu wraz ze swoją restauracją stała się wartościowym elementem miejscowej społeczności – był to jeden z najlepszych lokali z chińską kuchnią po tej stronie Vancouver. Jednak tamtego wieczoru, w piątek 1 lutego, Davidowi i Yinnie coraz trudniej było się skupić, gdy przybywali kolejni klienci, a rozkojarzenie właścicieli stawało się widoczne. Nie mogąc dłużej zwlekać, postanowili zadzwonić. Niedługo potem David stał w kuchni i czekał na połączenie z Kanadyjską Królewską Policją Konną, by oficjalnie zgłosić zaginięcie najmłodszej córki – Elisy Lam. Kiedy w sprawę w końcu zaangażowała się policja, poczuli odrobinę ulgi, niemniej osłabła ona, gdy usłyszeli, że do następnego ranka niewiele można zrobić. Tej nocy rodzina Lamów nie zdołała zasnąć. Czekali rozpaczliwie na jakikolwiek znak życia od Elisy.

Ponieważ zadzwonili w weekend, Oddział Poszukiwania Osób Zaginionych policji w Los Angeles otrzymał informację o zniknięciu Elisy dopiero w poniedziałek i dopiero następnego dnia detektywi Wallace Tennelle i Greg Stearns z wydziału kradzieży i zabójstw otrzymali polecenie, by oficjalnie rozpocząć dochodzenie.

To był najgorszy możliwy moment. Policja nie życzyłaby sobie, by uznano, że jedne sprawy uznaje za pilniejsze od innych, ale – co rozumiało – funkcjonariusze byli rozkojarzeni. Dwa dni wcześniej w hrabstwie Orange młoda kobieta i jej narzeczony zostali postrzeleni w samochodzie po wspólnym wieczorze poza domem. Takie zabójstwo było dość rzadkie, ale fakt, że kobieta, dwudziestoosmioletnia Monica Quan, była akurat córką byłego kapitana policji w Los Angeles Randala Quana, okazał się ciężkim ciosem dla jednostki. Kiedy następnego dnia w sieci pojawił się manifest, którego autor przyznawał się do popełnienia tych zbrodni – był nim rzekomo były funkcjonariusz policji w Los Angeles Christopher Dorner – rozpętało się piekło.

Mimo wszystko zgłoszenie przyjął najlepszy człowiek, jakiego mogli sobie życzyć Lamowie – był nim detektyw Tennelle, który aż za dobrze wiedział, przez co przechodzą. W 2007 roku w ciepły majowy wieczór Wallace właśnie wyszedł do garażu, kiedy młoda dziewczyna, cała drżąca i ze łzami w oczach, podeszła pod jego dom. Wallace rozpoznał w niej sąsiadkę i koleżankę swego najmłodszego syna

Bryanta. Rozpoznał też zakrwawioną czapkę, którą ścisnęła w dłoniach – należała do Bryanta. Niedługo potem detektyw dowiedział się, że jego osiemnastoletni syn został z bliska postrzelony w głowę zaledwie parę przecznic od domu. Zmarł tej samej nocy[8].

Tennelle, staranny i metodyczny pracownik, cierpliwie słucha w swoim biurze w Los Angeles funkcjonariusza z Oddziału Poszukiwania Osób Zaginionych dzwoniącego do niego z Vancouver i notuje ważne szczegóły: wiek 21 lat, pochodzenie chińsko-kanadyjskie, 162 centymetry wzrostu, długie, czarne włosy i brązowe oczy, waga – mniej więcej 52 kilogramy, nazwisko – Elisa Lam. Ostatnio widziana w hostelu Stay on Main położonego na South Main Street, w budynku hotelu Cecil. Tennelle dobrze go zna. Stoi na rogu 7. Ulicy i Main, w dzielnicy Downtown. Dawniej była to ważna dzielnica biznesowa i finansowa, nazywana kiedyś Wall Street Zachodu, a teraz leży tam Skid Row, którą stale zamieszkuje największa liczba osób bezdomnych w Stanach Zjednoczonych. Chociaż wiele osób właśnie z tego powodu uznałoby, że nie należy się tam zapuszczać, nie to niepokoi w tej chwili Tennelle'a. Owszem, nie brakuje tam aktów przestępczości, podobnie jak w każdym ruchliwym mieście na świecie, ale drobne kradzieże i handel narkotykami to jedno, a potencjalne morderstwo kanadyjskiej turystki, jeśli to właśnie się wydarzyło, to coś zupełnie innego.

Prawda jest taka że ze względu na niedawne rozluźnienie prawa urbanistycznego okolica powoli zaczynała się odradzać – stała się popularna wśród turystów chętnie wykorzystujących w tej lokalizacji względnie niskie ceny. Jeśli chodzi o sam hotel Cecil, pozostawał on swoistą miejscową osobliwością, upartym, choć dawno podupadłym peanem na cześć odległej, bardziej chwalebnej przeszłości. Trudno to sobie teraz wyobrazić, budowa hotelu Cecil (wymawia się: si-syl) kosztowała milion dolarów i uważano go kiedyś za jeden z najbardziej eleganckich w okolicy. Otwarty w 1925 roku z wielką pompą i całym wykwintem stylu Beaux-Arts, Cecil mieszczący siedemset pokoi na czternastu piętrach był w całości wystawnie ozdobiony marmurem i ładnymi mozaikowymi wzorami, a jego lobby było uczną stylu art déco z najlepszego szkła witrażowego i mosiądzu.

Jednak niecałe pięć lat po otwarciu hotelu świat ogarnął kryzys spowodowany

krachem na Wall Street. W ciągu dziesięciu lat wiele banków i firm w mieście plajtowało, zabierając ze sobą intensywne nocne życie i kina w okolicy Broadwayu w Downtown. Gdy bogatsi mieszkańcy w latach czterdziestych i pięćdziesiątych przenieśli się na przedmieścia, bańka Downtown prysła. W ciągu kolejnych pięćdziesięciu lat, chociaż wciąż można było natrafić na resztki dawnej chwały wyglądające zza pożółkłych, łuszczących się tapet, hotel Cecil w końcu stał się domem dla licznych tymczasowych ubogich mieszkańców, a jego dawniej nieskazitelna fasada stopniowo blakła razem z cenami. Jednak w 2007 roku trzy piętra hotelu Cecil zostały przekazane zespołowi projektantów w nadziei, że uda im się wykorzystać trwającą od niedawna gentryfikację Downtown. W 2008 roku po raz pierwszy otworzył swoje drzwi hostel Stay on Main, położony na piętrach od czwartego do szóstego* pierwotnego budynku i obiecujący doznania hotelu butikowego oszczędnym podróżnym.

Pomimo początkowych problemów Stay on Main zyskał pozycję jednego z lepszych tanich hosteli w Los Angeles i łatwo było zrozumieć, dlaczego mógł się spodobać Elisie. W Cecilu było jednak coś jeszcze, coś, czego nie dało się wyczytać w żadnym ogłoszeniu o zakwaterowaniu.

Coś naprawdę nieprzyjemnego.

Pierwszym, który zmarł, był czterdziestosześcioletni W.K. Norton. Zwłoki znaleziono w jego pokoju w listopadzie 1931 roku – wcześniej mężczyzna połknął trujące kapsułki. Następny był dwudziestopięcioletni Benjamin Dodich, znaleziony pewnego wrześniowego ranka w 1932 roku przez pokojówkę. Zmarł, strzelivszy sobie z pistoletu w głowę, której szczątki na wiele miesięcy pozostawiły plamy na ścianach. Pięćdziesięcioletni były sierżant wojskowych służb medycznych Louis Borden został znaleziony w czerwcu 1934 roku. Borden zameldował się pewnego wieczoru, a następnie napisał listy samobójcze do kilku członków rodziny, po czym poderżnął sobie gardło żyłką.



Hotel Cecil niedługo po wybudowaniu

Pierwszą, która wyskoczyła, była Grace Magro. W marcu 1937 roku rzuciła się z dziewiątego piętra hotelu i upadła na kable telefoniczne rozciągnięte pod jej oknem

nad Main Street. Później zmarła w pobliskim szpitalu. W styczniu kolejnego roku, parę tygodni po tym, jak do hotelu wprowadził się palacz okrętowy Roy Thompson, pokojówki odkryły, że od kilku dni nie pojawiał się w swoim pokoju. Znalaziono go martwego na świetliku pobliskiego budynku – prawdopodobnie wyskoczył z najwyższego piętra. Robert Smith i Helen Gurnee wyskoczyli z siódmego piętra – jedno w 1947, a drugie w 1954 roku. Julia Frances Moore skoczyła z ósmego w 1962 roku. W tym samym roku policja prowadziła dochodzenie w sprawie, która, jak zakładano, była podwójnym samobójstwem dwudziestosiedmioletniej Pauline Otton i sześćdziesięcioletniego George’a Gianinniego, później jednak stwierdzono, że z budynku wyskoczyła tylko Otton i zderzyła się z Gianinnim stojącym na ulicy, zabijając go na miejscu. Uważa się, że w grudniu 1975 roku niezidentyfikowana dotąd kobieta dokonała śmiertelnego skoku z okna na dwunastym piętrze.

Były też kolejne samobójstwa przez otrucie (pierwsze to śmierć W.K. Nortona): oficera marynarki Erwina Nebletta w 1939 roku i Dorothy Sceiger rok później – oboje znalazła w pokojach obsługa. I chociaż trudno oceniać którąkolwiek tragedię z takiej listy, być może najbardziej szokującą śmiercią, do jakiej doszło w hotelu Cecil, był zgon noworodka w 1944 roku. Dziewiętnastoletnia Dorothy Purcell mieszkała od niedawna z lokatorem Cecila, trzydziestoosmioletnim Benem Levine’em, kiedy zaczęła rodzić. Ponieważ nie miała nawet pojęcia, że była w ciąży, i nie chciała przeszkadzać Levine’owi, dowlokła się do łazienki i niemal od razu urodziła chłopca. W stanie szoku poporodowego Dorothy uznała, że dziecko nie żyje, i wyrzuciła je przez okno.

Latem 1964 roku emerytowana telefonistka i lokatorka hotelu Cecil, Goldie Osgood, została znaleziona zgwałcona, dźgnięta nożem i pobita na śmierć w swoim pokoju. Do dziś okoliczności jej morderstwa nie wyjaśniono. Łącznie doszło do czternastu zgonów z przyczyn „nienaturalnych”.

Ale to nie wszystko.

Jak twierdzi były lokator hotelu Raoul Enríquez, pod koniec lipca i w sierpniu 1985 roku, kiedy ceny spadły nawet do czternastu dolarów za noc, mieszkał on obok mężczyzny na czternastym piętrze, który przedstawił się jako Richard i twierdził, że pochodzi z Ciudad Juárez w Meksyku. Okazało się, że jest to dwudziestopięcioletni Richard Ramírez, który w okresie od kwietnia 1984 roku do sierpnia 1985 roku

brutalnie zamordował co najmniej szesnaście osób, gwałcąc i okaleczając wiele spośród swoich ofiar, aż w końcu został schwytany i aresztowany w 1985 roku. Ze względu na charakter potwornych zbrodni, często popełnianych po wejściu do domów przypadkowych ludzi, nadano mu pseudonim Nocny Prześladowca. Uważa się, że w 1991 roku przez jakiś czas w hotelu Cecil mieszkał Jack Unterweger i w tym okresie sterroryzował, zgwałcił i zamordował co najmniej trzy kobiety. Unterweger został wcześniej skazany za morderstwo w Austrii, po tym jak w 1974 roku udusił osiemnastoletnią kobietę. W więzieniu zaczął pisać o swoich doświadczeniach i snuć rozważania o naturze swoich zbrodni. Jego prace zyskały nawet uznanie elity literackiej w kraju, a powieść *Czyściec* stała się bestsellerem. Zanim został zwolniony w 1990 roku, był już krajową osobistością oraz modelowym przykładem resocjalizacji. Rok później Unterweger podpisał umowę na napisanie audycji radiowej o prostytucji. Właśnie w czasie podróży, podczas której miał zbierać materiały do tej audycji, zamordował trzy kobiety[9].

Wiele osób sugerowało, że Unterweger postanowił zatrzymać się w hotelu Cecil wyłącznie ze względu na jego powiązania z Richardem Ramírezem – miejsce przyciągało go krzykami z przeszłości, a złowieszczy odgłos syren rozlegał się w nim rzadko. Niektórzy twierdzą też, że to nie przez przypadek do hotelu trafił sam Ramírez, a w tym zapomnianym zakątku Los Angeles skoncentrowało się tyle śmierci i zepsucia. Mówi się, że zawsze było tu coś niepokojącego, mrocznego i niepojętego, co wisiało w jego licznych niedoświetlonych korytarzach. Niektórym zdawało się czasem, że sam budynek żyje.

Wczesnym popołudniem 5 lutego, niedługo po zakończeniu rozmowy z Oddziałem Poszukiwania Osób Zaginionych, detektywi Tennelle i Stearns razem z niewielkim zespołem funkcjonariuszy odbyli krótką podróż ze swojego biura do Stay on Main w budynku hotelu Cecil. Gdy się zbliżali, Tennelle patrzył na ukazujący się jego oczom wielki budynek, którego potężna bryła wyrastała wysoko ponad ulicę. Niedawno został odmalowany na alabastrowy kolor – kolor nowego początku, kolor skóry. Na ścianie wisiał duży bordowy szyld z napisem: „Hotel Cecil, niskie stawki dzienne i tygodniowe”. Tennelle i Stearns zaparkowali pod nim i wyszli na chłodne zimowe powietrze. Nad nimi nisko na niebie wisiały gęste, ciemne chmury.

Gdy detektywi weszli do środka, przez chwilę podziwiali odnowione foyer, równie spektakularne jak w dniu otwarcia. Niemal można było sobie wyobrazić hałaśliwych gości sprzed osiemdziesięciu lat przemykających w eleganckich garniturach i wieczorowych sukniach, wychodzących na przedstawienie. Obraz ten szybko został splamiony przez tabliczkę na ścianie głoszącą, że odwiedzającym nie wolno wchodzić na górę, a goście powinni na prośbę pokazywać klucze dla własnego bezpieczeństwa. Kilku lokatorów weszło i wyszło, gdy Tennelle i Stearns się rozglądali. Potem pracownik pokierował ich do recepcji Stay on Main znajdującej się obok – jak się okazało, goście Stay on Main korzystali z głównego wejścia tylko po jedenastej wieczorem. Za jasnym, biało-pomarańczowym biurkiem siedziała jedna recepcjonistka; Tennelle podszedł, by poprosić o rozmowę z kierownikiem. Chwilę później detektywów powitała główna kierowniczka Amy Price. Po uzyskaniu potwierdzenia, że Elisa podróżowała sama, Tennelle spytał Price, czy pamięta, by widziała, jak młoda kobieta wchodziła do hotelu lub wychodziła zeń z kimś podczas swojego pobytu. Price potwierdziła, że pracownik ostatnio widział Elisę, jak wchodziła do budynku sama po południu 31 stycznia.

Price pokazała detektywom historię rezerwacji Elisy, wyjaśniając, że na początku dziewczyna zamówiła pokój na trzy noce, od poniedziałku 28 stycznia, zamierzając wymeldować się 31 stycznia, ale potem postanowiła przedłużyć pobyt na jeszcze jedną noc. Następnie kierowniczka wspomniała o czymś dziwnym – Elisa najpierw zameldowała się w pokoju o numerze 506b, zbiorczym, z sześcioma łózkami, ale później została przeniesiona do prywatnego pokoju, gdy niektóre jej współlokatorki zaczęły się skarżyć na jej dziwne zachowanie. Detektywi zanotowali to i poprosili o wszystkie nagrania z kamer monitoringu z okresu pobytu Elisy. Następnie sprawdzili należące do niej przedmioty, które zostały przeniesione z jej pokoju. Znaleźli plecak pełen ubrań oraz dużą torebkę, małą torbę podróżną pełną kosmetyków oraz laptop Elisy. Po telefonie komórkowym nie było śladu. Taki zbiór przedmiotów niepokoił Tennelle'a i Stearnsa. Zwykle nie takie rzeczy zostawia się z własnej woli.

Był jeszcze jeden przedmiot pośród rzeczy Elisy, którego nie spodziewali się znaleźć detektywi: mała torebka z fiolkami pełnymi tabletek. Tennelle nie rozpoznał wszystkich nazw, ale wiedział dość, by rozumieć, że były to leki psychotropowe.

Polecił jednemu z funkcjonariuszy, by wszystko zapakował, a następnie pojechali na piąte piętro wraz z konserwatorem Santiago Lópezem.

Tennelle i Stearns weszli w ciszę pustego korytarza, ze ścianami w agresywnym ciemnobrązowym kolorze. Stłumione odgłosy dochodziły zza zamkniętych drzwi, gdy detektywi szli coraz głębiej, zbliżając się coraz bardziej do serca budynku, aż w końcu zatrzymali się przed pokojem numer 511, ostatnim, w którym mieszkała Elisa.

Jego wnętrze było małe i ciasne, prawie w całości zajmowało je jedno podwójne łóżko, z pomarańczowo-białą pościelą, która wściekle gryzła się z bladoniebieskimi ścianami i rudym dywanem. Mały, płaski telewizor przykręcony do ściany w głębi odtwarzał w ciszy sceny z aktualnych wiadomości, gdy Tennelle oglądał niewielki pokój z łazienką, w którym prysznic i toaleta oddzielone były tylko marną zasłoną. Przez chwilę słuchał odgłosu dzwoniących rur dobywającego się z budynku.

Wyszedłszy z powrotem na niedoświetlony korytarz, Tennelle zauważył wspólną łazienkę i prysznice na drugim końcu piętra. López potwierdził, że wszystkie piętra mają podobny układ, a na każdym końcu znajduje się wyjście pożarowe, na piętro można zatem dostać się z każdego z pozostałych poziomów w budynku. Dla detektywów stało się jasne, jak poważne zadanie ich czeka: chociaż Stay on Main działał niezależnie od hotelu Cecil, każdy z tymczasowych lub stałych lokatorów głównego budynku w zasadzie miał dostęp do pokoi Stay on Main – czyli mieli całe siedemset pokoi potencjalnych podejrzanych o udział w zniknięciu Elisy.

Wczesnym popołudniem, po wezwaniu kolejnych funkcjonariuszy mających dołączyć do poszukiwań, w lobby głównego budynku ustanowiono centrum dowodzenia operacją. Funkcjonariusze zostali podzieleni na pary i mieli chodzić od pokoju do pokoju w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów zwłok. Lópeza poproszono, by asystował przy otwieraniu drzwi razem z szefem obsługi technicznej Pedro Tovarem, który pracował w hotelu od ponad trzydziestu lat. Sprowadzono także do pomocy grupę psów tropiących, którym podano do powąchania próbki ubrań Elisy.

W Vancouver rodzina dziewczyny czekała z coraz większą rozpaczą na jakiegokolwiek dalsze wieści. Gdy tego popołudnia dowiedzieli się, że po Elisie wciąż nie ma śladu, postanowili razem polecieć do Los Angeles.

Jako ostatnie sprawdzono piętro piętnaste, chociaż jak wyjaśnił Tennelle'owi

López, tak naprawdę był to czternasty poziom hotelu – przesąd sprawił, że w budynku nie było trzynastego piętra. Chociaż dało się wjechać na nie windą, była ona niedostępna dla gości i lokatorów, a drzwi nie otwierały się bez klucza technicznego. Po przeczesaniu piętra razem z psami funkcjonariusze nie znaleźli niczego godnego zainteresowania i szybko przeszli na dach. Można się było na niego dostać czterema drogami: wchodząc schodami pożarowymi rozmieszczonymi w trzech miejscach i biegnącymi przez całą wysokość budynku albo przez drzwi na piętnastym piętrze. Do schodów pożarowych można było uzyskać dostęp z każdego piętra w hotelu, ale Tovar przypuszczał, że trudno byłoby komuś po nich wejść niepostrzeżenie. Jeśli chodzi o drzwi na piętnastym piętrze, nie tylko znajdowały się one na najwyższym piętrze, ale w dodatku były zawsze zamknięte i połączone z alarmem pożarowym, co zademonstrował Tovar, otwierając je dla Tennelle'a i jego zespołu.

Detektywi puścili przodem zespół z psami, a następnie sami wyszli na dach. Tovar wskazał cztery duże zbiorniki z wodą postawione na wysokiej na ponad metr platformie obok wejścia na dach. Każdy ze zbiorników miał mniej więcej trzy metry wysokości i dwa metry szerokości. Mógł pomieścić prawie cztery tysiące litrów wody pompowanej z poziomu poniżej ulicy. Przy zbiornikach stała niewielka, pusta budka.

Tennelle zerknął na zarys dzielnicy Downtown; nisko wisząca chmura sprawiała, że był jeszcze bardziej spłaszczony i blady niż zwykle. Ponownie przypominając sobie o tabletkach znalezionych w pokoju Elisy, podszedł na krawędź dachu i wyjrzał za nią, zerkając w dół przez czternaście pięter, a następnie znów rozejrzał się po pustym dachu. Nic tam nie było.

– No dobra, kończymy – powiedział.

Następnego dnia Yinna i David, rodzice Elisy, oraz jej siostra Sarah przylecieli do Los Angeles, by pomóc policji. Ponieważ trzeba było rozszerzyć poszukiwania, a dziennikarze już zwęszyli temat, policja zorganizowała konferencję prasową. Gdy przed budynkiem przy West First Street 100 zebrał się tłum reporterów i fotografów, porucznik Walter Teague podszedł do mikrofonu i ogłosił, że Elisa Lam, obywatelka Kanady, którą ostatnio widziano w hotelu Cecil 31 stycznia, została oficjalnie uznana za zaginioną. Dziennikarze wykrzykiwali pytania, tymczasem Sarah, Yinna i David ledwie byli w stanie oderwać wzrok od ziemi i stali z tyłu w ponurym milczeniu.

Zdjęcie uśmiechniętej Elisy w okularach barwy zgaszonego różu i bluzie w różowo-niebieską kratę było wyraźnie widoczne na wywieszonym na prawo od Teague'a plakacie informacyjnym, który wkrótce miał zostać rozklejony w całym Downtown.

Resztę dnia Tennelle i Stearns poświęcili na przesłuchanie rodziny w nadziei, że lepiej zrozumieją osobowość Elisy. Na początku chcieli dowiedzieć się czegoś o znalezionych tabletkach. Obok leków na zatoki i przeciwbólowych funkcjonariusze znaleźli łącznie 70 tabletek z lamotryginą, 20 tabletek z kwetiapiną, 124 kapsułki z wenlafaksyną oraz 57 tabletek z bupropionem.

Zgodnie z podejrzeniami detektywów Sarah potwierdziła, że Elisa zmagala się z depresją. Ponadto gdy była w ostatniej klasie liceum, zdiagnozowano u niej zaburzenia dwubiegunowe. Od tamtej pory zażywała leki. To nie były łagodne lekarstwa. Lamotrygina, sprzedawana pod marką Lamictal, to lek przeciwkonwulsyjny zapobiegający szybkim wyładowaniom neuronów mogącym prowadzić do ataków epilepsji, jednak stosuje się go także do leczenia depresji dwubiegunowej jako środek zapobiegający wystąpieniu manii. Kwetiapina, sprzedawana jako Seroquel, pomaga utrzymać równowagę między stężeniem dopaminy i serotoniny w mózgu. Chociaż oba te leki dość powszechnie stosuje się w leczeniu choroby dwubiegunowej, mają one potencjalnie szkodliwe skutki uboczne. Lamotrygina może prowadzić do zaburzeń ostrości widzenia, utraty równowagi i pamięci, a kwetiapina może często wywoływać piekielną mieszankę bezsenności i wyczerpania. Dawka tego leku przepisana Elisie była jednak bliska minimalnej. Wenlafaksyna, aktywny składnik Effexoru, często przepisywana jest osobom cierpiącym na depresję i podobnie jak kwetiapinę stosuje się ją, by zapobiegać potencjalnie niebezpiecznym zaburzeniom równowagi chemicznej w mózgu, która może prowadzić do myśli samobójczych. Bupropion był jednym z najczęściej przepisywanych antydepresantów w Stanach.

Trudno było podejść do tego tematu, jednak należało się nim zająć. Detektywi spytali, czy Elisa kiedykolwiek zdradzała jakieś tendencje samobójcze, ale Sarah zdecydowanie zaprzeczyła. Nierzadko zdarza się, że osoby cierpiące na depresję przechodzą długie okresy jasności umysłu i pozornego szczęścia, po czym nagle takie czy inne zdarzenie pcha je ku niebezpiecznej równi pochyłej, z której czasami nie ma powrotu. Detektywi zastanawiali się, czy w życiu Elisy mogło ostatnio wydarzyć się

coś, co wywołałoby taki nawrót. Rodzina nie miała pewności, ale im więcej mówili policjantom, tym wyraźniej wyłaniał się przed nimi obraz poszukiwanej kobiety.

Elisa miała dwanaście lat, kiedy w 2003 roku przyjechała do Vancouver z rodzicami. Młodej dziewczynie niełatwo było się przystosować – wkroczyła w nową kulturę i musiała stawić czoła stereotypom i uprzedzeniom. Jednak Elisa była bystra, ciepła i przystępna, a ponadto – chociaż trochę brakowało jej pewności siebie – towarzyska i zawsze chętnie poznawała nowych ludzi. W szkole osiągała świetne wyniki, niemniej gdy zaczął się zbliżać koniec liceum, sprawy przybrały inny obrót. Rodzice Elisy wyczuli jej apatię, lecz trudno im było o tym rozmawiać i wydawało się, że nic, co robią, nie pomaga. Odbyła się konsultacja z lekarzem, wypisano recepty i jeszcze przed wysłaniem aplikacji na studia Elisa zażywała leki na depresję.

Elisa dostała się na studia historyczne na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej, jednak latem 2012 roku, po upływie trzech lat, wciąż jeszcze nie ukończyła pierwszego roku. David i Yinna dobrze wiedzieli, że zawali rok, ale być może nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo córka docenia, ile ich kosztuje zdobycie funduszy na taką szansę dla niej, którą zupełnie zmarnowała, i jak bardzo ją to bolało. Nie wiedzieli też o anonimowym blogu i koncie na tumblr, które prowadziła, z cytatem z Chucka Palahniuka w nagłówku: „Zawsze dręczy cię myśl, że marnujesz swoje życie” i opowieściami o tym, jak często jej uczucia skutkowały izolacją. Jednak Sarah wiedziała i teraz opowiedziała o tym Tennale’owi. Elisa nie miała myśli samobójczych – podobnie jak większość ludzi potrzebowała po prostu czasu, by zrozumieć, kim ma być, zanim świat i jego możliwości wymkną jej się z rąk.

W sierpniu 2012 roku Elisa usłyszała, że jednak nie zostanie wyrzucona z uczelni, ale doradzono jej, by zrobiła sobie rok przerwy i wróciła kolejnego lata, aby zacząć od nowa. Powoli na nowo odnalazła poczucie celu i była zdeterminowana, żeby maksymalnie wykorzystać swój nieoficjalny urlop. W październiku dowiadywała się o wolontariat na farmie za pośrednictwem organizacji WWOOF i znalazła idealne miejsce w Santa Cruz. Zawsze chciała odwiedzić Los Angeles i zaplanowała, że zatrzyma się tam po drodze. W listopadzie zmagiała się z nagłym spadkiem nastroju i bez wiedzy rodziny pisała anonimowo o myślach samobójczych na tumblr. Jednak pod koniec miesiąca sytuacja poprawiła się na tyle, by mogła odbyć najwyraźniej

bardzo przyjemną samotną podróż do Toronto i Ottawy.

Tennelle spytał rodzinę o związki i dowiedział się, że Elisa do niedawna miała chłopaka i że ich związek trwał dosyć długo. Chociaż zerwali przed Nowym Rokiem, młoda kobieta nie wydawała się tym szczególnie przejęta. Być może jednak nie opowiedziała rodzinie o tym, że emocje związane z rozstaniem dotarły do niej nagle, w tygodniach przed wyjazdem do Stanów. Czymś, co niepokoiło detektywów, była też możliwość, że Elisa przestała zażywać leki, rodzice jednak potwierdzili, że zawsze sumiennie je przyjmowała i nie zauważyli u niej żadnych wyraźnych skutków ubocznych. Co więcej, leki najwyraźniej działały. Przed wycieczką Elisy rodzina miło spędziła razem okres świąteczny i aż do jej wyjazdu zdawało się, że dziewczyna jest w dobrym nastroju. Zarezerwowała lot na początku stycznia i cieszyła się na swoją wyprawę, a z jej codziennych telefonów do domu bliscy wnioskowali, że była bardzo pogodna.

Elisa rozpoczęła swoją wycieczkę, którą nazywała „podróżą po Zachodnim Wybrzeżu”, 22 stycznia. Spędziła tydzień w San Diego, a potem, 28 stycznia, dotarła pociągiem do Los Angeles. Bliscy nie wiedzieli, czy planuje się z kimś spotkać, ale mieli pewność, że była sama, kiedy zameldowała się w Stay on Main. Niewiele wiedzieli o tym, co robiła później, pomijając fakt, że w środę 30 stycznia wieczorem wzięła udział w nagraniu programu Conana O’Briena – prawdopodobnie sama. Codziennie dzwoniła, by porozmawiać z Davidem i Yinną, wydawała się wtedy radosna. Tennelle spytał, czy Elisa wspominała coś o konieczności przeniesienia do innego pokoju w Stay on Main, ale pierwszy raz o tym słyszeli. Detektywi podziękowali rodzinie za poświęcony czas i zapewnili, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by odnaleźć ich córkę.

Po konferencji prasowej telefony się urywały, pojawiło się mnóstwo zgłoszeń opartych na przypuszczeniach co do miejsca, w którym miała przebywać Elisa, ale dopiero następnego dnia pojawiła się użyteczna informacja. Katie Orphan, kierowniczka księgarni The Last Bookstore położonej zaledwie kilka minut drogi piechotą od Stay on Main, skontaktowała się z policją. Orphan widziała Elisę w księgarni 31 stycznia, w dniu, gdy po raz ostatni widziała ją obsługa hotelowa. Pamiętała nawet, że

rozmawiała z dziewczyną, która wpadła, by kupić prezenty dla rodziny, mniej więcej około południa – zatem przebywała przynajmniej w okolicy hotelu, zanim wróciła tam popołudniem tego samego dnia. Co bardziej znaczące, Orphan pamiętała nie tylko to, że Elisa przyszła sama, lecz także że była towarzyska, przyjazna i miała zupełnie jasny umysł.

Później, po dniach przekopywania się przez ponad osiemset godzin nagrań z monitoringu z wnętrza hotelu i z pobliskich bankomatów, zespół techników w końcu dokonał przełomu – zauważyli Elisę na nagraniu z wnętrza lobby Stay on Main po południu 31 stycznia. Pierwszy fragment nagrania pokazywał Elisę odbywającą krótką, chyba niewinną rozmowę z dwoma mężczyznami, którzy zdawali się podawać jej małe pudełko, po czym wyszli z hotelu, dziewczyna tymczasem poszła sama w przeciwnym kierunku w stronę windy, prawdopodobnie do swojego pokoju. Mając nadzieję, że w końcu znaleźli podejrzanego, wezwani, by obejrzeć nagranie, Tennelle i Stearns rozczarowali się na wieść, że żadnego z mężczyzn nie zauważono później, jak wchodzi do budynku lub z niego wychodzi. Ale to nie to nagranie zespół chciał im pokazać najbardziej. Technicy pragnęli im przedstawić zupełnie inny fragment.

Załadowali kolejny klip i włączyli odtwarzanie.

Nagranie to zarejestrowano tego samego wieczoru w jednej z hotelowych wind. Tennelle i Stearns przysunęli się do ekranu, gdy bezdźwięczny kolorowy obraz windy migotał na monitorze. Winda zaczęła poruszać się ku górze przez kolejne piętra, aż w końcu zatrzymała się na czternastym – tym, które byłoby trzynaste, gdyby nie przesądni wykonawcy. Niedługo potem drzwi windy się otworzyły, odsłaniając pusty korytarz. Z lewej strony weszła do windy młoda kobieta pasująca do opisu Elisy. Ubrana w bordową bluzę z kapturem, czarne szorty i sandały odwraca się natychmiast do panelu dyspozycji, pochyla się nad guzikami i robi coś dziwnego: wciska cały środkowy rząd, podświetlając numery pięter 10, 7, 4, parter i piwnicę oraz jeszcze jeden przycisk poniżej. Po wciśnięciu guzików kobieta cofa się w róg windy i wpatruje się pustym wzrokiem przez otwarte drzwi, a ręce zwisają po bokach ciała. Ale drzwi się nie zamykają. Potem dzieje się coś jeszcze bardziej niespodziewanego. Kobieta robi krok w stronę otwartych drzwi, wysuwa się do przodu na jednej nodze, wystawia głowę i szybko rozgląda na boki po korytarzu, a potem znów cofa się do windy i chowa

jeszcze głębiej w rogu, jakby się przed kimś kryła.

Chwilę później kobieta znów podchodzi do otwartych drzwi i tym razem wykonuje niewielki skok na pusty korytarz, jakby próbowała kogoś zaskoczyć. Przy windzie znowu nikt nie czeka. Przez cały ten czas drzwi pozostają otwarte, nie chcą się zamknąć. Tennelle i Stearns usiłują zrozumieć, co tu się właściwie dzieje, kiedy nagranie staje się jeszcze dziwniejsze. Stojąc teraz na korytarzu, kobieta unosi ręce nad głowę, a potem znowu wchodzi do windy – nagle porusza się ospale, jakby traciła równowagę. Odwraca się znowu do panelu i po raz kolejny wciska ten sam środkowy rząd przycisków, do każdego z nich wracając kilkakrotnie, a potem znów wychodzi na pusty korytarz. Czeka przez chwilę i w tym czasie odwraca się w prawo. Przez ułamek sekundy zdaje się z kimś rozmawiać – ale tam nadal nikogo nie ma.

Tennelle i Stearns patrzą zahipnotyzowani na kobietę pogrążoną w dziwnym tańcu gestów. W pewnym momencie, wyciągnąwszy ręce ku niewidocznemu „obecnemu”, dziewczyna zaczyna poruszać nimi sugestywnie przed sobą, jakby chciała przegrzebać się przez ciemne pomieszczenie, a potem nagle chwyta się za palce i wykręca je, jakby wyrzynała mokrą szmatę. Po kilku kolejnych sekundach kobieta w końcu skręca w lewo i oddala się od windy. Tennelle wpatruje się dalej w korytarz za nieruchomymi drzwiami windy, czekając, aż zobaczy tego kogoś, z kim kobieta rozmawiała, ale nikt się nie pojawia. Gdy liczby na znaczniku czasu dalej się zmieniają, drzwi zamykają się cicho i pusta winda zaczyna się poruszać; powoli przejeżdża przez każde z pięter wybranych przez kobietę.

Nagranie wykonano kilka godzin po tym, jak „towarzyska, przyjazna i mająca jasny umysł” Elisa rozmawiała z kierowniczką księgarni Katy Orphan. Ale to nie wszystko. Ponieważ nie znaleziono kolejnych nagrań, na których widać by było, jak Elisa opuszcza budynek, Tennelle i Stearns mogą tylko zakładać, że – żywa czy martwa – wciąż jeszcze jest gdzieś w hotelu.

Rankiem 19 lutego Sabrina Baugh, która zatrzymała się w hotelu Cecil razem z mężem Michaeliem, miała problemy z uruchomieniem prysznica. Ponieważ ze słuchawki prysznicowej ciekły tylko pojedyncze krople, wyłączyła go i próbowała odkręcić

wodę w kranie, mając nadzieję, że przynajmniej umyje zęby. Było akurat tyle wody, by to zrobić, więc podstawiała szczoteczkę pod kran i po nałożeniu pasty uniosła ją do ust, ale natychmiast z obrzydzeniem wypłuła wszystko. Woda była zgniła. Zanim Sabrina dotarła do recepcji, by złożyć skargę, konserwator Santiago López już zajmował się trzecim takim zgłoszeniem tego ranka. W łazience pokoju 720 odkręcił jeden kurek w kranie i patrzył z niesmakiem, jak zabarwiona woda cieknie do białej ceramicznej umywalki.

Parę minut później, po dojechaniu windą na piętnaste piętro, Santiago dotarł na dach. Po wyłączeniu alarmu i otwarciu zamka w drzwiach, pchnął skrzydło i wyszedł na chłodne powietrze. Z ulic poniżej niesły się odgłosy porannego ruchu, gdy mężczyzna wszedł po schodach prowadzących do platformy ze zbiornikami na wodę i precyzyjnie się do głównego zbiornika z tyłu. Sięgnął po ustawioną za nim małą drewnianą drabinę, oparł ją o zbiornik i zaczął się wspinać.

Zbiorniki były szczelnie przykryte ciężkimi metalowymi pokrywami, na każdej znajdował się właz o wymiarach czterdzieści pięć na czterdzieści pięć centymetrów. Zwykle włazy te były zamknięte, ale gdy López wszedł po drabinie, z zaskoczeniem odkrył, że jeden z nich jest otwarty.

W zbiorniku coś się unosiło.

Podciągnął się nad właz, by przyjrzeć się bliżej, po czym cofnął się przerażony.

O 13.10 detektyw Tennelle otrzymał telefon od porucznik Cheryl MacWillie, która informowała go, że na dachu hotelu Cecil – tego samego dachu, który przeszukali nieco ponad dziesięć dni wcześniej – znaleziono ciało. Przybył po półgodzinie i został poprowadzony na piętnaste piętro przez pełniącego służbę patrolową funkcjonariusza Sancheza, który był pierwszy na miejscu zdarzenia. Wychodząc na dach w opadach lekkiej mżawki, Tennelle dotarł do platformy i na główny zbiornik wody. Parę chwil później patrzył przez właz na unoszące się na powierzchni nagie ciało młodej kobiety pochodzenia chińskiego. Jej długie, czarne włosy ciągnęły się za głową i falowały łagodnie w ciemnej wodzie. Wzór z plam pośmiertnych pokrywał jej brzuch, spory obszar ciała nabrał bladozielonej barwy. Pomimo znacznego stopnia rozkładu i spleźania skóry Tennelle od razu rozpoznał twarz Elisy Lam.

Przez kolejne dwie godziny helikoptery medialne krążyły po niebie, gdy straż

pożarna wydobywała ciało ze zbiornika. Gdy nie udało się tego zrobić przez mały włącz, ekipa strażaków musiała spuścić wodę ze zbiornika, a potem wyciąć w jego ścianie dużą dziurę. Ciało w końcu zostało uwolnione na krótko przed czwartą po południu. Lekki deszcz nie przestawał padać, dlatego zwłoki ostrożnie położono pod namiotem kryminalistycznym, po czym sprawdzili je Tennelle i Stearns. Następnie umieszczono je w czarnym worku i przewieziono do Wydziału Medycyny Sądowej. Po usunięciu ciała strażacy odkryli też w zbiorniku klucz do pokoju Elisy, jej zegarek, a także parę czarnych szortów, zieloną koszulkę, bieliznę, czerwoną bluzę marki American Apparel i parę czarnych sandałów w grochy. Były to dokładnie te same ubrania, które miała na sobie kobieta na nagraniu z windy z 31 stycznia. Zrozpaczona rodzina Elisy dowiedziała się, że znaleziono zwłoki ich córki i siostry, zaledwie na parę chwil przed tym, jak stacje telewizyjne w całym kraju pokazały na żywo wyciąganie zmarłej ze zbiornika.

Dla Tennelle'a i Stearnsa, chociaż nie chcieli niczego zakładać z góry, w takich okolicznościach wydało się prawdopodobne, że Elisa została zamordowana i wrzucona do zbiornika. Szybko rozpoczęto analizę miejsca zdarzenia. Tennelle rozkazał zdjąć odciski palców i zebrać wszystko, co mogło zawierać DNA. Szybko zaczęto snuć teorie o tym, w jaki sposób Elisa mogła w ogóle dotrzeć na dach. Było mało prawdopodobne, że weszła tam którymiś schodami pożarowymi, ponieważ wszystkie wymagałyby wspięcia się po pionowej drabinie na bocznej ścianie budynku i przecięcia się przez mały kwadratowy otwór na górze. Taki wyczyn wymagałby niewiarygodnej siły. Niemniej jedyną inną możliwością było wejście przez drzwi na piętnastym piętrze, tymczasem kierownik obsługi technicznej Pedro Tovar po raz kolejny powtórzył, że drzwi były stale zamknięte na klucz i zabezpieczone alarmem. Być może Elisa została zamordowana w innym miejscu i przeniesiona na dach przez kogoś z pracowników albo przynajmniej kogoś, kto był w stanie uzyskać dostęp do odpowiedniego klucza? A może jednak kobieta z własnej woli poszła z kimś na dach i dostała się tam albo drzwiami, albo schodami pożarowymi? I czy rzeczywiście sprawca bądź nawet sprawcy mogli pójść tam za nią? Trudno się oprzeć takim natychmiastowym przypuszczeniom, lecz dla starannego i metodycznego Tennelle'a, który dobrze wiedział, że możliwości jest bardzo wiele, snucie hipotez było bezcelowe. Znaczenie

miały tylko fakty, a w tej chwili nie dysponował zbyt wieloma. Wiedział też aż za dobrze, że ciało Elisy prawdopodobnie leżało w zbiorniku przez ponad dwa tygodnie, a ponieważ na dachu nie było kamer monitoringu, wszelkie istotne dowody związane ze zbrodnią już dawno zostały zmyte lub wywiane.

Ciało Elisy dotarło do ośrodka medycyny sądowej Hertzberg-Davis Forensic Science Center niedługo po drugiej po południu. Nieskazitelny monolit budynku położonego niedaleko drogi numer 10 przy wschodnim krańcu Los Angeles kontrastuje z krajobrazem łagodnych wzgórz w tle, gdzieniegdzie przerywanym przez pustynne krzewy i kolorowe podmiejskie wille. Niewielu kierowców, którzy mijali to miejsce codziennie podczas dojazdów do pracy, rozpoznałoby w przysadzistym pięciopiętrowym budynku jeden z najważniejszych ośrodków kryminalistyki na świecie. Tego popołudnia w jednym z nowo zbudowanych laboratoriów ciało Elisy zostało ostrożnie złożone na stole do badań przez patologa doktora Yulaia Wanga i jego współpracownika doktora Jasona Tovara. Około 17.30 starszy specjalista kryminalistyki Mark Schuchardt starannie pobrał ze zwłok próbki paznokci, włosów oraz włosów łonowych, a także kilka wymazów, po czym zapakował to wszystko razem z ubraniami Elisy do dalszej analizy. Badania miały pomóc w stwierdzeniu, czy przed śmiercią Elisa padła ofiarą napaści fizycznej lub seksualnej.

Dwa dni później Wang i Tovar przeprowadzili sekcję zwłok, spodziewając się, że w końcu odkryją przyczynę śmierci. Przyglądali się temu detektywi Tennelle i Stearns. Co niezwykle, po trzech godzinach pracy badający nie byli w stanie stwierdzić, co spowodowało zgon, nie znaleźli też żadnych śladów doznanego urazu. Nie było złamanych kości, widocznych otarć czy sińców na skórze – nie znaleziono też niczego, co blokowałoby drogi oddechowe. W żołądku odkryli resztki tabletek i kapsułek, co wskazywało, że Elisa zażyła przynajmniej część leków na krótko przed śmiercią. Kiedy doktor Wang zbadał klatkę piersiową i jamę brzuszną, odkrył, że płuca dziewczyny były pełne wody, co wskazywało, że Elisa żyła, kiedy trafiła do zbiornika. Nie znając jednoznacznej przyczyny śmierci, doktor Tovar nie miał wyjścia – musiał oznaczyć ją jako „nieznaną”. Sfrustrowani wynikami sekcji zwłok Tennelle i Stearns, nie wspominając już o zrozpaczonych bliskich Elisy, którzy przyjechali po ciało córki, musieli czekać na wynik badania toksykologicznego.

Zarówno Santiago López, jak i Pedro Tovar zostali przesłuchani przez detektywów, ale szybko wyłączono ich z kręgu podejrzanych. Ponieważ nie było DNA ani odcisków palców wskazujących na udział w zdarzeniu nieznanymi osobami, detektywi nie potrafili pojąć, jak Elisa zdołała się dostać do zbiornika. Kiedy w końcu przysłano wyniki toksykologii, okazało się, że nie ma podstaw, by mówić o zatruciu – w organizmie kobiety były jedynie śladowe ilości alkoholu, a także wenlafaksyny i lamotryginy. Gdy przeanalizowano badania próbek pobranych przez Marka Schucharda, stwierdzono, że Elisa nie padła ofiarą napaści seksualnej. Po kolejnym miesiącu dochodzenia detektywom pozostało tylko jedno wyjaśnienie: że Elisa, o której wiedzieli, że miała problemy ze zdrowiem psychicznym, sama weszła do zbiornika. 19 czerwca doktor Wang i doktor Tovar za zgodą detektywów Tennelle'a i Stearnsa, a także koronera Los Angeles porucznika Freda Corrala uznali śmierć Elisy za spowodowaną przypadkowym utonięciem. Uznano, że przyczyniła się do tego choroba dwubiegunowa, na którą cierpiała dziewczyna.

Ostatnim dziwnym zbiegiem okoliczności na kilka dni po odkryciu ciała Elisy przedstawiciele władz Los Angeles zajmujący się zdrowiem publicznym otrzymali wiadomość o groźnym ognisku gruźlicy wśród bezdomnych zamieszkujących Skid Row – miejsce położone zaledwie kilka minut drogi od hotelu Cecil. Pracownicy służby zdrowia w końcu poprosili o wsparcie federalne Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób, by zakończyć rozprzestrzenianie się zakażenia. Czynnikiem wywołującym gruźlicę jest bakteria zwana prątkiem gruźlicy, której najpowszechniejszy w Ameryce szczep typu 4 nosi angielską nazwę *Latin American-Mediterranean strand*, w skrócie LAM. Jedną z popularnych i często stosowanych technik wykrywania w organizmie antygenu (czyli substancji wywołującej wytwarzanie przeciwciał przez układ odpornościowy) jest test immunoenzymatyczny, po angielsku nazywany *enzyme-linked immunosorbent assay*, w skrócie ELISA.

Zestaw wykorzystywany w tamtym czasie do badania występowania szczepu typu 4 w dzielnicy Downtown znany jest pod nazwą LAM-ELISA.

Oczywiście ze względu na tajemnicze okoliczności śmierci Elisy Lam internetowi szpiedzy amatorzy głowili się nad nią bez końca i chętnie przedstawiali najróżniejsze teorie dotyczące okoliczności zgonu. Zainteresowanie to w znacznym stopniu wynikało z kontrowersyjnej decyzji o upublicznieniu dziwnego nagrania z wnętrza hotelowej windy. W ciągu kilku godzin klip stał się upiorną internetową sensacją i rozprzestrzenił się po całym świecie. W samych Chinach po udostępnieniu go na Youku, portalu z filmami, został obejrzany trzy miliony razy i w ciągu tygodnia pozostawiono pod nim czterdzieści tysięcy komentarzy. Nigdy wcześniej żadne śledztwo w toku nie pobudziło w taki sposób zbiorowej wyobraźni. Niedługo potem ujawniona została niepokojąca przeszłość hotelu.

Pojawiły się opowieści o dziwnej aktywności, do której podobno dochodziło w budynku od lat. Pewna kobieta twierdziła, że jej ojciec, który mieszkał w hotelu w latach sześćdziesiątych XX wieku, obudził się w nocy z uczuciem, że ktoś go dusi[10]. Były pracownik twierdził, że goście zajmujący pokoje na piętnastym piętrze, w pokoju, gdzie w 1964 roku zamordowano Goldie Osgood, często skarżyli się na podobne doświadczenia. Pewna para podobno zameldowała się w pokoju na jedenastym piętrze, ale gdy do niego dotarła, był w kompletnym nieładzie, zamieszkały już przez kobietę w białej sukni[11]. Goście poskarżyli się w recepcji i zostali zaprowadzeni z powrotem do pokoju – tym razem zastali go w idealnym porządku, tak jakby czekał na ich przybycie, a kobiety nigdzie nie było. W 2014 roku młody mieszkaniec hrabstwa Riverside podobno sfotografował zjawę przypominającą ducha, która pojawiła się za oknem na czwartym piętrze[12].

Liczni vlogerzy i badacze zjawisk paranormalnych także w ostatnich latach odwiedzili hotel Cecil, licząc, że uda im się zdobyć dowody na istnienie jego wewnętrznej mrocznej siły. Niektórzy zauważyli, że czternaste piętro, na którym Elisa wsiadła do windy i zdawała się z kimś rozmawiać, było piętrem, na którym mieszkał kiedyś Richard Ramírez. Sugerowano w ten sposób, że być może coś pozostałego po Ramírezie wciąż nawiedza liczne wąskie korytarze hotelu i że przyczyniło się do śmierci młodej kobiety (zapewne ludzie snujący takie przypuszczenia nie wiedzieli, że Ramírez zmarł pięć miesięcy po odnalezieniu ciała Lam).

Niezależnie od tego, czy ujawniono wszystkie informacje ze śledztwa w sprawie

śmierci Lam, czy tylko część, na zawsze pozostanie ona nieodłącznie związana z budynkiem. Szczególnie interesujące jest jednak to, jak łatwo naszą uwagę przyciągają nie ludzie, którzy byli wtedy obecni w hotelu, ale ci, których już tam nie było – nie potrafimy otrząsnąć się z wrażenia, że w jakiś sposób wszystko, do czego wcześniej doszło w jego ścianach, przyczyniło się do tego strasznego zdarzenia. Podobnie to, co tak wystraszyło i zainspirowało Stephen Kinga podczas tamtej przerażającej nocy w hotelu Stanley, nie miało żadnego związku z tym, co było tam obecne podczas jego pobytu – on i jego żona Tabby byli wówczas jedynymi gośćmi[13]. Ponieważ hotel miał zostać wkrótce zamknięty na zimę, budynek był niemal całkowicie opuszczony. Tego wieczoru, gdy King snuł się po pustych korytarzach i nieruchomych jadalniach, gdzie cisza przeszłości różnych ludzi wydawała się wręcz rozbrzmiewać, coś z tej pustki przesiąkło do jego umysłu.

W mitologii klasycznej wszystko, począwszy od rzek i dolin, a skończywszy na lasach i górach, stawało się domem nienazwanych duchów, które można było przebłagać kapliczkami i darami i w ten sposób zapewnić sobie szczęście. Starożytni Rzymianie używali nazwy *genii loci*, czyli duchy miejsca. Dzisiaj termin ten w oderwaniu od religijnych konotacji oznacza coś bardziej abstrakcyjnego, co pisarz John Reppion zdefiniował jako „echa ludzi, zdarzeń, idei, które czy to dobrze, czy źle, odcisnęły swój ślad w jakimś miejscu [...] niepokojąca atmosfera dawnego pola bitwy, ukojenie i swojskość rodzinnego domu”[14]. Duchy te są najbardziej zauważalne w zrujnowanych i porzuconych budowlach miejskich.

W hipnotycznym dokumencie Nikolausa Geyrhaltera z 2016 roku zatytułowanym *Homo Sapiens* reżyser przedstawia nam serię długich, statycznych ujęć opuszczonych budynków i pustych krajobrazów naznaczonych obecnością człowieka, a jedyne dźwięki to odgłosy otoczenia: muchy brzęczące wokół dawno odłączonego od prądu automatu ze słodyczami stojącego samotnie pośród zdziczałych paproci, wewnątrz pokrytego śniegiem teatru w ruinie, topniejący lód na krokwiach kapiący powoli do błotnistych kałuż poniżej; opuszczony oddział szpitalny z łózkami ustawionymi pod dziwnym kątem i wiatrem wpadającym przez otwarte okno, rozwiewającym po podłodze kawałki folii. To niesamowicie angażujący film. Starożytne ruiny mają swój urok, ale jest coś szczególnie sugestywnego w tych całkiem niedawno porzuconych

śladach ludzkiego istnienia, hipnotyzujących poczuciem, że są zarówno znajome i nowoczesne, jak i dalekie i obce. Zawsze fascynowały mnie takie miejsca.

Na początku czuje się coś głęboko niepokojącego w starych, podupadających strukturach i w tym, jak nieludzkie elementy świata naturalnego przejmują je we władanie z całkowitą obojętnością. Niepokój budzi ich tymczasowość – stanowią one manifestację upływu czasu, stawiają nas między życiem a śmiercią, konfrontują z naszym własnym nieuniknionym przemijaniem[15]. Mamy wyraźne wrażenie, że patrzymy na starożytne przedmioty pochodzące z wielkiej kiedyś, ale upadłej obcej cywilizacji, lecz potem uświadamiamy sobie z ozymandiańskim przerażeniem, że ta cywilizacja to my. Obserwując te miejsca, pozostajemy z niesamowitym poczuciem, że poprzez echa przeszłości nawiedza nas nasza przyszła śmiertelność.

Tim Edensor, adiunkt w dziedzinie geografii kultury na Uniwersytecie Metropolitalnym Manchesteru, który wiele pisał o sugestywnej mocy ruin, zauważa, że osiemnastowieczna moda na przedstawianie ruin w sztuce oraz budowę dekoracyjnych atrap zamków zwanych *follies*, których jedynym celem było wzburzenie ducha, „wiązała się z uczuciem melancholii ukazującej ruiny jako [...] symbol nieuniknionego przemijania życia”[16]. Te budowle były też symbolem wzniosłości, ponieważ miały stanowić próbę wywołania wrażenia „magicznych mocy, które pozostają niewidzialne”[17].

Jednak dla Edensora, ale i dla mnie samego ujmujący jest nieco bliższy ich aspekt. Zbierając materiały do tej książki, odwiedziłem niektóre z najbardziej urzekających opuszczonych miejsc, jakie widziałem na Wyspach Brytyjskich. Od złowieszczej opuszczonej bazy lotniczej Rendlesham i majestatycznej osamotnionej mierzei Orford Ness po pustkowie z przemysłowej przeszłości Middlesbrough, gdzie przeszedłem wzdłuż torów kolejowych od miejsca, w którym rozbił się samolot Heinricha Richtera, minąłem wysokie budowle opuszczonej stalowni Dorman Long i doszedłem do nastawni, gdzie tak tragicznie zamordowano Carla Edona. W każdym z tych miejsc oczarowała mnie magnetyczna obecność nieobecności.

Jak każde opuszczone biuro, nieużywany teatr czy puste hotelowe lobby, wszystkie te miejsca opowiadają jakąś historię, konfrontują nas z „dziwnymi śladami z przeszłości, niepojętymi artefaktami, tajemniczymi znakami oraz nieznanymi

strukturami”[18], które nawet mimo woli próbujemy rozszyfrować. A kiedy już dostrzeżemy to, co kryje się za przemijaniem, zaczyna wynurzać się coś innego – duchy.

Jest tak w każdym miejscu, w którym kiedyś działał człowiek, niemniej te zbudowane przez ludzi zdają się szczególnie sugestywne, ponieważ tak często zostały stworzone w rozumianym przez nas języku. Jak zauważa Edensor, są pełne „znaków przeszłości”, które możemy „intuicyjnie pojąć”, nawet jeśli ich „znaczenie [jest] ostatecznie nieuchwytnie”[19]. Gdy intuicyjnie wyczuwamy dawne przeznaczenie jakiegoś miejsca, nasze umysły niczym projektor wyświetlają przeszłość w tej przestrzeni – poczujemy ruch duchów, „nieobecnych obecności”[20] we wnętrzu fabryki, w nieużywanej sali balowej usłyszymy miękkie kroki przemykających gości, którzy dawno zniknęli, bo znaczą oni linie kreślone przez nas wszystkich.

Niezależnie od tego, czy wierzymy w istniejące niezależnie duchy i zjawy, czy też nie, trudno jest przynajmniej nie pomyśleć o zjawach pozostałych po tych, których kroki powtarzamy, przechodząc przez wspólne przestrzenie. Zatem być może paradoksalnie to nie obecność duchów w danym miejscu nas nawiedza, ale raczej ich nieobecność, i dopóki mamy wskazówki, które pozwolą nam je stworzyć, duchy zawsze będą gotowe, będą czekać, by się zjawić.

* Amerykanie o kondygnacji odpowiadającej parterowi mówią *first floor* – pierwsze piętro, kondygnacja znajdująca się bezpośrednio nad nią to drugie piętro i tak dalej. Zatem piętra od czwartego do szóstego odpowiadają polskim piętrům od trzeciego do piątego (przyp. tłum.).

[1] R. Macfarlane, *The Word-Hoard. Robert Macfarlane on Rewilding Our Language of Landscape*, „The Guardian”, 27 lutego 2015.

[2] E.A. Poe, *Zagłada domu Usherów*, w: *Opowiadania*, t. 1, tłum. S. Wyrzykowski, Warszawa 1989, s. 132.

[3] Tamże, s. 151.

[4] J.J. Miller, *Chilling Fiction*, „The Wall Street Journal”, 29 października 2009, www.wsj.com/articles/SB10001424052748703298004574455551864001062 (dostęp: 9.03.2019).

[5] S. Jackson, *Nawiedzony dom na wzgórzu*, tłum. M. Streszewska-Hallab, Zakrzewo 2018 (wydanie elektroniczne), s. 79.

[6] Oba adresy odnoszą się do dwóch najsłynniejszych miejsc nawiedzanych przez „poltergeisty”. O duchu z Ponefract można dowiedzieć się więcej z czwartego odcinka pierwszego sezonu *Unexplained* zatytułowanego *Where Darkness Plays*.

[7] Alfred Hitchcock podawał, że inspiracją dla motelu Batesów był obraz Edwarda Hoppera *Dom przy torach kolejowych*.

[8] J. Levoy, *Ghettoside. A True Story of Murder in America*, New York 2015, s. 116.

[9] Unterweger po popełnieniu morderstw w Los Angeles i ucieczce został w końcu schwytany i aresztowany w Miami w lutym 1992 roku. Okazało się wtedy, że tak naprawdę od wyjścia z więzienia w 1990 roku zabił co najmniej osiem kobiet.

[10] Kimjoy24, *Dad's Stay at the Haunted Cecil Hotel*, „The Memories Project”, 23 lutego 2012, memoriesproject.com/2012/02/23/dads-stay-at-the-haunted-hotel/ (dostęp: 9.03.2019).

[11] *Haunted Encounters. Face to Face*, Biography Channel, 2012.

[12] ‘Ghost’ Photo Captured Outside Cecil Hotel in Downtown Los Angeles, „Eyewitness News”, 27 stycznia 2014, abc7.com/archive/9409571/ (dostęp: 9.03.2019).

[13] S. King, *The Shining. Inspiration*, StephenKing.com, 2000–2018, www.stephenking.com/library/novel/shiningtheinspiration.html (dostęp: 9.03.2019).

[14] J. Reppion, *Spirits of Place*, Brisbane 2016, ostatnia strona okładki.

[15] T. Edensor, *Industrial Ruins. Spaces, Aesthetics and Materiality*, Oxford 2005, s. 11.

[16] Tamże.

[17] Tamże.

[18] T. Edensor, *Artist Statement*, „Topographies of the Obsolete” 2013, topographies.khib.no/participants/tim-edensor-mmu/ (dostęp: 9.03.2019).

[19] T. Edensor, *Industrial Ruins*, dz. cyt., s. 152.

[20] Tamże.

Rozdział ósmy

ZŁE ZIEMIE

...ludzie o umysłach wrażliwych na dziedziczne impulsy zawsze będą drżeć na myśl o ukrytych i niezgłębionych światach pełnych dziwnego życia, które być może pulsują w otchłaniach poza gwiazdami lub odrażająco napierają na nasz glob w jakichś bluźnierczych wymiarach dostrzeganych jedynie przez umarłych i obłąkanych.

Howard Phillips Lovecraft, *Nadprzyrodzona groza w literaturze*, tłum. Maciej Płaza

Wielu z nas boi się myśli, że koniec końców jesteśmy sami. Nie w znaczeniu metaforycznym, ale raczej dosłownie – że my i inne stworzenia żyjące na Ziemi możemy być jedynymi czującymi istotami we wszechświecie, a nasze istnienie nie ma żadnej przyczyny ani ostatecznego celu. Być może aby przeciwdziałać temu lękowi, opowiadamy historie o innych stworzeniach i innych światach, które nie tylko służą za metafory pozwalające nam lepiej zrozumieć i uporządkować siebie samych, lecz także sprawiają, że w pewnym sensie możemy poczuć się mniej samotni. Od starożytnych opowieści o wszechmocnych wiecznych bóstwach przez ukryte bajkowe światy folkloru po szalone spekulacje o międzygalaktycznych i międzywymiarowych podróżach – zdajemy się od zawsze wynajdywać nowe sposoby, by przedstawić możliwość istnienia życia poza światem, który znamy. Nawet podświadome przestrzenie naszych snów uznawane były za potencjalne miejsca przebywania istot równie prawdziwych jak te, które możemy spotkać w świecie świadomości. (W każdym razie na pewno nie przekonasz jedenastolatka, który właśnie pierwszy raz obejrzał *Koszmar z ulicy Wiqzów*, że takich istot nie ma)[1].

Dla innych właśnie myśl o tym, co mogłoby się kryć w tych miejscach, jest

najbardziej przerażająca. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że wiele takich opowieści kończy się katastrofą. Od mrozących krew w żyłach scen z *Obcego* Ridleya Scotta, w którym wszyscy poza jednym załogantem statku kosmicznego zostają zabici przez nieznaną wcześniej organizm, po diabelnie autorefleksyjną satyrę *Podróże Guliwera* (po których tytułowy bohater jest tak przerażony ludzkością, że zostaje odludkiem) historie takie zdają się stworzone po to, by zapobiec eksplorowaniu przez nas nieznanymi miejsc. Są pokazywane jako prawdy, których nauczono się na błędach, ostrzeżenie dla każdego, kto byłby dość głupi, by wyruszyć poza zacisze własnego otoczenia – jeśli cię to nie zabije, ryzykujesz co najmniej, że dowiesz się o sobie czegoś, czego nie chcesz wiedzieć. Jako gatunek nie tylko okazaliśmy się głusi na takie ostrzeżenia, ale zdajemy się mieć niemal patologiczną skłonność do ich ignorowania. Na przykład o wiele łatwiej było Brytyjczykom cieszyć się z osiągnięć kapitana Jamesa Cooka, niż rozpamiętywać fakt, że został zamordowany w odległej krainie przez „dzikusów”, których „odkrył”[2], a tym bardziej zastanawiać się, ile jest prawdy w słowach Marka Twaina o „usprawiedliwionym zabójstwie”[3]. Gdy spojrzymy na takie opowieści z punktu widzenia tych, którzy padli ofiarą prób kolonizacji „dalekich” i „egzotycznych” krain, odkrywanie nowych lądów zaczyna wyglądać rzeczywiście szemranie. Tak czy owak, my mimo wszystko kontynuujemy.

Można by przekonywać, że to pragnienie oświelenia najciemniejszych nieznanymi zakamarków wynika z instynktu przetrwania (staramy się zrozumieć, co spośród rzeczy kryjących się „tam” mogłoby być dla nas zagrożeniem) lub po prostu ze zwykłego impulsu do poszukiwania lepszego miejsca do życia. Być może kieruje nami Freudowskie nieświadome pragnienie nazywania i zdobywania. Albo – mówiąc prościej – jest to samolubne dążenie do osobistej korzyści. Kiedy jednak przyjrzymy się niezwykłym osiągnięciom najwybitniejszych poszukiwaczy przygód naszego gatunku, takich jak Abu Bakr II, władca wielkiego zachodnioafrykańskiego imperium uważanego przez niektórych za największe i najbogatsze w historii, który podobno w 1311 roku zrezygnował z tego wszystkiego, by dowiedzieć się, co leży po drugiej stronie Atlantyku[4], albo nieposkromiona Jeanne Baret, która w 1775 roku przebrana za mężczyznę jako pierwsza w historii kobieta opłynęła kulę ziemską, łatwo dostrzeżemy inną motywację. Wystarczy podnieść wzrok nad cyniczne polityczne

pobudki lądowania Apollo 11 na Księżycu, żeby ją zobaczyć – jest w ogniu popychającym do startu raketę Saturn V; wznosi stworzoną przez NASA sondę Voyager 1 poza heliosferę ku przestrzeni międzygwiazdnej, dmie w żagle statku HMS Beagle Karola Darwina, łączy śruby i nakrętki na teleskopie Hubble’a, dzięki któremu możemy zajrzeć jeszcze głębiej w najdalsze zakątki wszechświata. To niepoohamowana moc ludzkiej ciekawości.

To właśnie ten duch przygody napędza do poszukiwania innych rodzajów prawdy niezależnie od dociekań nauk ścisłych. Odnajdujemy go w kusicielskim czarze okultyzmu i gnostycyzmu, w poruszającej myśli, że za rzeczywistościami, które potrafimy zrozumieć, kryją się inne, bardziej majestatyczne miejsca czekające na odkrycie, jeśli tylko zyskamy wystarczającą wiedzę i narzędzia, by do nich dotrzeć[5]. Jaką satysfakcję tym poszukiwaczom alternatywnej prawdy i zwolennikom filozofii transcendentalnej da przebywanie w „zwykajnych” światach pól i materii subatomowej, kiedy do odkrycia są o wiele głębsze ukryte geometrie, pogrzebane we mgle przesłaniającej ludzką percepcję?

Na pewno można znaleźć dziwne pokrzepienie w rozmyślanii o rzeczach wykraczających poza nasze codzienne praktyczne doświadczenia; poza tym to właśnie dzięki potencjałowi tego, co nieznanne i niewidoczne, rodzi się wiele spośród naszych najbardziej szalonych pomysłów – myśli o świadomości, eschatologii i samej naturze rzeczywistości. Ale czy w tym wszystkim o czymś nie zapomnieliśmy? Co, jeśli snute przez nas opowieści o innych światach i istotach to nie zwykłe bajki? Co, jeśli rzeczywiście nie jesteśmy sami? Jeśli nie tylko nasz gatunek eksploruje wszechświat?

Gwen patrzy tęsknie na rozległe, błękitne niebo, gdy Terry zjeżdża ich poobijanym pick-upem z drogi Ar88 Fort Duchesne. Jest lato 1994 roku i Shermanowie podróżują przez północną część rejonu Uintah Basin w północno-wschodniej części obszaru znanego powszechnie jako amerykański stan Utah. W tej części kotliny ciągnącej się przez setki kilometrów na południe zderzają się ze sobą pustynia i bujne pastwiska zasilane wodami rzeki Uintah oraz pobliskiego zbiornika Bottle Creek; jest to surowy krajobraz naznaczony rzadkimi plamami oaz na opustoszałych raczej połaciach kamieni i kurzu. Niektórzy mogliby to nazwać badlandami, złymi ziemiemi, dla innych

jest kwintesencją krainy kowbojów. Dla Gwen i Terry'ego to z kolei spełnienie marzeń.

Samochód wzbija tumany pyłu, gdy zagłębiają się coraz bardziej w równiny. Z prawej strony wznosi się na wysokość sześćdziesięciu metrów stoliwo z czerwonego pyłu i piaskowca, jedna z tych nieziemskich formacji skalnych, które wyglądają, jakby miały więcej wspólnego z Marsem niż z Ziemią; na lewo rozciągają się po horyzont blade zarośla poprzątkane mlecznozieloną bylicą trójzębną i patykowatymi drzewkami oliwnika wąskolistnego. Wszystko to obramowane jest najrozleglejszym, najbardziej błękitnym niebem, jakie można sobie wyobrazić. Takie miejsca mają w sobie coś magicznego, ukrytą historię, sprasowaną i skamieniałą pod ziemią oraz wymalowaną na skałach w głębi ciemnych jaskiń. Rozbrzmiewa wraz z ciszą, ale nie jest to cisza pustki. To cisza nieobecności, cisza, która pozostaje, kiedy tak wiele rzeczy istniało i odeszło. Oczywiście stan nie zawsze nazywał się Utah i nie jest to też od zawsze stan. Rozległe połacie ciągnące się na północ nie zawsze nazywano górami Uinta, a ta pustynna kotlina nie zawsze była pustynią...

Mniej więcej dwadzieścia tysięcy lat temu społeczność dwunożnych nieowłosionych istot po raz pierwszy wyruszyła ku współczesnej Ameryce Północnej, idąc z obszarów pokrytych lodem i śniegiem na północnym zachodzie przez pomost lądowy, który niedawno wynurzył się z głębin dawniej niepokonanych wód. Zetknąwszy się ze ścianą lodu i nieprzyjaznego terenu, nieustraszeni pionierzy musieli pozostać na tym pomoście przez tysiące lat, aż w końcu stopnienie lodowców i wiecznej zmarzliny wokół otworzyło przed nimi nowe drogi, które mogli zbadać. Żyjąc w izolacji, przechodzili głęboką przemianę. Kiedy w końcu dotarli do bardziej zielonych pastwisk na południu, wyszli na nie nowi, różni od ludzi, których wcześniej widzieli. Tych ludzi, których imiona zostały dawno zapomniane, uważa się za pierwszych ludzkich mieszkańców obszaru nazywanego dziś Utah, a dotarli tam mniej więcej trzysta tysięcy lat temu.

Tworząc małe społeczności, ludzie ci żyli zgodnie z rytmem pór roku, jedli rośliny zwane dziś pałkami i turzycami, wyplatali sieci na stworzenia, które pływały i latały. Polowali narzędziami wykonanymi z kości i kamienia delikatnie żłobionymi po dwóch stronach. Podobnie jak świat tych, którzy przyszedli przed nimi, ich świat zsynchronizowany był z cyklami złotej kuli dnia i białego koła nocy. W końcu dotarli

nawet do obszaru, przez który przejeżdżają teraz Gwen i Terry, być może chroniąc się pod formacją skalną po prawej stronie lub polując na zwierzęta wśród zarośli po lewej. Jednak trzy i pół miliona wędrówek złotego koła po niebie później wody wokół podniosły się i zalały kotlinę, zmuszając tamtych dawnych ludzi do ucieczki z tego terenu, gdzie ich istnienie zasłoniła mgła czasu. Tysiąc lat później doszło do zmiany i kolejny lud przybył z południowego zachodu, wyposażony nie tylko we włócznie, ale i w łuki oraz strzały. Chociaż niektórzy wybrali wędrowny tryb życia, inni woleli pozostać w miejscu, zając się uprawą i zbiorem plonów. Nosili buty zrobione ze skóry jelenia, lepili garnki i wyplatali koszyki, malowali szczegółowe obrazy stworzeń zarówno obcych, jak i znajomych na skałach swoich domów. Zaledwie siedemset lat później susza wypędziła z tej krainy także ich.

Niedługo potem przybyła kolejna grupa dwunożnych stworzeń, tym razem przynosząc ze sobą nazwę: Nūche, co można przetłumaczyć jako „lud”. Nūche w końcu rozprzestrzenili się na obszarze prawie sześciuset kilometrów kwadratowych po okolicznych pustyniach i preriach, budując tipi i wigwamy z gałęzi sosny i jałowca. Dla Nūche kraina ta była miejscem o wielkiej mocy, miejscem ukazanym w snach i odsłoniętym przez ich stwórcę Sinawav. Obejmowała wysoką ziemię gór, środkową ziemię pogórzy, niską ziemię kanionów i podziemia, gdzie dająca światło kula na niebie, którą nazywali *tavaci*, odpoczywała w nocy. To kraina usiana *puwá-v* – miejscami mocy, w których plemienni medycy nadawali kierunek świętym siłom. Był to też świat zamieszkały przez *Mokwič* – umarłych. Nūche nigdy nie zapuszczali się na tereny *Mokwič*, którzy podobno grasowali po opuszczonych domach tych, którzy byli tu wcześniej – znakiem tego są liczne pająki i pajęczyny znajdowane w takich miejscach.

Nūche zajmowali krainę przez wiele cykli *tavaci*, żyjąc zazwyczaj pokojowo i w harmonii z żywiołami, biorąc tylko tyle, ile potrzebowali, i walcząc tylko po to, by bronić terytorium, które było im niezbędne do przetrwania. Nūche nie wiedzieli jednak, że istniał inny świat zajmujący dokładnie tę samą przestrzeń co oni i że zaczynał on spychać ich na ubocze.

Niektórzy Nūche słyszeli już o tym innym świecie zamieszkanym przez ludzi pod pewnymi względami podobnych, a pod innymi – różnych. Odkryli, że jest to miejsce

stworzone nie przez Sinawav, ale przez Boga Wszechmogącego, gdzie czas płynie inaczej, a Nūche są nazywani Yuta. W tym innym świecie jest rok 1620 – tyle właśnie lat upłynęło, odkąd człowiek zwany Chrystusem został zesłany na ziemię, by umrzeć za grzechy wszystkich. Pierwsze kontakty z ludźmi z innego świata przynoszą od czasu do czasu bogactwo, na przykład piękne, silne konie, które później dodadzą siły społecznościom Nūche. Pojawiają się nowe idee, które pomagają im lepiej zrozumieć własny świat – Nūche odkrywają na przykład, że złota kula na niebie nie chowa się w ciemność każdej nocy, ale to oni sami podróżują wokół niej. Czasami ludzie z innego świata robią najazdy na społeczności Nūche i porywają ludzi, by trzymać ich jako niewolników.

Ten nowy świat coraz bardziej rozpycha się w świecie Nūche, aż w końcu całkowicie nad nim dominuje, a oni nie mają wyboru i muszą go porzucić. Gdy w tym nowym świecie nadchodzi rok 1864, tereny zajmowane przez lud Nūche, teraz nazywane przez tych drugich Ute, zostają już uznane za „własność” Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dochodzi do porozumienia, w ramach którego wydzielone zostaje małe terytorium, które Nūche oraz inne plemiona takie jak Uncompahgre, Yampa i White River będą mogły nazywać swoim. Przez piętnaście lat są gromadzeni i odwożeni do tego wyznaczonego terenu zwanego rezerwatem Uintah i Ouray. Nie mogąc już przemieszczać się wraz z porami roku, ludy plemienia z trudem przystosowują się do swojego nowego miejsca, którego znaczna część jest sucha i nie nadaje się do polowań. Kiedy na ich terytorium zostaje odkryty asfalt, okazuje się, że umowa z 1864 roku nie jest aż taka ostateczna, jaką się z początku zdawała. Prawie trzy tysiące hektarów znów zostaje przejęte przez rząd USA w celach wydobywania. W roku 1905 powierzchnia rezerwatu to zaledwie ćwierć pierwotnej jego wielkości.

Terry zatrzymuje samochód, gdy w końcu docierają do celu, dwustuhektarowego rancza położonego w głębi rezerwatu Uintah i Ouray. Przed nimi leży dom Myersów wyglądający zza rzędu wielkich topoli. Chociaż ranczo rzeczywiście zajmuje miejsce kiedyś obiecane jako część pierwotnego rezerwatu, niektórzy twierdzą, że Nūche z wielką chęcią się go pozbyli. Mówi się, że coś dziwnego nawiedza te pastwiska, coś, o czym nie wspomniano w żadnym podręczniku historycznym, a Nūche potwornie się

tego boją.

Intensywnie żółte słońce wisi na niebie, gdy Shermanowie wychodzą z chłodu auta w suchy letni upał, a potem ruszają w stronę domu. Terry przeczesuje palcami włosy, a potem znów wkłada czapkę. Bardzo się stara ukryć ekscytację, gdy podchodzi do nich agent nieruchomości.

Budynek stoi u podnóża stoliwa, a za nim znajduje się szeroki kanał irygacyjny. To skromnej wielkości parterowy dom wymagający nieco troski i uwagi. W środku tapeta – niezmienniana od lat siedemdziesiątych – łuszczy się ze ścian i sufitu, a po podłodze walają się torby ze śmieciami. Gdy Shermanowie przechodzą przez pokoje, zaczynają myśleć o poprzedniej właścicielce, która mieszkała tu całkiem sama. W tym miejscu jest coś dziwnego, ale Gwen nie jest w stanie dokładnie określić, co to takiego. Potem jednak uświadamia sobie, że we wszystkie drzwi wewnętrzne wwiercono po obu stronach zamki ryglowe, podobnie jest z oknami. Gwen zatrzaskuje właśnie jeden z zamków, kiedy Terry woła ją z zewnątrz. Kobieta wychodzi przez drzwi i widzi męża trzymającego w dłoniach ciężki łańcuch, którego jeden koniec został mocno przykręcony od frontu domu.

– Chyba mieli niezłego psa – mówi Terry.

– Pewnie tak – odpowiada Gwen, po czym całkowicie pochłania ją zapierający dech w piersiach widok.

Widzi stąd cały obszar trawiastych połąci i zarośli na południu i zachodzie, które przecina rzeka Dry Gulch Creek. Od północy granicę stanowi kanał irygacyjny i stoliwo z piaskowca, które biegną razem ku odległej zachodniej linii. Gdy wpatruje się w to wszystko, ma wrażenie, że mieszkają tu od zawsze.

Później, po spacerze wśród pól, Gwen i Terry natrafiają na stare gospodarstwo, zniszczoną tynkowaną chatkę zbudowaną na początku XX wieku, ale teraz przekrzywioną i zmurszałą po latach pod spiekotą pustynnego słońca. Wygląda niesamowicie, niemal jakby wciąż ktoś w niej mieszkał – zardzewiały metalowy komin pozostaje nietknięty i wystaje ponad dach, a w środku miejscami jeszcze widać brązową podłogę w kwieciste wzory pod grubym dywanem uschłych liści. W każdym kącie tkwią pająki i zwisają pajęczyny. Gdy wracają do domu, Terry zauważa, że coś dziwnego kryje się pod gęstą, suchą trawą – okrągłe wgłębienie mniej więcej

o szerokości metra i głębokie na co najmniej trzydzieści centymetrów. Jeszcze dziwniejsze jest to, że gleba pod spodem zdaje się ubita, jakby ten, kto zostawił ten ślad, nie wygrzebywał ziemi, ale raczej ją sprasował.

Jest szary, pochmurny dzień, kiedy Shermanowie wracają tam znowu jesienią, tym razem jako dumni nowi właściciele rancza, przywożąc wszystkie swoje ziemskie dobra dwoma ciężko obciążonymi ciężarówkami. Z pomocą Attisona, ojca Terry'ego, jedenastoletni syn Gwen i Terry'ego T. oraz dziewięcioletnia córka K. kierują działaniami, wybierając rzeczy z wierzchu ciężarówki i podając je dorosłym. Terry właśnie wraca po kolejny ładunek, kiedy zauważa, że jego syn wpatruje się w coś po drugiej stronie pastwiska, co zmierza przez pole prosto w ich kierunku.

– Co to jest, kojot? – pyta Gwen, która również to spostrzegła.

– Za duży – mówi Terry, nie odrywając wzroku od zwierzęcia.

Rodzina patrzy, jak stworzenie się przybliża, aż w końcu dostrzegają, że srebrnoszare futro bez wątplenia należy do wilka. Gwen niespokojnie patrzy w stronę dzieci, które trwają w milczeniu jak zahipnotyzowane.

Terry robi krok do przodu, patrząc w dal za zwierzęciem i szukając watahy, a potem nerwowo zerka w stronę zagrody. Widzi, że jedno z trzech przywiezionych tego ranka cieląt, wyczuwając w powietrzu coś dziwnego, podeszło do płotu i wystawiło z zaciekawieniem głowę między belkami. Tymczasem wilk podbiega coraz bliżej i bliżej, jego głowa kołysze się między barkami. Wkrótce jest już niecałe dziesięć metrów od ludzi. Przynajmniej wygląda jak wilk, myśli Terry, chociaż jest dwa razy większy od tych, które dotąd widywał. Jeszcze dziwniejsze jest elektryzujące spojrzenie jego bladoniebieskich oczu. Terry zastanawia się, czy to nie mieszaniec.

Stworzenie wciąż się zbliża i po chwili jest już przy nogach Attisona, na tyle blisko, że starzec może pogłodzić dłonią jego gęste, mokre futro.

– Pewnie przybiegł z rezerwatu – mówi do pozostałych.

Wilki wygina grzbiet pod dłonią Attisona i radośnie ociera się o jego nogi niczym stary, domowy pies.

Gwen gestem daje znać dzieciom, by zeszły z ciężarówki i dołączyły.

– Możemy go zatrzymać? – pyta K.

Terry nie ma czasu odpowiedzieć, bo wilk już jest w ruchu, biegnie prosto do zagrody. Chwilę później sześciomiesięczne cielę rasy angus piszczy z bólu – jego nos tkwi między szczękami wilka.

Gwen odsuwa dzieci, gdy Attison wyciąga z ciężarówki kij baseballowy i zaczyna mocno bić nim wilka po plecach, a Terry usiłuje kopniakami oddzielić go od cielaka.

– Daj rewolwer! – krzyczy Terry.

T. wskakuje na ciężarówkę, wyciąga z kabury magnum i podbiega do ojca. Krzycząc do syna i do Attisona, by się cofnęli, Terry sprawdza bębenek, a potem zatrzaskuje go z powrotem i naciska spust. Kula z hukiem wbija się w zwierzę.

Ale wilk się nie cofa.

Gwen robi, co może, by zasłonić oczy K., gdy Terry zbliża się jeszcze o krok i wystrzela drugi nabój w pierś wilka, ale znów nie dzieje się nic, zwierzę nie wydaje nawet dźwięku. Wyczerpany cielak opada na ziemię i w przerażeniu wywraca dużymi oczami, czekając na śmierć. Terry znowu strzela i widzi, że tym razem kula trafiła prosto w brzuch wilka. W końcu zwierzę uwalnia ofiarę i cofa się parę metrów chwiejnym krokiem. Cielak opada na plecy, ciężko dysząc, z nosa leje mu się krew. Kolejna kula trafia drapieżnika w okolice serca. Wilk jeszcze przez chwilę stoi nieruchomo, przeszywając Terry’ego wzrokiem, aż w końcu się wycofuje.

– Przynieś karabin – mówi spokojnie Terry.

T. biegnie do domu pod czujnym okiem Gwen, która mocno przytula płaczącą przy jej brzuchu córkę. Mija kilka sekund i T. wraca, by podać ojcu karabin snajperski na naboje .30-06. Wilk jest teraz niecałe trzydzieści metrów od nich, więc Terry podnosi broń do oka i naciska spust. Wszyscy wzdychają, gdy kula przeszywa ciało – ale wilk wciąż stoi nieruchomo, mierząc Terry’ego elektryzującym, błękitnym spojrzeniem.

Terry znowu strzela. Tym razem kula wyraźnie odrywa kawałek ciała i futra na piersi stworzenia. Wilk bez najmniejszego odgłosu ostatni raz zerka na cielaka, a potem w końcu odwraca się i rusza z powrotem w kierunku, z którego przyszedł. Pełen niedowierzania Attison podchodzi do kawałka ciała oderwanego przez kulę. Pochyla się, by je podnieść, i zaraz cofa się z obrzydzeniem. Mięso jest zgniłe, cuchnie

rozkładem. Terry będzie później próbował namierzyć wilka i zabić go, raz na zawsze. Podąży prawie dwa kilometry przez zarośla za wyraźnymi śladami jego łap, które potem w niewyjaśniony sposób znikną z ziemi.

To był pierwszy dzień.

Przez kolejnych kilka miesięcy Shermanowie nadal widywali liczne duże stworzenia, które zdawały się niemal ich śledzić z krawędzi pól. Pewnego razu, gdy Gwen właśnie wsiadła z powrotem do samochodu po zamknięciu bramy w drodze powrotnej z pracy, zauważyła cień na desce rozdzielczej. Odwracając się, by wyjrzieć przez okno, z przerażeniem zobaczyła wpatrzone w nią duże oczy, raczej czarne niż bładoniebieskie. Należały do stworzenia, które – mogła tylko przypuszczać – było kolejnym wilkiem, a wzrostem dorównywało wysokości samochodu.

Zaniepokojona o resztę bydła, które miało zostać przywiezione za kilka tygodni, rodzina nie miała wyjścia – musiała zwrócić się z tą sprawą do miejscowej rady plemiennej. Następnego dnia Gwen odbyła krótką podróż do biura rezerwatu położonego w pobliskim Fort Duchesne. Powiedziała, że chce porozmawiać z kimś o dzikich wilkach biegających po jej ziemi, spotkała się jednak tylko z niezręcznym milczeniem. Urzędnik uprzejmie poinformował Gwen, że takich zwierząt nie ma nigdzie na terenie rezerwatu. Nie tylko nikt nie trzymał ich jako zwierzęta domowe, ale w dodatku wilki nie występowały naturalnie w tym regionie od lat trzydziestych XX wieku, kiedy zostały wytrzebione w ramach narodowej kampanii eksterminacji.

Bydło Shermanów dotarło w połowie listopada – było to mniej więcej czterdzieści simentalskich jałówek oraz cztery buhaje. Do rodziny dołączyły także trzy psy rasy blue heeler – doskonałe psy pasterskie. Niedługo potem bratanek Terry'ego i Gwen – D. – przyjechał w odwiedziny. Na początku jego wizyty Terry wraz synem zabrali D. na wieczorne poszukiwania krów, które oddaliły się od stada, gdy Terry zauważył światła ciężarówki zaparkowanej niecały kilometr na zachód. Zakładając, że ktoś wtargnął na ich terytorium, we trójkę ruszyli w stronę pojazdu, ale gdy się zbliżyli, samochód zaczął się oddalać. Kiedy Terry zaczął biec, by za nim nadążyć, uświadomił sobie coś dziwnego. Każda zwykła ciężarówka podskakiwałaby na nierównym terenie,

oświetlając reflektorami wszystko dookoła, ale światła tego auta były całkowicie stabilne. W końcu nie mając gdzie uciec, pojazd zatrzymał się naprzeciw grubej kępy drzew przy zachodniej granicy rancza. Kiedy Terry, T. i D. chwilę odpoczywali, stało się coś niezwykłego. Pojazd, który – jak teraz widzieli – miał kształt prostopadłościanu i nie był dłuższy niż półtora metra, zdawał się podnosić z ziemi. Chwilę później uniósł się nad najwyższe topole, błyskając w dół czerwonymi i białymi światłami, po czym cicho, płynnie odwrócił się i odleciał ku niebu.

Kiedy Terry opowiedział Gwen o tym, co zobaczyli, zaskoczyła go wiadomością, że ona też widziała dziwne rzeczy – inne latające obiekty, czarne i trójkątne, które zdawały się podążać za jej samochodem po drodze wjazdowej; pojazdy zaparkowane na polach, które nagle zniknęły, nie zostawiając żadnego śladu poza odciskami stóp przypominającymi ludzkie, ale dwa razy większymi od jakiegokolwiek stopy, którą dotąd widziała.

Parę tygodni później Terry zauważył na nocnym niebie dziwną, złotą kulę unoszącą się tuż nad drzewami na zachodnim krańcu rancza. Pewnej nocy, gdy ją obserwował, zdawało mu się, że kula się rozszerza i odsłania coś niezwykłego ukrytego we wnętrzu. Terry nie był pewien, ale zdawało mu się, że zagłębia do innego świata, do innego miejsca, w którym trwa właśnie dzień. Gdy dalej się w nią wpatrywał, zdawało się, że wylatuje z niej czarny obiekt, który niedługo potem zniknął mężczyźnie z oczu.

Chociaż było to niewątpliwie dziwne, rodzina nie chciała wyciągać z nietypowych zdarzeń żadnych szalonych wniosków. Snuli przypuszczenia, że może niedaleko odbywają się jakieś wojskowe eksperymenty. W każdym razie o dziwnych zjawiskach szybko zapomniano, gdy przyszła mroźna zima i z początkiem nowego roku odebrała życie dwóm zwierzętom z ich stada. Przed nadejściem wiosny trzy kolejne krowy Shermanów nie dały rady ciężkim warunkom i wszelkie wspomnienia o dziwnych latających obiektach i gigantycznych wilkach zostały zatarte. To się jednak miało zmienić.

Terry zaganiał bydło, kiedy usłyszał krzyki syna. Kiedy podszedł, zobaczył, że dziecko krztusi się przy brzegu kanału, wskazując jakieś miejsce, któremu ojciec powinien się przyjrzeć. Parę chwil później, gdy znów zaczął padać ulewny deszcz, Terry stał już po pas w kanale, przywiązując grubą linę do tylnych nóg martwej

jałówki, po czym z pomocą konia wyciągnął zwierzę z wody. Padł na ziemię wyczerpany, po jego twarzy spływały strugi deszczu. Na ziemi przed nim leżała jałówka bez zadu; wyglądało na to, że ktoś go całkowicie usunął z chirurgiczną precyzją. Wnętrznosci krowy także zniknęły i nigdzie nie było śladu krwi. T. zasugerował, że być może zrobił to jeden z wilków, ale Terry nie był taki pewien. Nie – pomyślał – to coś zupełnie innego, coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Okazało się, że było to dopiero pierwsze z wielu dziwnych okaleczeń bydła, z jakimi mieli się zmagać Terry i Gwen przez następne kilka miesięcy.

Pewnego wieczoru pod koniec kwietnia Terry siedział przed domem po kolejnym wyczerpującym dniu, wygrzewając się w ciepłych promieniach zachodzącego słońca, razem z wiernymi psami u boku. W pewnym momencie jeden z nich zaczął warczeć; mężczyzna, słysząc to, wyprostował się na krześle. Coś było chyba paręset metrów od nich i miało mniej więcej wielkość piłki tenisowej. Wyglądało jak zrobione w całości z niebieskich wyładowań elektrycznych. Kiedy psy zaczęły szaleńczo szczekać, Terry kiwnął na nie głową – wtedy natychmiast rzuciły się w pogoń za dziwną, niebieską kulą. Niedługo jednak mężczyzna zaczął się niepokoić, gdy psy jęły gonić kulę do granicy zagajnika, a potem wbiegły za nią między drzewa i zniknęły wśród podszycia. Terry wrócił do domu i zapewnił dzieci, że psy znajdą drogę powrotną.

Następnego ranka psów wciąż nie było, Terry postanowił więc pójść ich poszukać. Wszedłszy między drzewa, tam, gdzie widział je ostatnio, wyczuł wśród zapachu porannej rosy i bylicy wyraźny swąd spalonego mięsa. Przedzierając się do położonej dalej polany, Terry wkrótce ku swemu przerażeniu odkrył źródło smrodu: trzy koła wyschniętej trawy, a w każdym z nich – lepka sterta szczątków.

Utrata ukochanych psów przyniosła rozpacz Terry'emu i reszcie rodziny, która zaczęła się czuć coraz bardziej sterroryzowana przez dziwne zdarzenia. Po raz pierwszy Terry był do głębi wstrząśnięty i niepokoił się o bezpieczeństwo bliskich. Ponieważ nie było nikogo innego, z kim mógłby porozmawiać, szukał pomocy u zamieszkałego w okolicy Juniora Hicksa, który przedstawił się rodzinie parę miesięcy wcześniej, gdy po raz pierwszy usłyszał o dziwnych zdarzeniach na ranczu. Hicks był emerytowanym licealnym nauczycielem nauk ścisłych z niedalekiego miasteczka Roosevelt i spędził całe życie, próbując przekonać ludzi, że w okolicy kotliny Uintah dzieje się coś

naprawdę dziwnego. Ale nawet on nie wiedział, co ma myśleć o ostatnich zdarzeniach na ranczu Shermanów.

Fascynacja Hicksa miała swoje źródło głównie w historiach o kilku miejscowych zetknięciach z UFO na początku lat pięćdziesiątych, zwłaszcza tym zarejestrowanym w 1952 roku przez oficera marynarki Delberta Newhouse'a, do którego doszło niedaleko Tremonton, na północ od Salt Lake City. Przejeżdżając przez Utah w drodze na wakacje do Portland w Oregonie, Newhouse i jego żona Norma oraz syn Delbert i córka Anne zauważyli dwanaście obiektów w kształcie spodków identycznej wielkości, które leciały w powietrzu nad ich samochodem. Newhouse ocenił, że mają podobną wielkość do bombowców B-29, gdyby leciały one na wysokości trzech tysięcy metrów[6]. Newhouse przez chwilę obserwował obiekty, a potem wyciągnął kamerę z bagażnika i nagrywał je przez kilka minut. Jego nagranie do dziś pozostaje jednym z najbardziej fascynujących w historii ufologii.

Terry'emu możliwość szczerej rozmowy z Hicksem – bez obaw, że ten będzie go osądzał – przyniosła przyjemną ulgę. Jednak to, co powiedział mu Hicks później, gdy razem obejrzeliby szczątki psów, nie było zbyt pocieszające. Hicks udokumentował ponad czterysta przypadków dziwnych zjawisk w samym regionie Uintah, od kul elektryczności po czarne trójkątne obiekty unoszące się na niebie, takie jak te, które widziała Gwen. Nie był to pierwszy raz, gdy na ranczu zdarzały się dziwne rzeczy. Mężczyzna twierdził, że była właścicielka, Edith Myers, wspominała o dziwnych zjawiskach w gospodarstwie za każdym razem, gdy wybierała się do miasta. Również sam Hicks, który wspomniał, że pracował na ranczu i wykonywał dla Edith drobne prace, zauważył drobne osobliwości, na przykład nieregularną pracę kompasów.

Hicks miał wiele teorii co możliwej przyczynie zdarzeń, ale jedna z nich szczególnie niepokoiła Shermanów. Pewnego popołudnia Hicks przyniósł mapę okolicy, chcąc lepiej wyjaśnić sytuację. Wskazał na niej Terry'emu położenie rancza i pokazał, że zdaje się ono nienaturalnie wykrojone z leżącego wokół terytorium rezerwatu Uintah i Ouray. Nie był to pierwszy raz, kiedy fragment ziemi został skonfiskowany i sprzedany, ale przypadek rancza Shermanów był zupełnie inny, ponieważ miejscowi Nūche, jak wyjaśnia Hicks, nigdy nie chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Nūche, spychani z każdej strony przez przybyszów chcących osiąść zajmowane przez nich ziemie, zmuszeni byli do zawiązania kilku strategicznych sojuszów, by podjąć ostatnią próbę przetrwania. Za jeden z takich sojuszów zapłacił krwią sąsiedni lud Dine, później nazywany Nawaho przez osadników z Hiszpanii. Historia głosi, że w ramach zemsty pewnej nocy szamani Dine zebrali się pod osłoną nocy i oświetleni jedynie migoczącymi płomieniami rytualnego ognia tańczyli i skandowali klątwy rzucane na Nūche i ich ziemie. Od tamtej pory plemię uważało, że nawiedza je wcielenie klątwy – przerażające zmiennokształtne wiedźmy, które nazywają *yee naaldlooshii* lub Skórozmiennymi.



Petroglify na ścianie kanionu w Utah; szacuje się, że powstały mniej więcej 2500 lat p.n.e.

Skórozmienny (Skinwalker) w folklorze Dine istnieje tylko po to, by sprowadzić śmierć lub cierpienie na tych, którzy wejdą mu w drogę. Gdy przybiera formę zwierzęcia – często jest to wilk lub kojot – zaczyna szukać swoich ofiar, prześladować je nocą i od czasu do czasu rozsypując pył ze zmielonych dziecięcych kości w domach

ofiar, by się zarazę. Jak twierdził Junior Hicks, miejscowi Nūche uważali, że całe stoliwo z piaskowca znajdujące się na północ od rancza Shermanów należy do terytorium Skórozmiennych, i dlatego potwornie bali się do niego zbliżać. Formacja skalna była nawet nazywana przez miejscowych Skinwalker Ridge. Zdaniem Hicksa zwłaszcza jedno miejsce budziło szczególny lęk: zwano je Mrocznym Kanionem. Leżało około pięćdziesięciu kilometrów na północ od rancza. Uważa się, że wiele spośród dawnych petroglifów – prehistorycznych rysunków naskalnych znalezionych w kanionie – to tak naprawdę przedstawienia tych przerażających istot. Ponadto niektórzy wierzą, że właśnie tam powstają nowi Skórozmienni – gdzie plemienne wiedźmy odziane w maski i sznury paciorków zbierają się w jaskiniach wypełnionych rzędami ludzkich głów, śpiewając dysonansowe pieśni wokół rosnących płomieni i rysując symbole w piasku, a potem plują i wypróżniają się na te znaki, powołując do istnienia kolejnego Skórozmiennego[7].

Hicks wyjaśnił też, że dla ludu Nūche widok wilka lub psa w dziwnych okolicznościach był wystarczającym dowodem na to, że widzieli Skórozmiennego i że każde takie spotkanie było sygnałem bezpośredniego zagrożenia dla ich rodzin. Terry z niepokojem przypominał sobie pierwsze zetknięcie z wilkiem, który nie dawał się zabić, i tamten wieczór, gdy wielka, przypominająca wilka istota zbliżyła się do samochodu Gwen.

Chociaż Sherman starał się ignorować ostrzeżenia Hicksa, nie dało się nie zwracać uwagi na kolejne martwe i okaleczone krowy, których wciąż przybywało, ani na to, jak się to odbijało na zdrowiu psychicznym rodziny, nie wspominając już o finansach. Czara goryczy przelała się pewnej lipcowej nocy, gdy rodzina szykowała się już do snu. Terry zauważył zapalające się i gasnące światła na podwórzu. Po chwili światła w domu także zaczęły przygasać i migotać. Parę sekund później Gwen krzyknęła przeraźliwie, gdy zobaczyła, jak kolejna kula łagodnym ruchem krąży nad gospodarstwem i zawisa przy oknie, jakby ich obserwowała. Parę chwil później zniknęła, ale Shermanowie mieli dość.

Do końca tamtego lata w 1996 roku stracili łącznie czternaście krów, a wprowadzili się zaledwie dwa lata wcześniej. Stres odcisnął na nich poważne piętno, Gwen była bliska utraty pracy w okolicznym banku z powodu tych wszystkich nieprzespanych

nocy i opuszczonych godzin, a dzieci miały problemy z nauką.

Shermanowie, podjąwszy ostateczną decyzję, mieli już wystawić ranczo na sprzedaż, kiedy zadzwonił do nich ktoś z Las Vegas. Twierdził, że kontaktuje się z nimi w imieniu niejakiego Roberta Bigelowa. Jak wyjaśnił, parę dni wcześniej Bigelow zwrócił uwagę na artykuł na temat dziwnych zdarzeń na ranczu Shermanów w publikowanej w Utah gazecie „Deseret News”[8]. Nie chcąc nawet oglądać nieruchomości, gotów był natychmiast zaoferować im za ranczo dwieście tysięcy dolarów. Shermanowie nawet się nie zastanawiali.

Kiedy Robert Bigelow był małym chłopcem, usłyszał dość rzeczowo wyłożoną opowieść dziadków o tym, jak do ich samochodu zbliżył się statek obcych, kiedy jechali wiejską drogą pod Vegas. Pojazd podobno wystrzelił w górę pod ostrym kątem i zniknął w oddali, zanim zdążyli mu się dobrze przyjrzeć. Bigelow był tą opowieścią zafascynowany.

Później dzięki swojej firmie hotelarskiej Budget Suites of America został multimilionerem, ale zachwyty historią dziadków nigdy go nie opuścił. Na początku lat dziewięćdziesiątych, dysponując pokaźnymi środkami pieniężnymi, zaczął finansować serię projektów z pogranicza nauki za pośrednictwem Uniwersytetu Nevady w Las Vegas. Programy te zostały zaplanowane tak, by obejmować szeroki zakres badań na temat różnych zjawisk, między innymi „zmienionych stanów świadomości, doświadczenia śmierci i postrzegania pozazmysłowego”[9]. Gdy przyszedł rok 1996, Bigelow mógł postawić kolejny krok na drodze swojej fascynacji.

Colm Kelleher był bystrym młodym biochemikiem pracującym w narodowym Żydowskim Ośrodku Immunologii w Denver, kiedy natrafił na ogłoszenie dotyczące posady w dziedzinie nauk ścisłych przy Narodowym Instytucie Nauk Poszukiwawczych (National Institute for Discovery Science, NIDS). Ten założony przez Bigelowa instytut miał zgromadzić doktorów najróżniejszych dziedzin w celu badania zjawisk paranormalnych i jako oficjalny cel wskazywał skromną intencję badania „pochodzenia i ewolucji świadomości we wszechświecie”. Kelleher od razu połączył haczyk i bez wahania złożył podanie o pracę. Parę tygodni później leciał już do

Las Vegas, gdzie miał rozpocząć pracę na nowym stanowisku kierownika badań w NIDS.

Po przybyciu do Vegas Kelleher odkrył, że Bigelow to interesujący, inteligentny i ambitny człowiek, który jest szczerze i głęboko oddany celom organizacji. Jego zaangażowanie wyraźnie odzwierciedlał zgromadzony przez niego zespół pracowników – wśród nich byli dwaj spośród dwunastu ludzi, którzy chodzili po Księżycu, doktor Harrison Schmitt i doktor Edgar Mitchell, a także emerytowany pułkownik armii Stanów Zjednoczonych John Alexander – w czasie wojny amerykańsko-wietnamskiej w latach 1955–1975 dowodził on jednostką specjalną A-Team, był też kontrowersyjną postacią ze względu na swoje szczególne zainteresowanie bronią nieśmiertelnością oraz kontrolą umysłu na potrzeby działań wojennych.

Nowo stworzony zespół NIDS był chętny, by ruszyć w teren i sprawdzić swoje umiejętności badawcze, więc Bigelow zasugerował, by pierwsze badania przeprowadzić na ranchu Shermanów. We wrześniu przenieśli się więc do nowo nabytego gospodarstwa. Naprzeciw domu na terenie rancha ustawiono wielką przyczepę obserwacyjną z najnowocześniejszymi urządzeniami do prowadzenia badań, między innymi analizatorami widma i częstotliwości oraz sprzętem rejestrującym, który wykorzystywał najnowszą metodę nagrywania CD-ROM. Rozstawiono zestaw ekranów poukładanych jeden na drugim obok pudeł z magnetometrami i licznikami Geigera przydatnymi do monitorowania wszelkich potencjalnych wyładowań radioaktywnych.

Chociaż Shermanowie bardzo chcieli opuścić posiadłość, Terry nie był jeszcze całkiem gotów, by się poddać. To, że rodzina została praktycznie wypędzona ze swojej ziemi, uznał za osobisty afront, dlatego umówił się z Bigelowem, że będzie mógł trzymać bydło na ranchu, a także pomagać zespołowi NIDS jako zarządca nieruchomości, odtąd znanej jako rancho Bigelowa. Kiedy przybył zespół, Terry oprowadził Kellehera i pozostałych po posiadłości, by mogli poczuć, z czym dokładnie się mierzą. Gdy szli, zafascynowany zespół słuchał opowieści ranczera o zdarzeniach z kilku ostatnich lat. Tego słonecznego wrześniowego dnia, gdy granie świerszczy rozbrzmiewało wraz z odległym muczeniem bydła, a ciepły wiatr poruszał trawami

pastwisk, nietrudno było zrozumieć, dlaczego Shermanowie tak długo nie chcieli opuścić tego miejsca. Parę chwil później Terry, Kelleher i jeden z jego współpracowników wpatrywali się w gnijące zwłoki krowy – jednej z dwóch z sąsiedniej farmy, które zdechły w ciągu ostatnich kilku dni w tajemniczych okolicznościach.



Surowe równiny rezerwatu Uintah i Ouray

Następnego dnia zespół zaczął zbierać zeznania świadków z rodzin zamieszkałych na okolicznych ranczach i mieszkańców rezerwatu. Po kilku miesiącach okazało się, że liczba dziwnych i niewyjaśnionych wydarzeń, do których doszło w ciągu minionych lat, jest zadziwiająca. Równocześnie z wywiadami zespół w ciągu dnia prowadził pomiary elektromagnetyczne i badał poziom promieniowania w terenie. Wieczorem na zmianę siadali pod gwiazdami i wpatrywali się w niebo w nadziei, że zobaczą coś niezwykłego. Jednak gdy nastał grudzień, spadł śnieg, a oni nie odnotowali prawie żadnej interesującej aktywności. Temperatura dalej się obniżała, więc Terry przeniósł większość bydła na nowe rodzinne ranczo położone jakieś trzydzieści kilometrów

dalej. Zespół NIDS zamknął pierwszy etap badań i wrócił do bazy w Vegas.

Bydło wróciło w lutym, a dwa tygodnie później Terry oznaczał nowe nabytki. Oddzieliwszy jedno ze zwierząt od stada, chwycił je za głowę i powalił na ziemię. Jego matka patrzyła z niepokojem, jak Terry uspokoja młode zwierzę i szybko wbija mu pierwszy znacznik w ucho. Gdy cielę się uspokoiło, Terry chwycił je za drugie ucho i szybko wkłuł drugi znacznik, a potem uwolnił młode, które uciekło drżącym krokiem, próbując otrząsnąć się z bólu, i znów schroniło się przy matce.

Niedługo potem uwagę Terry'ego i Gwen, którzy oglądali pozostałe zwierzęta, zwróciło niespokojne szczekanie. Jeden z psów oddalił się na zachodnią część pastwiska i ujadał teraz na coś ukrytego w podszyciu na krawędzi pola. Po chwili suka bez ostrzeżenia rzuciła się w roślinność.

Wtedy wśród stada rozległ się dziwny skowyt.

To się znowu działo.

Terry pobiegł z powrotem do krowy, której cielaka właśnie oznaczył, ale nie znalazł młodego zwierzęcia – dopiero po chwili zauważył małą kość z nogi, świeżo ogryzioną z mięsa i pozostawioną na ziemi. Po kolejnych kilku krokach Terry natrafił na pozostałe zmasakrowane szczątki. Leżały na trawie z rozciągniętymi nogami. Wszystkie narządy zostały wyrwane ze środka, a skóra prawie całkowicie usunięta, przez co żebra były teraz odsłonięte. Jedno z uszu także zostało ucięte, ale nie widać było ani kropli krwi. Zszokowany Terry zrobił krok do tyłu, a potem zawołał Gwen.

Pięć godzin później przybywają prosto z Vegas doktor Kelleher oraz fizyk i weterynarz z zespołu NIDS. Trzej mężczyźni szybko zabierają się do pracy, szukając anomalii magnetycznych i śladów promieniowania. Niespokojnie zerkają w kierunku granicy pastwiska, gdy maszyny piszczą i syczą. Po tym, jak zwierzęta tłoczą się w jednym miejscu, można poznać, że coś w oddali je obserwuje. Przyglądając się uchu cielaka, weterynarz zauważa precyzję cięcia, a po zakończeniu sekcji zwłok staje się jasne, że jeśli dokonało tego zwierzę, to żaden z nich nigdy takiego zwierzęcia nie widział. Na obrzeżach stada matka cielaka kołysze głową i obwąchuje ziemię, czekając na dziecko, które nigdy nie wróci.

Parę wieczorów później Kelleher i jeden ze współpracowników siedzą w przyczepie, analizując odczyty z poniedziałku, kiedy słyszą, jak na padoku szaleńczo

szczekają psy. Mężczyźni wybiegają z przyczepy i zastają Terry'ego zajętego uspokajaniem psów, ze wzrokiem wbitym w dal.

– Tam – mówi, wskazując głową horyzont.

Parę chwil później Kelleher i drugi mężczyzna siedzą na pace pick-upa Terry'ego, który mknie w kierunku przerażonego stada bydła stłoczonego u stóp Skinwalker Ridge. Mocne reflektory auta błyskają po pastwisku, gdy samochód podskakuje na nierównym terenie. Przybliżywszy się wystarczająco, Terry wskazuje zarys jakiegoś kształtu niedaleko stada, chowający się przy drzewach. Zakładając, że to jedna z krów, Terry jedzie naokoło, próbując zagonić ją z powrotem do stada, ale gdy patrzą znowu, kształtu nie ma. Rozglądając się po dalszej okolicy, znów widzą to coś – teraz wysoko na drzewie. Jego oczy są jak dwa małe światła wpatrzone prosto w nich. Dopiero kiedy się zbliżają, dociera do nich, jakie to jest wielkie.

Terry gwałtownie hamuje i wyciąga z paki karabin. W ciągu kilku sekund opiera się o maskę, wbijając wzrok w wizjer karabinu, ustawia broń do strzału i naciska spust. Broń odskakuje i coś w oddali spada na ziemię. Terry biegnie na miejsce, rozpaczliwie szukając jakiegoś śladu po stworzeniu, pozostali przeszukują ziemię pod topolą, ale niczego nie znajdują. Terry zauważa ruch po lewej stronie i gdy się odwraca, widzi coś potężnego, przykucniętego jak pies z grubymi, naprężonymi mięśniami. Zwierzę odwraca się do Terry'ego, a potem odskakuje wysoko w powietrze. Kelleher patrzy z przerażeniem, jak Terry oddaje dwa kolejne strzały w ciemność, a potem biegnie w zarośla.

Pracownicy NIDS, przerażeni, że coś może na nich skoczyć, ruszają za Terryem i parę chwil później widzą go skulonego nad małą łatą śniegu. Pokazuje, by oświetlili latarkami ziemię, a gdy to robią, widzą wielki pojedynczy odcisk stopy – dolna jej część jest okrągła, a całość ma mniej więcej 15 centymetrów szerokości oraz jakby dwa wydłużone wystające pazury. Wygląda jak odcisk orła lub jastrzębia, ale jest tak duży, że przywodzi na myśl raczej ślad dużego dinozaura.

Przyszedł czerwiec i doktor Kelleher razem z trzema współpracownikami i dwoma psami pasterskimi wyruszył, by uchwycić tajemnicze światło, które zostało zauważone

tydzień wcześniej przez innego z badaczy NIDS niedaleko starego domu na ranczu. Badacze rozstawiają obóz paręset metrów na południe od starej chaty i nie mija dużo czasu, kiedy psy zaczynają się jeżyć, zaniepokojone czymś niewidocznym w przestrzeni między nimi a domem. Kelleher włącza gogle noktowizyjne i wydaje zdławiony jęk. Niecałe sto metrów przed nim niezauważalna gołym okiem, ale wyraźnie widoczna przez gogle, cztery metry nad ziemią wisi jasna kula światła. Jednak niemal w chwili, gdy ją spostrzega, kula znika. Kelleher wciska przełącznik i oświetla pastwisko jasnymi promieniami rozstawionych naświetlaczy.

– Tam! – krzyczy jego współpracownik M., który teraz także patrzy przez lornetkę noktowizyjną. – Coś jest w drzewach, przemieszcza się na północ.

Kelleher nerwowym ruchem wyciąga aparat i kieruje go na linię drzew. Szybko robi zdjęcie, trzymając aparat w miejscu i licząc pod nosem do dwudziestu, by film uczulony na podczerwień miał czas wychwycić obraz. Szczekające teraz głośniejszy psy kierują całą uwagę ku temu, co kryje się za linią drzew, kiedy M., patrząc przez lornetkę, przeczesuje wzrokiem przestrzeń, aż wychwytyje kształt wśród drzew.

– Ciągłe się porusza – mówi.

Kelleher naciska spust migawki i znowu liczy do dwudziestu.

– *Obserwujemy cię.*

Kelleher niemal upuszcza aparat, odwracając się w szoku do kolegi. Słowa wydobyły się z ust M., ale to nie był jego głos.

– O Jezu. To przejęło kontrolę nad moim umysłem! – woła M., kuląc się w przerażeniu.

Psy przestały szczekać i wszystko wokół zamarło. Kelleher patrzy z niedowierzaniem na M., który usiłuje pojąć, co się właśnie wydarzyło. Nieustraszeni mężczyźni pozostają na miejscu przez ponad godzinę w nadziei, że uda im się zarejestrować kolejną aktywność, ale nic więcej już się nie dzieje.

W ciągu kilku kolejnych tygodni zespół NIDS wracał na to miejsce wielokrotnie, ale za każdym razem czekało go rozczarowanie. Aż do pewnego sierpniowego wieczoru. Podczas pakowania się po kolejnej bezowocnej sześciogodzinnej zmianie pod

gwiazdami jeden z członków zespołu zauważył coś połyskującego na biegnącej poniżej drodze gruntowej. Nierzadko się zdarzało, by wypolerowana powierzchnia albo nawet kawałek folii odbijał światło księżyca, zwłaszcza pod rozległym pustynnym niebem, w noc pełni. Ale od pełni minął ponad tydzień. Poza tym cokolwiek to było, zdawało się powiększać. Niebawem uświadomili sobie, że to wcale nie jest połyskująca powierzchnia, ale coś, co samo emituje światło. Jeden z członków zespołu sięgnął po aparat i w pośpiechu wetknął do niego rolkę filmu na podczerwień, inny tymczasem wyciągnął lornetkę noktowizyjną i podniósł ją do oczu. Obaj mieli trudności, by skupić się na kuli światła, która robiła się coraz większa, poruszając się i zniekształcając, w miarę jak rosła, aż w końcu stało się jasne, że to wcale nie jest kula.

To był tunel.

Nagle jeden z mężczyzn dostrzegł coś w środku – coś, co się poruszało. Patrzyli przerażeni, jak istota bez twarzy, z kończynami wyglądającymi na bardzo rozciągnięte, pokryta ciemnym futrem wyczołgała się z tego obcego miejsca. Na początku mała, zdawała się rosnąć, gdy przesuwała się do przodu, coraz bardziej zbliżając się do krawędzi tunelu, aż w końcu wyślizgnęła się ze światła i opadła na prerię. Mężczyźni dalej patrzyli całkowicie zahipnotyzowani, jak istota staje na dwóch nogach i rusza biegiem w stronę pól. Chwilę później światło zniknęło. Członkowie zespołu, czując się nagle obnażeni, na chwilę znieruchomieli, a potem pognali do stóp skały i z powrotem do bezpiecznej przyczepy obserwacyjnej. Następnego dnia, kiedy wywołano całą rolkę filmu na podczerwień, okazało się, że nic na nim nie ma .

Pomimo licznych zadziwiających obserwacji w ciągu roku zespołowi NIDS nie udało się uchwycić niczego na filmie. Terry wspomniał o swoim wrażeniu, że anomalie znikają za każdym razem, gdy stara się je obserwować, jakby wiedziały, że ktoś na nie patrzy. Dlatego zespół postanowił zmienić taktykę na nieco bardziej dyskretną i natychmiast rozstawił sześć kamer monitoringu działających przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Teraz wystarczyło tylko czekać.

Minął cały rok bez żadnych incydentów, aż pod koniec lipca, kiedy Terry, który wciąż pełni funkcję zarządcy posiadłości, rutynowo sprawdzał kamery i podszedł właśnie do głównej jednostki: słupa telegraficznego pośrodku pastwiska, do którego przytwierdzono trzy urządzenia. Na jego ustach igrał gorzki uśmieszek, gdy podniósł

wzrok na sprzęt. Kable, wcześniej tak starannie przeciągnięte przez rury PCV i przymocowane taśmą izolacyjną, teraz kołysały się swobodnie na wietrze, a rury były rozdarte i rzucone pod słupem. Taśmy nie było wcale. Tego samego popołudnia zaraz po przybyciu z Las Vegas Kelleher siedział w przyczepie NIDS i przeglądał nagrania z uszkodzonych kamer. Na monitorze pojawiły się ujęcia pastwisk – bydło wędrujące tam i z powrotem, kołyszące ogonami i żujące trawę. Obrazy przewijały się w przyspieszonym tempie, migając i rozciągając się, gdy Kelleher przeskakiwał do dalszej części nagrania, aż w końcu, puszczając przycisk, odtworzył ostatnie kilka minut. Kiedy znacznik czasu wskazywał 20.30, nagranie zupełnie się urwało. Z kolejnymi taśmami było tak samo – każda z nich dokładnie o 20.30 przeszła w czerń. Kelleher z pewną ekscytacją uświadomił sobie, że cokolwiek się stało, musiało do tego dojść dokładnie w tym momencie. Chwilę później jeden z członków zespołu wrócił do przyczepy, niosąc kolejną taśmę z kamery, która była skierowana dokładnie na zniszczony słup. Jeśli ta taśma zadziała, będą wiedzieli, co zniszczyło kable. Kelleher włożył ją do odtwarzacza i przewinął do momentu tuż przed 20.30, a potem wcisnął odtwarzanie.

Podobnie jak poprzednio, na ekranie wyświetliła się kolejna scena z zielonymi pastwiskami i przemieszczającym się bydłem, ale tym razem dokładnie pośrodku stał słup telegraficzny z trzema kamerami przytwierdzonymi na górze. Zespół patrzył zahipnotyzowany, jak znacznik czasu coraz bardziej zbliżał się do 20.30, aż w końcu ten moment nadszedł. 20:29:57... 20:29:58... 20:29:59, a potem 20:30:00... ale nie zobaczyli nic. Obraz był dokładnie taki sam jak wcześniej; żadnych oznak, by ktokolwiek przy czymś majstrował, nikt nawet nie podszedł do słupa. Zespół przewijał nagranie do przodu i do tyłu, patrząc, jak światło dnia przechodzi w noc, ale ciągle nic nie było. Następnego ranka nagrania zostały zabrane do bazy NIDS w Las Vegas, gdzie obraz oczyszczono i wyostrzono, do tego stopnia, że widać było nawet małe czerwone żarówki LED świecące na każdej nagrywającej kamerze. Gdy znowu puścili nagranie, zadziwieni patrzyli, jak wszystkie czerwone żarówki w niewyjaśniony sposób zgasły dokładnie o 20.30, a pastwiska wokół pozostały puste i nieruchome.

Przez kolejne dwa lata Terry nadal pomagał zespołowi NIDS, licząc rozpaczliwie, że znajdzie jakąś odpowiedź na pytanie, co terroryzowało jego rodzinę i wszystkie

zwierzęta na ranczu. Odpowiedzi jednak nie było. Do roku 1999 zjawisko, czymkolwiek było, stopniowo zanikło i nie występowało prawie wcale. Wciąż od czasu do czasu pojawiały się kule światła w miejscach, w których nie powinno ich być, ale zaszła jakaś zasadnicza zmiana. W końcu Terry postanowił opuścić na dobre ranczo Bigelowa. Zatrudniono nowych zarządców, którzy mieli zgłaszać wszelką dziwną aktywność, choć do dziś nie wiadomo, czy do takiej doszło. Gdy przyjrzeć się każdemu z incydentów z osobna, zjawiska można wyjaśnić jako niezwykle, ale niekoniecznie paranormalne. Jednak gdy się je wszystkie zestawiało, trudno było Terry'emu otrząsnąć się z poczucia, że coś niezwykłego, nieznanego i zorganizowanego albo ich obserwowało i badało niczym zoolodzy, chcąc sprawdzić, jak działają, albo wykorzystywało bydlę jako mięso armatnie do celów, o których nie miał pojęcia. Mógł się tylko cieszyć, że cokolwiek to było lub ktokolwiek to był, jego rodzina wyszła z tego cało.

Do końca XX wieku ze względu na zanik aktywności na ranczu Robert Bigelow skupił się na założonej przez siebie w 1998 roku nowej firmie o nazwie Bigelow Aerospace. Firma powstała, by tworzyć kosmiczne jednostki mieszkalne z wykorzystaniem najnowszych technologii budowy struktur nadmuchiwanych. Planowano otworzyć pierwszy hotel w kosmosie przed rokiem 2022. Ponieważ zainteresowanie ranczem Bigelowa zaczęło maleć, doktor Kelleher i reszta zespołu badaczy musieli sobie odpuścić i w 2004 roku National Institute for Discovery Science został zamknięty i rozwiązany. Zespół NIDS i rodzina Shermanów do dziś utrzymują, że byli świadkami różnych dziwnych i anormalnych zdarzeń, ale przyznają, że nie mają żadnych twardych dowodów na poparcie swoich twierdzeń. W 2016 roku agencja nieruchomości Adamantium Real Estate Company, której właściciele i proveniencja do dziś pozostają tajemnicą, przejęła ranczo Bigelowa. Chociaż oficjalnie nie prowadzi się na nim już żadnych działań, podobno wciąż monitorują je liczne kamery, czujniki ruchu, a także działający dwadzieścia cztery godziny na dobę zespół ochrony złożony z uzbrojonych byłych żołnierzy.

W miarę jak nasze rozumienie świata i przestrzeni wokół staje się coraz bardziej zaawansowane, tak samo zmieniają się nasze narzędzia badawcze. Kiedyś nieustraszone ludzkie wyprawy cechowała zdecydowanie dwuwymiarowa ciekawość tego, co ziemskie, każąca nam zaglądać jedynie za odległe szczyty gór albo za pozornie nieskończone zbiorniki wodne falujące zachęcająco u naszych stóp. Współcześnie kierujemy wyobraźnię ku temu, co kryje się pod powierzchnią oceanów i nad szczytami gór. Ciekawie jest zatem, obserwując ewolucję naszego pojmowania przestrzeni i wymiarów, zastanowić się, gdzie mogą zapuścić się kiedyś nasi potomkowie. Równie fascynująca jest myśl o tym, jak łatwo nasz sposób pojmowania przestrzeni wokół może ograniczać rozumienie jej prawdziwych właściwości.

29 maja 1919 roku na odległej Wyspie Książęcej przy zachodnim wybrzeżu Afryki zespół brytyjskich naukowców pod kierownictwem sekretarza Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego Arthura Eddingtona patrzył jak zahipnotyzowany na niezwykle zjawisko na niebie nad nimi. Było krótko po 13.00, gdy czarne koło zaczęło stopniowo zasłaniać słońce, spowijając ziemię potężnym płaszczem mroku. Przesuwało się coraz dalej i dalej, aż w końcu światło niemal całkowicie znikło – widać było tylko kilka jasnożółtych promieni, które wyglądały zza krawędzi czarnego jak atrament koła. Wszędzie wokół naukowców dziwne pasma falujących cieni drgały na powierzchniach, a chwila niepokojącej ciszy ustąpiła crescendo grających nie w porę świerszczy. Kiedy słońce wygasło do końca, oślepiający, biały błysk wystrzelił zza czerni, a potem ukazał tęczę majestatycznej korony słońca, wszędzie zaś wokół na horyzoncie Ziemi mieniła się groźnie mglista czerwień.

Niemożliwym byłoby, by zespół Eddingtona zignorował jedno z najbardziej spektakularnych zaćmień Słońca ostatnich pięciuset lat, ale co ciekawe, to nie Słońce przyszli obserwować. Ich uwaga zwrócona była raczej ku wielkiemu, pomarańczowemu oku byka oraz czterem pozostałym najjaśniejszym gwiazdom gromady gwiazdnej Hiady, tworzącej część gwiazdozbioru Byka. To poprzez światło tych gigantycznych ciał niebieskich emanujących do nas jasnością sprzed stu pięćdziesięciu trzech lat Eddington i jego zespół zarejestrowali grawitacyjne zakrzywienie przestrzeni przewidziane w *Ogólnej teorii względności* Alberta Einsteina. Gdy sześć miesięcy później wyniki eksperymentu w końcu zostały ujawnione światu

i ogłoszone w licznych entuzjastycznych nagłówkach, podstawy naszego rozumienia wszechświata zmieniły się na zawsze.

W 1905 roku szczególna teoria względności Einsteina zrewolucjonizowała nasz sposób postrzegania przestrzeni i czasu. Nie były już one uważane za stałe, ale za zmienne i plastyczne, uzależnione od względnej różnicy między ruchem obiektu obserwowanego i obserwatora. Swoją ogólną teorią względności Einstein odkrył być może coś jeszcze głębszego. Przed nim Isaac Newton wyobrażał sobie grawitację jako siłę przyciągania działającą w przestrzeni pojmowanej jako trójwymiarowa, Einstein zaś ukazał czwarty wymiar czasoprzestrzeni i przedstawił teorię, że grawitacja nie jest siłą zbliżającą do siebie obiekty, ale stanowi raczej skutek zakrzywienia samej przestrzeni. Chociaż dominujące prawa fizyki Newtona również przewidywały grawitacyjne ugięcie światła zarejestrowane przez zespół Eddingtona, były one mniej więcej w połowie błędne w porównaniu do przewidywań Einsteina. Przed obliczeniami Einsteina powszechne prawo grawitacji Newtona pozostawało niepodważone przez ponad dwieście lat, głównie dlatego, że sprawdzało się doskonale w najróżniejszych obliczeniach. I rzeczywiście – prawa Newtona świetnie przewidują ruchy planet, rakiet lecących na Księżyc czy trajektorię lotu skoczka narciarskiego, ale przy zastosowaniu ich do wszechświata odkrytego przez Einsteina zupełnie nie działały. Przekonanie Einsteina, że prędkość światła jest stałą, uniosło zasłonę, ukazując nowy wszechświat, który przez cały czas się za nią krył – po prostu do tamtej pory byliśmy zbyt oślepieni dominującymi teoriami, by go dostrzec.

W 1923 roku Georges Lemaître, młody ksiądz z Belgii studiujący na Uniwersytecie w Cambridge i uczeń Arthura Eddingtona, odkrył coś nieoczekiwanego w obliczeniach Einsteina. W tym czasie uważano, że wszechświat jest nieskończenie stary, a różne znajdujące się w nim ciała – całkowicie statyczne. Kiedy jednak Lemaître zanalizował obliczenia Einsteina, odkrył coś zupełnie innego: wszechświat nie jest statyczny, ale się rozszerza^[10]. W 1927 roku pełen entuzjazmu Lemaître opublikował swoje odkrycia w piśmie naukowym „Annales de la Société Scientifique de Bruxelles”. Niestety nikt nie zwrócił na to uwagi z wyjątkiem samego Einsteina, który spotkał się z nim tego samego roku i powiedział: „Pańskie obliczenia są poprawne, ale pańskie pojęcie o fizyce jest skandaliczne”^[11].

Najbardziej niepokojąca we wnioskach płynących z pomysłu Lemaître'a – i to właśnie wzburzyło tak Einsteina – była sugestia, że jeśli wszystko się od siebie oddala, to w pewnym momencie musiało być o wiele bardziej zbliżone. Lemaître nazwał swoje odkrycie „hipotezą pierwotnego atomu”[12], którą dziś znamy pod nazwą teorii Wielkiego Wybuchu. Teoria ta zyskała większe poparcie, gdy astronom Edwin Hubble ogłosił w 1929 roku, że odległe galaktyki oddalają się od nas szybciej niż te znajdujące się najbliżej nas[13], a także gdy w 1964 roku Arno Penzias i Robert Wilson z pomocą Roberta Dicke'a odkryli mikrofalowe promieniowanie tła, sygnał promieniowania relikтового występującego w całym znanym wszechświecie, co wielu uważa za najlepszy dotąd dowód na to, że doszło do Wielkiego Wybuchu.

Gdy Einstein zrozumiał swój błąd, powiedział o teorii Lemaître'a: „[jest to] najpiękniejsze i najbardziej zadowalające wyjaśnienie stworzenia, jakie kiedykolwiek usłyszałem”[14], pokazując, że tym, co się ostatecznie liczy, są dane, a nie ideologia. Nie należy też jednak zapominać o tym, dlaczego Einstein przeoczył to, co było już obecne i widoczne w jego obliczeniach. Nie dlatego, że nie rozumiał, ale raczej dlatego, że w zasadzie był na to ślepy. Einstein był do tego stopnia przekonany, że taki wszechświat nie jest możliwy (by to wykazać, dodał nawet do swojego równania element zwany stałą kosmologiczną, co – jak później przyznał – było jego największym błędem), że przegapił dowód na jego rozszerzanie się, który obecny był już w jego obliczeniach[15]. Podobnie jak Einstein był gotowy spojrzeć poza konwencjonalną mądrość i na nowo ocenić pracę Isaaca Newtona, tak Lemaître zignorował dominujące za jego czasów przekonania, by „dostrzec” wszechświat na nowo.

Oczywiście jedną rzeczą jest interpretowanie na nowo obliczeń, których poprawność już wykazano, a zupełnie inną – snucie spekulacji bez żadnych twardych dowodów na ich poparcie. Nie zapominajmy jednak, że niecałe sto lat temu zgodnie z naszym pojęciem wszechświat istniał w sposób nieskończony, był statyczny, trójwymiarowy i składał się w całości z Drogi Mlecznej. Dzisiaj wielu wiodących naukowców zaczyna rozważać możliwość, że nasz wszechświat jest tylko jednym z wielu istniejących w czasoprzestrzeni znacznie szerszej, niż sobie dotąd wyobrażaliśmy. Dzięki naszemu coraz bardziej zaawansowanemu rozumieniu świata

kwantów zaczynamy poważnie traktować takie pomysły jak interpretacja wieloświatowa (Many Worlds Interpretation, MWI), którą przedstawił po raz pierwszy w latach pięćdziesiątych XX wieku fizyk Hugh Everett III, za co został wyśmiany przez wielu sobie współczesnych. Sugeruje się w niej możliwość istnienia nieskończonej liczby wszechświatów rozgałęziających się od naszego, co daje alternatywny wszechświat w każdym możliwym momencie. Z takiej idei płynęły dość szokujące wnioski, chociażby możliwość, że wszystko, co kiedykolwiek mogło się wydarzyć w przeszłości lub przyszłości, już się wydarzyło. Ledwie mieliśmy czas oswoić się z czterowymiarowym wszechświatem Einsteina, a już zwolennicy idei zwanej teorią strun sugerowali, że przestrzeń może tak naprawdę składać się z jedenastu albo nawet dwudziestu sześciu wymiarów[16].

Są jednak tacy, którzy zniechęcaliby nas do nieustraszonych przedsięwzięć i których nie cieszy aż tak bardzo perspektywa odkrycia nowych światów i wszystkiego, na co moglibyśmy się natknąć po drodze. Jak zauważył Stephen Hawking, historia ludzkości jest pełna gruzów po cywilizacjach zniszczonych przez tych, którzy uważali się za lepszych[17]. Jeśli trudno jest nam postrzegać świat w ten sam sposób, choć należymy do tego samego gatunku – pomijając już fakt, jak bardzo lekceważymy opinie milionów innych gatunków, z którymi współdzielimy tę planetę – jakie komplikacje mogłyby się pojawić, gdybyśmy skonfrontowali się z czymś bardziej zaawansowanym?

Jeśli w naszym poszukiwaniu ukrytych światów znajdziemy bramę, która pozwoli nam do któregoś z nich wejść, jaką cenę zapłacimy za jej otwarcie?

Być może trzymanie się własnego spłachetka to najlepsze wyjście, o ile nie chcemy, by spotkało nas to samo co Franka Cottona z mrocznego erotycznego peanu na cześć ludzkiego ciała – *Powrót z piekła*. W noweli Barkera ciekawski hedonista Frank poszukujący coraz większych przyjemności zmysłowych dostaje w swoje ręce mistyczne pudełko-łamiągłówkę znane jako Konfiguracja Lemarchanda. Pudełko otwiera podobno portal do pozawymiarowego świata niepojętej rozkoszy, którym rządzi rasa o wielkiej mocy zwana Cenobitami. Dopiero kiedy Frankowi udaje się otworzyć portal, z przerażeniem uświadamia on sobie, że sadomasochistyczni Cenobici, „dla niektórych demony, dla innych anioły”, nieco inaczej niż my rozumieją

rozkosz. Za to, że udało mu się wejść do ich świata, Frank zostaje nagrodzony obdarciem ze skóry, a potem wiecznymi męczarniami. Dla większości ludzi Cenobici to potwory, a oni sami widzą siebie po prostu jako Cenobitów...

Przynajmniej na razie nie musimy się martwić takimi strasznymi wizjami, ale warto pamiętać, jak często i jak znacząco niezwykle teorie oparte na obliczeniach mogą poprzedzać chwilę, gdy będziemy w stanie empirycznie ich dowieść. Chociaż teorie o istnieniu multiwersum i interpretacja wieloświatowa są obecnie jedynie spekulacjami, być może kiedyś okaże się, że istnieją miejsca, z których mieszkańcami nie tylko będziemy się komunikować, lecz także które odwiedzimy. Choć niektóre teorie mogą wydawać się z początku niepojęte, czasami trzeba najpierw zmienić myślenie o tym, co jest możliwe, by można było osłonić niewidzialne wcześniej warstwy wszechświata czy nawet wszechświatów i ukazać ich prawdziwą naturę – nawet jeśli dowody mieliśmy przed sobą od początku. Parafrazując filozofa Rogera Scrutona: często okazuje się, że pocieszenie wyobraźni nie jest wyobrażonym pocieszeniem[18].

Ostatecznie niezależnie od tego, jak głęboko lub daleko będziemy patrzeć, pewnie zawsze zaistnieje coś, o czym nie będziemy wiedzieć, ukryte przed reflektorem ludzkich przedsięwzięć. Jedno wydaje się pewne: dopóki tu jesteśmy i to robimy, nigdy nie przestaniemy tego szukać, czymkolwiek to jest.

[1] À propos uważa się, że częściową inspiracją dla Wesa Cravena podczas tworzenia *Koszmaru z ulicy Wiązów* był noszący dość wulgarną nazwę „syndrom azjatyckiej śmierci”, występujący pod koniec lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych. W tym okresie ponad 110 Hmongów, którzy uciekli do Ameryki z Laosu w latach siedemdziesiątych przed nowo powstałą komunistyczną władzą, padło podobno ofiarą tego syndromu i zmarło wskutek niewyjaśnionych ataków we śnie.

[2] Kapitan James Cook został zabity 14 lutego 1779 roku na wyspie Hawaich podczas trzeciej wyprawy dookoła świata – dokładne okoliczności jego śmierci pozostają tajemnicą.

[3] M. Twain, *Pod gołym niebem*, tłum. K. Tarnowska, Warszawa 1960, s. 308.

[4] Abu Bakr II nigdy nie wrócił ze swojej fascynującej podróży, jednak malijski pisarz i historyk Gaoussou Diawara w swojej książce z 2010 roku, *Abubakari II Explorateur Mandingue*, zasugerował, że mógł dotrzeć nawet do współczesnej Brazylii.

[5] Pod wieloma względami poszukiwanie „prawdy” przez nauki ścisłe niewiele różni się od

gnostycznego czy religijnego poszukiwania „prawdy”. Jedno i drugie opiera się na założeniu, że rzeczywistość to coś więcej niż tylko to, co znamy, jedno i drugie stawia sobie za cel zajrzeć za zasłonę czarodzieja. Różnią się jednak w metodzie: gnostycy zaczynają od całkowitej pewności, że w tym wszystkim jest coś więcej, jakaś ręka przewodnika. Ich poszukiwania nie ustaną, dopóki nie zostanie ujawniony ten twórca. Zawsze zastanawia mnie, co stałoby na przeszkodzie, by takie poszukiwania ciągnęły się w nieskończoność. A gdybyśmy kiedyś odkryli, że rzeczywiście istnieje wszechmocny stwórca? Ile czasu by minęło, zanim ten Bóg stałby się po prostu częścią naszej codzienności? Kiedy pojawiłby się kolejny ruch gnostyków, który uznałby, że ten Bóg nie jest zadowolający, i zaczęłby na nowo poszukiwać wiedzy i oświecenia, by odkryć prawdziwy świat ukryty za tym właśnie odkrytym Bogiem...? Z kolei naukowcy zwykle nie zaczynają od punktu końcowego. Chociaż chętnie przyznają, że są rzeczy, których jeszcze nie wiemy i które być może odkrywamy, dochodzą do nich krok po kroku, metodą prób i błędów oraz powolnego, metodycznego gromadzenia danych empirycznych – od czasu do czasu zdarza im się pokładać zaufanie w jakimś pomysłe, ale jeśli dane się nie zgadzają, pomysł zostaje odrzucony.

[6] K. Randle, *Delbert Newhouse and the Utah Movie*, A Different Perspective, 7 grudnia 2013, kevinrandle.blogspot.co.uk/2013/12/delbert-newhouse-and-utah-movie.html (dostęp: 9.03.2019).

[7] M. Brady, *Some Kind of Power. Navajo Children and Skinwalker Narratives*, Salt Lake City 1984, s. 22.

[8] Zack Van Eyck, *Frequent Flyers*, „Deseret News”, 30 czerwca 1996, www.deseretnews.com/article/498676/FREQUENT-FLIERS.html (dostęp: 9.03.2019).

[9] K. Layne, *The Strange History of Robert Bigelow, Who Just Sold NASA Inflatable Space Station Modules*, „The Awl”, 17 stycznia 2013, www.theawl.com/2013/01/the-strange-history-of-robert-bigelow-who-just-sold-nasa-inflatable-space-station-modules/ (dostęp: 9.03.2019).

[10] Rosyjski kosmolog i matematyk Aleksandr Friedman również wpadł na ten pomysł już w 1922 roku, kiedy przedstawił obliczenia dotyczące zarówno rozszerzania się wszechświata, jak i jego modelu stałego. Friedman nie dożył czasów, gdy dowiedziono jego teorii, ponieważ niestety zmarł na dur brzuszny w 1925 roku. Miał wtedy trzydzieści siedem lat.

[11] Einstein podobno powiedział to do Lemaître’a podczas kongresu Solvoya z dziedziny fizyki w 1927 roku.

[12] Georges Lemaître, *The Primeval Atom. An Essay on Cosmogony*, New York 1950, philpapers.org/rec/LEMTPA-3 (dostęp: 9.03.2019).

[13] Pomimo własnych obserwacji Hubble do końca życia pozostał sceptyczny wobec teorii Lemaître’a dotyczącej rozszerzania się wszechświata.

[14] S. Singh, *Even Einstein Had His Off Days*, „The New York Times”, 2 stycznia 2005, www.nytimes.com/2005/01/02/opinion/even-einstein-had-his-off-days.html (dostęp: 9.03.2019).

[15] Oczywiście ponieważ Einstein był geniuszem, okazało się, że stała kosmologiczna może tak naprawdę mieć jakieś zastosowanie i być w pewien sposób związana z nieznaną wielkością, często

nazywaną ciemną energią.

[16] Jak zauważa Margaret Wertheim w swoim esej dla magazynu „Aeon” z 2018 roku, niedawno naukowcy tacy jak kosmolog Sean Carroll sugerowali nawet, że przestrzeń – na zasadzie podobnej jak pojedyncze cząsteczki wody, które same w sobie nie są mokre – to po prostu własność emergentna wynikająca z rzeczy istniejących na poziomie kwantowym. Aby to lepiej zrozumieć, warto przeczytać fantastyczne wprowadzenie Margaret Wertheim do wszystkiego, co wielowymiarowe: aeon.co/essays/how-many-dimensions-are-there-and-what-do-they-do-to-reality (dostęp: 9.03.2019).

[17] S. Hawking, *Stephen Hawking's Favourite Places* (plik wideo), 2016, app.curiositystream.com/video/1697 (dostęp: 9.03.2019).

[18] R. Scrutton, *News from Somewhere. On Settling*, New York 2006, s. 10.

Rozdział dziewiąty

GROZA NOOSFERY

To lęk przed krańcem świata, zawrót głowy wobec pędu kultury. Ponad światłami każdego miasta, miasteczka i stulecia to jest otchłań, która trwa.

Alan Moore, *Coal Memory*

W książce *Fenomen człowieka* z 1938 roku filozof idealista oraz jezuicki ksiądz Pierre Teilhard de Chardin stwierdza, że ewolucja jest procesem, który powołuje do istnienia coraz bardziej skomplikowane organizmy, a to z kolei prowadzi do coraz większego rozszerzenia świadomości. Podstawą książki jest teoria, że w miarę jak ludzie ewoluują, a społeczeństwo staje się bardziej złożone, tworzy się wspólna przestrzeń, która pozwala nam przechowywać i dzielić się ideami w celu lepszej komunikacji z innymi. Choć była to idea abstrakcyjna, Teilhard de Chardin wyobrażał sobie tę „warstwę myślącą”^[1] – na wzór atmosfery i biosfery – jako integralną i równie rzeczywistą jak każdy materialny aspekt planety. Zapożyczając termin od biochemika-wizjonera Władimira Wiernadskiego, Teilhard de Chardin nazwał tę przestrzeń noosferą – słowo pochodzi z języka greckiego, gdzie *nous* oznacza „umysł”. Teilhard de Chardin wierzył, że poprzez tę „zorganizowaną sieć myśli”^[2] nasza zróżnicowana wiedza kulturowa i rozbieżne perspektywy rozprzestrzenia się i staną tak powszechnie zrozumiałe, że w końcu przekształcą się w jeden punkt ludzkiej świadomości.

Pod koniec października 1969 roku w laboratorium komputerowym Uniwersytetu Kalifornijskiego dwudziestojednoletni student i programista Charley Kline usiadł ze słuchawką telefonu przy uchu przed klawiaturą podłączoną do komputera tak dużego,

że ledwie zmieściłby się on w garażu. Tuż przed 9.30 wieczorem Kline wcisnął literę „L” na klawiaturze i czekał. Chwilę później w słuchawce rozległ się głos jego kolegi programisty, Billa Duvala. Bill znajdował się w Instytucie Badawczym Stanforda i przekazał Kline’owi, że dotarło do niego „L”. Następnie Kline wcisnął literę „O”. Po chwili przerwy Bill znów się odezwał i potwierdził, że do niego dotarła. Kolejna próba przesłania litery zakończyła się kompletną awarią systemu, ale jak dotąd test był udany.

29 OCT 67	2100	LOADED OP. PROGRAM	CSK
		EDIZ BEN BARKER	
		BBV	
	22:30	Talked to SRE	CSK
		Host to Host	
		Left op. imp. program	CSK
		running after sending	
		a host dead message	
		to imp.	

Pierwszy rekord procesora IMP (Interface Message Processor) zarejestrowany przez Charlesa S. Kline’a (CSK)

Kline i Duval zostali zaangażowani do projektu zorganizowanego przez Agencję Zaawansowanych Projektów Badawczych (Advanced Research Projects Agency) Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych, by pomóc w stworzeniu sieci komunikacji cyfrowej, która mogłaby obsługiwać więcej niż dwa terminale komputerowe równocześnie i przekazywać wiadomości na duże odległości. Próbowali wysłać słowo LOGIN, kiedy komputer się zawiesił podczas wysyłania kolejnej litery. „LO” – niczym biblijne zawołanie oznaczające „oto” – stało się pierwszym komunikatem w sieci noszącej nazwę ARPANET, na podstawie której powstał znany dziś przez nas internet[3].

Nie powinno nas dziwić, że podobnie jak większość najbardziej zaawansowanych

technologii, internet zaczął się od przedsięwzięcia wojskowego. Ale Pentagon raczej na pewno nie przewidział otwarcia tajnego systemu komunikacji dla świata. Zatem chociaż to im możemy dziękować (albo ich winić) za stworzenie podstaw strukturalnych sieci, u podstaw internetu takiego, jaki dziś powszechnie znamy, leżą raczej idee podobne do tej utopijnej koncepcji Pierre'a Teilharda de Chardina. Sieć World Wide Web, która wyłoniła się z płodnych korytarzy laboratorium CERN, została zaproponowana przez Tima Bernersa-Lee – miał to być otwarty system, w którym wszyscy moglibyśmy przechowywać informacje i dzielić się nimi swobodnie na poziomie globalnym bez zakłóceń.

Szóstego sierpnia 1991 roku Berners-Lee uruchomił pierwszą stronę internetową pod adresem info.cern.ch, na której przedstawiano ideę sieci jako otwarte zaproszenie dla wszystkich. Znajdowała się tam nawet instrukcja opisująca, jak można zacząć tworzyć własną stronę internetową.

Chociaż Teilharda de Chardina krytykowano za błędne rozumienie ewolucji jako procesu, którego nieuniknionym skutkiem jest pojedynczy punkt wyższej inteligencji[4], trudno nie dostrzec podobieństwa do jego „warstwy myślącej” przynajmniej w funkcjonalności internetu, połączonego sieciowo magazynu danych, dzięki któremu dziś zbieramy, publikujemy i otrzymujemy tyle informacji. Nasze życie osobiste i nasze umysły coraz bardziej się scalają i w tej przestrzeni nasze wspomnienia, myśli i doświadczenia gromadzone są w chmurze, upubliczniane i dostępne dla wszystkich. Ponadto gdy pojawiły się serwisy Web 2.0. – termin ten ukuł Dale Dougherty, a odnosi się on do platform takich jak YouTube, Twitter i Reddit, zawierających treści generowane przez użytkowników – dzielenie się informacjami stało się tak łatwe jak nigdy dotąd. Nigdy wcześniej jako gatunek nie byliśmy tak ze sobą połączeni i tak przed sobą odsłonięci. Inspirując się koncepcją noosfery, programista Tim O'Reilly opisuje najważniejsze firmy w Web 2.0 jako te, które wykorzystują „moc sieci, by zapanować nad zbiorową inteligencją”[5].

Często katalizatorem powstania wizjonerskich, utopijnych idei – zauważa medioznawca Ethan Zuckerman, opierając się na pracach historyka Langdona Winnera – jest pojawienie się ważnych nowych technologii, zwłaszcza gdy technologie te niosą ze sobą obietnicę, że świat będzie lepiej skomunikowany[6]. Dzisiaj internet

sam w sobie jest podstawowym elementem leżącym u podstaw większości „wizji poprawy świata poprzez łączenie się ze sobą”[7]. Takie cyberutopijne idee można spotkać w opisach misji przedsiębiorstw, na przykład Facebooka, archetypowej platformy Web 2.0, która brzmi po prostu: „Chcemy zbliżyć do siebie ludzi”. Podobnie jak w wypadku noosfery, cyberutopiści widzą internet jako medium, dzięki któremu globalnie się zjednoczymy; nie będzie nas już ograniczać „status, warstwa społeczna, władza, pieniądze ani miejsce zamieszkania”[8] – to ziemia obiecana, gdzie wszystkie opresyjne, arbitralne bariery społeczne w końcu będzie można przekroczyć.

Gdy jednak nasze życie staje się coraz ciaśniej związane z tym cyfrowym światem, w niektórych budzi się obawa, że internet nie tyle daje nam narzędzia do kolejnego kroku naprzód w ewolucji, ile więzi nas w ewolucyjnym ślepych zaułku, w pułapce, z której trudno nam może być uciec. Wobec szybkości rozwoju technologicznego nasilają się obawy o to, w jaki sposób narzędzia internetowe zdają się podważać stare, bardziej „stabilne” sposoby działania, oraz lęki, że znany nam „stały” świat rozpada się na naszych oczach i ustępuje innemu, o wiele mniej pewnemu, rządzonemu procesami, nad którymi nie panujemy i których większość z nas nie rozumie.

Jest tak, jakby w tym laboratorium Uniwersytetu Kalifornijskiego otworzył się w 1969 roku portal prowadzący w otchłań, z jego głębin rozległ się syreni śpiew wzywający ku beznadziejnej przyszłości, który nieustannie narasta. To uczucie niepewności bierze się z lęku przed nieznanym, z obawy przed chaosem i przed czekającymi na jego nadejście potworami kryjącymi się w cieniach.

W 2009 roku w internecie zmaterializowało się coś potwornego, co może nam jeszcze pokazać, że słusznie obawialiśmy się kierunku, w jakim zmierza ten nowy świat. To uosobienie nieznanego – posłaniec medium, zarazem nowy, ale też dziwnie, archaicznie znajomy. Niektórzy mówią, że pojawił się wiele wieków temu w niemieckim Czarnym Lesie w Badenii-Wirtembergii, inni – że żyje w posiadłości ukrytej wśród drzew w Parku Narodowym Chequamegon-Nicolet w Wisconsin. Jest nienaturalnie wysoki, ubrany w czarny garnitur, ma rozciągnięte kończyny, a czasami – wystające z pleców groteskowe macki jak Cthulhu. Jego twarz jest pusta, ale niektórzy twierdzą, że wygląda inaczej w zależności od obserwatora. Nie wiadomo do końca,

czego chce, ale fakt, że jego bliskość wywołuje silne mdłości i krwotoki z nosa, wskazuje, że na pewno niczego dobrego. Niektórzy wierzą też, że można go zobaczyć tylko przez krótką chwilę, zanim cię zabije. Nazywa się Slender Man i w taki czy inny sposób w końcu dopadnie nas wszystkich.

Pierwsze dowody na jego istnienie pojawiły się w formie dwóch bardzo niepokojących czarno-białych fotografii o niskiej rozdzielczości zamieszczonych na forum portalu internetowego Something Awful 10 czerwca 2009 roku[9]. Pierwsze zdjęcie na pierwszy rzut oka zdawało się przedstawiać grupę dwanaścioro niespokojnych dzieci idących w nieznanym kierunku. Jednak to nie wzburzenie na ich twarzach było tak niepokojące, ale stojąca za nimi straszna, widmowa sylwetka ubrana na czarno, z dziwnie rozciągniętymi kończynami i głową bez twarzy, zdająca się poganiać dzieci. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Nie chcieliśmy iść, nie chcieliśmy ich zabijać, ale jego uparte milczenie i wyciągnięte ręce zarazem nas przerażały i kołły”[10]. Zdjęcie pochodziło podobno z 1983 roku, a jego autor był „nieznany, prawdopodobnie nieżyjący”.

Drugie zdjęcie, które także na pierwszy rzut oka wydawało się niewinne, przedstawiało dziewczynkę wspinającą się na ślizgawkę na małym placu zabaw w Stirling w Australii oraz inne radośnie bawiące się wokół dzieci. Wyglądający na autentyczny znak wodny „Biblioteki Miejskie Stirling. Zbiory Badań Miejsowych” nadrukowany jest w rogu fotografii. Gdy się bliżej przyjrzeć, można zobaczyć tajemniczy kształt spowity w mroku, stojący w tle pod drzewami. Po raz kolejny sylwetka postaci, która zdaje się czujnie obserwować dzieci, jest dziwnie wydłużona i odziana w czarny garnitur; ale oprócz tego widać coś jeszcze – kilka macek jak u ośmiornicy, wynurzających się z za jej pleców. Tym razem podpis jest nieco bardziej szczegółowy:

Jedno z dwóch zdjęć ocalałych z pożaru biblioteki miejskiej w Stirling. Ważne ze względu na datę – zrobiono je w dniu, gdy czternaścioro dzieci zniknęło – a także ze względu na postać nazywaną Slender Manem. Deformacje uznano oficjalnie za wady filmu. Do pożaru w bibliotece doszło tydzień później. Oryginał

skonfiskowano jako dowód. Fotograf: Mary Thomas, zaginiona od 13 czerwca 1986 roku[11].

Chociaż zdjęcia te mogły wyglądać jak wydobyte na światło dzienne fragmenty niezwykle nieznanej historii, tak naprawdę były dziełem stałego użytkownika forum Victora Surge'a (oficjalne nazwisko: Eric Knudsen), który zamieścił je w ramach konkursu na „paranormalne zdjęcia”, zorganizowanego przez innego użytkownika forum o nicku Gerogerigegege w wątku „Create Paranormal Images” (Stwórz Zdjęcia Paranormalne). Podpis pod drugim zdjęciem to pierwsza bezpośrednia wzmianka o przerażającej istocie, która wkrótce miała się stać globalnym fenomenem. Przez kilka kolejnych dni Surge zamieszczał następne zdjęcia i aluzje do istoty – od historycznych raportów policyjnych po archiwalny artykuł w gazecie o chłopcu z miasta Wichita, który podobno zaginął w 2004 roku. W ciągu kilku godzin twór Surge'a zaczął przyciągać uwagę innych użytkowników forum i już wkrótce rozprzestrzeniła się legenda. Niektórzy członkowie forum zasugerowali zmiany i poprawki w fizjonomii, inni sami wprowadzali modyfikacje albo dzielili się własnymi „doświadczeniami” i znalezionymi dowodami.

Przez cały ten czas działo się coś niezwykłego. Chociaż ta istota powstała zaledwie kilka dni wcześniej i zyskała popularność z szybkością, jaką umożliwił internet, gdy coraz więcej osób zaczęło rozbudowywać mit, z każdym kolejnym dniem zdawało się, że jest on wkładany między karty historii sięgającej całe wieki wstecz. Pewien szczególnie szokujący obraz zamieszczony kilka dni po pierwszym zdjęciu przez członka forum o nicku Gyvermac pokazywał dziwny szesnastowieczny drzeworyt zatytułowany *Der Ritter* (Rycerz), który podobno został odnaleziony w „Zamku Halstberg” w 1883 roku. Rzekomo stworzona przez słynnego wówczas artystę „Hansa Freckenberga” grafika przedstawiała rycerza walczącego ze szkieletem tajemniczej istoty z wydłużonymi kończynami podobnymi do rąk i nóg Slender Mana[12]. W ciągu kolejnych kilku miesięcy wszechświat Slender Mana rozszerzył się znacznie poza forum Something Awful na różne media społecznościowe i sieci udostępniania treści we wszystkich formatach cyfrowych – od fotomontaży w Photoshopie przez teksty po filmy i gry online.



Slender Man żyje w świadomości ludzi... Anonimowe graffiti przedstawiające tajemniczą istotę pojawia się któregoś ranka na londyńskiej ulicy

Dzisiaj zasięg macek Slender Mana i jego mitu sprawia, że wiele osób, w tym sam jego twórca Eric Knudsen, a także akademicy tacy jak folklorysta Jeffrey Tolbert sugerują, że wszechświat Slender Mana można uważać za pierwszy prawdziwy przykład cyfrowego folkloru, mit, który powstał niemal w całości za pośrednictwem internetu^[13]. Gdyby spytać dziecko lub młodego człowieka, który słyszał o Slender Manie – a będzie takich wielu – opowiedzą o czymś bardzo podobnym do postaci z innych ludowych legend: o jego niejasnym, nieokreślonym w czasie pochodzeniu, historii zmieniającej się w miarę przekazywania jej kolejnym osobom. Różnice czasami będą ogromne, a czasem tylko subtelne, ale zawsze z tym samym głównym bohaterem. Podobnie jest ze słowiańskimi opowieściami o Babie Jadze, która czasami lata w moździerz, a czasami na miotle, w jednej chwili jest łagodna, a w innej potwornie złośliwa. Gdy dziś o niej myślimy, możemy mieć wrażenie, że tak jak Slender Man istniała od zawsze, czała się w najciemniejszych zakątkach naszych koszmarów.

Wielu akademików wzdragało się na myśl o tym, by coś stworzonego tak niedawno uznać za folklor. Pomimo pozornej ponadczasowości nawet pradawne opowieści miały

swój początek, ale w tradycji znaczące jest właśnie poczucie istnienia poza czasem. „Folklor” – termin ten prawdopodobnie został ukuty przez pisarza Williama Thomsa w 1846 roku – to szerokie pojęcie obejmujące „tradycyjne wierzenia, zwyczaje i opowieści danej społeczności przekazywane z pokolenia na pokolenie drogą ustną”^[14]. Takie historie mogą mieć odzwierciedlenie w starych przesądach, służyć do udzielania użytecznych życiowych lekcji albo po prostu do przekazania wspólnych rytuałów, zwyczajów i tradycji pochodzących od przodków. Jak wskazuje termin, chodzi zasadniczo o ludzi (*folk*), ale konkretniej o przekazanie wspólnych historii w danej kulturze drogą ustną. W tradycyjnym myśleniu folklor przekazywany jest kolejnym pokoleniom. Jak zatem mit Slender Mana, powstały dopiero w 2009 roku, można nazwać folklorem? Dwaj akademicy z Uniwersytetu Południowej Danii zasugerowali niezwykłą teorię, która, choć nie odnosi się konkretnie do mitu Slender Mana, to w pewnym stopniu wyjaśnia, dlaczego można go uznać za prawdziwy przykład folkloru ery cyfrowej. Z ich pomysłu płyną głębokie, niepokojące, a dla niektórych naprawdę przerażające wnioski.

W maju 2007 roku Thomas Pettitt, profesor nadzwyczajny filologii angielskiej na Uniwersytecie Południowej Danii, zaprezentował na konferencji MIT pracę pod tytułem „Before the Gutenberg Parenthesis. Elizabethan-American Compatibilities” (Przed nawiasem Gutenberga. Elżbietańsko-amerykańskie zbieżności). Pettitt podczas swojego wystąpienia po raz pierwszy oficjalnie użył terminu „nawias Gutenberga” określającego kontrowersyjne i radykalne rozumienie ery cyfrowej. Fraza ta, ukuta przez kolegę Pettitta, Larsa Olego Sauerberga, obrazuje teorię, że pięćset lat od wynalezienia druku przez Jana Gutenberga w XV wieku nie było okresem, który dał początek nowemu sposobowi rozpowszechniania informacji, ale tak naprawdę stanowiło punktową anomalię. W tej zręcznej frazie zawarta jest myśl, że jeśli wyobrazimy sobie historię komunikacji jako zdanie, to wszystko, co nastąpiło przed wynalezieniem prasy drukarskiej, jest przed nawiasem; mniej więcej pięćset lat po jej wynalezieniu będzie zakłóceniem umieszczonym w nawiasie; a wszystko od pojawienia się internetu kontynuuje „zdanie” rozpoczęte wcześniej.

Wiele się wydarzyło, odkąd wprowadziliśmy narzędzia służące do druku na skalę masową i – biorąc pod uwagę liczne zaawansowane sposoby komunikacji i dzielenia

się informacjami, jakie są nam dzisiaj dostępne – być może słusznie kwestionujemy propozycję Pettitta i Sauerberga. Dostrzegli oni jednak, że era cyfrowa, chociaż dzieje się to znacznie szybciej i jest bardziej zaawansowane dzięki różnym kanałom – mechanizmom dzielenia się informacjami, na przykład mediom społecznościowym czy stronom służącym udostępnianiu treści – wywołała powrót do bardziej płynnego, elastycznego sposobu dzielenia się informacjami sprzed czasów masowego druku i dominacji stałych, autorytatywnych tekstów. Świat cyfrowy zatem nie zaprowadził nas w przyszłość, ale cofa nas do średniowiecznej, bardziej niestabilnej przeszłości.

Jak zauważył Pettitt w swojej prelekcji w 2007 roku, przed prasą drukarską większość informacji przekazywano ustnie, stanowiły one źródło sampli i remiksów, były pożyczane, przekształcane, przywłaszczane i stale zmieniały kontekst^[15]. Były autorskie teksty instytucji religijnych oraz – dla nieznacznej mniejszości – dostęp do autorytatywnych tekstów akademickich, ale mówiąc ogólnie, dla większości ludzi, począwszy od sztuk teatralnych przez pisane piosenki po dzielenie się wieściami i zdarzeniami z życia, wiedza była wspólna, bez określonego trwale źródła, i podatna na zmiany.

Rozpowszechnienie się mitu o Slender Manie napędzane było częściowo kulturą dzielenia się memami poprzez kopiowanie i wklejanie, co stanowi typowy przykład częstego sposobu rozpowszechniania informacji w sieci, zwłaszcza poprzez zjawisko historii zwanych creepypasta^[16], które pojawiło się na początku nowego milenium. Creepypasta to udostępnianie i rozpowszechnianie krótkich opowiadań z gatunku horroru, zwykle w tonie legendy miejskiej, napisanych tak, jakby przedstawiały prawdziwe wydarzenia. Creepypasta może przybrać najróżniejsze formy – od prozy po wieloczęściowy film, ale jej cel jest tylko jeden: ma cię wystraszyć. Słynnym przykładem jest filmik pod tytułem *The Scariest Picture on the Internet (REAL)*, czyli „Najstraszniejsze zdjęcie w internecie (PRAWDZIWE)”, opublikowany na YouTube około roku 2010. Pojawia się w nim portret młodej kobiety z długimi, brązowymi włosami i błękitnymi oczami, który podobno został narysowany i opublikowany przez nastolatkę z Japonii na krótko przed tym, jak popełniła samobójstwo. Osoby oglądające trwające nieco ponad pięć minut nagranie są ostrzegane, że „trudno jest człowiekowi patrzeć w oczy dziewczynki dłużej niż przez pięć minut... podobno niektórzy odebrali

sobie życie po tym, jak to zrobili”[17]. Przez strony takie jak creepypasta.com, która powstała w 2008 roku, a później creepypasta.wikia, zachęca się użytkowników do dodawania własnych treści, kompilowania cudzych historii lub rozbudowywania wszechświata stworzonego przez kogoś innego. Creepypasta rozwija się dzięki płynności informacji, niesformalizowanych, niezweryfikowanych i przekazywanych od jednej osoby do drugiej w sposób podobny do tradycji ustnej, gdzie historia może się swobodnie przekształcać, rozbudowywać i kurczyć, nie mając określonego autora.

Kluczem do płynnego przekazywania informacji w erze cyfrowej jest dominacja platform Web 2.0, które ułatwiają publikację treści wygenerowanych przez użytkowników. Platformy takie jak Twitter, Facebook i YouTube dla wielu stały się wyzwającym narzędziem, które pozwala usłyszeć myśli i idee niezależnie od środków finansowych czy konieczności zadowolenia strażników starej rzeczywistości – nieważne, czy są to wydawcy książkowi i płytowi, zarządy stacji telewizyjnych, czy surowe kodeksy etyczne, które w innym wypadku dyktowałyby, jakie treści mogą zostać obejrzone lub wysłuchane. Niektórzy jednak wyrażali niepokój wobec tego, w jaki sposób Web 2.0, zamiast poszerzać naszą świadomość i rozumienie świata, tak naprawdę coraz bardziej nas ogłupia i rozmywa kulturę. W książce *Kult amatora. Jak internet niszczy kulturę* krytyk internetu Andrew Keen przekonuje, że zamiast zachęcać nas, byśmy sumowali inteligencję, wybuch amatorskich, generowanych przez użytkowników treści dał nam świat, w którym niepewne wpisy w Wikipedii są bardziej doceniane niż erudycyjny autorytet, jakim ma być *Encyclopædia Britannica*. Zdaniem Keena efektem są „powierzchowne obserwacje otaczającego nas świata zamiast głębokiej analizy”[18].

Teoria o nawiasie Gutenberga, do której nawiązuje Keen, sugeruje, że przed powstaniem internetu informacja była w pewnym stopniu „niezmienna i ograniczona”[19], była czymś stałym, co pozwalało odbiorcy prześledzić ją lub zbadać jej prawdziwość. Słowa stały się „niezmiennie, co nadawało im nowy autorytet, zasłużony lub nie, którego nie miała komunikacja ustna”[20]. Prasa drukarska była w pewnym sensie także demokratyzująca i egalitarna, bo napędzała nabywanie umiejętności czytania i pisanie oraz dawała ludziom moc poprzez szersze udostępnianie słów, które wcześniej podlegały kontroli panujących akurat władz. Po raz pierwszy

wielu ludzi, którzy dotąd nie mieli głosu, mogło rozpowszechniać swoje idee i zostać wysłuchanymi. To z kolei stworzyło bardziej solidne podstawy, na których mogliśmy budować naszą zbiorową wiedzę, co – jak sugeruje krytyk medialny Dean Starkman – doprowadziło bezpośrednio do oświecenia, położyło podwaliny pod demokrację i wywołało eksplozję rozwoju naukowego[21], a także pozwoliło na podważenie autorytetu ortodoksyjnych systemów religijnych i feudalnych tamtego okresu.

Pojawiają się argumenty, że czasy po nawiasie Gutenberga to czasy, w których ze względu na sposób, w jaki wymieniamy się informacjami przez internet, dochodzi do uwolnienia od autorytatywnego, niezmiennego świata. To powrót do rzeczywistości, w której praktycznie nie ma możliwości potwierdzenia źródła historii czy jej prawdziwości. To świat, w którym „stabilny”, uspokajający autorytet starego ustalonego porządku jest podważany i zastępowany przeczuciami oraz głęboko zakorzenioną, plemienną mentalnością, to miejsce, gdzie sprawy mogą wydawać się nieco mniej pewne niż poprzednio. Można by powiedzieć, że to świat, w którym można poczuć wyłaniającego się z cieni ducha Slender Mana.

—

W lutym 2018 roku w ramach trwającego śledztwa w sprawie wpływu Rosji na wybory w USA FBI oskarżyło trzynastu Rosjan w związku z ich domniemanym udziałem w „walce informacyjnej przeciw USA, której celem było szerzenie nieufności wobec kandydatów i ustroju politycznego w ogóle”[22]. Twierdzono, że w trakcie kampanii oskarżeni stworzyli fałszywe konta w mediach społecznościowych i podszywali się pod obywateli USA, by szerzyć „deprecjonujące informacje o kilku spośród kandydatów”[23]. Sprawa ta stawia w złym świetle firmy takie jak Facebook i Twitter, które teraz są regularnie oskarżane o to, że pozwalają na rozpowszechnianie fake newsów, dając wiarygodność fałszywym historiom poprzez skomplikowany system algorytmów, który umożliwia promowanie niektórych historii bardziej od innych na podstawie ich popularności, niezależnie od tego, czy są prawdziwe, czy nie. W marcu 2017 roku Google, właściciel najpopularniejszej wyszukiwarki internetowej na świecie[24], został oskarżony o szerzenie fake newsów, bo promował opowieści w formie „wyróżnionych fragmentów tekstu w funkcji wyszukiwania”, pozwalających

znaleźć krótkie odpowiedzi na częste zapytania, a także uzyskać szybką odpowiedź odczytywaną głosowo przez urządzenie Google Home. Jeśli użytkownicy tego urządzenia zapytaliby: „Czy (prezydent Barack) Obama planuje przewrót”, zostaliby uraczeni taką odpowiedzią: „Zgodnie z informacjami ujawnionymi w filmie na wyłączność autorstwa Western Center for Journalism Obama nie tylko może flirtować z komunistycznymi Chinami, lecz także planować komunistyczny przewrót pod koniec swojej kadencji w 2016 roku!”[25].

W ciągu osiemnastu miesięcy były inżynier Google’a Guillaume Chaslot wykorzystał stworzony przez siebie program komputerowy, by zbadać stronniczość w treściach YouTube. W wywiadzie dla „The Guardian” z Paulem Lewisem Chaslot podsumował, że „na YouTube fikcja wygrywa z rzeczywistością”[26] oraz że algorytmy firmy często promują „filmy wywołujące spory oraz zajmujące się sensacją i spiskami”[27]. Jednym z przykładów było wpisanie zapytania: „Kim jest Michelle Obama”, co poskutkowało wyświetleniem filmów, w których większości pojawiała się sugestia, że jest ona mężczyzną[28]. Rzecznik YouTube odpowiedział na te odkrycia, słusznie zauważając, że wyniki nie są potwierdzeniem stronniczości algorytmu, ale po prostu odzwierciedlają „zainteresowanie użytkowników”[29]. Być może jednak wskazuje to na pewną cechę interakcji w sieci, mianowicie że użytkowników bardziej interesuje oglądanie lub czytanie treści, które powielają lub uzasadniają ich punkt widzenia, niezależnie od tego, czy jest on zgodny z faktami, czy też nie. Nasz instynkt łączenia się w grupy z ludźmi myślącymi tak jak my tylko dodatkowo się do tego przyczynia. Skutek jest taki, że sieć zmienia się po prostu w lustro i zmniejszają się szanse na to, że będziemy sprawdzać prawdziwość informacji, które otrzymujemy i o których dyskutujemy. Jeśli dodać do tego mechanizm, który pozwala nam jednym kliknięciem kopiować wiadomości i dzielić się nimi, a także manipulować obrazem, filmem i dźwiękiem, okaże się, że całkowicie zmyślona teoria spiskowa może w ciągu kilku sekund zyskać popularność i będzie się zdawać równie prawdziwa i potwierdzona jak każda inna.

Na całym świecie nakłania się rządy państw, by ograniczyły działanie platform, które uważa się za szkodliwe dla demokracji lub zdrowia społeczeństwa[30]. Czyniąc to, rządy narzucałyby na przestrzeń sieciową te same restrykcje, do których

przywykliśmy w przestrzeni offline. Jest to zderzenie dwóch skrajnych wyobrażeń o tym, czym powinien być internet: przestrzenią otwartą i nieregulowaną, w której rządzi wolność, czy raczej taką, która jest bardziej kontrolowana i stabilna, ale mniej równościowa, rządzona przez elitarnych (niekoniecznie w znaczeniu pejoratywnym) strażników, którzy decydują, co należy, a czego nie należy publikować.

W czasach gdy dawne autorytety są coraz częściej podważane, a ludzie uprawiający „dziennikarstwo obywatelskie”, których nie wiążą żadne etyczne standardy, mogą zyskać taką samą popularność i zaufanie jak instytucje medialne o długoletniej historii, można odnieść wrażenie, że zamiast utopii internet przyniósł nam chaos. To miejsce, gdzie nic nie jest stabilne i gdzie nie ma już znaczenia, co jest prawdą; liczy się tylko to, w co wierzą ludzie. Jest to świat, w którym granica między faktem i fikcją nieustannie się zaciera – a gdy światy offline i online coraz bardziej się przenikają, fikcja powstała w sieci rozprzestrzenia się poza nią. Wylewa się do prawdziwego świata i niesie ze sobą prawdziwe konsekwencje.

—

Pewnego pogodnego wiosennego poranka w 2014 roku w cichym, zielonym mieście Waukesha w stanie Wisconsin Greg Steinberg wyrusza jak zwykle na swoją weekendową przejażdżkę rowerem. Niedługo potem, zbliżając się do David's Park, zauważa jakąś postać – chyba dziewczynkę, która wyczołguje się z pobliskiego lasu. Gdy się zbliża, ku swemu przerażeniu widzi, że mała jest cała we krwi.

– Proszę mi pomóc! – woła dziewczynka, wyciągając ręce w rozpacz i bólu.

Greg zeskakuje z roweru i biegnie, by jej pomóc, podczas gdy ona opada na ziemię. Greg dzwoni po pogotowie i z całych sił stara się pocieszyć dziecko, przekazując informację dyspozytorowi. Dziewczynka przedstawia się jako Bella, ale nie chce powiedzieć, kto ją zaatakował; w końcu, gdy przyjeżdża straż pożarna i policja, dziecko podaje informację. Bella, której oficjalne imię i nazwisko brzmi Peyton Lautner, zostaje przewieziona prosto do miejskiego szpitala i natychmiast zoperowana. Lekarze odkrywają, że dźgnięto ją łącznie dziewiętnaście razy. Dwa ciosy przekłuły ważne narządy, a jeden trafił zaledwie kilka milimetrów od tętnicy. Znając nazwisko i rysopis podejrzanego, policja ze wsparciem wydziału szeryfa od razu zaczyna

przeszukiwanie helikopterem okolicy, ale nie udaje im się znaleźć sprawcy.

Tego popołudnia zastępca szeryfa hrabstwa Waukesha zauważa dwie dziewczynki, najwyżej dwunastolatki, siedzące na pasie zieleni na autostradzie I-94. Wysiada z samochodu i pyta je, co tam robią. Dziewczęta, które przedstawiają się jako Morgan i Anissa, spokojnie wyjaśniają, że właśnie zatrzymały się, by odpocząć w drodze do lasu Nicolet, odległego o ponad trzysta kilometrów. Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, zastępca szeryfa mówi dziewczynkom, by wstały i oddały plecaki do przeszukania. Wtedy zauważa plamki krwi na dłoniach i rękawach Morgan. Dziewczynki podają mu starą torebkę i duży plecak. Patrzą nieobecny wzrokiem i nie próbują uciec, gdy mężczyzna otwiera torebkę i widzi lepki od krwi, dwunastocentymetrowy nóż kuchenny. Dziewczynki od razu zostają aresztowane i zabrane na posterunek, gdzie po dokładniejszym przeszukaniu ich bagażu funkcjonariusze znajdują ubrania, batony zbożowe, butelki wody i zdjęcia członków rodziny.

Jeśli to sobotnie popołudnie na dość zamożnym przedmieściu Milwaukee nie było jeszcze dziwne, to właśnie miało się takie stać. Gdy Morgan i Anissa są przesłuchiwane łącznie przez dziewięć godzin, obie przyznają się do współudziału w ataku nożem na Bellę, a po przedstawieniu przez nie detektywom wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin okaże się, że do ataku doszło z pobudek zupełnie niewyobrażalnych dla funkcjonariuszy.

Okazało się, że te trzy dziewczynki to bliskie przyjaciółki. Zaledwie dzień przed incydem świętowały razem dwunaste urodziny Morgan na miejscowym lodowisku, a potem wróciły do jej domu na nocowanie. Następnego ranka zjadły razem śniadanie i poszły pobawić się do David's Park, zadbanego placu zabaw na rogu ulic South East Avenue i Garfield. Przez chwilę wygłupiały się na huśtawkach, a potem Anissa zasugerowała, żeby poszły do pobliskiego niewielkiego lasu, żeby pobawić się w chowanego. Dwie pozostałe dziewczynki się zgodziły, więc cała trójka minęła rząd dużych domów na Big Bend Road, przeszła przez ulicę i weszła na mały zadrzewiony fragment po drugiej stronie.

Gdy mijaly linię drzew, Anissa i Morgan rozejrzały się, by się upewnić, że są całkiem same. Kiedy Bella odwróciła się, by sprawdzić, co robią, Anissa zawołała do

Morgan: „Zrób to!”, a wtedy dwunastoletnia Morgan wyciągnęła z kurtki w kratkę nóż i wbiła go w pierś, ręce i nogi najlepszej przyjaciółki, nim ta zdążyła zareagować.

Bella krzyczy z bólu i błaga o pomoc, próbując wstać, a potem pada na zakrwawioną ziemię. Anissa spokojnie prosi przyjaciółkę, by postarała się być ciszej i przestała krzyczeć. Bella nie ma wyboru – walczy o oddech, oczy zachodzą jej mgłą, ciało staje się coraz bardziej zimne. Próbuje wstać jeszcze raz i tym razem udaje jej się utrzymać na nogach. Morgan i Anissa przez chwilę patrzą, jak Bella zatacza się w stronę granicy lasu, a potem znowu upada. Znowu błaga przyjaciółki o pomoc. We dwie w końcu pomagają jej wstać, ale po chwili odwracają ją i prowadzą głębiej między drzewa. Parę chwil później Morgan i Anissa każą Belli położyć się na ziemi, a potem raz na zawsze odwracają się do niej plecami i ruszają w stronę domu, zostawiając przyjaciółkę na pewną śmierć.

W oddzielnych pokojach przesłuchań w wydziale szeryfa hrabstwa Waukesha, po przedstawieniu okoliczności brutalnego ataku, Morgan i Anissa słyszą pytanie, dlaczego dopuściły się takiego czynu. Mówią, że odpowiedź jest prosta: zrobiły to, by zadowolić Slender Mana.

Kiedy później spytano je, dokąd zmierzały, gdy znalazł je zastępca szeryfa, odpowiedź była jeszcze bardziej zadziwiająca: dziewczynki wierzyły, że pośród niemal trzystu tysięcy hektarów lasu Nicolet znajdują posiadłość Slender Mana, który będzie na nie czekał z otwartymi ramionami.

Morgan i Anissa odkryły Slender Mana niezależnie, czytając wpisy na stronie creepypasta.wikia, na której wzmianek o micie było dużo. Większość wpisów o Slender Manie na niej utrzymana była w stylu „wyznań świadków” albo „prawdziwych” spotkań z istotą, których podobno doświadczyli ludzie. Niedługo potem dwie przyjaciółki rozmawiały ze sobą w podobnym tonie, upierając się, że obie w ciągu swojego życia wielokrotnie widziały tę postać. Wzajemnie napędzając własne złudzenia, razem postanowiły, że chcą zyskać przychylność Slender Mana i w tym celu będą musiały zamordować najlepszą przyjaciółkę. Morgan utrzymywała potem, że nie miały tak naprawdę nic przeciw Belli – po prostu posługując się nią, najłatwiej mogły

osiągnąć cel, czyli przekonać Slender Mana o swojej wartości. Jak zauważyła dziennikarka Alex Mar w eseju, który napisała dla dziennika „VQR”, dziewczęta przekonały się wzajemnie, że zabijając przyjaciółkę, zdołają także powołać Slender Mana do istnienia[31].

Na szczęście Bella wyszła ze strasznego doświadczenia żywa, a Morgan i Anissa zostały aresztowane i oskarżone o próbę zabójstwa, a następnie osadzone w osobnych strefach więzienia dla nieletnich hrabstwa Waszyngton. Uznano, że to Morgan spowodowała atak, i aby zdecydować, czy jest zdolna stanąć przed sądem, została przeniesiona do szpitala psychiatrycznego Winnebago Mental Health Institute jesienią 2014 roku na obserwację. Po dwudziestoczterogodzinnym badaniu psychiatrycznym uznano, że cierpi na schizofrenię dziecięcą, i zarządono, że pozostanie w szpitalu do procesu. Jednak w grudniu 2014 roku pokrętną decyzją sędziego Morgan została uznana za zdolną do udziału w procesie, a równocześnie zarządono, że powróci do szpitala psychiatrycznego na dalsze leczenie. Ponieważ stwierdzono, że może stanąć przed sądem, szpital nie miał prawnego obowiązku jej przyjąć, co poskutkowało sytuacją jak z *Paragrafu 22* i skończyło się tak, że Morgan trafiła z powrotem do więzienia dla nieletnich w hrabstwie Waszyngton. Do końca 2015 roku, chociaż ponad rok wcześniej zdiagnozowano u niej schizofrenię dziecięcą, Morgan nie rozpoczęła jeszcze leczenia.

Z początku uznano, że Anissa nie cierpi na żadne psychiatryczne zaburzenie urojeniowe, stwierdzono, że uczestniczyła w urojeniach Morgan raczej poprzez „wspólne wierzenia urojeniowe”[32]. Według biegłych zostały one wywołane przez szczególne, intensywne uczucia samotności i alienacji, które współdzieliły Morgan i Anissa, a w przypadku Anissy sytuację pogorszył rozwód rodziców i prześladowanie w szkole. Jak napisała Alex Mar, uważano, że przeżywanie takich samych uczuć przyczyniło się do rozwinięcia u Morgan i Anissy wspólnej perspektywy na świat, którą rozumiały tylko one dwie, a to z kolei dodatkowo wzmacniało ich przekonania. We wrześniu 2017 roku Anisę Weier uznano za „niewinną z racji choroby lub zaburzenia psychicznego” i skazano na co najmniej trzy lata w szpitalu psychiatrycznym, co później przedłużono do dwudziestu pięciu podczas ostatniej rozprawy 21 grudnia tego samego roku. W październiku 2017 roku Morgan Geysler

przyznała się do próby morderstwa z premedytacją, ale uznano ją za niewinną z racji choroby lub zaburzenia psychicznego. W lutym 2018 roku skazano ją na czterdzieści lat w szpitalu psychiatrycznym.

Nie próbując usprawiedliwiać czy mieszać ze sobą doświadczeń trzech dziewczynek ani rozmywać powagi zbrodni, dostrzegam w obsesji na punkcie Slender Mana, jaka ogarnęła dwunastoletnie Morgan i Anisę, rozpaczliwe pragnienie akceptacji i zrozumienia w świecie, który zdawał się zostawiać je coraz bardziej w tyle. Dla wielu z nas etap przejściowy między dzieciństwem a dorosłością to niebezpieczna i zdradliwa podróż, która często może wywołać niebezpieczne uczucie porzucenia, gdy iluzoryczna stałość dzieciństwa znika, a świat okazuje się o wiele mniej trwały i pewny, niż kiedyś sądziliśmy. Większość z nas znajdzie drogę powrotną do świata wspólnego dla wielu, niektórzy wydepczą własne ścieżki, wyobrażając sobie nowe światy, do których inni będą mogli za nimi pójść, ale będą też jeszcze inni, skazani na to, by nigdy nie odnaleźć ani jednego, ani drugiego.

Gdy rozniosła się wieść o ataku na Peyton „Bellę” Lautner, zaczęła się szerzyć niemal nieunikniona panika moralna. Ludzie próbowali rozpaczliwie szukać przyczyny, usiłowali zrozumieć, jak i dlaczego mogło się wydarzyć coś tak strasznego, oraz oczywiście oskarżycielsko wskazywali palcem pierwszego upiora, jaki się nawinął. Szef policji w Waukeshy Russell Jack nakłaniał rodziców, by „ograniczyli i monitorowali korzystanie z internetu przez ich dzieci”^[33], a pewna australijska agencja prasowa uznała Creepypastę za „internetowy kult horroru, który niemal doprowadził do morderstwa”^[34]. Wiele innych mediów szybko również zaczęło szerzyć panikę, co tylko pomagało w popularyzowaniu legendy. W Slender Manie nie widzieli sprawcy, a jedynie uosobienie lęku przed internetem. Był istotą bez twarzy, symbolem technologii bez twarzy, która przyszła, by zdominować nasze życie, nawiedzającym nas widmem świata, który szybko ewoluował i przestawał być tym, który kiedyś uważaliśmy za zrozumiałą.

Być może policja słusznie nakłaniała rodziców, by ograniczyli dzieciom korzystanie z internetu, jeśli rzeczywiście prowadzi on nas do katastrofalnego końca. A może, jak twierdzą niektórzy współcześni myśliciele, jeśli taki jest nasz los, lepiej

jest wykorzystać tempo zmian technologicznych, by jeszcze szybciej doprowadzić do tego końca – przekonują oni, że dopiero kiedy nastąpi ten moment, będziemy mogli zacząć od nowa i stworzyć lepszą przyszłość.

Tak twierdzi profesor teorii krytycznej Benjamin Noys, który w 2010 roku rozpowszechnił termin „akceleracjonizm”, zapożyczając go z powieści Rogera Zelaznego z 1967 roku zatytułowanej *Pan Światła*[35]. Powieść ta, czerpiąc znacząco z mitologii hinduizmu i buddyzmu, opowiada historię planety skolonizowanej przez ostatnich ludzi, którzy przetrwali na Ziemi. Przejęli oni kontrolę nad rdzennymi mieszkańcami, zmieniając się – z wykorzystaniem technologii – w bogów z mitologii hinduistycznej. Tak przebrani ludzie/bogowie zagarniają dla siebie technologię, by ograniczyć możliwości rdzennych ras na planecie. Jeden z byłych Ziemian znany jako Sam, „ostatni akceleracjonista”, odgrywając rolę Buddy, odrzuca status quo i buntuje się przeciw swoim rodakom, oddając technologię w ręce mas, by mogły uwolnić się od rządów bogów.

Chociaż jest wiele ujęć tej koncepcji, korzeni akceleracjonizmu można doszukiwać się w ideach powstałej w latach dziewięćdziesiątych XX wieku niezwyklej grupy akademickiej znanej jako Jednostka Badawcza Kultury Cybernetycznej (Cybernetic Culture Research Unit, CCRU). Grupa postrzegała model kapitalizmu jako nierozzerwalnie związany z samonapędzającą się technologią, przekonując, że rozwój jednego i drugiego należy przyspieszyć, ponieważ nie da się już ich zatrzymać. Podobnie jak w żarcie Billa Hicksa, który stwierdził, że nakłanianie marketingowców, by się zabili, wywoła w nich tylko ekscytację na myśl o tym, jak dobrze się sprzeda taka antymarketingowa postawa, uważali, że internet jest niewolnikiem kapitalizmu i wszystkie jego najgorsze, najbardziej destrukcyjne cechy są tego bezpośrednim skutkiem.

CCRU założono przy Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu w Warwick w październiku 1995 roku. Prowadzona była głównie przez filozofów renegatów Sadie Plant i Nicka Landa (głównego twórcę pojęcia hipersądów, o którym wspomniałem w rozdziale drugim). W artykule z 1998 roku autor, dziennikarz muzyczny Simon Reynolds, określił grupę jako zajmującą „niezwykłą strefę przejściową między nauką a przesądem”[36]. Ich estetyka intelektualna zawdzięczała równie wiele głębokiej

fascynacji Landa okultyzmem i mitem Cthulhu stworzonym przez Howarda Phillipa Lovecrafta, co pracy poststrukturalistów Gilles'a Deleuze'a i Felixa Guattariego[37].

Dla krytyków praca grupy, wykraczająca poza standardową działalność akademicką, była zbyt uboga w badania i stanowiła niewiele ponad intelektualną grę w dostrzeganie wzorców kulturowych, a jej członkowie podobno za bardzo ulegali urokowi popkultury i Aleistera Crowleya. Jednak przez pięć szalonych lat działalności CCRU zespół stworzył ogromny zbiór prac i idei, które do dziś stanowią fundamenty niektórych najbardziej radykalnych, prowokacyjnych i przerażających idei w filozofii i teorii kultury, spośród których wiele Plant i Land rozpowszechniali przez niedziałającą już stronę internetową www.ccru.net/index.htm.

Dla niewtajemniczonych, na przykład dla mnie, natrafienie na stronę ccru.net (która niestety przestała istnieć na początku 2018 roku) było niczym wejście na pokład Nostromo z *Obcego* Ridleya Scotta, wkroczenie po raz pierwszy na dziwny opuszczony statek pełen tajemniczych inżynierów. Jak wiele zapomnianych stron odciętych od stałego pulsu aktywności sieciowej, witryna wywołała we mnie wrażenie, że oto natrafiłem na pradawny relikw. Tekst był niezrozumiałym, swobodnym wirem tajemniczych zdań i wewnętrznych odniesień, które zdawały się równocześnie wiedzą tajemną, jak i wiadomością z przyszłości. Często w słowach tych kryły się mroczne ostrzeżenia o apokaliptycznej przyszłości, co dawało poczucie, że zostały hermetycznie zamknięte, bo nie powinny się wydostać. Dopiero po odnalezieniu tego miejsca uświadomiłem sobie, że to nie grobowiec – słowa żyły i część z nich się *wydostała*, a naprawdę przerażająca była świadomość, że być może właśnie przeżywamy tę apokalipsę, o której miały nas one ostrzegać. Weźmy choćby ten fragment z artykułu zatytułowanego *Cybehype-6. Dark Side of the Wave* (Cybehype-6: Ciemna strona fali):

W głębinach ciemnej strony ekonomii świat staje się marionetką w rękach tego, co ma nadejść. To właśnie tutaj rodzą się otwarte na przyszłość „przełomowe technologie”, gdzie pracę, kapitał i rynki można nabyć tanio[38].

Inni mogli wychwalać erę cyfrową jako niosącą świetlaną, utopijną przyszłość, która przybyła w porę, by naprawić największe problemy ludzkości, ale grupa CCRU widziała coś o wiele bardziej niepokojącego. Dla nich era cyfrowa stanowiła ostatnią

fazę kapitalistycznego pędu ku śmierci, pchającego nas coraz bliżej ku nieuniknionemu katastrofalnemu końcowi – był to system, który zamiast dawać nam drogi wyjścia, przyspieszał proces upadku i dążenia do punktu ostatecznego.

Dla niektórych proces akceleracjonizmu jest najbardziej niepokojący, kiedy współczesne technologie grożą, że zaburzą działanie wielu tradycyjnych instytucji lub odbiorą im rację bytu – od mediów, władzy wykonawczej i polityki po sposób otrzymywania i szeregowania informacji. Chociaż należy pamiętać, że żadna z tych tradycji nie jest stara, gdy spojrzeć na to z szerszej perspektywy, ich destabilizacja jest mimo to dla niektórych z nas głęboko niepokojąca. Jeszcze większym lękiem napawa świadomość, że sam język internetu może nas doprowadzić do stanu, w którym będziemy niezdolni wyobrazić sobie wyjście z naszej obecnej sytuacji. W książce *You Are Not a Gadget* z 2015 roku teoretyk i pionier technologiczny Jaron Lanier opisuje paradoks: platformy Web 2.0 z jednej strony ułatwiają dzielenie się myślami i ideami, a z drugiej ze względu na gotowy, łatwy w użytkowaniu interfejs ograniczają nas, odbierając możliwości modyfikacji i zabawy z samym środkiem wyrazu[39]. Słynne są słowa Marshalla McLuhana: „Środek przekazu sam jest przekazem”[40] – ma to oznaczać, że wpływa na nas nie tylko treść danej myśli, lecz także mechanizm, za pomocą którego ta treść do nas trafia. W tym sensie, jeśli uznamy, że narzędzia, jakie wykorzystujemy do komunikacji w sieci, same w sobie są językiem i wpływają na to, w jaki sposób myślimy i formułujemy myśli, to ograniczenie tego języka ograniczy także naszą kreatywność.

Oczywistym przykładem może być ograniczenie wpisów na Twitterze do 140 znaków (w 2017 roku zwiększono długość komunikatu do 280 znaków). Wymuszenie zwięzłości tweeta może mieć pozytywne konsekwencje – zachęca, byśmy dokładniej zastanowili się nad tym, co chcemy powiedzieć. Z drugiej strony może prowadzić do skłonności publikowania tylko małych wycinków informacji, w których prawdziwy zakres oraz głębia idei giną i w najlepszym razie mamy do czynienia jedynie z powierzchownym ich streszczeniem, a w najgorszym – z całkowitym zniekształceniem. Wchodzenie w interakcje z innymi na Twitterze oznacza konieczność komunikowania się zgodnie z tymi regułami. Istnieje oczywiście wiele innych narzędzi online, które pozwalają na dzielenie się informacjami, poza tym kto

wie, może wysyłanie komunikatów długości 140 znaków tak naprawdę pobudza naszą kreatywność i prowadzi do kolejnych, lepszych sposobów jej wykorzystania. Tak czy owak, jeśli rozmowa odbywa się na Twitterze, to chcąc się do niej włączyć, musisz to zrobić na zasadach właściciela portalu.

Lanier zauważa też, że ponieważ biznesowy model reklamy staje się jednym z zaledwie kilku skutecznych sposobów zarabiania na działalności twórczej, coraz bardziej zależnej od sfery cyfrowej (być może kiedyś będzie od niej całkowicie zależna), można go uznać za kolejny sposób na zakucie naszej wyobraźni w kajdany. Efekt jest dwojaki. Jeśli pozyskiwanie pieniędzy z reklamy to jedyny sposób na zarobienie większej kwoty na tym, co tworzymy, jak przekonuje Lanier, to będziemy zmuszeni do tworzenia w sposób, który wpisuje się w ten model^[41]; muzycy będą musieli tworzyć muzykę trafiającą w gusta odbiorców, którzy częściej odtwarzają utwory w sieci; dziennikarstwo stanie się przemysłem skupionym raczej na „klikalnych” nagłówkach i artykułach, które przyciągają uwagę czytelników i kierują wzrok na reklamy sponsorów, a nie na dostarczaniu użytecznych informacji. Jeśli algorytmy decydują, jakie treści zasługują na większą widoczność niż inne, logiczne jest, że ludzie będą także preparowali treści, które wpisują się w ten algorytm, zamiast starać się stworzyć coś innowacyjnego.

Taki model prowadzi ponadto do zalewu reklam w naszej prywatnej przestrzeni, o czym wie każdy, kto kiedykolwiek próbował przeczytać artykuł w sieci, nie będąc zmuszonym do oglądania po co trzecim akapicie tropikalnych zachodów słońca czy nagle przejeżdżającej przez ekran škody. Gdy reklamy zaczynają otaczać nas z każdej strony, nawet nasza twórcza wolność wyboru rzeczy, które chcemy kupić, zostaje ograniczona przez sprytne wykorzystanie algorytmów decydujących za nas, czego potrzebujemy, na podstawie historii wyszukiwania albo naszych polubień na profilu facebookowym znajomego. Niewiele jest dla mnie rzeczy bardziej niepokojących niż straszna scena z filmowej adaptacji *Raportu mniejszości* Stevena Spielberga, w której główny bohater John Anderson w drodze do pracy jest bombardowany reklamami wyświetlanymi we wszystkich przestrzeniach wokół. Przeraza mnie, jak absurdalne wydawało się to w 2002 roku i jak zwyczajne zdaje się dzisiaj.

Można przekonywać, że dopóki dominuje ten model, możemy znajdować w jego

ramach innowacyjne sposoby działania, ale zawsze będziemy przez niego w jakiś sposób ograniczeni. W pewnym sensie przypomina to trochę paradoks Zenona z Elei o złudzeniu posuwania się do przodu. Kiedyś internet zdawał się zapewniać nam nieskończony potencjał twórczych możliwości, a dziś odkrywamy, że nie jest to ciąg rosnących w nieskończoność liczb całkowitych, tylko jedna stale rosnąca od 0 i skazana na to, by nigdy nie przekroczyć 1.

Mark Fisher, teoretyk kultury, który należał do CCRU w początkach działalności grupy i zmarł tragiczną, samobójczą śmiercią w 2017 roku, również coraz bardziej niepokoił się tym, że być może nigdy nie uciekniemy z potrzasku określonego jako „realizm kapitalistyczny”^[42] i że – zwłaszcza odkąd przejął on władanie nad sferą cyfrową – zaczyna nas coraz bardziej więzić. Fisher wykorzystał do rozwinięcia tej myśli koncepcję widmologii. Jest to odpowiednik francuskiego terminu *hantologie*, połączenia słów *hanter*, nawiedzać, i *ontologie*, ontologia, który określa filozoficzne badania nad naturą bytu. Został on ukuty przez Jacques’a Derridę w książce *Widma Marksa. Stan długu, praca żałoby i nowa Międzynarodówka* z 1993 roku. Dla Derridy termin ten jest grą z istnieniem idei w czasie, a mówiąc konkretniej – z niemożliwością wykorzenia wiedzy lub idei (w tym wypadku przynależnych do filozofii marksistowskiej), gdy już zostały one poczęte. Od chwili ich zaistnienia na zawsze pozostają częścią naszej zbiorowej wiedzy, nawiedzając niczym widmo zarówno nasze spojrzenie na przeszłość, jak i na przyszłość. Podobnie przy nowym odkryciu, na przykład tym, że Ziemia krąży wokół Słońca, nie jest już możliwe wyobrazenie sobie czasu, gdy ta idea nie była rozumiana. Płynie z tego wniosek, że tylko wracając do czasu przed powstaniem idei, moglibyśmy liczyć na to, że wyobrazimy sobie alternatywną, „lepszą” przyszłość, która nie została przez nią ukształtowana. To właśnie pojęcia takie jak widmologia mogą nam pozwolić lepiej zrozumieć, jeśli nie poprzec, despotyczną obsesję palenia książek czy stosowaną przez Państwo Islamskie strategię niszczenia starych obiektów kultury. Takie praktyki to rzeczywiste próby wyplenienia przeszłości w nadziei na stworzenie innej przyszłości.

Na początku XXI wieku Fisher i wielu innych teoretyków kultury znalazło dowody na to, że przynajmniej pod względem społeczno-kulturowym zbliżamy się do ewolucyjnego ślepego zaułka, gdy odnieść tę koncepcję do nowych trendów w sztuce

i popkulturze – zwłaszcza jeśli chodzi o rosnące wrażenie, że „zachodnia” muzyka”, przede wszystkim elektroniczna, dotarła już do twórczego kresu. Jeśli muzyka elektroniczna miała wywoływać skojarzenia z przyszłością, zdawało się, że budzi tylko nostalgię: „Nie było już wiodących innowacji”[43]. W interpretacji akcelerationistów internet można postrzegać jako mechanizm służący naszym restrykcyjnym modelom społecznym i ekonomicznym, przez co przybliży on moment, w którym znajdziemy się na końcu tej ślepej uliczki. Weźmy na przykład to, jak został odebrany na całym świecie serial *Stranger Things*. Choć jestem wielkim fanem tego serialu, trudno mi nie dostrzec w nim przejawu dotarcia do kulturowego ślepego zaułka – to niejako nawrót do niemal każdego schematu i pomysłu z gatunku horroru i science fiction, jaki można sobie wyobrazić, pokrzepiający w swej nostalgiczności, ale uwięziony w ograniczeniach swojego języka.

Jeśli zechcemy postrzegać Slender Mana jako reprezentującego internet potwora, coś, co uosabia wszystkie nasze obawy odnośnie do kierunku, w jakim sieć i cyfrowe technologie wiodą nas jako gatunek, nie dziwi, że kojarzony jest on z prowadzeniem nas, zwłaszcza dzieci, ku zagładzie – to idealna metafora beznadziejnej przyszłości. Pętla kurczącej się wyobraźni coraz mocniej się zaciska, a Slender Man stoi w cieniu, czekając, by zadusić nas swoimi mackami.

Kojarzenie Slender Mana z dziećmi często prowadziło do porównań ze Szczurołapem z Hameln. Jak głosi niemieckie podanie ludowe pochodzące zapewne z XIV wieku, ludzie z miasteczka Hameln nie mogli pozbyć się kłopotliwej plagi szczurów, do czasu aż pojawił się tajemniczy nieznajomy i obiecał, że za niewielką opłatą zajmie się problemem. Mieszkańcy przyjęli jego pomoc i następnego dnia nieznajomy, grając na flecie, wyprowadził szczury z miasta. Kiedy jednak wrócił po pieniądze, zleceniodawcy nie chcieli mu zapłacić. W ramach zemsty Szczurołap wyprowadził z wioski wszystkie dzieci i powiódł je na górę, z której nigdy nie wróca. Łatwo jest dostrzec porównanie do Slender Mana, ponieważ obie postacie uważa się za potwornych nieznanych „innych”, których oskarża się o popełnienie najgorszej zbrodni, jaką można sobie wyobrazić: porwanie dzieci.

Jeśli Slender Mana mamy porównać ze Szczurołapem, możemy dostrzec tu także

przejaw bardziej ogólnych obaw dotyczących „internetu”. Kiedyś postrzegaliśmy go jako magiczną technologię, dzięki której nasze życie miało stać się lepsze – tak samo było ze Szczurołapem i jego tajemniczym fletem – a teraz nagle odwrócił się przeciw nam, zwoździ na manowce nasze dzieci i odbiera nam nadzieję na przyszłość. Nie jest to niesprawiedliwa analogia, jeśli rzeczywiście Slender Man jest uosobieniem tego, co w sieci najgorsze.

Ale czy można spojrzeć na to inaczej?

Często gdy porównuje się Slender Mana do Szczurołapa, pomija się fakt, że to nie Szczurołap jest czarnym charakterem, a są nim mieszkańcy miasteczka. Chodzi nie tylko o to, że go oszukują, odmawiając zapłaty za usługę – można by powiedzieć, że w swoim ostatnim wyczynie Szczurołap nie porywa dzieci, ale po prostu chroni je przed „ogarniętym plagą szczurów” światem, który stworzyli ich przodkowie. Innymi słowy, problemem nie jest „internet” – problemem jesteśmy my.

Gdybym mógł dodać na Creepypastę własny wpis do mitu o Slender Manie^[44], przedstawiłbym go nie jako symbol strachu przed nieznanym, które czai się na horyzoncie niepewnej cyfrowej przyszłości, ale raczej jako posłańca z tej przyszłości przybyłego, by nas poprowadzić. Znamienne jest to, że to młodsze pokolenia, dzieci, wiedzą najwięcej o Slender Manie – nie tylko one najbardziej ucierpią, jeśli nie zdołamy zapobiec beznadziejnej przyszłości, ale to one nas przed nią ocalą.

Mimo to, mimo całego lęku przed tym, jak internet może nas krzywdzić, ważne jest, by pamiętać, że istnieje od niedawna. Dopiero co wyciągnęliśmy go z pudełka, ledwie podpięliśmy do prądu. Czy nie należy się spodziewać nieco trudnych początków? Być może po prostu jako gatunek nie odkryliśmy jeszcze, co zrobić, by działał jak najlepiej na naszą korzyść (choć oczywiście „jak najlepiej na naszą korzyść” to bardzo subiektywne sformułowanie). Nie powinny nas przerażać zachowania w sieci, których nie rozumiemy albo które wywołują w nas poczucie zagrożenia – powinniśmy postrzegać je jako część procesu, w ramach którego cały gatunek uczy się korzystać z nowego narzędzia. Ludzkość zawsze walczyła ze sobą w świecie offline, ustanawiając prawa i reguły, by stworzyć społeczeństwa – dlaczego mielibyśmy się spodziewać, że inaczej będzie w świecie online? Gdy toczą się te wszystkie bitwy w sieci o najlepszy sposób wykorzystania naszego najnowszego

narzędzia, warto zastanowić się nad tym, co tak naprawdę nas w nim przeraża. Kiedyś uważano, że internet da nam coś w rodzaju dobrej noosfery, miejsce, gdzie będziemy mogli zebrać najlepsze pomysły; dziś niektórzy obawiają się, że jedynie otworzył drzwi do chaosu, zaburzając ustalony porządek i zagrażając całemu „postępowi”, do którego ten porządek się przyczynił. Czy ten lęk jest uzasadniony, czy narodził się z niezadowolenia, jakie przyniosło wysłuchiwanie cudzych głosów i perspektyw różniących się od naszych własnych – głosów, które dzięki internetowi stały się donioślejsze i mocniejsze? To fakt, że w bardziej płynnym świecie „postprawdy” jest wiele niepewności, ale czy coś takiego jak ruch #metoo w ogóle byłoby możliwe w erze przed internetem? Czy ci wszyscy, którzy mówią o powrocie do stabilniejszych, prostszych czasów, mają na myśli czasy, w których nie musieli uświadamiać sobie istnienia zjawisk takich jak uprzywilejowana pozycja białych? To uczucie lęku i niepewności może po prostu wynikać z poczucia, że przeżywamy zmianę paradygmatu w świecie.

Dla wielu osób, choć cyfrowo przyspieszona kultura jest destabilizująca, jej bezpośrednie konsekwencje pozostają niezwykle atrakcyjne. Filozofka feministyczna Donna Haraway była akceleratorystką, jeszcze zanim ten termin się upowszechnił. Jej przełomowy esej z 1984 roku, *Manifest cyborgów*, przedstawia wizję tego, jak może wyglądać świat po akceleratorystyce, w którym nasze ciała i umysły będą coraz bardziej splecione ze sferą cyfrową. Esaj Haraway zachęca nas, byśmy wyobrazili sobie człowieka ewoluującego w cyborga – „hybrydę maszyny i organizmu”[45], czego efektem będzie świat postpłciowy. Ponieważ cyborg nie jest człowiekiem w znaczeniu tradycyjnym, wykracza poza ograniczające konwencje społeczne związane z postrzeganiem płci – i w ten sam sposób mógłby też wykroczyć poza wszystkie ograniczające pojęcia: na przykład postrzeganie rasy, niepełnosprawności czy seksualności.

Cyberutopiści mieli nadzieję, że internet i przestrzeń wirtualna pomogą nam uciec od tego, co w nas samych najgorsze, ale ta wirtualna przestrzeń jest właśnie przedłużeniem nas samych. Od zawsze podlega tym samym naciskom i komplikacjom, których doświadczamy w społeczeństwach świata offline. I podobnie jak w tych społeczeństwach, zawsze będzie ewoluować poprzez nieustanne zderzanie się różnych

idei i perspektyw. Choć może to budzić niepokój, są ważne powody, by podawać w wątpliwość ustalony porządek. Weźmy pod uwagę pewien przykład z niedawnych czasów: w 1991 roku spiker Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Newt Gingrich udzielił wywiadu wpływowemu magazynowi „Broadcasting & Cable”, mówiąc reklamodawcom, by nie sponsorowali stacji radiowych grających „muzykę rap”.

Stanowisko Gingricha podzielało kiedyś wielu urzędników państwowych w USA, którzy chcieli zdemonizować niezrozumiały dla nich szerzący się trend. Zaniepokojeni tym, że hip-hop zagraża wartościom moralnym kraju, zamiast próbować go zrozumieć, starali się go zniszczyć. W 2017 roku muzyka z gatunku R&B/hip-hop sprzedawała się w Stanach lepiej od wszystkich innych gatunków łącznie z rockiem i była jednym z głównych eksportowych elementów kultury amerykańskiej. Chociaż gatunek ten już wcześniej był na dobrej drodze, by to osiągnąć, swoją dominację zawdzięcza kulturze swobodnego dzielenia się i streamingu w internecie. Co ciekawe, jak przyznaje Thomas Pettitt w swojej teorii o nawiasie Gutenberga, hip-hop jako gatunek, podobnie jak opierająca się na przekazie ustnym kultura sprzed prasy drukarskiej, jest medium korzystającym z plastyczności pomysłów i płynności sampli. Kiedyś lekceważone i oczerniane jako gorsza forma sztuki, dziś hip-hop i jego liczne odnogi są powszechnie uważane za wybitne formy innowacyjnej twórczej ekspresji.

Jeśli chodzi o obawy dotyczące platform Web 2.0, „kultu szlachetnego amatora” i zmiernia w stronę sposobu myślenia, w którym mądrość tłumu jest ważniejsza od autorytetu indywidualnych ekspertów, często wydaje się, że głównym zmartwieniem nie jest spadająca jakość treści twórczych, ale raczej lęk, że ludzie nie będą osobiście wynagradzani i doceniani za swoje twórcze pomysły. Gdy jednak spojrzeć na to z szerszej perspektywy, to jakie ma znaczenie, kto dokładnie wpada na jakiś pomysł? Czy nie jest ważniejsze to, że pomysł w ogóle się pojawił, że jest dobrze wykorzystywany i rozpowszechniany, by mógł być lepiej rozumiany i udoskonalany? Jeśli chodzi o kwestionowanie jakości dzieł mogących powstać w kulturze, której nie ogranicza obsesja na punkcie praw autorstwa i własności, przypomnijmy sobie jednego z największych złodziei pomysłów w literaturze: Williama Szekspira. Powszechnie uważa się go za najwybitniejszego pisarza świata anglojęzycznego, którego

prawdopodobnie nikt nigdy nie prześcignie, a przecież Szekspir jest dzieckiem ery sprzed prasy drukarskiej, a w swoich dziełach swobodnie czerpie z *Żywotów* Plutarcha, kronik Holinsheda i *Prób* Montaigne'a[46].

W 2018 roku ukazała się książka szekspirologa samouka Dennisa McCarthy'ego oraz profesor filologii angielskiej June Schlueter, w której ujawniono, że zwłaszcza jeden rękopis okazał się źródłem inspiracji nawet jedenastu sztuk Szekspira. McCarthy i Schlueter odkryli to, analizując tekst z końca XVI wieku zatytułowany *A Brief Discourse of Rebellion and Rebels* (Krótka rozprawa o buncie i buntownikach) za pomocą programu do wykrywania plagiatów WCopyfind. Ten niepublikowany rękopis napisany przez dworzanina królowej Elżbiety I George'a Northa okazał się zawierać materiał źródłowy wielu sztuk, między innymi *Króla Leara*, *Makbeta* i *Henryka V*. Szekspir nie tylko „użył tych samych słów co North, lecz także (używał) ich w scenach o podobnej tematyce, a nawet tym w samym kontekście historycznym”[47].

Nie ma powodu, by zakładać, że nasza cyfrowa przyszłość jest przesądzona, że jesteśmy gatunkiem pędzącym ku destrukcji, którą sami sobie zawdzięczamy, uwięzionym przez nasze własne narzędzia. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że za tysiąc lat będziemy dyskutować o problemach z taką nową technologią, przy której internet będzie wyglądał jak dwa papierowe kubki połączone kawałkiem sznurka. Niezależnie od tego, czy wynika to z przemyślanego wyboru, instynktu przetrwania czy genetycznego popędu, jesteśmy gatunkiem odkrywców, zawsze gotowym szukać nowych sposobów działania i nowych pomysłów, najbardziej produktywnym właśnie wtedy, gdy konfrontuje się z problemem zagrażającym jego istnieniu. Gdybyśmy kiedykolwiek obawiali się, że gubimy drogę, pamiętajmy o słowach historyka Aarona Sachsa, na które natrafiłem w książce Rebekki Solnit *A Field Guide to Getting Lost* (Przewodnik po tym, jak się zgubić). Gdy Solnit zapytała Sachsa o odkrywanie, odparł: „Odkrywcy zawsze się gubili, bo nigdy wcześniej nie byli w odkrywanym miejscu. Nigdy nie oczekiwali, że będą dokładnie wiedzieć, gdzie się znajdują. [...] Moim zdaniem ich najważniejsza umiejętność to po prostu zdolność zachowania optymizmu co do przetrwania i znalezienia drogi”[48].

-
- [1] P. Teilhard de Chardin, *Fenomen człowieka*, tłum. K. Waloszczyk, Warszawa 1993, s. 146.
- [2] J. Huxley, *Introduction*, w: P. Teilhard de Chardin, *The Phenomenon of Man*, New York 1959.
- [3] M. McDowall, *How a Simple 'hello' Became the First Message Sent via the Internet*, „PBS”, 9 lutego 2015, www.pbs.org/newshour/science/internet-got-started-simple-hello (dostęp: 9.03.2019).
- [4] Proces ewolucji często jest błędnie rozumiany. W przypadku teorii Teilharda de Chardina nie ma gwarancji, że ewolucja zwiększy intelekt danego organizmu, a jedynie że w procesie mutacji te warianty gatunku, które najlepiej radzą sobie w swoim środowisku, będą dominować.
- [5] T. O'Reilly, 2. *Harnessing Collective Intelligence*, oreilly.com, 2018, www.oreilly.com/pub/a/web2/archive/what-is-web-20.html?page=2 (dostęp: 9.03.2019).
- [6] E. Zuckerman, *Digital Cosmopolitans. Why We Think the Internet Connects Us, How It Doesn't and How to Rewire It*, New York 2015, s. 29.
- [7] Tamże.
- [8] H. Brooke, *The Revolution Will Be Digitised. Dispatches from the Information War*, New York 2012, s. ix.
- [9] Portal Something Awful (SA) został stworzony w 1999 roku przez Richarda Kyanę znanego pod nickiem Lowtax. SA zaczął swój żywot jako strona Kyanki, na której Kyanka przedstawiał prześmiewczo swoją perspektywę na świat głównie przez pryzmat kultury internetu i gier komputerowych. Gdy strona zaczęła zyskiwać na popularności, jej fora stały się płodnym gruntem dla kpiarskiego hermetycznego internetowego humoru. Na długo przed Twitterem i Facebookiem użytkownicy forum SA, którzy sami siebie nazywali „Goons”, byli pionierami – z braku lepszego słowa – cierpkiego, kpiarskiego i prześmiewczego humoru, który dziś definiuje tak dużą część kultury sieciowej. Niezależnie od tego, czy treści na forum Something Awful cię bawią, sama strona, której motto brzmi „The Internet makes you stupid” („Internet ogłupia”), została określona przez dailymail.com jako „jedna z najważniejszych stron w historii internetowego humoru”; www.dailymail.com/unclick/something-awful-history/ (dostęp: 9.03.2019).
- [10] V. Surge / E. Knudsen, *Comedy Goldmine – Create Paranormal Images*, somethingawful.com, 10 czerwca 2009, forums.somethingawful.com/showthread.php?threadid=3150591 (dostęp: 9.03.2019).
- [11] Tamże.
- [12] Tak naprawdę grafika była przeróbką drzeworytu wykonanego przez Hansa Holbeina młodszego, przedstawiającego walkę rycerza ze śmiercią: forums.somethingawful.com/showthread.php?threadid=3150591&userid=0&perpage=40&pagenumber=8 (dostęp: 9.03.2019).
- [13] *The Digital Human*, seria 5, odcinek 5: *Tales*, 30 września 2015 (plik audio), www.bbc.co.uk/programmes/b01nl671 (dostęp: 9.03.2019).

Dictionary, en.oxforddictionaries.com/definition/folklore (dostęp: 9.03.2019).

[15] Th. Pettitt, *Before the Gutenberg Parenthesis. Elizabethan-American Compatibilities*, prelekcja wygłoszona podczas konferencji „Media in Transition 5: Creativity, Ownership and Collaboration in the Digital Age”, 27–29 kwietnia 2007, [www.academia.edu/2946207/Before the Gutenberg Parenthesis Elizabethan-American Compatibilities](http://www.academia.edu/2946207/Before_the_Gutenberg_Parenthesis_Elizabethan-American_Compatibilities) (dostęp: 9.03.2019).

[16] Termin ten podchodzi od internetowego pojęcia *copypasta* używanego, by opisać proces dzielenia się informacjami, który wymaga niewiele więcej wysiłku ponad ich kopiowanie i wklejanie (*copy and paste*).

[17] A. Considine, *Bored at Work? Try Creepypasta, or Web Scares*, „The New York Times”, 12 listopada 2010.

[18] A. Keen, *Kult amatora. Jak internet niszczy kulturę*, tłum. M. Bernatowicz, K. Topolska-Ghariani, Warszawa 2007, s. 36.

[19] D. Starkman, *The Future Is Medieval*, „Columbia Journalism Review”, 7 czerwca 2013, archives.cjr.org/the_audit/the_future_is_medieval.php (dostęp: 9.03.2019).

[20] Tamże.

[21] Tamże.

[22] K. Scannell, D. Shortell, V. Stracqualursi, *Mueller Indicts 13 Russian Nationals over 2016 Election Interference*, CNN, 17 lutego 2018, edition.cnn.com/2018/02/16/politics/mueller-russia-indictments-election-interference/index.html (dostęp: 9.03.2019).

[23] Tamże.

[24] K. Krawczyk, *Google Is Easily the Most Popular Search Engine, but Have You Heard Who's in Second?*, „Digital Trends”, 3 lipca 2014, www.digitaltrends.com/web/google-baidu-are-the-worlds-most-popular-search-engines/ (dostęp: 9.03.2019).

[25] A. Hern, *Google Accused of Spreading Fake News*, „The Guardian”, 6 marca 2017.

[26] P. Lewis, *“Fiction Is Outperforming Reality”. How YouTube's Algorithm Distorts Truth*, „The Guardian”, 2 lutego 2018.

[27] Tamże.

[28] Tamże.

[29] Tamże.

[30] Rządy ograniczają dostęp do platform z przeciwnego powodu. Na przykład większość usług Google jest niedostępna w Chinach od 2010 roku.

[31] A. Mar, *Out Came the Girls. Adolescent Girlhood, the Occult and the Slender Man Phenomenon*, „VQR” 2017, www.vqronline.org/essays-articles/2017/10/out-came-girls (dostęp: 9.03.2019).

[32] Tamże.

[33] *Girls, 12, Stab Wis. Friend 19 Times in Planned Attack, Cops Say*, „abc7 Eyewitness News”, 2 czerwca 2014., abc7chicago.com/news/girls-12-allegedly-stabbed-friend-in-planned-attack/89632/ (dostęp: 9.03.2019).

[34] J. Seidel, *A Brutal Stabbing Attack by Pre-Teens Obsessed with the Slenderman Puts Spotlight Back on the Popular Culture of Horror Stories*, news.com.au, 4 czerwca 2014, www.news.com.au/technology/online/a-brutal-stabbing-attack-by-preteens-obsessed-with-the-slenderman-puts-spotlight-back-on-the-popular-culture-of-horror-stories/news-story/bc875cbcf8f27e8767462d176c8c126a (dostęp: 9.03.2019).

[35] A. Beckett, *Accelerationism. How a Fringe Philosophy Predicted the Future We Live in*, „The Guardian”, 11 maja 2017.

[36] S. Reynolds, *Renegade Academia*, „Springerin Magazine”, 20 stycznia 2005, k-punk.abstractdynamics.org/archives/004807.html (dostęp: 9.03.2019).

[37] A. Beckett, *Accelerationism*, dz. cyt.

[38] CCRU, *Cyberhype VI. The Darkside of the Wave*, „Mute”, 10 marca 2002, www.metamute.org/editorial/articles/cyberhype-vi-darkside-wave (dostęp: 9.03.2019).

[39] J. Lanier, *You Are Not a Gadget. A Manifesto*, London 2011.

[40] M. McLuhan, *Understanding Media. The Extensions of Man*, Hamburg 2003, s. 25.

[41] J. Lanier, *You Are Not A Gadget*, dz. cyt., s. 99.

[42] M. Fisher, *Capitalist Realism. Is There No Alternative?*, Winchester 2009.

[43] M. Fisher, *What Is Hauntology?*, „Film Quarterly” 2012, R. 66, nr 1, s. 16–24.

[44] Jestem w pełni świadom ironii wynikającej z faktu, że piszę o tym w sztywnym, drukowanym tekście...

[45] D. Harraway, *Manifest cyborgów. Nauka, technologia i feminizm socjalistyczny lat osiemdziesiątych*, tłum. S. Królak, E. Majewska, „Przegląd Filozoficzno-Literacki” 2003, nr 1, s. 49–87.

[46] I. Butler, *Plagiarism Software’s New Discovery about Shakespeare Is an Opportunity to Rethink His Genius*, „Slate” 2018, slate.com/culture/2018/02/shakespeare-was-no-plagiarist-but-genius-isnt-born-in-a-vacuum.html (dostęp: 9.03.2019).

[47] Michael Blanding, *Plagiarism Software Unveils a New Source for 11 of Shakespeare’s Plays*, „The New York Times” 2018, www.nytimes.com/2018/02/07/books/plagiarism-software-unveils-a-new-source-for-11-of-shakespeares-plays.html (dostęp: 9.03.2019).

[48] A. Sachs, za: R. Solnit, *A Field Guide to Getting Lost*, Edinburgh 2017, s. 14.

Rozdział dziesiąty

KAŻDA HISTORIA TO HISTORIA O DUCHACH

Nie patrzył już na nią. Leżał nieruchomo. Odszedł. Chwila prawdy przepadła na zawsze i Shelagh nigdy jej nie pozna. To, co się wydarzyło, należało już do przeszłości – do innego wymiaru czasu, a teraz była teraźniejszość oraz ta część przyszłości, której on już nie będzie mógł z nią dzielić.

Daphne du Maurier, *Skrajny przypadek*,
tłum. Teresa Sośnicka

Duch zajmuje szczególne miejsce w świecie nadprzyrodzonym. Potrafi przerazić nas do utraty zmysłów, a z drugiej strony wzbudzić najgłębszą melancholię. Przybiera także różne formy: są duchy, które nosimy ze sobą w życiu codziennym, wspomnienia ludzi, których kochaliśmy i straciliśmy, a może nawet skrzywdziliśmy; myśli ukryte w najgłębszych zakamarkach psychiki i walczące o to, by się ujawnić. Ale co ze zjawami, które zdają się nie pochodzić z naszej podświadomości? Takimi, które nie mają żadnego związku z obserwowującym, ale próbują raczej kontaktować się z nami z przestrzeni, która wydaje się ponadczasowa?

Niektórym widok ducha, zwłaszcza ducha bliskiej osoby, może przynieść pewne pocieszenie – być pokrzepiającą wiadomością o istnieniu życia po śmierci. Jednak niemal bez wyjątku już od najwcześniejszych kultur, od ludu Igbo w zachodniej Afryce po Bengalczyków w południowej Azji, widok zjawy rzadko był powodem do radości. Zwykle pojawienie się ducha świadczyło o czymś niepokojącym, mogło być na przykład skutkiem niewłaściwego pochówku, zaginięcia na morzu albo znakiem, że przyczyna śmierci jest podejrzana i zmarłego trzeba pomścić. Jeśli nie naprawiłoby się

sytuacji, mogłoby to skazać naszego bliskiego na wieczną tułaczkę.

Według starożytnych Sumerów śmierć była zdarzeniem nieodwracalnym, a dusze zmarłych zamieszkiwały Kur, „kraj bez powrotu” – miejsce, gdzie wszyscy mężczyźni i kobiety byli sobie równi niezależnie od czynów dokonanych za życia czy majątności. Tam mieli pozostać przez resztę wieczności w ponurym mroku, pilnowani przez Ereszkigal, mroczną królową zaświatów. Podobno zmarli mogli zaznać ulgi od ciężarów Kuru, jeśli po ich śmierci żyjąca rodzina stale składała dary w postaci jedzenia i napojów. Jeśli zaniedbano by tę powinność, duch zmarłego miał wrócić, aby ukarać nieczułych krewnych nieszczęściem i chorobami.

W starożytnej Japonii pojawienie się ducha, czyli *yūrei*, było szczególnie złowróżbne. Czasem mówiono, że *yūrei* przekształcają się z dusz – czyli *reikon* – w napadzie silnych emocji często spowodowanych zemstą. Brutalnemu morderstwu lub samobójstwu niemal zawsze towarzyszyło przyjście *yūrei* spragnionego zadośćuczynienia. Dopóki równowaga nie została przywrócona, duch był skazany na nawiedzanie żywych. *Yūrei* zwykle są przedstawiane jako kobiety odziane w białe szaty pogrzebowe, z długimi czarnymi włosami i opuszczonymi luźno dłońmi – wizerunek ten mogą rozpoznawać fani postaci Sadako Yamamury z przerażającej serii książek *Ringu* autorstwa Kōjiego Suzukiego. Przedstawienie Yamamury jako tradycyjnej *yūrei* z upodobaniem do wychodzenia z telewizorów i monitorów – jak ukazał ją reżyser Hideo Nakata w mroźnej *Krew w żyłach* adaptacji pierwszej książki – to dla mnie najbardziej koszmarnie przedstawienie ducha w historii kina.

Często uważa się, że duchy i zjawy są nieodłącznie związane z konkretnym miejscem. Dla ludzi mieszkających w Wielkiej Brytanii takich duchów istnieje wiele – z tablic z informacjami turystycznymi można się dowiedzieć, że Tower of London jest najczęściej nawiedzanym miejscem w Anglii, a edynburski zamek – w Szkocji. Dla mnie jednak zawsze problematyczne było takie myślenie o duchach, przynajmniej w sposób bardzo dosłowny, z powodów przedstawionych ze smutnym, poruszającym urokiem w filmie *Ghost Story*. W tym zadziwiającym obrazie z 2017 roku ze scenariuszem i w reżyserii Davida Lowery’ego tytułowy duch, który postanowił zostać na Ziemi, jest skazany na dryfowanie poprzez czas, gdy wokół zmienia się cały świat. Chociaż Lowery umieszcza ducha z powrotem w pierwotnym czasie istnienia jego

ciała, zawsze zastanawiałem się, gdzie mógłby on trafić, gdyby ucieczka przed nieustająco pędzącym czasem nie była taka łatwa; jakie miejsca może nawiedzać duch za dziesiątki miliardów lat, na długo po zniszczeniu planety przez Słońce?

Jeśli chodzi o sam lęk przed tym, co nadprzyrodzone, niewiele zjawisk niepokoi mnie bardziej niż poltergeist, złośliwy, mściwy duch, który się na ciebie uwziął z niewyjaśnionych – a zatem i przerażających – przyczyn. Chociaż niektórzy uważają, że poltergeist jako zjawisko jest wynikiem pozazmysłowych projekcji niespokojnych nastoletnich umysłów, to z pewnością jego największa moc leży w przedstawieniu go jako aktywnego ducha.

Ta myśl zawsze mnie trochę prześladowała.

Niewątpliwie wiele jest osób z mojego pokolenia, których pierwsze zderzenie z osławionym „hałaśliwym duchem” nastąpiło za sprawą hipnotycznego filmu z 1982 roku *Duch* Tobe’ego Hoopera, którego oryginalny tytuł brzmi *Poltergeist* (ludzie często zapominają, że autorem historii przedstawionej w filmie jest Steven Spielberg). Być może po prostu nostalgia ciągnie mnie do tego majstersztyku, paraliżującego niezwykłym zderzeniem hollywoodzkiej zręczności z obcością, która zdaje się wzywać nas w milczeniu gdzieś spomiędzy kadrów.

Ale jest coś jeszcze.

Chociaż trudno powiedzieć, co było przyczyną, a co skutkiem, odkąd obejrzałem ten film, mam nawracający, przerażający koszmar o poltergeiście. Zawsze nawiedza mnie w tej granicznej strefie tuż przed przebudzeniem i zaczyna się od tego, że stoję u szczytu schodów w domu, w którym spędziłem dzieciństwo, a przyjaciele i krewni zebrani są na dole. Ale gdy schodzę, by do nich dołączyć, orientuję się, że coś mnie przytrzymuje. Coś niewyobrażalnie złośliwego, a ja wiem, że nie mogę od tego uciec. Gdy wierzgam i krzyczę, to coś dalej ciągnie mnie głębiej i głębiej, a potem... Budzę się. Za każdym razem jest tak samo.

Wiem, że to powszechna senna wizja, i kiedyś doradzono mi, że mogę spróbować się jej pozbyć, odwracając twarz i patrząc na nieznane, odsłonić strach. Jeszcze nie udało mi się tego osiągnąć, ale jestem pewien, że kryje się tu jakaś ważna lekcja.

Dlatego zawsze robię się szczególnie wyczulony i czuję ekscytację, gdy dowiaduję się o nowych domniemanych wydarzeniach z udziałem poltergeista, zwłaszcza takich,

które przywołują na myśl dzieła Nigela Kneale'a o uczonych mężczyznach i kobietach polujących na duchy...

Trzydziestotrzyletni Tony Cornell nie był wcale najstarszym członkiem Towarzystwa Badań Parapsychologicznych Uniwersytetu w Cambridge, ale na pewno był jednym z najaktywniejszych – zawsze szukał nowego miejsca, które można by zbadać. Podobnie jak większość członków towarzystwa był dumnym racjonalistą i nie miał czasu na przesady ani duchowe brednie, a jego zainteresowanie domniemanymi zjawiskami paranormalnymi i nadprzyrodzonymi brało się z głębokiego sceptycyzmu. Jednocześnie występowała u niego zdrowa fascynacja tym, co dziwne, która miała swoje źródło w niezwykłym zdarzeniu sprzed dziesięciu lat.

Jako młody oficer marynarki w czasie drugiej wojny światowej Tony stacjonował w południowych Indiach, niedaleko gór Nilgiri, gdzie zafascynowały go historie o miejscowych fakirach – świętych mężczyznach i kobietach, którzy nie posiadali bliskich ani dóbr materialnych, a których uważano za władających mistycznymi mocami. Podobno fakirzy potrafili dokonywać cudów, a wiele osób przemierzało całe kilometry, by skorzystać z ich mądrości i zasięgnąć porady. Jeden taki fakir mieszkał ponoć wśród wzgórz niedaleko bazy Tony'ego i chociaż mężczyzna miał wiele wątpliwości, to był na tyle zaintrygowany, żeby spróbować go znaleźć, licząc na to, że zobaczy te „cuda” na własne oczy.

Po kilku godzinach marszu przez pokryte drzewami wzgórze i zdradliwe ścieżki wiodące wzdłuż krawędzi stromych przepaści Tony dotarł na wysokość około 1800 metrów nad poziomem morza i tam spotkał starca w prostym odzieniu, stojącego na krawędzi małego płaskowyzu. Zupełnie jakby na niego czekał. Z boku znajdował się stromy wąwóz, przez który pędził strumień.

Nie przywitawszy się nawet z młodym oficerem, fakir spytał Tony'ego wprost, czego chce.

– Podobno umiesz czynić cuda – odpowiedział zaskoczony marynarz.

– Zbytni z ciebie materialista – odparł starzec – ale dam ci to, czego chcesz.

Na chwilę nastąpiła cisza, fakir się zastanawiał. Tony uśmiechnął się

z zażenowaniem, nagle uświadamiając sobie to zderzenie kultur.

– Popatrz w stronę tych wzgórz, synu – powiedział w końcu fakir.

Młodzieniec nie wiedział, czego się spodziewać.

– Tych wzgórz? – powtórzył, wskazując na wyraźne szczyty na wschodzie.

Fakir potwierdził łagodnym skinieniem głowy, a Tony posłusznie odwrócił się, by je obejrzeć.

– Widzisz? – spytał fakir.

Zdezorientowany Tony podrapał się po głowie, a potem znów odwrócił się do swojego rozmówcy.

– Przykro mi, ale nie...

Mężczyzny jednak nie było.

– No i co, synu?! – zawołał fakir z drugiego brzegu strumienia. – Dostarczyłem ci rozrywki?

Tony stał przez chwilę, próbując pojąć, jak siedemdziesięciolatkowi udało się wskoczyć do wody i przebiec przez rwący strumień w zaledwie kilka sekund. Uśmiechając się do siebie, patrzył, jak fakir powoli wybiera drogę wzdłuż skalistego brzegu, a potem znika w zaroślach.

Towarzystwo Badań Parapsychologicznych, którego częścią był oddział Tony'ego przy Uniwersytecie w Cambridge (noszący angielską nazwę Cambridge University Society for Psychical Research, CUSPR), zostało założone w 1882 roku głównie w odpowiedzi na dziwną manię, która ogarniała naród. Jej źródłem stał się mały drewniany domek położony w malutkiej wiosce Hydesville w stanie Nowy Jork. To właśnie tam w 1848 roku dwie siostry – Kate i Margaret Fox – podobno skontaktowały się z duchem zmarłego mężczyzny, który komunikował się z nimi poprzez serię stuknięć i łoskotów. Innymi słowy, twierdziły, że nawiązały kontakt z „poltergeistem” i w ten sposób nieumyślnie wywołały ruch, który nazwano później spirytualizmem. Gdy niewiarygodne opowieści sióstr Fox rozprzestrzeniły się po Wielkiej Brytanii, nie minęło wiele czasu, a wszyscy: od pokojówek po królową Wiktorię, odbywali seanse i próbowali nawiązać kontakt ze zmarłymi.

Ruch zyskiwał popularność na całym świecie; popularne stawały się też historie o całym mnóstwie nagłych, dziwnych, paranormalnych zdarzeń. Dla osób owładniętych naukowym ferworem epoki oświecenia pojawienie się takich opowieści było przerażającą reakcją na coraz bardziej racjonalistyczne i ateistyczne reguły napędzające w tamtym czasie działalność akademicką. Jednak chociaż wiele osób w środowisku naukowym z góry lekceważyło zjawiska paranormalne, nieliczni naukowcy, między innymi Henry i Eleanor Sidgwickowie oraz William Barrett i Edmund Gurney, postanowili „podejść do tych różnorodnych problemów bez uprzedzeń i jakichkolwiek odgórných założeń [...] stosując tę samą dokładną i obiektywną analizę, jaka pozwoliła nauce rozwiązać tak wiele problemów, kiedyś równie tajemniczych i równie gorąco dyskutowanych”[1]. Tak narodziło się Towarzystwo Badań Parapsychologicznych, pierwsi pogromcy duchów na świecie.

Oddział w Cambridge otwarto w 1906 roku; pięćdziesiąt lat później istniał głównie jako organizacja dla myślących podobnie ludzi, którzy mogli się spotykać i dzielić opowieściami na temat najnowszych prac i poznanych teorii. Czasami jednak, kiedy mieli szczęście, pojawiała się okazja do bardziej praktycznych działań, na przykład ta, którą Tony przedstawił grupie pewnego wieczoru w listopadzie 1957 roku. Parę dni wcześniej dowiedział się o ciekawym przypadku; skontaktował się z nim wówczas młody dziennikarz z Wisbech, miasta położonego jakieś sześćdziesiąt kilometrów na północ od Cambridge.

Na początku października Anthony Wilmot, który pracował dla gazety „Wisbech Advertiser”, usłyszał przypadkiem rozmowę o dziwnych zjawiskach w starej posiadłości znanej jako Hannath Hall, położonej w regionie The Fens – niedaleko od miejsca, gdzie mieszkał. Jak się później okazało, dom od lat nawiedzały duchy. Wilmot nie przepadał za głupimi opowieściami o duchach, ale gdy dowiedział się, że jeden z obecnych lokatorów to Derek Page, miejscowy kandydat z ramienia Partii Pracy, nie mógł się oprzeć – postanowił tę historię zbadać.

Umówił się na wywiad z Derekiem i jego żoną Audrey, a także z matką Audrey – Rose, która mieszkała z rodziną. Przyszedł na miejsce z dość niepoważnym nastawieniem i zastał domowników w stanie pewnego wzburzenia. Przez kolejną godzinę raczyli go najróżniejszymi dziwnymi opowieściami o swoich doświadczeniach

od chwili, gdy dwa miesiące wcześniej przyjechali z Cheshire.

Audrey opowiedziała, że już po kilku dniach spędzonych w nowym domu obudził ją nad ranem bardzo wyraźny odgłos upartego stukania, które zdawało się mieć źródło tuż obok jej sypialni. Sądząc, że tylko to sobie wyobraziła, odwróciła się i chciała z powrotem zasnąć, ale dźwięk rozległ się po raz kolejny – tym razem był nieco głośniejszy. Audrey wyprostowała się w łóżku. To na pewno nie był Derek – w ciągu tygodnia mieszkał w Ipswich z powodu pracy – założyła więc, że musiało to być jedno z dzieci albo może jej matka, która spała w sypialni naprzeciw.

– Tak? – wyszeptała Audrey w ciemności. – Halo?

Puk, puk – rozległa się odpowiedź.

Audrey uniosła się gwałtownie i szybko zapaliła lampkę nocną.

– Halo? – zawołała znowu.

Ale odpowiedzi nie było.

Próbując się uspokoić, wstała z łóżka i ostrożnie podeszła do drzwi. Drżącą ręką chwyciła klamkę i odrobinę uchyliła drzwi, wyglądając przez szparę na korytarz.

Nikogo tam nie było.

Od tamtej nocy rodzina słyszała podobne stuknięcia i uderzenia w całym domu. Audrey była pewna, że kiedy indziej słyszała odgłos kroków na schodach i wyraźne przenoszenie ciężaru z jednej nogi na drugą. Była wtedy sama w domu.

Parę tygodni później Rose, matka Audrey, obudziła się, czując, że jej łóżkiem coś gwałtownie wstrząsa. Niedługo potem, choć była po części głucha, w środku nocy obudził ją rozlegający się tuż za drzwiami łoskot tak głośny, że nie dało się wyjaśnić, skąd się wziął – brzmiało to tak, jakby roztrzaskały się same drzwi.

Sam Derek nie słyszał tych hałasów i żartował, że to pewnie torysi, dawni właściciele, przewracają się w grobach na myśl, że on tu mieszka. Opowiedział jednak własną dziwną historię. Niedługo po ich przeprowadzce jego matka przyjechała z Manchesteru w odwiedziny na kilka tygodni. Po paru nocach, które spędziła w dotąd nieużywanej sypialni, zaczęły ją nawiedzać powracające dziwaczne, potworne koszmary. Kilka razy unosiła się poza ciałem i patrzyła na siebie pogrążoną we śnie; miała przy tym bardzo wyraźne uczucie, że coś potwornie złośliwego próbuje ją

odciągnąć i że jeśli nie wróci do swojego ciała, już nigdy się nie obudzi. Innym razem tkwiła uwięziona pod kopytami konia, który gwałtownie kopał ją w twarz. Po niecałym tygodniu, gdy dodatkowo zaczęła słyszeć odgłosy, pospiesznie wróciła do Manchesteru.

Audrey i Rose powiedziały młodemu dziennikarzowi, że stukanie nasiliło się w ciągu kilku ostatnich tygodni i że zdawało się coraz częściej dochodzić z jednego pokoju. Rodzina przypuszczała, że pokój ten, położony po północnej stronie na pierwszym piętrze, kiedyś był sypialnią – wskazywała na to jego wielkość – ale obecnie używano go jako schowek. Ponieważ był jedynym pomieszczeniem w budynku, gdzie nie zamontowano instalacji elektrycznej, Page'owie uznali, że może dalej służyć jako przechowalnia, i rzadko mieli powód, by tam zaglądać. Po wyjściu z Hannath Hall tamtego popołudnia Wilmot postanowił poszperać trochę na własną rękę. I właśnie wtedy, jak kilka tygodni później wyjaśnił Tony'emu przez telefon, zrobiło się ciekawie.

Odkrył, że dom został zbudowany mniej więcej w XVI wieku i uważano, że jego pierwszym właścicielem był Richard Sparrow – a od nazwiska właściciela nazywano posiadłość Sparrow's Nest, czyli gniazdem wróbla. Przez lata przechodziła z rąk do rąk, a obecną nazwę zyskała, gdy została zakupiona przez Josepha Hannatha w 1812 roku. W 1899 roku dom został sprzedany po raz kolejny, tym razem George'owi Williamsowi, który postanowił zachować nazwę Hannath Hall. Wilmot skontaktował się z Hugh Williamsem, obecnym właścicielem budynku i wnukiem George'a, by dowiedzieć się więcej. Ku jego zaskoczeniu Hugh i jego bliscy, którzy mieszkali w domu przez czterdzieści lat, zanim zdecydowali się wynająć go Audrey i Derekowi, dobrze znali dziwne zjawiska w budynku. Hugh opisał zdarzenie sprzed kilku lat, o którym opowiadał mu jego brat Peter. Mężczyzna, przebywając samotnie w domu, zobaczył, jak gałka w drzwiach sama się obraca. Innym razem bratanice Hugh miały wyraziste koszmary, gdy spały w nieużywanym już pokoju na skraju budynku, a obudziwszy się pewnej nocy, zobaczyły, że nad nimi unoszą się zakrwawione dłonie.

– Czy to nie była przypadkiem sypialnia od strony północnej? – spytał Wilmot.

– Chodzi panu o nawiedzoną sypialnię? – odparł Hugh.

Jak się okazało, rodzina Hugh tak właśnie nazywała to pomieszczenie ze względu

na zasłyszana mroczną historię o jednym z poprzednich właścicieli budynku.

Na długo przed założeniem instalacji elektrycznej „nawiedzony pokój” był w domu jedyną dużą sypialnią. Zgodnie z opowieścią właśnie tam zmarła młodo żona byłego właściciela Josepha Hannatha, który kupił posiadłość od swojego ojca w 1812 roku. Po jej śmierci Joseph pogrążył się w takiej rozpacz, że nie był w stanie pozwolić na pochówek żony i postanowił umieścić jej ciało w otwartej trumnie, którą trzymał przy małżeńskim łóżu. Przez sześć tygodni popadający w coraz większe szaleństwo Joseph wciąż nakazywał służącym, by przynosili żonie trzy posiłki dziennie, tymczasem jej ciało stopniowo się rozkładało. W końcu, gdy smród stał się nieznośny, Joseph odzyskał zmysły na dość długi czas, by zabrać zwłoki do ogrodu, gdzie podobno pogrzebał je pod dużym kasztanowcem.

Jak powiedział potem Wilmot w rozmowie telefonicznej z Tonym, pierwszy artykuł został dobrze odebrany, a że zbliżało się Halloween, spytał Dereka i Audrey, czy mogłby spędzić noc w ich domu i być może napisać o tym kolejny artykuł. Małżeństwo chciało dowieść, że niczego nie zmyślają, chętnie więc ugościli Wilmota, który wrócił do Hannath Hall 31 października, by przeprowadzić śledztwo – tym razem dołączyli do niego starszy kolega z redakcji, przyjaciel z okolicy i jego labrador Simba.

Tej nocy, gdy zbliżała się godzina duchów, a Audrey, Rose i dzieci mocno spały, Derek, Wilmot i jego kolega zajęli pozycje u szczytu schodów, a przyjaciel i Simba trzymali wartę w starej sypialni. Pomimo początkowych nerwowych żartów nie trzeba było dużo czasu, by wszystkich ogarnął nastrój niesamowitości. Kiedy gdzieś w głębi domu zegar wybił północ, Simba zaczął żałośnie skomleć. Dało się słyszeć hałas z nieużywanej sypialni w głębi, ale żaden z mężczyzn nie miał odwagi sprawdzić, co to było. Chwilę później wszyscy wyczuli wyraźny spadek temperatury, a następnie zapach drewna sandałowego, który zdawał się przemieszczać tam i z powrotem po korytarzu.

Co prawda tamtego wieczoru nie zdarzyło się wiele więcej, jednak – czy to przez nastrój całego dnia, czy przez sugestywną atmosferę starego budynku – kiedy o 2.30 nad ranem mężczyźni w końcu postanowili zakończyć obserwację, mieli wyraźne wrażenie, że czegoś doświadczyli. Minęło parę dni i Wilmot, nie mogąc zapomnieć o tamtym wieczorze, postanowił skontaktować się z Towarzystwem Badań Parapsychologicznych.

Jest 17 listopada, parę minut po ósmej wieczorem, a na niebie widać tylko cieniutką kreskę księżyca w nowiu, kiedy Tony i jego koledzy z CUSPR: Alan Gauld, David Murray i Michael Brotherton, zbierają się przed mieszkaniem Tony'ego, po czym cała czwórka wsiada do jego samochodu i ruszają do Wisbech. Za nimi znikają wieże uniwersytetu i strzeliste miejskie budynki; już wkrótce przekraczają granicę miasta, zagłębiając się w ciemność wschodnioangielskiej wsi. Gdy jadą na północ po wijących się, wiejskich drogach, a ich oczy przyzwyczajają się do mroku, przed nimi ukazuje się usiane gwiazdami niebo, a poniżej pędzą im naprzeciw dziwne równiny intensywnie czarnej ziemi i migoczące strumienie regionu The Fens.

Właśnie minęła dziesiąta, kiedy mężczyźni w końcu docierają do Wisbech, ładnego miasta targowego położonego nad brzegiem rzeki Nene. Ta stolica regionu to jeden z rzadkich stałych punktów w zmieniającym się krajobrazie. Czteryście lat wcześniej okolica, ze swymi zdradliwymi torfowiskami i zmiennymi ziemiami, była niebezpiecznym miejscem dla nieprzygotowanych podróżników, którzy okazali się na tyle nierozsądni, by uganiać się za błędnymi ognikami, często tańczącymi nad ruchomą powierzchnią. Choć na razie teren może się wydawać ujarzmiony, The Fens pozostaje krainą graniczną, gdzie to, co stałe, miesza się z tym, co ruchome, historie zmywane są z powierzchni ziemi, a nieustanne zmiany przypominają o tym, że trwałość to iluzja.

Skręciwszy do centrum miasta, mężczyźni zastają Wilmota, niskiego człowieka w okularach, czekającego na nich przed hotelem Rose and Crown razem z dwójką przyjaciół, których bez zapowiedzi zabrał ze sobą. Wygląd obu mężczyzn, którzy przedstawiają się jako Trumpess i Perryman, od razu budzi podejrzenia Alana – niepokoi się, że być może na polecenie dziennikarza mają później zapewnić wystąpienie „dziwnych” zjawisk.



Mgła nad regionem The Fens

– Powinniśmy ich pilnować – ostrzega pozostałych, kiedy znów ruszają.

Grupa jedzie dalej w konwoju za samochodem Wilmota i niedługo potem po raz kolejny wjeżdżają między pola i rzeki migoczące na krawędzi fenlandzkich równin, które zdają się stapiać z nocą. Nagle temperatura gwałtownie spada. Mężczyźni zdenerwowani patrzą, jak gęsta mgła zaczyna spowijać pola, aż w końcu niemal pochłania samochody. Tony wysiła się, by nie stracić z oczu świateł auta Wilmota, a Alan ma trudności ze znalezieniem ich położenia na mapie. Mniej więcej po kolejnych dziesięciu minutach Tony zauważa, że Wilmot ostro skręca w lewo – jak twierdzi Alan, jadą teraz w kierunku małej wioski Tydd Saint Mary. Auto dziennikarza znika we mgle, więc nie mają wyjścia – muszą jechać drogą prosto przed siebie. Po niecałym kilometrze mgła w końcu zaczyna się rozwiewać i widzą samochód Wilmota zaparkowany kawałek dalej, na początku drogi dojazdowej. A niecałe pięćdziesiąt metrów za nim, ukryty w mroku i wśród gęstych drzew, majaczy górujący nad wszystkim Hannath Hall. Gdy Tony skręca w drogę wjazdową, mijając rząd drzew, duży budynek z czerwonej cegły wyłania się z ciemności.

Można się poczuć jak w mrocznej bajce, kiedy się patrzy na tę elżbietańską posiadłość z pięcioma sypialniami, zwieńczoną stromym dwuspadowym dachem i osłoniętą drzewami, które wydają się niezwykle wysokie jak na tę okolicę; stateczną symetrię budynku zaburza dziwne rozmieszczenie centralnych okien. Fakt, że wszystkie okna zdają się bardzo małe jak na tak dużą fasadę – i że tylko jedno jest teraz oświetlone od środka – nie pomaga rozwiać złowieszczej atmosfery, jaką wywołuje widok tej ciężkiej bryły. Gdy patrzy się na nią z bliska, na to, jak jej linie wykrzywiły się i powyginały z wiekiem, i z jaką żądzą zdaje się przejmować ją we władanie wijący się po ścianach bluszcz, ma się wrażenie, że jest to tak samo naturalna część krajobrazu jak każda brzoza czy olcha w okolicy.

Mężczyźni wysiadają z samochodu, nie zapominając o notatnikach, i zaskakuje ich zneruchomienie. Niespokojne wycie zwierzęcia dochodzące z ciemnych pól naprzeciw przerywa ciszę.

– Imponujący, prawda? – mówi Wilmot, podchodząc do drzwi. – Chodźcie, przedstawię was.

Derek i Audrey są w kinie, a dzieci leżą już w łóżkach, więc to Rose wychodzi, by powitać mężczyzn. Zaprasza ich do środka, by usiedli w salonie, dość niewielkim pomieszczeniu w przedniej części domu. Rose znika, by przygotować kawę i herbatę, a mężczyźni zajmują miejsca przy stole. Gdy ciepły ogień migocze i trzaska w kominku w głębi salonu, Wilmot wykorzystuje okazję, by ponownie opowiedzieć o swojej ostatniej wizycie. Niedługo potem rozmowa schodzi na nawiedzoną sypialnię.

– Tak, też słyszę, że to dochodzi stamtąd – mówi Rose, wnosząc napoje do salonu, głosem ledwie słyszalnym pośród coraz głośniejszej rozmowy mężczyzn.

– Co takiego? – pyta Tony, gdy Rose zajmuje miejsce obok niego przy stole.

– Potworne pukanie. – Słowa kobiety sprawiają, że w pokoju nagle zalega cisza.

– Słyszała je pani ostatnio, pani Halls? – pyta Alan, gdy wszyscy przysuwają się, by jej posłuchać.

– O tak, słyszałam je zaledwie przed dwiema godzinami – odpowiada.

W tym momencie rozlega się odgłos otwieranych drzwi frontowych. Wchodzą Derek i Audrey; przeprosiwszy za spóźnienie, szybko przedstawiają się Tony'emu

i reszcie grupy.

Już dziesięć minut później Audrey oprowadza ich po domu – najpierw pokazuje im dużą łazienkę od strony północnej, następnie znów prowadzi ich do salonu, wskazując na spizarkę i kuchnię po boku. Potem przeprowadza ich przez imponującą jadalnię położoną z tyłu po południowej stronie budynku oraz równie imponujący pokój wypoczynkowy z przodu. Idą dalej, na górę, po schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Audrey wyjaśnia, że to właśnie na tych schodach niedługo po przeprowadzce usłyszała kroki. Korytarz na piętrze oświetla jedna żarówka, która migocze słabo, walcząc z cieniami. Pod ścianami stoją liczne stare eksponaty militarne, które należały do wielu pokoleń rodziny Williamsów.

Następnie Audrey wskazuje sypialnię matki w głębi, a potem główną sypialnię, gdzie śpi razem z Derekiem, dokładnie naprzeciw. Przechodząc cicho po wyłożonym grubym dywanem korytarzu, mijając wyeksponowane stare miecze i pistolety skałkowe, Audrey zatrzymuje mężczyznę przed pokojem dzieci i delikatnie popycha drzwi, odsłaniając dwa małe ciała trzyletniego syna i pięcioletniej córki śpiących mocno w swoich łóżkach. Idą dalej. Tuż za pokojem dzieci po prawej znajduje się gościnnie sypialnia, w której matkę Dereka dręczyły koszmary. Potem w końcu docierają do dużego nieużywanego pokoju od północy.

– Nawiedzona sypialnia – odzywa się z tyłu Wilmot.

– Nazwijmy ją sypialnią A, dobrze? – proponuje Alan, chcąc zachować profesjonalizm.

– Mogę? – pyta Tony, zerkając na Audrey.

– Proszę. Ale tutaj nie ma światła, muszą panowie włączyć latarki.

Tony uchyla drzwi i gdy drogę oświetla mu światło latarek Alana i Michaela, prowadzi grupę do środka.

Przesuwając strumień światła po pomieszczeniu, znajdują kilka skrzyń ustawionych w rogu po lewej stronie, na których poukładane są książki i krzesła. Trzy krzesła i toaletka w głębi, a w dalszym rogu po lewej oparte o ścianę części rozmontowanego mosiężnego łóżka. Wokół znajduje się też parę innych przedmiotów, między innymi dwa materace leżące obok siebie na podłodze pod ścianą z oknem. Wilmot wyjaśnia, że

leżały tam, kiedy ostatnio odwiedził dom i razem z przyjaciółmi trzymał nocną wartę. Alan i Tony zgadzają się, że dobrze byłoby je tak zostawić, żeby można było później na nich usiąść.

Następnie Derek wyprowadza grupę na zewnątrz, by pokazać otoczenie domu, ale nie znajdują tam niczego godnego uwagi. Kiedy wracają do środka, po szybkiej synchronizacji zegarków Alan idzie znów na górę, na korytarz, by zacząć wstępną obserwację, a Tony, David i Michael zbierają wszystkich w salonie, żeby mieć ich na oku.

– Pomyślałem, że możemy zacząć od seansu – mówi Tony, sięgając po kieliszek na wino stojący w pobliskim kredensie i stawiając go do góry dnem na stole. Po pokoju rozchodzi się fala ekscytacji, ale pan Trumpess wygląda na zaniepokojonego.

Tony nie powiedział im, że wymyślili wybieg z seansem tylko po to, żeby pilnować pozostałych, kiedy rozpoczną swoje badania.

Kiedy wszyscy w końcu siadają, Tony wyjmuje z kieszeni talię kart – to litery alfabetu, liczby od zera do dziewięciu oraz słowa „TAK” i „NIE” – i wyklada je w szerokim kole wokół kieliszka.

– Jak miemam, wszyscy znają tablice do seansów spirytystycznych?

Zgromadzeni entuzjastycznie kiwają głowami i przysuwają się bliżej.

Tony sięga po stojącą na kominku świecę i stawia ją na stole, po czym zapala ją jedną zapalką.

Tymczasem na górze, w słabo oświetlonym korytarzu, po dotarciu do północnego krańca domu, Alan zamyka drzwi sypialni A i ustawia tuż przed nimi mały stolik, na którym jest umieszczony termometr. Temperatura wynosi teraz piętnaście stopni Celsjusza; mężczyzna zapisuje ją i idzie z powrotem na dół.

– Gotowe – mówi do Tony’ego, zaglądając do salonu.

– Świetnie – odpowiada Tony. – Zaczynamy. Dereku, czy mogę prosić o zgaszenie świateł?

Derek gasi główne światło i siada z powrotem. Alan tymczasem zapala latarkę i znów idzie na piętro.

Gdy wszyscy siedzą oświetleni migoczącym, żółtym płomieniem świecy

i dogasającym żarem w kominku, Tony prosi państwa Page'ów, Wilmota i jego przyjaciół oraz Rose, Michaela i Davida, by położyli palce na odwróconym kieliszku.

– Czy ktoś tam jest? – pyta Tony.

Nie ma odpowiedzi.

Rozlega się urywany nerwowy śmiech, po czym Tony pyta znowu:

– Czy ktoś tam jest?

– Patrzcie, rusza się! – woła Rose.

Cała uwaga skupia się na kieliszku, który wyraźnie zaczyna przesuwać się po stole.

– Czy ktoś tam jest? – powtarza Tony.

Na górze, w kompletnym mroku, stojący u szczytu schodów Alan stara się zignorować głosy dochodzące z kuchni, kiedy słyszy głośny trzask. Chociaż nie ma pewności, to zdaje mu się, że dźwięk dochodził z sypialni A. Kieruje latarkę w głąb korytarza i ku swemu zaskoczeniu dostrzega, że drzwi są nieco uchylone. Zaniepokojony, od razu oświetla latarką szparę w drzwiach i powoli zaczyna iść w stronę pokoju. Przystaje, by sprawdzić, czy dzieci nadal śpią, a potem idzie dalej, do końca korytarza. Zatrzymuje się przed sypialnią A i znów nasłuchuje odgłosów dochodzących ze środka.

Wilmot wciąga gwałtownie powietrze, gdy kieliszek zaczyna przesuwać się po powierzchni stołu, aż zatrzymuje się tuż przed kartą z napisem „TAK”.

– Dajcie spokój, które to robi?

– To może być ktokolwiek z nas – odpowiada Tony.

– To na pewno nie ja, prawie go nie dotykam, popatrzcie! – woła Derek.

– Cii – przerywa Audrey. – Musimy się skupić.

– Dziękuję, Audrey. Może chciałabyś zadać następne pytanie?

Audrey nerwowo patrzy na Tony'ego i robi dramatyczną pauzę, aż w końcu pyta:

– Kim jesteś?

Na górze Alan, który, nie usłyszawszy kolejnego trzasku, właśnie wrócił na środek korytarza i zgasił latarkę, czuje, że temperatura gwałtownie spadła. Następnie

w południowym krańcu korytarza rozlega się wyraźny odgłos kroków zmierzających w górę po schodach.

– T... – mówi Tony, gdy kieliszek przesuwa się dalej po literach – i... H. Hannath? Chcesz powiedzieć „Hannath”?

Inni patrzą w pełnej zadziwienia ciszy, jak kieliszek przesuwa się z powrotem w stronę karty z napisem „TAK”.

Odgłos kroków narasta. Idąc w stronę szczytu schodów, Alan wciąż oświetla latarką korytarz, ale kiedy kieruje światło na dół, nikogo tam nie ma.

Kiedy Alan niedługo potem wraca do salonu, seans zostaje zakończony, a zespół CUSPR wycofuje się do pokoju wypoczynkowego, by omówić, co odkryli. Alan opowiada o odgłosach, które słyszał, ale przypuszcza, że były to tylko zwykłe trzaski starego domu. Z kolei pozostali opowiadają o seansie spirytystycznym, snując podejrzenia, że kieliszkiem mogli kierować Wilmot albo jego kolega Perryman. Po krótkiej przerwie na herbatę i kanapki w salonie Tony i Alan ruszają, by rozpocząć obserwacje w sypialni A, tymczasem David i Michael zaczynają kolejny seans, by mieć na oku wszystkich pozostałych i upewnić się, że nikt nie próbuje ich oszukać.

Tuż po wpół do drugiej, gdy pozostali znów zbierają się wokół stołu w salonie, Tony i Alan zapalają latarki i ruszają w stronę sypialni A. Kiedy mijają sypialnię dzieci, Tony szybko zagląda do środka i widzi, że oboje dalej mocno śpią w swoich łóżkach. Alan zerka na termometr pozostawiony przed drzwiami pokoju A i z zaskoczeniem widzi, że słupek rtęci spadł o całe pięć stopni. Słyszając dochodzące z kuchni stłumione głosy, mężczyźni otwierają drzwi i wchodzą do środka.

W salonie Michael rozkłada na nowo koło z kart i stawia na środku kieliszek wina. David zapala świecę i znowu gasi główne światło, a potem wraca do stołu.

– Zobaczmy, czego się dowiemy tym razem – mówi Michael, kładąc palec na kieliszku. Gdy pozostali robią to samo, nagle zapada cisza i wszyscy wbijają wzrok w puste naczynie.

– Czy ktoś tam jest? – pyta David.

Na górze Alan i Tony oświetlają sypialnię latarką i widzą, że nic się nie zmieniło od czasu, gdy ostatnio ją oglądali. Tony zauważa, że chyba ktoś zasłonił fragment oddalonego kąta, i podchodzi, by to sprawdzić. Wygląda to na jakąś płytę azbestową, którą Tony ostrożnie odchyła nieco od ściany, ale znajduje za nią jedynie małą, pustą przestrzeń. Widząc, że nikt nie ukrywa się w pokoju razem z nimi, Alan zamyka drzwi i zasuwę. Każdy zajmuje jeden materac – siadają twarzami do siebie, a ich stopy się dotykają, by obaj byli pewni, że jeden nie próbuje oszukać drugiego. Alan przykrywa ich kocem – to drugi środek ostrożności – i kiedy już siedzą na miejscach, gaszą latarki, pogrążając się w całkowitej ciemności.

—

– Może dziś już nie wróci – mówi przybity Derek.

Wszyscy wzdychają i cofają palce z kieliszka, który nie poruszył się nawet na milimetr, odkąd zaczęli.

Michael sugeruje, by Rose spróbowała zadać kolejne pytanie.

Rose odczekuje chwilę, a potem pyta:

– Czy ktoś tam jest?

Przez chwilę nic się nie dzieje. Ale potem, z początku niemal niedostrzegalnie, kieliszek zaczyna się poruszać.

– Co to? – pyta Tony, oświetlając latarką kąt pokoju.

Alan robi to samo.

– Nieważne, nic tam nie było – mówi Tony i z powrotem siada.

– Rany, prawie dostałem przez ciebie zawału.

– Czekaaj, tam! Słuchaj!

Alan zapala latarkę i oświetla nią pokój.

– Nie, nie zapalaj. Tylko słuchaj... – mówi Tony.

– Nazywasz się Hannath, czy możesz potwierdzić? – pyta Rose.

Wszyscy patrzą zafascynowani, jak kieliszek przesuwają się po stole w stronę karty z napisem „TAK”, a potem wraca na środek kręgu.

– Dlaczego tu jesteś?

Tym razem szybciej, kieliszek przesuwają się od jednej karty do kolejnej, prędko literując słowa: „Szukam kogoś”.

Rose nerwowo zerka na córkę.

– Kogo... kogo szukasz? – pyta.

Ale kieliszek się nie porusza.

– Czy dasz nam znak swojej obecności? – próbuje znowu kobieta.

Po chwili przerwy kieliszek znów porusza się w stronę karty ze słowem „TAK”...

– Tam! Słyszałeś? Po twojej lewej, tuż obok – ekscytuje się Tony.

Słysząc to znowu, tym razem wyraźnie, nie ma wątpliwości – trzy stuknięcia w podłogę na lewo od Alana.

– Dobry Boże...

– Halo? Czy możesz znowu zapukać trzy razy?

Puk, puk, puk.

– Nie wierzę – mówi Alan, a potem dodaje szybko: – Zapukaj raz na „tak” i dwa razy na „nie”. Rozumiesz?

Puk...

– Chyba tak naprawdę nie sądzisz, że da o sobie znać, co? – pyta Audrey.

– Spróbuj czegoś innego – nalega Derek.

– Gdzie teraz jesteś? – pyta Rose.

Kieliszek znów zaczyna się poruszać, ale tym razem powoli, w sposób o wiele bardziej wyważony. Zatrzymuje się przy literze G, następnie E, a potem wędruje do H po kręgu, aż literuje słowo GEHENNA i wraca na środek.

– Ge... henna? Tak powiedziało? Nie ma takiego słowa.

– To musi być pomyłka, spróbuj znowu – mówi Wilmot.

– Chwila, nikt nie zna tego słowa? – pyta David, rozglądając się po ponurych twarzach. Nagle cofa palec z kieliszka.

– Co się dzieje? – pyta Rose.

– Nie wiem, czy powinienem...

– Proszę nam powiedzieć – upiera się Wilmot.

David wyjaśnia, że Gehenna, hebrajskie słowo oznaczające Dolinę Hinnoma, opisuje miejsce na południe od góry Syjon pod Jerozolimą – tam podobno królowie judzcy składali ofiary ze swoich dzieci, paląc je żywcem. To także synonim piekła.

– Jesteś mężczyzną? – pyta Tony.

Puk, puk – rozlega się odpowiedź.

– Zmarłaś w tym domu?

Puk.

– Zmarłaś śmiercią naturalną?

Puk, puk...

Grupa na dole, zaniepokojona teraz informacją podaną przez Davida, gwałtownie przerwała seans. Perryman i Trumpess postanawiają dać sobie na dzisiaj spokój i choć Wilmot prosi ich, by zostali trochę dłużej, w końcu zgadza się pojechać razem z nimi do domu. Dziennikarz jest rozczarowany, że nie będzie miał okazji porozmawiać z Tonym i Alanem przed wyjściem, ale David obiecuje, że skontaktuje się z nim, gdy tylko spiszą oficjalne raporty. Niedługo potem trójka przyjaciół odjeżdża z powrotem w stronę Wisbech, zostawiając państwa Page'ów z członkami CUSPR na resztę wieczoru.

—

Gdy tamci odjeżdżają, Michael i David ruszają na górę, żeby powiadomić Alana i Tony'ego. Są oszołomieni, gdy dociera do nich dochodzący z sypialni odgłos pukania w odpowiedzi na pytania kolegów. Alan wyjaśnia zza drzwi, że przez ostatnie dziesięć

minut komunikują się z jakąś istotą płci żeńskiej, która twierdzi, że została zamordowana w tym domu w 1906 roku. Prosi Davida i Michaela, by sprawdzili pokój poniżej i upewnili się, że nikt tam nie stuka. Mężczyźni szybko rozstawiają pułapkę przed sypialnią, przywiązując nitkę do dwóch pulpitów na nuty – na wypadek, gdyby ktoś chciał zakraść się korytarzem pod ich nieobecność, a potem idą do pokoju piętro niżej. Rodzina dalej siedzi w salonie, gdy Michael i David wchodzą do łazienki i sprawdzają, czy nikt tam nie stroi sobie żartów.

Tymczasem w sypialni A pukanie staje się coraz głośniejsze i bardziej uporczywe, gdy Tony i Alan nadal przepytują istotę.

– Ile miałś lat w chwili śmierci? – pyta Alan.

Następuje chwila ciszy, po czym głośne BAM, BAM, BAM rozlega się po przeciwnych stronach pokoju, a z każdym stuknięciem dźwięk zbliża się do Tony'ego. W końcu rozlega się czwarte uderzenie w mosiężną ramę łóżka obok jego głowy. Tony zeskakuje z materaca.

– Za blisko! Może sprawdzimy, co robią tamci na dole?

Coraz bardziej niespokojny Alan chętnie zgadza się na przerwę. Zabiera latarkę z materaca i pospiesznie podchodzi do wyjścia. Na dźwięk kolejnego głośnego stuknięcia Alan otwiera drzwi i wpada prosto w pułapkę zastawioną przez Davida i Michaela. Pulpity z łoskotem przewracają się na podłogę, a mężczyzna zatacza się z powrotem do sypialni. Ponieważ Tony jest tuż za nim, obaj muszą na chwilę się cofnąć i wtedy słyszą w środku dziwne dudnienie. Tony kieruje w tę stronę latarkę – w samą porę, by zobaczyć, jak jedno z krzesel unosi się w powietrze i zostaje rzucone na materac, na którym przed chwilą siedział. Zszokowany Tony oświetla latarką krzesło, wpatrując się w nie tak długo, że zdaje się to trwać całe godziny. Pewien, że ponownie się nie ruszy, podnosi je i odstawia z powrotem na stertę skrzyń, ale ono po raz kolejny zsuwa się na podłogę, sprawiając, że obaj mężczyźni podskakują. Tony przeklina, podnosi krzesło jeszcze raz i kładzie je stabilnie na skrzyniach.

– Tony prawie oberwał krzesłem i dostajemy wyraźne komunikaty – mówi Alan, biegnąc do łazienki; niemal widać, jak przepływa przez niego adrenalina.

Michael i David umawiają się, że będą pilnować rodziny, tymczasem Alan i Tony opanowują się i wracają do sypialni A, by zakończyć przepytanie.

Wchodząc z powrotem do pomieszczenia, Tony wzdycha, gdy widzi kolejne krzesło, które przemieściło się na podłogę i blokuje teraz drogę od drzwi, oraz kartonowe pudło, które zostało postawione na jednym z materacy. Niezrażeni mężczyźni odsuwają przedmioty i wracają na swoje prowizoryczne łóżka, by zacząć na nowo zadawać pytania. Po raz kolejny pytają istotę, ile miała lat, kiedy zmarła.

Po kilku minutach David i Michael słyszą poruszenie w salonie. David wchodzi, by sprawdzić, co się dzieje. Okazuje się, że wrócił Wilmot ze swoimi dwoma kolegami. Samochód zepsuł im się niecały kilometr dalej, więc wrócili w nadziei, że ktoś ich podwiezie do Wisbech. Rodzina opowiedziała im o zdarzeniach z ostatnich kilku minut, więc Wilmot pyta, czy mogą jakoś pomóc, David jednak sugeruje, że najlepiej będzie, jeśli zostawią to im. Derek proponuje, że odwiezie trzech mężczyzn z powrotem, i niedługo potem, tuż po 2.20 w nocy, znowu wyruszają. Michael, który dosłyszał rozmowę, mimo woli zastanawia się, czy mężczyźni rzeczywiście mieli awarię i czy nie spędzili ostatnich dwudziestu minut na zewnątrz, próbując ich nabrać. Tym razem patrzy za samochodem aż do końca, gdy ten wyjeżdża z posesji, a potem znika na drodze w ciemnościach.

– W którym miesiącu zmarłaś? – pyta Tony.

W odpowiedzi słychać jedenaście puknięć.

– Jaki to był dzień?

Znowu rozlegają się puknięcia. Tym razem zdają się dochodzić z miejsca tuż obok Tony’ego, po prawej. Ale każdy kolejny odgłos, których teraz jest czternaście, rozlega się odrobinę bliżej mężczyzny. Tony w panice oświetla latarką to miejsce, na co, ku frustracji Alana, stuknięcia się urywają.

– Przepraszam, było za blisko – mówi Tony.

Daje sobie chwilę, by nad sobą zapanować, a potem znów gasi latarkę i powtarza pytanie. Pukanie rozlega się prawie natychmiast i powtarza się osiemnaście razy.

– Osiemnasty listopada 1906 roku, zgadza się?

Puk – słychać odpowiedź.

Aby się upewnić, że nikt nie finguje tej rozmowy, Tony sugeruje, by przy

następnym pytaniu wzięli się za ręce. Teraz, gdy mężczyźni siedzą naprzeciw siebie ze złączonymi podszewkami stóp i trzymając się mocno za ręce, Tony pyta znowu:

– Jesteś tam jeszcze?

Puk – rozlega się odpowiedź.

Na dole są już tylko tylko Rose i Audrey, więc Michael zostaje w salonie, by pilnować Rose, tymczasem David i Audrey, chcąc usłyszeć odgłosy na własne uszy, przechodzą do łazienki, by posłuchać ich od dołu. Przez następne dwadzieścia minut stoją razem w atramentowej ciemności, słuchając w milczeniu Tony’ego i Alana. Za każdym razem bez wyjątku, gdy tamci zadają pytanie, rozlegają się stuknięcia. Dopiero o 2.45 odgłosy zaczynają cichnąć, a Tony i Alan dochodzą do wniosku, że istota zmarła albo w wieku trzydziestu ośmiu, albo osiemdziesięciu trzech lat.

Prawie godzinę później Derek jest już w domu, a ponieważ mężczyźni z CUSPR w przerwie spisali wstępne raporty, są gotowi wrócić do badań. David chce sam doświadczyć tego, co się dzieje w nawiedzonym pokoju, a Michael zgadza się dotrzymać towarzystwa Page’om i Rose, podczas gdy pozostała trójka udaje się do sypialni A. Alan idzie przodem i mężczyźni po raz kolejny zatrzymują się przed pokojem dzieci, by sprawdzić, czy chłopiec i dziewczynka śpią. Zastają ich w łóżkach, pogrążonych we śnie. Oświetlając latarką koniec korytarza, Alan wzdryga się. Drzwi sypialni A są lekko uchylone.

– Co się dzieje? – pyta Tony.

– Zamykałem je, kiedy zesliśmy na dół.

Niezrażony Alan prowadzi pozostałą dwójkę do pokoju. Tony właśnie zamyka za nimi drzwi, kiedy rozlega się dziwny, metaliczny łoskot. Mężczyzna szybko oświetla wewnętrzny zamek, w który właśnie wbił się duży mosiężny widelec do różna, blokując im drogę wyjścia. Prędko się rozglądają, oświetlając pokój latarkami, ale nikogo tam nie ma, wszystko jest pogrążone w bezruchu i ciszy. Biorąc oddech, Tony wyciąga widelec z zamka i kładzie go obok. Cała trójka postanawia zająć miejsca na materacu bliżej środka pokoju.

Siadają w kręgu i każdy z mężczyzn opiera stopy o stopy pozostałych. Gaszą latarki. Potem w całkowitej ciemności wyciągają ręce i chwytają się za dłonie.

– Czy ktoś tam jest? – pyta Tony.

Cisza.

Po chwili daje się słyszeć coś bardzo łagodnego, jakby cichy szelest. Gdy nasłuchują, dźwięk narasta, teraz brzmi jak drapanie.

– Może to bluszcz przesuwa się po ścianie na zewnątrz albo to jakieś zwierzę? – sugeruje Alan.

Ale Tony nie jest tego wcale pewien. Teraz nasłuchuje uważniej, skupia się wyłącznie na odgłosie dochodzącym z ciemności po prawej. Gdy wpatruje się w ścianę w głębi, ma wrażenie, że sama ciemność zapada się w sobie i ciągnie go do siebie z jakiegoś odległego miejsca.

Chłodny powiew przemyka przez pokój, kiedy nagle David i Alan czują, że coś ciągnie ich za ręce. Ciało Tony’ego jakby wiotczeje.

– Zostaw mnie, zostaw! – krzyczy Tony, podrywając się gwałtownie, a potem nagle pochyla się do przodu i chowa twarz w dłoniach.

– Przepraszam, chyba zasnąłem.

Alan szybko sprawdza mu tętno i czuje, że pędzi z prędkością ponad dwóch uderzeń na sekundę.

– Co się stało?

– Coś mnie atakowało, chyba koń. Widziałem tylko kopyta kopiące mnie po głowie.

Tego samego doświadczyła matka Dereka podczas swojego krótkiego pobytu w tym samym pokoju.

David i Alan czekają chwilę, aż Tony się uspokoi, a potem – widząc, że jest gotów kontynuować – zaczynają znowu. Przez ponad godzinę mężczyźni siedzą w ciemności, trzymając się za ręce i rzucając pytania w powietrze, ale nie otrzymują już żadnej odpowiedzi. O piątej rano decydują się zakończyć badania, zbierają swoje rzeczy i schodzą na dół na ostatnią herbatę i odprawę. Tam Tony pokazuje rodzinie miedziany widelec – wszyscy twierdzą, że nigdy wcześniej go nie widzieli. Niedługo potem mężczyźni z Towarzystwa Badań Parapsychologicznych Uniwersytetu w Cambridge dziękują Rose i państwu Page’om za poświęcony czas i wracają do samochodu.

Na zewnątrz wciąż jest ciemno, kiedy Tony zatrzymuje się na końcu podjazdu i po raz ostatni patrzy na górujący nad okolicą Hannath Hall, po czym powoli wyjeżdża na drogę i rusza w stronę domu.

Żaden z mężczyzn nie będzie miał nigdy całkowitej pewności co do tego, czego doświadczyli tamtej nocy. Gdy zmierzają na południe, nie mija dużo czasu, a już rzeki, szerokie otwarte niebo i zaorane czarne ziemie regionu The Fens zostają zastąpione przez bardziej znajomy i trwały krajobraz. Gdy mijają granicę miasta Cambridge, blade zimowe słońce właśnie wychyla się zza horyzontu, a jego światło sprawia, że na niebie po licznych gwiazdach nie pozostaje niemal żaden ślad.

Chociaż Michael nigdy nie wrócił do posiadłości, a David zrobił to tylko raz, Tony i Alan pojawili się tam jeszcze dziesięć razy w ciągu kolejnych dwóch lat i kontynuowali badania – z różnym powodzeniem. I choć nie ma żadnej dokumentacji w postaci nagrań audio czy obrazów, która dowodziłaby aktywności poltergeista, spośród ośmiuset przypadków domniemanej aktywności paranormalnej, które zbadał w swoim życiu Tony Cornell, tylko kilka spośród nich uznał za tak autentyczne, jakich można by oczekiwać – Hannath Hall jest jednym z nich.

—

Niezależnie od tego, czy należymy do 34 procent Brytyjczyków, którzy wierzą w duchy[2], czy do tysięcy ludzi z południowych Chin, którzy tak przejmują się przesadami o Miesiącu Duchów, że ich zwiększona ostrożność w codziennym życiu rzeczywiście obniża liczbę zgonów w tym obszarze, myśli na temat takich zjawisk budzą w nas jako gatunku silne emocje. Chociaż można poetycko mówić o duchach, mając na myśli fakt, że ktoś nas nawiedza albo że istnieją obok siebie liczne inne światy, które są teoretycznie obecne, ale których nie da się osiągnąć, dla mnie myśl, że duchy mogą istnieć, zawsze wiązała się tylko z jedną rzeczą: z możliwością istnienia życia po śmierci. Nie dla mnie odtwarzanie chwil uwięzionych w czasie zgodnie z teorią „kamiennej taśmy” czy sztuczna, anatomicznie doskonała replika mojej osoby w cyfrowej chmurze – jeśli ja sam nie jestem świadom swojej dalszej egzystencji, to nie jestem zainteresowany. Chociaż jeszcze się okaże, czy nieskończona egzystencja

rzeczywiście jest przyjemna – ponieważ mój lęk przed śmiercią jest równie silny dziś jak wtedy, gdy budziłem się z krzykiem w nocy jako sześciolatek, bo nagle nieodwracalnie uświadamiałem sobie własną śmiertelność – życie wieczne wciąż wydaje się lepszą opcją.



Potężny Hannath Hall, 2018

Prawdopodobieństwo, że osiągnę nieskończony żywot, niezmiennie wydaje mi się niewielkie, toteż często poszukuję nowych idei, które mogłyby mi pomóc inaczej spojrzeć na taką ewentualność. A czy jest jakieś lepsze miejsce, od którego można by zacząć, niż nasze dziwnie uproszczone pojmowanie „czasu”? Kiedy myślimy o czasie, zwykle wyobrażamy sobie zegar albo cyfry będące punktem odniesienia dla naszego dnia. Możemy powiedzieć, że czas to starzenie się rzeczy, albo mówić o jego upływie. Kiedyś liczyliśmy go we wschodach i zachodach słońca, które z kolei przechodziły w obroty Ziemi i jej ruch wokół naszej centralnej gwiazdy. Nie jest to jednak czas w żadnym niezależnym znaczeniu, lecz raczej wygodny sposób, by nadać strukturę światu wokół nas. Dwaj mieszkańcy dwóch różnych planet zupełnie inaczej

rozumieliby długość trwania „dnia” – o ile w ogóle rozumieliby tak samo zasadę ziemskiej godziny. Żaden z nich nie doświadczałby jej jako tej samej długości czasu, chyba że jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności obie ich planety orbitowałyby, obracały się wokół własnej osi i rozciągały w czasoprzestrzeni z dokładnie taką samą prędkością. Innymi słowy czas, jak odkrył Albert Einstein, jest względny i zależy całkowicie od obserwatora – nie jest to jednostka, którą da się obiektywnie policzyć.

Od początku XX wieku naukowcy szukają teorii wszystkiego – ram, które zjednoczyłyby pozorną niekompatybilność Einsteinowskiej ogólnej teorii względności z prawami mechaniki kwantowej. Teoria Einsteina, koncentrująca się na działaniu grawitacji i opisująca procesy w dużej skali, na przykład orbitowanie planet, wskazuje na istnienie wszechświata deterministycznego, w którym można teoretycznie obliczyć przyczynę każdego zdarzenia. Z kolei procesy w świecie kwantowym, rządzące wszechświatem na poziomie maleńkich cząstek subatomowych, uważa się za niedeterministyczne. Ze względu na zasadę nieoznaczoności Heisenberga, która stwierdza, że nie da się jednocześnie poznać położenia cząstki subatomowej i jej pędu, wyniki obliczeń fizyki kwantowej uznawane są za prawdopodobne, a nie ostateczne odpowiedzi. Choć każda z metod pozwala na niezwykle trafne przewidywania w swojej skali, żadna z nich nie działa, gdy zastosuje się ją do skali tej drugiej, a to sprawia, że te dwa „światy” są całkowicie niekompatybilne.

W połowie lat sześćdziesiątych XX wieku John Wheeler i Bryce DeWitt, dwaj fizycy teoretyczni z Uniwersytetu Princeton i Uniwersytetu Karoliny Północnej, znaleźli sposób na połączenie tych dwóch procesów. Radykalna metoda Wheelera i DeWitta polegała na ignorowaniu reguł dużej skali i traktowaniu całego wszechświata jako systemu kwantowego oraz stosowaniu reguł mechaniki kwantowej w odniesieniu do grawitacji i czasoprzestrzeni. Mówiąc konkretniej – założywszy, że wszechświat jest układem zamkniętym, wyobrazili go sobie jako jeden obiekt kwantowy. Jeśli wszechświat jest właśnie takim zamkniętym układem (o czym wspominam w rozdziale pierwszym), pod względem matematycznym całkowita suma wszystkich informacji w nim zawartych jest stała, co z kolei oznacza, że tak naprawdę wszechświat się nie zmienia. Oczywiście nieustannie widzimy zmiany: kwiaty i drzewa kwitną, ptaki latają, ale równanie Wheelera-DeWitta – pod taką nazwą znany jest efekt pracy naukowców –

sugeruje, że nie istnieje zewnętrzny czas, do którego można by się odnieść, żeby zmierzyć te zmiany[3]. Jeśli rzeczywiście tak jest, przynajmniej na papierze, to liniowe pojęcie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości okazuje się tylko iluzorycznym procesem w o wiele większym systemie, który go tak naprawdę nie uznaje. Jedyną rzeczą, którą można wykazać, jest istnienie tego wszystkiego stale, razem. Chociaż wielu naukowców odrzuciło ów wniosek płynący z równania Wheelera-DeWitta, jest ono powszechnie uznawane za użyteczny krok w kierunku zrozumienia dekoherencji[4] – procesu zachodzącego na granicy, tam, gdzie reguły wielkoskalowego świata klasycznej fizyki zaczynają przeczyć prawom poziomemu kwantowego.

Niektórzy wnioskuje, że nie postrzegamy czasu takim, jaki naprawdę jest, ponieważ język, którego używamy, by go opisać, uniemożliwia nam „dostrzeżenie” jego prawdziwego stanu. Jest takie powiedzenie: „Czas jest tym, co sprawia, że nie wszystko dzieje się naraz”[5]. Oznacza to, że wydaje się on płynąć od przeszłości do teraźniejszości – co z kolei pomaga zdefiniować ruch – wyłącznie dlatego, że my to tak opisujemy. Ted Chiang w zadziwiający sposób czerpie z tej myśli w swoim opowiadaniu z 1998 roku zatytułowanym *Historia twojego życia* (na jego podstawie powstał potem film *Nowy początek* w reżyserii Denisa Villeneuve’a). Poetycka i odkrywczą historia Chianga zaczyna się od nagłego pojawienia się stu dwunastu monolitycznych struktur zawieszonych w powietrzu w różnych miejscach na świecie. Kiedy okazuje się, że są to audiowizualne kanały łączące nas z zaawansowanym gatunkiem, który niedawno dotarł do orbity Ziemi, specjalistka lingwistyki doktor Louise Banks ma za zadanie odszyfrować ich język, by się z nimi skomunikować. Banks w końcu odkrywa, że język pisany obcych – zwanych siedmionogami ze względu na ich budowę – nie ma w zasadzie struktury linearnej, a zdania są zbiorem ideogramów pojawiających się równocześnie. Banks dokonuje zadziwiającego odkrycia, że siedmionogi nie doświadczają czasu w sposób sekwencyjny, liniowy, ale raczej przeżywają go w całości naraz. Gdy Banks lepiej poznaje sposób, w jaki siedmionogi używają swojego języka, coraz bardziej odrywa się od swojego ludzkiego sposobu odczuwania czasu, aż w końcu sama zaczyna widzieć swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jako jedno.

Nie chcę absolutnie sugerować, że równanie Wheelera-DeWitta słusznie odrzuca czas jako mierzalną zmienną, a tym bardziej nie twierdzę, że dowodzi istnienia duchów, ale w dziwny sposób pokrzepia mnie taka nieliniowa interpretacja czasu. Być może gdybyśmy mieli tyle szczęścia (lub nieszczęścia), sami moglibyśmy widzieć siebie jako istoty, które podobnie jak siedmionogi Chianga czy Tralfamadorianie Kurta Vonneguta wyewoluowały tak, że nie postrzegają tylko teraźniejszości, ale wszystko, co kiedykolwiek było i będzie, jako całość – duchy stałyby się zatem nie duszami zmarłych, lecz ciałami istot zdecydowanie żywych, istniejących obok nas w wieczności.

Australijskiej pisarce Christinie Stead przypisuje się słowa, że każda historia o miłości jest historią o duchach. Ale może prawda jest raczej taka, że każda historia jest historią o duchach? Że każda nasza opowieść to coś, co kiedyś już się zdarzyło, a jednak wciąż jakoś trwa, czego życie czy też egzystencję wciąż w sobie podsyca. Czy całe życie nie jest po prostu historią, którą sobie wzajemnie opowiadamy, czy to współdzieloną przez wspomnienia, czy przez genetyczny znak krwi? I kiedy – albo jeśli – wszystkie historie w końcu znikną, możemy mieć nadzieję, że gdzieś zostanie jeszcze widmowy ślad. Ale jeżeli tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak czas i nic nigdy nie umiera, to w rzeczywistości nie istnieją duchy, tylko my i cała reszta – istniejemy razem na zawsze.

[1] Society for Psychical Research, Cambridge University Library 2018, www.lib.cam.ac.uk/collections/departments/manuscripts-university-archives/significant-archival-collections/society (dostęp: 9.03.2019).

[2] W. Dahlgreen, *Ghosts Exist Say 1 in 3 Brits*, „YouGov”, 31 października 2014, yougov.co.uk/news/2014/10/31/ghostsexist-say-1-3-brits/ (dostęp: 9.03.2019).

[3] *The Cosmic Universe*, The University of Massachusetts, www.faculty.umb.edu/gary_zabel/Courses/Parallel%20Universes/Texts/Cosmology,%20 9.03.2019).

[4] Nick Stockton, *Time Might Only Exist in Your Head and Everyone Else's*, „Wired”, 26 września 2016, www.wired.com/2016/09/arrow-of-time/ (dostęp: 9.03.2019).

[5] R. Cummings, *The Girl in the Golden Atom*, Gateway 2015, pozycja w e-booku: 86.9/60.

Podziękowania

Dziękuję piosenkarce Kathleen Hannie, która spytana, dlaczego chce śpiewać, odparła, że ma wiele do powiedzenia, ale nikt nie chce jej słuchać. Zacząłem nagrywać *Unexplained* powodowany podobną frustracją i jestem wdzięczny wszystkim osobom, których praca umożliwiła mi mówienie do mikrofonu, montowanie z tego podcastu i zamieszczanie efektu w sieci, by każdy na świecie mógł go znaleźć. Jestem też ogromnie wdzięczny wszystkim osobom, które poświęciły czas, by mnie posłuchać.

Na pewno nie wyobrażałem sobie, że dwa lata później będę publikował książkę *Niewyjaśnione*. Spośród wszystkich korzyści, jakie daje świat cyfrowy, nic nie dorównuje ekscytacji, jaką przynosi otrzymanie takiej szansy, i za nią jestem ogromnie wdzięczny mojej wspaniałej redaktorce Emmie Herdman. Dziękuję jej także za wszystkie genialne uwagi i wsparcie, ale przede wszystkim za to, że od początku doskonale rozumiała istotę *Unexplained*, a nie zawsze łatwo to wyjaśnić. Dziękuję też oczywiście wszystkim pozostałym ze wspaniałego zespołu Sceptre za ich ciężką pracę: Lily Cooper, Fleur Clarke i Louise Court. Dziękuję mojemu znakomitemu agentowi Richardowi Pike'owi z tych samych powodów oraz za to, że wprowadził to wszystko w ruch.

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do wszystkich tych, którzy poświęcili mi czas i pomogli lepiej zrozumieć historie opisane w książce: niezwykle życzliwym Jasonowi Haxtonowi, Kevinowi Mannisowi i Alanowi Gauldowi, a także Oliverowi Williamsowi za to, że powitał kręcącego się po okolicy nieznajomego w swoim domu, Hannath Hall.

Na szczególną wzmiankę zasługuje Ryan Skinner – pozwolił mi wykorzystać swoje zdjęcie Skinwalker Ranch. Dla zainteresowanych – Ryan ma prawdziwą skarbnicę informacji na temat rancza – na swojej stronie skinwalkerranch.org.

Dziękuję Towarzystwu Badań Parapsychologicznych za prowadzenie tak wspaniałego archiwum oraz wszystkim pracownikom British Library – zwłaszcza

bardzo cierpliwym i mającym dar uspokajania osobom z biura rzeczy znalezionych.

Ogromnie dziękuję tacie i Adamowi Healowi za to, że przeczytali pierwsze szkice i podzielili się ze mną ważnymi uwagami. Bardzo dziękuję także mamie za wsparcie i za to, że pomagała mi się skupić. Gorąco przepraszam moje siostry Lucie i Alice oraz siostrzeńca Marwooda za to, że miałem dla nich tak mało czasu, gdy pracowałem nad tą książką. Pozdrawiam serdecznie drugiego siostrzeńca, Cohena – szkoda, że tak daleko od siebie mieszkamy.

Wyrazy niewysłowionej wdzięczności ślę mojej ukochanej i pięknej narzeczonej Donnie, która wkrótce zostanie moją żoną, za nieskończone wsparcie i rady oraz za to, że znosiła o wiele więcej, niż należałoby od kogokolwiek oczekiwać.

Chcę zadedykować tę książkę wszystkim osobom, o których pisałem, a których nie miałem okazji poznać, zwłaszcza gdy wkraczałem w sferę ich życia i tragicznej śmierci – mam nadzieję, że okazałem szacunek: Elisie Lam, Carlowi Edonowi, Anneliese Michel i nieznanemu mężczyźnie.

Źródła cytatów

Fragment z *A Field Guide to Getting Lost* autorstwa Rebekki Solnit – książka wydana przez Canongate Books w 2006 roku. © Canongate Books. Cytat zamieszczono za zgodą Random House Group.

Fragment z *The Lady of the House of Love z Burning Your Boats* autorstwa Angeli Carter – książka wydana przez Chatto & Windus w 1995 roku. Copyright © Angela Carter. Cytat zamieszczono za zgodą dysponujących prawami autorskimi: c/o Rogers, Coleridge & White Ltd., 20 Powis Mews, Londyn W11 1JN. Wydanie polskie: Angela Carter, *Pani domu miłości*, w: tejże, *Czarna Wenus*, tłum. Aleksandra Ambros, Warszawa 2000.

Fragment z *Cyclonopedia. Complicity with Anonymous Materials* autorstwa Rezy Negarastani – książka wydana przez re.press w 2008 roku. Copyright © re.press and Reza Negarestani 2008. Cytat zamieszczono za zgodą re.press.

Fragment z *The Blind Assassin* autorstwa Margaret Atwood. Cytat zamieszczono za zgodą Curtis Brown Group Ltd w Londynie w imieniu Margaret Atwood. Copyright © O. W. toad Ltd, 2000. Wydanie polskie: Margaret Atwood, *Ślepy zabójca*, tłum. Małgorzata Hesko-Kołodzińska, Poznań 2002.

Cytowane słowa Kendricka Lamara pochodzą z rozmowy z Amosem Barshadem dla Vulture.com. Cytat zamieszczono za zgodą Vulture.com.

Fragment z *Dark Ecology* autorstwa Timothy’ego Mortona – książka wydana przez Columbia University Press w 2016 roku. Copyright © Columbia University Press. Cytat zamieszczono za zgodą Columbia University Press.

Fragment z *Coal Memory ze Spirits of Place* autorstwa Alana Moore’a – książka wydana przez Daily Grail Publishing w 2016 roku. Copyright © Daily Grail Publishing. Cytat zamieszczono za zgodą Daily Grail Publishing.

Cytat z *The Gravity’s Rainbow* autorstwa Thomasa Pynchona – książka wydana przez Jonathana Cape’a. Cytat zamieszczono za zgodą The Random House Group

Limited © 1973. Wydanie polskie: Thomas Pynchon, *Tęcza grawitacji*, tłum. Robert Sudół, Warszawa 2006.

Cytat z *A Border-Line Case* autorstwa Daphne Du Maurier, zamieszczony za zgodą Curtis Brown Group Ltd w Londynie w imieniu The Chichester Partnership. Copyright © The Chichester Partnership, 1971. Wydanie polskie: Daphne du Maurier, *Skrajny przypadek*, w: tejsze, *Nie oglądaj się teraz*, tłum. Teresa Sośnicka, Warszawa 2009.

Fragment *The Crucible* autorstwa Arthura Millera, copyright © Arthur Miller, 1952, 1953, 1954. Copyright renewed © Arthur Miller, 1980, 1981, 1982. Zamieszczono za zgodą The Wylie Agency (UK) Limited. Wydanie polskie: Arthur Miller, *Czarownice z Salem*, tłum. Anna Bańkowska, Warszawa 2009.

Ponadto w trakcie pracy nad książką gromadziłem informacje z następujących źródeł: www.therendelshamforrestincident.com; www.ianridpath.com/ufo/rendelsham.htm; D. Clarke, *New Light on Rendelshame*, www.drdauidclarke.co.uk/secretfiles/secret-files-G1, 2012; LVCIFER, *The Entire Case History of Anneliese Michel – The Real ‘Emily Rose’*, „Diabolical Confusions”, diabolicalconfusions.wordpress.com/2011/03/14/the-entire-case-history-of-anneliese-michel-the-real-emily-rose-warning-shocking-content/, 2011; dr C.A. Kehell, G. Knapp, *Hunt for the Skinwalker*, New York 2005; A. Gauld, A. Cornell, M. Brotherton, D. Murray, *Original Hannath Hall Case Notes*, The Society of Physical Research Archive, Cambridge University Library, 1957.

Zdarzenia i osoby przedstawione w książce są prawdziwe, jednak do części dialogów dodano elementy fikcji w celu wzbogacenia narracji.

Źródła zdjęć

- © Donna Mackay;
- © Gazette Media Company, za zgodą;
- © The History Collection / Alamy Stock Photo;
- © Jason Haxton;
- © Donna Mackay;
- © Donna Mackay;
- © ZumaPress, Inc. / Alamy Stock Photo;
- © Keystone Pictures / Alamy Stock Photo;
- © The Picture Art Collection / Alamy Stock Photo;
- © The Picture Art Collection / Alamy Stock Photo;
- dzięki uprzejmości John E. Mack Archives LLC;
- dzięki uprzejmości Los Angeles Public Library;
- © robertharding / Alamy Stock Photo;
- © Danita Delimont / Alamy Stock Photo;
- © Donna Mackay;
- © Country Calm / Den Reader / Alamy Stock Photo;
- © Richard MacLean Smith.
- Leonard Kleinrock.

Tytuł oryginału

Unexplained. Supernatural Stories for Uncertain Times

Copyright © Richard MacLean Smith 2018

Copyright © for the translation by Aleksandra Żak

Adaptacja oryginalnego projektu okładki

Katarzyna Bućko

Fotografia na okładce

© welcomia / Shutterstock.com

Opieka redakcyjna

Przemysław Pełka

Artur Wiśniewski

Adiustacja

Anastazja Oleśkiewicz

Korekta

Malwina Błażejczak

Patrycjusz Pilawski

ISBN 978-83-240-7096-1

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

więcej ebooków i audiobooków znajdziesz na chomiku [JamaNiamy](#)